



Joyce
Carol
Oates

OFIARA



Joyce Carol Oates

OFIARA

przełożył Tomasz Kłoszewski



Tytuł oryginału: *The Sacrifice*

Copyright © 2015 by The Ontario Review

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kłoszewski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Dla Richarda Levao i Charliego Grossa

Matka

6 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU
PASCAYNE, NEW JERSEY

„Widział kto moją córeczkę? Moje dziecko? Mój skarb?”.

Krzyk narastał, jakby zbliżał się pochód, a przecież była sama. Szła Camden Avenue w Red Rock, ubogiej dzielnicy Pascayne, na którą składało się dwanaście przecznic leżących blisko siebie między autostradą stanową a rzeką Passaic. Szła w cieniu majaczącego nad nią złowroźnie mostu Pitcairn Memorial niczym starotestamentowa matka, która poszukuje zaginionego dziecka. Szła, zataczając się w niezdnym pośpiechu, w zawiązanej niedbale na głowie ciemnoczerwonej chustce, a ubranie wisiało luźno na jej obfitym, pozbawionym talii ciele. Na ulicach Depp, Washburn, Barnegat i Crater byli tacy, którzy rozpoznawali jej twarz, chociaż nie wiedzieli, jak się nazywa, i tacy, którzy znali ją jako Ednetę – Ednetę Frye, jedną z kobiet Anisa Schutta. Większość nie była pewna, czy Anis Schutt nadal żył z tą kobietą w średnim wieku i czy w ogóle kiedyś z nią mieszkał. Widzieli ją i obcy, którzy nigdy nie słyszeli o Ednetcie Frye ani o Anisie Schutcie, ale stawali w miejscu na widok bólu malującego się na jej twarzy i błagalnego spojrzenia, na dźwięk niskiego, gardłowego, drżącego głosu: „Czy kto widział moją dziewczynkę? Sybillę?”.

Był późny, oślepiająco jaskrawy poranek cuchnący rzeką Passaic – słodkawy, chemiczny odór mieszał się z ostrą, cierpkawą wonią zgnilizny. Poranek, który nastąpił po ulewnej nocy – na popękanych chodnikach stały kałuże lśniące jak sreberka po czekoladkach.

„Sybilla, moja córeczka, widział ją kto?”.

Zrozpaczona matka miała przy sobie fotografie, które pokazywała spłoszonym, choć najczęściej życzliwym ludziom; rozmawiała z nimi, wykorzystując coś pozornie przypadkowego – nieupozowane zdjęcia ciemnoskórej dziewczyny o błyszczących oczach, z leciutkim zezem i dziecinnym, szczerbatym uśmiechem. Na niektórych fotografiach dziewczynka miała nie więcej niż jedenaście lub dwanaście lat, na nowszych wyglądała na czternaście. Czarne, bujne i sztywne włosy zaplecione w warkoczyki były zebrane z tyłu nad zmarszczonym czołem i przewiązane jaskrawą wstążką. Gęste rzęsy ocieniały ciemne migdałowe oczy – takie jak u matki.

„Sybilla wygląda młodo jak na swój wiek, jest ufna, do każdego się uśmiecha”.

W zakładzie fryzjerskim Jubilee, w salonie manikiuru Ruby's Nails, w knajpce Jax Rib Joint, w koreańskim spożywcza, w biurze Liberty (poręczenia majątkowe), w lombardzie Scully'ego, w sklepie charytatywnym

Pascayne Veterans, w ośrodku pomocy społecznej hrabstwa Passaic i w zatłoczonej stołówce szpitala James J. Polk Memorial, a także na wystawionym na hulające wiatry placu Hicks Square i na kilku pokrytych graffiti przystankach autobusowych na Camden zdyszana Ednetta Frye gotowa była pytać każdego – czy ktoś widział jej córkę? Drżącymi palcami rozkładała fotografie jak talię kart. „Widzieliście Sybillę? Nie? Na pewno?”.

Czepiała się ich ramion, żeby nie upaść; wyglądała na odurzoną i zdezorientowaną – ubranie w nieładzie, opaska ściągająca jej sztywne natłuszczone włosy przekrzywiona. Na nogach miała przemoczone tenisówki, przetarte w okolicach małych palców z zadziwiającą, prawie idealną symetrią.

„Od wtorku jej nie ma. Dzień i noc, i kolejna noc, przez cały ten czas myślałam, że jest ze swoją kuzynką Martine na Dziewiątej Ulicy, chadza tam czasem po szkole i zapomina do mnie zadzwonić, więc myślałam, że tam właśnie jest. Ale teraz mi mówią, że tam jej nie ma, a w szkole powiedzieli, że nie pokazała się od wtorku. Podobno od września, kiedy zaczęła się szkoła, często wagarowała, ale ja o niczym nie miałam pojęcia, a teraz nikt nie wie, gdzie jest moje dziecko. Jak kto widział moją Sybillę, to proszę, nich do mnie zadzwoni, do Ednetty Frye. Mój numer to...”.

Piękne oczy, przekrwione, z popękkanymi naczynekami krwionośnymi, patrzyły w niemym cierpieniu; skóra w odcieniu ciepłego, lśniącego mahoni, oleisty połysk twarzy odbijający rozproszone światło lekko zachmurzonego nieba. Z bliska Ednetta wydawała się krępa: miała wielkie, obwisłe piersi przypominające worki na wodę, szerokie biodra i uda, ale nie była gruba, raczej mięsista i twarda, silna i wytrzymała, wręcz wyzywająca, w nieokreślonym wieku po czterdziestce, z dziewczęcą płacziwą miną na obrzmiałym obliczu skrzywdzonej dojrzałej kobiety.

„Proszę! Widzieliście ją? Och, ale kiedy? Po wtorku? Nie ma jej już dwa dni i dwie noce...”.

Wzdłuż szerokiej, wietrznej Trenton Avenue chwiejnym krokiem nadciągała Ednetta Frye; zaglądała do Diamond Café, do sklepu z perukami Wig-a-Do, do AMC Loans & Bail-Bond (pożyczki hipoteczne), do ośrodka charytatywnego Goodwill, gdzie kierownik zaproponował, że zadzwoni pod dziewięćset jedenaście i zgłosi zaginięcie jej córki, ale Ednetta cofnęła się z przestachem i zawołała półgłosem: „Nie! Żadnej policji! A skąd wiem, że to nie policja z Pascayne, że to nie oni zabrali moją dziewczynkę?”.

Wyszła z Goodwill, potknąwszy się w drzwiach, i szeptała pod nosem: „O Boże, Boże, nie pozwól im skrzywdzić mojego maleństwa, Boże, okaż miłosierdzie”.

Westchnęła i ruszyła dalej Trenton Avenue, mijała zamknięte okiennice biur i sklepów, a potem poszła przez Penescott na Freund, gdzie stoją szeregowe domki z czerwono-brunatnego piaskowca, podzielone teraz na mieszkania, i dalej na Port i na Sansom, do małych, jednopiętrowych, otynkowanych drewnianych budynków stojących tuż przy popękanych i poprzerastanych

chwastami chodnikach.

Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że marszruta zrozpaczonej kobiety była przypadkowa i chaotyczna, zaplanowana z jakąś pokrętną logiką – czasami Ednetta przechodziła przez jezdnię po kilka razy w tym samym miejscu. Na tych ulicach spotykała mniej osób, więc stukwała do drzwi, zerkała w głąb słabo oświetlonych wnętrz, kilka razy odważnie zaglądała przez okna i pukała w szyby: „Przepraszam! Mogę o coś spytać? Moja córka, Sybilla Frye, nie ma jej od wtorku, ktoś widział kogo podobnego do niej?”.

Jęczała pod nosem, przechodząc przez puste parcele zawałone śmieciami i błotniste zaułki. Zaczęła utykać, była zadyszana, rozkojarzona. Wydawało się, że skręciła nie tam, gdzie chciała, ale nie miała zamiaru zawrócić. Gdzieś blisko wściekle ujadał pies. W górze samolot z ogłuszającym rykiem podchodził do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Newark i Ednetta wygięła szyję, by spojrzeć w niebo, na którym ukazał się boży znak, niezbadany i straszny. Poniżej leżały opuszczone i zaniedbane domy, jak rozpadająca się czynszówka z piaskowca na Sansom, znane miejsce, w którym przesiadywali narkomani, nastolatki, bezdomni i psychicznie chorzy, a do którego Ednetta Frye zbliżyła się lekkomyślnie. „Halo? Jest tu kto? Halo! Halo!”.

Nie wahała się wchodzić na jezdnię, zatrzymywać samochody i tłumaczyć zaskoczonym pasażerom: „Przepraszam! Jestem Ednetta Frye, to moja córka, Sybilla, ma czternaście lat. Widziałam ją ostatni raz, kiedy szła do szkoły, a teraz mówią, że nigdy tam nie dotarła. To było we wtorek”.

Podawała zdjęcia Sybilli nieznanym, a oni patrzyli na nie ponuro, zwracali je i zapewniali, że nie widzieli dziewczyny, ale tak, będą się za nią rozglądać.

Na rogu Sansom i Piątej dało się wyczuć ostre podmuchy wiatru znad rzeki – świeże, wilgotne powietrze i ciężki, słodkawy odór gnijących liści i wałających się w zaułkach śmieci. I tam, przy krawężniku, Ednetta Frye zatrzymała się, by odpocząć, jak robotnik zmęczony wysiłkiem, który okazał się daremny. Nikt nie bywa tak osamotniony jak pozbawiona nadziei matka, która bezskutecznie poszukuje swojego dziecka. Zaciśnięte dłonie przyciskała do piersi, jakby bolało ją serce, i patrzyła daleko przed siebie, na podniesiony most Pitcairn, rozłożony teraz jak wielki, prehistoryczny drapieżny ptak, i na widoczne w tle niebo, które z wolna nabierało krwistej barwy, a na jej twarzy lśniły łzy. Nie wstydziała się ich Ednetta, bo nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze, i nie uniosła dłoni, by je otrzeć.

*

TA BIEDNA KOBIETA BYŁA TAK WYSTRASZONA, ŻE PRAWIE ODCHODZIŁA OD ZMYŚLÓW, NIE WIEDZIAŁA NAWET, Z KIM ROZMAWIA!

Tego ranka, szóstego października 1987 roku, kiedy Ednetta Frye przez kilka

godzin szukała córki i rozpytywała przechodniów w podupadłej części śródmieścia Pascayne, między Camden Avenue i Dwunastą Ulicą, rozmawiała głównie z kobietami.

Później przypomniało ją sobie około sześćdziesięciu osób.

Wśród nich było kilka kobiet, które znały Ednetę Frye z sąsiedztwa i widywały ją często z dziećmi (podobno jej własnymi), w tym z córką Sybillą, ale żadna z nich nie widziała Sybilli przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Mogłyby przysiąc.

Były wśród nich i takie, które znały Ednetę od lat – nawet od trzydziestu lub trzydziestu pięciu – jeszcze z czasów, kiedy były dziewczętami i mieszkały w domach komunalnych zbudowanych za Roosevelta, dawno już wyburzonych i zastąpionych przez nieukończoną „esplanadę”, która okazała się długim na pół kilometra pasmem betonu i błota, przerdzewiałych płotów z siatki i połamanych, trzepoczących na wietrze plastikowych znaków UWAGA! BUDOWA. WSTĘP WZBRONIONY. W latach pięćdziesiątych chodziły do podstawówki East Edson i do liceum Pascayne South High. Niektóre z nich poznały Ednetę, kiedy była młodą matką – pierwsze dziecko urodziła, mając szesnaście lat; musiała rzucić szkołę i już nigdy nie wróciła do nauki – lub w tym okresie, kiedy pracowała na pół etatu jako salowa w klinice Polk. Widywały ją, jak wsiadała na przystanku przy Camden do autobusu jadącego na ulicę Clinton: krzepką, wyprostowaną, przystojną kobietę z przerwą między zębami (widoczną, kiedy się uśmiechała), często wybuchającą salwą śmiechu, który sprawiał, że chciało się śmiać razem z nią.

I były też te, które kojarzyły Ednetę mniej więcej od dziesięciu lat, od kiedy zamieszkała razem z Anisem Schuttem w jednym z szeregowych domków na Trzeciej Ulicy. Niektóre z tych kobiet znały Anisa Schutta w czasach, kiedy siedział w Rahway, więzieniu o zaostrzonym rygorze, i jeszcze wcześniej, zanim zginęła jego pierwsza żona (nieumyślne spowodowanie śmierci, do tego się przyznał). Te zastanawiały się (być może), dlaczego Ednetta, młodsza od Anisa o co najmniej dziesięć lat, zakochała się w takim człowieku i zdecydowała się na ryzyko, by z nim zamieszkać (razem z trójką swoich małych dzieci).

Ednetta od dawien dawna należała do Afrykańskiego Metodystyczno-Episkopalnego Kościoła Syjonu, którego zbór stał przy Pierwszej Ulicy.

Śpiewała w tamtejszym chórze. Mówiono jej, że ma niski, głęboki kontralt, jak Marian Anderson.

I że wygląda jak Kathleen Battle.

Nigdy nie opuszczała mszy. Wspólne niedzielne poranki z matką i babcią (jej starą, niedomagającą babcią, którą się opiekowała), ciotkami i córkami Sybillą i Evandą były najszcześniejszymi chwilami w życiu Ednetty, nietrudno było to wyczytać z jej twarzy.

Anis Schutt nie bywał w Kościele Syjonu. Nikt choć odrobinę podobny do Anisa Schutta nie przyszedłby do Kościoła Syjonu, w którym pastor o gęstej białej czuprynie, Clarence Denis, modląc się, nierzadko popadał w ekstazę

i pełen oburzenia perorował o odzyskaniu dzielnicy Red Rock z rąk „zbirów i gangsterów”, którzy skradli ją dobrym czarnym chrześcijanom.

Kilka lat temu rozeszły się pogłoski, że Ednetę Frye zwolniono z kliniki Polk, rzekomo za kradzież lekarstw. Potem oskarżono ją o wystawianie trefnych czeków, chociaż zarzekała się, że padła ofiarą pomówień. Podobno pracowała w Walmarcie (czy może w Home Depot), jednym z tych wielkich supermarketów w galerii handlowej Pascaigne East Mall, gdzie szczęśliwcy dostawali płacę minimalną i żalosne świadczenia zdrowotne, ale za to mogli tanio kupować uszkodzone i przeterminowane produkty. Korzystali z tego wszyscy pracownicy, zwłaszcza po wakacjach, kiedy dzieci szły do szkoły, no i na Boże Narodzenie.

Przez lata wiele plotkowano o jej zdrowiu. Cukrzyca? Artretyzm? (Bo wszyscy widzieli, że Ednetta przytyła o co najmniej dwadzieścia kilo). Chodziła z dziećmi do krewnych, by ukryć się przed Anisem Schuttem, kiedy wpadał w jeden z tych swoich pijackich ciągów, ale nigdy nie dzwoniła pod dziewięćset jedenaście i nigdy nie uciekała do schroniska dla kobiet, do Świętej Teresy na Dwunastej Ulicy, jak to od czasu do czasu robiły inne (w tym jej młodsza siostra Cheryl), ani nie zwracała się do sądu rodzinnego hrabstwa Passaic, by wystawił zakaz zbliżania się Anisa Schutta do niej i do dzieci.

Ednetta kochała swoje dzieci. Na jej barkach spoczywało też wychowywanie kilkorga potomków Anisa Schutta (z jego jedyne go małżeństwa z nieżyjącą już Taną). W ciasnym mieszkaniu, razem ze swoimi, miała ich na głowie w sumie pięcioro lub sześcioro (choć chłopcy Anisa byli starsi i długo z nimi nie mieszkali).

Jeden z tych synów został zastrzelony na ulicy w Newark – padł pod gradem kul z przejeżdżającego samochodu.

Inny, kiedy miał dwadzieścia trzy lata, trafił do Rahway skazany za handel narkotykami i rozbój. Wyrok: dwanaście do dwudziestu lat.

Czarni chłopcy w podupadłej dzielnicy miasta Pascaigne w stanie New Jersey. Byli jak gatunki zagrożone wyginięciem – gdy mieli od dwunastu do dwudziestu pięciu lat, ich życie wisiało na włosku.

Ednetta też miała syna – dziesięciolatka. I jeszcze jedną córkę, młodszą przyrodną siostrę Sybilli.

Wśród kobiet, którym Ednetta Frye pokazała tego ranka zdjęcia Sybilli, kilka dobrze znało Anisa Schutta, a co najmniej dwie – Lucille Hersh i Marlena Swann – utrzymywały z nim swego czasu stosunki, które można by nazwać związkami.

Ojcem dwudziestoletniego syna Lucille, Rodricka, był Anis, bez cienia wątpliwości. Ośmioletnia córka Marleny, Angelina, też była jego dzieckiem, czego zresztą się nie wypierał. Nie było jasne, ile dokładnie spłodził dzieci. „Zaczęłem młodo – mawiał ze śmiechem Anis – i nigdy nie miałem czasu policzyć”.

Spotkania z tymi kobietami przysparzały oczywiście Ednetcie wiele bólu,

zwłaszcza kiedy widziała, jakimi spojrzeniami ją obrzucają.

Najgorsze, że widziała je z dziećmi, o których wiadomo, że są potomstwem Anisa. To było okropne.

„Było jasne, że ta kobieta odchodzi od zmysłów, jakby nawet nie zdawała sobie sprawy, z kim rozmawia. Sama widziałam, bo Ednetta podeszła do mnie i mojej koleżanki Jewel w sklepie spożywczym. Jakby nie wiedziała, kim jesteśmy. A przecież Ednetta Frye nienawidzi Jewel, bo Anis gównem zrobił, żeby pomóc Jewel, kiedy ta miała kłopoty, chociaż zarzekał się, że coś zrobi. Tymczasem Ednetta patrzy na nas niewidzącym wzrokiem i mówi: «Przepraszam! Mam nadzieję, że mi pomożecie! Widziałyście moją córkę Sybillę?».

To duża dziewczyna, nie było jej dzień czy dwa, a ta Ednetta zachowywała się, jakby jej córka już nie żyła. Pomyślałyśmy, że przesadza, ale kiedy jesteś matką, to się zamartwiasz. A kiedy dziewczyna ma tyle lat co Sybilla, to nie można jej ufać.

Nie było sensu pytać, czy poszła na policję, bo wszyscy wiemy, co o policji myśli Anis i co policja myśli o nim.

Więc jej powiedziałyśmy, że na pewno poszukamy Sybilli. Wypytamy o nią każdego, kogo znamy, a jeśli ją spotkamy albo czegoś się dowiemy, od razu jej powiemy.

Płakała wtedy, chciała nas wyściskać, powiedziała: «Dziękuję! Niech Bóg was błogosławi, modłę się, żeby i mnie pobłogosławił, i mojemu dziecku, i ochronił je od złego».

Stałyśmy tam i patrzyłyśmy, jak ta biedaczka odchodzi, jakby była pijana albo co, jakby chodziła we śnie, i mówiłyśmy do siebie to, co się zwykle mówi w takich wypadkach: «Biedna Ednetta Frye, dobrze, że to nie mnie spotkało!»”.

Odnaleziona

7 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU
EAST VENTOR, ULICA DEPP, PASCAYNE, NEW JERSEY

– Słyszałaś to? Jakby ktoś płakał.

Usłyszała to w nocy; nie miała pojęcia, co to było, ale miała nadzieję, że nie to, o czym pomyślała.

Może to schwyty w pułapkę ptak albo jakieś zwierzę? Byle nie dziecko... Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że to dziecko.

Ciche, jęgliwe zawodzenie. Wznosiło się i opadało, mieszało z jej snem, płytkim i nerwowym, przeszytym zniecka srebrnym światłem lub srebrzystym dźwiękiem. Jeden z tych migotliwych snów, które przemykają przed oczami jak kolorowe cienie na murze zmieszane z nocnymi hałasami: syrenami, silnikami samochodów, szczekaniem psów, krzykami. Najgorsze były strzały z broni palnej. I ludzkie krzyki. I nasłuchiwanie, co będzie dalej.

Mieszkała w Red Rock przez całe życie, czyli przez trzydzieści jeden lat. Dzielnicę z jednej strony otaczała estakada autostrady New Jersey, z drugiej rzeka. Dzielnica była długa na jakieś dwanaście przecznic, szeroka na cztery: Camden Avenue, Crater, East Ventor i Barnegat. Po zamieszkach z sierpnia 1967 roku („zamieszki” to słowo białych, słowo policji, słowo oskarżenia i osądu, słowo z nagłówek gazet) Red Rock stała się czymś w rodzaju odizolowanej wewnątrz miasta wyspy, ciągiem wypalonych domów, opuszczonych i zabitych deskami budynków, dziurawych jezdni i rozpadających się trotuarów. Właściwie wszyscy mieszkańcy byli ciemnoskórzy, chociaż dawniej (Ada pamiętała to jeszcze z dzieciństwa) widywało się tu różne odcienie skóry. A na Camden Avenue były liczne sklepy i siedziby firm.

Chodziła do podstawówki Edson Elementary, która znajdowała się tuż obok jej domu. Do liceum jeździła autobusem na róg Packett i Dwunastej. Skończyła klasę o profilu handlowym i przez pewien czas pracowała w kancelarii szkoły jako urzędniczka i maszynistka. Tamtejsi nauczyciele (biali) namówili ją, żeby zdobyła jeszcze jeden dyplom, i tak znalazła się w Passaic County Community College, gdzie ukończyła wydział anglistyki i pedagogiki. Dzięki temu mogła pracować jako nauczycielka w szkołach publicznych stanu New Jersey – co czasem udawało się jej robić, ale jedynie na zastępstwo. Przekonała się, że zbyt wiele osób jest uprzedzonych do nauczycieli, którzy mają tylko dyplomy dwuletnich college’ów przygotowawczych. Uprzedzenia te skłaniały do zatrudniania nauczycieli z dyplomami wydziału pedagogicznego Uniwersytetu Rutgersa, a to oznaczało (najczęściej, chociaż nie zawsze) nauczycieli białych lub tylko z niewielką domieszką innej krwi. Ada nie dopuszczała do siebie

myśli, że te uprzedzenia mogły mieć coś wspólnego również z nią.

Leżała w tę bezsenną noc, nasłuchując cichego płaczu, z nadzieją, że to tylko ptak uwięziony w szybie wentylacyjnym. W tej starej pięciopiętrowej czynszowej kamienicy nikt nie wiedział, co kryje się w ścianach z czerwonej cegły lub w piwnicach podtapianych przez ulewne deszcze, zwłaszcza gdy Passaic występowała z brzegów i rynsztoki wypełniały się ściekami. Może to gołąb ze złamanym skrzydłem, który wleciał przez rozbitą szybę, albo beżpański pies zwabiony do budynku zapachem jedzenia i schwytyany w pułapkę przez zatrzaśnięte drzwi?

– Nie, nic nie słyszę. Nic a nic.

– A teraz, słyszysz? To ktoś ranny, może...

– Jakiś ćpun albo naćpana prostytutka. Pieprz to, Ada, i nie wtrącaj się. Siedz tu.

Ada roześmiała się szorstko i oderwała palce, które matka zacisnęła na jej nadgarstku. Lubiła komenderować. Nauczyciele zawsze ją chwalili, a teraz, kiedy sama wykonywała ten zawód, potrafiła przejąć stery. Nie byłaby sobą, gdyby zignorowała wołanie o pomoc, zwłaszcza dobiegające spod jej okna.

Kiedy schodziła po stromych skrzypiących schodach otoczonych chybotliwą balustradą, naszyły ją wątpliwości. W tej okolicy nawet w niedzielny poranek nie należało wsadzać nosa w nie swoje sprawy, bo można było tego pożałować. Matka pewnie miała rację: to mogli być handlarze narkotyków, narkomani, dzieciaki pod wpływem cracku, dziwki, bezdomni lub ktoś psychicznie chory...

Nie słyszała już płaczu, chociaż w sypialni z całą pewnością nie miała omamów.

Przed laty tuż obok mieściła się fabryka konserw Jersey Foods. Przywożono tu całe ciężarówki ryb, które patroszono, gotowano i zmieniano w papkę, potem doprawiano to mocno solą i pakowano do puszek. Puszki przesuwały się po taśmie produkcyjnej i lądowały na pakach ciężarówek. Tony ryb i przenikliwy, wszechogarniający rybi smród, niemal nie do zniesienia w upalne lato w New Jersey.

Fabrykę Jersey Foods zamknął w 1979 roku Wydział Zdrowia Stanu New Jersey. Opuszczony stary budynek częściowo zawalił się w następstwie pożaru, jaki wybuchł z podejrzanych przyczyn. Teren, który zajmowała (kilka hektarów, w tym asfaltowy parking z dziurami przypominającymi wąwozy), oraz rdzawy budynek leżały za wysokim na niecałe dwa metry ogrodzeniem z siatki, również przerdzewiałej i częściowo pozrywanej. Tablice z napisami WSTĘP WZBRONIONY nie odstraszały okolicznej dzieciarni, która przełaziła przez płot i bawiła się na terenie fabryki pomimo ostrzeżeń dorosłych, że to niebezpieczne.

Po przeciwnej stronie budynku, w którym mieszkała Ada, w najdalszym zakątku ślepej ulicy Depp, stała kolejna zamknięta fabryka. Z powodu toksyn, które wsiąkły tu w grunt, od United Plastics należało się trzymać z daleka i zachować jeszcze większą ostrożność niż przy Jersey Foods.

Mogło się wydawać, że nikt nie zechce mieszkać w tak obskurnej okolicy, ale czynsz był tu niski. Zresztą nigdzie w tej podupadłej części śródmieścia Pascayne nie było bezpiecznie.

Ada miała nadzieję, że dostanie pełen etat nauczycielki w sąsiednim okręgu szkolnym lub na jednym z przedmieść. (Wszystkie przedmieścia były w większości białe, ale „zintegrowane”, i kolorowi, których było na to stać, też tam mieszkali). Wtedy zabierze rodzinę i wyprowadzi się z nędznego East Ventor.

Od sześciu lat żyła tą nadzieją i nadal jej nie traciła.

– Boże! Byle nie jakieś niemowlę.

Cóż, to nie byłby pierwszy raz, kiedy porzucono niemowlę w tej zniszczonej, odludnej nadrzecznej okolicy. Ślepe uliczki, zamknięte fabryki i magazyny, śmieci wysypujące się z kontenerów (bywało, że całymi tygodniami nikt ich nie opróżniał). Gwałtowne deszcze, wylewająca rzeka, której cuchnąca woda pędziła rynsztokami i ulicami i zatapiała piwnice. Idąc na przystanek autobusowy na Camden, Ada nieraz widywała szczury, które śmiało myszkowały wśród śmieci, tuż obok jej kostek. (Bardzo się bała, że któryś z nich ugryzie ją w kostkę, od czego mogłaby dostać wścieklizny). Paskudne stworzenia nie lękały się Ady, podobnie jak innych ludzi, z wyjątkiem chłopców, którzy rzucali w nie kamieniami, gonili i zabijali, jeśli tylko udało im się je dopaść. Popiskiwały, kiedy jadły, a ruchliwe łyse ogony unosiły w jakiś radosny sposób, jak psy. Nigdy nie wiadomo, co szczury mogą wygrzebać ze śmieci. Ada na pewno nie była tego ciekawa. W dzieciństwie słyszała okropną historię, jak to szczury pożarły jakieś niemowlę porzucone w bocznej uliczce. Nikt nie chciał zdradzić, czyje to było dziecko, chociaż niektórzy musieli wiedzieć. Lub przynajmniej wiedzieli, kto je porzucił w takim miejscu. Biali gliniarze na pewno mieli to gdzieś, opieka społeczna zresztą też. Ada wciąż lubiła w chwilach słabości straszyć się tym wspomnieniem sprzed lat (robiło się jej niedobrze, kiedy wyobrażała sobie, jak szczury pożerają niemowlę), dlatego kiedy tylko widziała te gryzonie, szybko odwracała wzrok.

Poczuła się nieswojo, kiedy przypomniała sobie Ednetę Frye. Poprzedniego ranka widziała tę zrozpaczoną kobietę, najpierw jak przechodziła przez Camden Avenue, nie zwracając uwagi na przejeżdżające samochody, potem w koreańskim spożywczaku i ponownie – kiedy podchodziła na Hicks Square do różnych osób, które patrzyły na nią jak na wariatkę. Ednetta wydawała się zdezorientowana, zrozpaczona i przestraszona, zupełnie do siebie niepodobna, bo przecież z nią zawsze można się było pośmiać i porozmawiać – to zresztą sama Ednetta śmiała się najwięcej i była najbardziej gadatliwa przy takich okazjach. Zdarzało się, że miała posiniaczoną twarz i opuchnięte wargi, ale i tak śmiała się i mówiła, że wpadła na jakieś cholerne drzwi. Domyślano się, że to sprawka Anisa Schutta, chyba jednak nie było to nic strasznego, skoro Ednetta tak z tego żartowała.

Ada była o co najmniej dziesięć lat młodsza od Ednetty Frye. Pracowała na

zastępstwie w gimnazjum, kiedy córka Ednetty, Sybilla, uczyła się tam rok czy dwa lata temu. Ada znała tę rodzinę z sąsiedztwa, ale niezbyt dobrze.

Były przecież sąsiadkami, nie da się zaprzeczyć. East Ventor przecinała Crater i jeśli poszło się tą przecznicą aż do Trzeciej Ulicy, trafiało się tam, gdzie w jednym z szeregowych domków mieszkała ze swoim mężczyzną i z dziećmi Ednetta. Ile było tych dzieci, Ada dokładnie nie wiedziała.

Ada Furst, mająca dyplom i certyfikat nauczycielki stanu New Jersey, lubiła myśleć, że od takich ludzi jak Frye'owie oddziela ją coś w rodzaju szklanej szyby – bariera była przezroczysta, ale namacalna.

Poprzedniego dnia Ednetta nie była w nastroju do śmiechu i żartów, była przestraszona i zatroskana. Pokazywała Adzie fotografie swojej córki, jakby ta nie pamiętała, jak wygląda Sybilla – i dlatego Ada musiała zaprotestować:

– Ednetta, przecież wiem, jak wygląda Sybilla! Dlaczego mi je pokazujesz?

Ednetta nie potrafiła na to odpowiedzieć. Gapiła się na nią pozbawionym wyrazu nieruchomym spojrzeniem, jakby nie rozpoznawała Ady Furst, nauczycielki.

– Pewnie poszła gdzieś z przyjaciółkami. Wiesz, jakie są dziewczyny w jej wieku, nie myślą.

Ednetta na to:

– Sybilla myśli. Dobrze ją wychowałam. Jeśli Anis się na nią rozgniewa, ukarze ją, solidnie ją ukarze. I Sybilla o tym wie.

Ada powtórzyła, że Sybilla pewnie poszła gdzieś z koleżankami i Ednetta nie powinna jeszcze się niepokoić.

– Nie wiem, ile chcesz, żebym czekała, zanim zacznę się „niepokoić” – odparła porywczo Ednetta. – Mówiłam, że Anis nie pozwala w domu na coś takiego. I Sybilla dobrze o tym wie.

Ściskając fotografie w dłoni, Ednetta poszła dalej. Ada patrzyła na nią ze współczuciem, gdy kobieta podchodziła do osób na ulicy, napraszała się, właściwie błagała, i pokazywała zdjęcia Sybilli. Większość nagabywanych zachowywała się grzecznie, niektórzy wyglądali na szczerze przejętych. „Jest coś nie w porządku w tym, co robi Ednetta”, pomyślała Ada. Ale nie wiedziała, co dokładnie.

Wstydziła się teraz, że tak bezmyślnie rozmawiała z Ednettą Frye. Ale co miała powiedzieć? Że dziewczyny takie jak Sybilla zawsze uciekają? (Ada dobrze o tym wiedziała, w końcu pracowała jako nauczycielka). A to znaczyło, że były u jakiegoś mężczyzny, pewnie o kilkanaście lat starszego, który dawał im narkotyki. Z tego, co pamiętała z gimnazjum, Sybilla Frye była pyskata, bezczelna i nerwowa, nie mogła usiedzieć na miejscu i miała trudności z koncentracją, strasznie przeklinała i zadawała się z nieodpowiednim towarzystwem. Miała kiepskie stopnie, w siódmej klasie przyłapywano ją na paleniu z przyjaciółmi przy tylnym wejściu do szkoły. Ale nie mogła opowiedzieć o tym biednej Ednetcie!

Na drugim piętrze Ada zapukała do drzwi Klariss – wpadło jej do głowy, że

może ona poszłaby razem z nią. Ale sąsiadka zaprotestowała równie gwałtownie jak matka Ady.

– Nie mieszaj się w to, Ada. Wiesz dobrze, że to jakiś diler, którego postrzelili, albo ćpun, który przedawkował. Wmieszasz się w to, a gliniarze przypną cię do sprawy i zgarną razem z nimi.

Ada nieudolnie próbowała się przymilić, żeby Klariss przynajmniej wyszła z nią na zewnątrz, na tyły domu.

– Nie musisz iść dalej, Klariss. To na wszelki wypadek, gdyby coś się stało...

Ale Klariss już zamykała drzwi.

Przy frontowym wyjściu stało kilku nastoletnich chłopców o skórze czarnej jak heban, gotowych do wypadu w miasto. Wymieniali rozbawione spojrzenia, które sygnalizowały, że zarejestrowali jej obecność i pogardzają sztywną, jakby połknęła kij, Adą Furst. Wiedzieli, że była jakąś nauczycielką – to byli chłopcy urodzeni w Red Rock, ich rodzice pochodzili z Dominikany, mieszkali nad Adą. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy poprosić ich, by jej towarzyszyli... Ale nie, ci prymitywni chłopcy tylko by ją wyśmiali. Lub zrobili coś jeszcze gorszego.

Wyszędłszy na zewnątrz, ruszyła na tyły budynku. Nikt tam prawie nigdy nie zaglądał: za czynszówką rozciągał się bezpieczny teren – rumowisko pełne odpadków, zielska i rachitycznych drzew, które pochylały się w stronę wysokiego na trzy metry płotu z drutu kolczastego stojącego przy nadbrzeżu rzeki. Przez lata wiatr nawiewał tu śmieci i rozpinał na ogrodzeniu, tak że teraz przypominało jakąś artystyczną instalację. To tu mieszkańcy wyrzucali niepotrzebne rzeczy, w tym lodówki, materace, krzesła i kanapy, a nawet potłuczone, zmatowiałe sedesy. (Ada rozpoznała połamaną lampę, która kiedyś należała do Kaholi; jej rodzona siostra musiała ją tu wyrzucić. Co za wstyd!).

Mama i Klariss miały rację: Ada nie powinna była tu przychodzić. Czyż ledwie tydzień temu nie popełniono w tej okolicy morderstwa? Typowego dla tej dzielnicy – młodemu czarnemu chłopakowi strzelono wielokrotnie w tył głowy, a ciało zaciągnięto do opuszczonego domu.

Ale ten ktoś (jeśli był to człowiek) żył. I potrzebował pomocy.

Hałas powodowany przez odrzutowce startujące z oddalonego o kilka kilometrów lotniska Newark, który zaczynał się wczesnym rankiem i trwał przez wiele godzin, nawet w weekendy, doprowadzał ją do szału. Przez te cholerne odrzutowce Ada nie słyszała teraz tych dziwnych, zawodzących jęków.

Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie (na przykład wysocy czarni chłopcy z Dominikany, którzy nie odezwali się do niej ani słowem, chociaż się do nich uśmiechnęła). Przeszła przez zaśmieconą działkę aż do płotu, który ciągnął się nad rzeką. Tutaj nagle poczuła się przytłoczona i oślepiona przez jaskrawe jesienne światło. Szeroka, ołowianoszara rzeka Passaic płynęła rwącym nurtem. Była jak dziwna, żyłasto-azurowa mięsna tkanka, żywa istota obciążona skórą, która marszczyła się i drżała w promieniach słońca. Na powierzchni wody tęczo migotały plamy ropy.

Passaic była kiedyś piękną rzeką – Ada wiedziała to z podręczników – ale od połowy XIX wieku zanieczyszczały ją fabryki i zakłady przemysłowe, które zrzucały do jej wód najróżniejsze substancje: odpady z garbarni, ropę naftową, dioksyny, PCB, rtęć, DDT, pestycydy i metale ciężkie. W górze rzeki usadowił się zakład Occidental Chemical, producent najbardziej jadowitej trucizny wytwarzanej przez człowieka (znanej pod uroczą nazwą mieszanki pomarańczowej). Ponoć teraz, pod koniec lat osiemdziesiątych, w czasach nieco bardziej postępowych, producenci zostali zmuszeni do przestrzegania federalnych i stanowych przepisów dotyczących ochrony środowiska; zaczęło się oczyszczanie rzeki, ale posuwało się powoli, pochłaniając olbrzymie kwoty.

Ada sądziła, że kiedy w końcu wyprowadzi się z East Venter, będzie jej brakowało tej rzeki! Tylko za nią będzie tęsknić, chociaż jest tak zatruta.

Od dawna nie wolno było się w niej kąpać, ale chłopcy to robili (także dwunastoletni siostrzeniec Ady, Brandon). Można było ich dostrzec w letnie dni, jak skaczą z rozpadającego się nadbrzeża. Większość ryb padła; jeśli jakieś przeżyły, trzeba było mieć nie po kolei w głowie, żeby je jeść, jednak prawie codziennie, praktycznie każdego ranka, znajdowali się ludzie, którzy łowili ryby w rzece Passaic – najczęściej starsi czarni mężczyźni, którym zwykle towarzyszyło kilka kobiet.

Dziadek Ady, Franklin, pod koniec życia też został jednym z nadbrzeżnych rybaków. Ada wmawiała sobie, że był wtedy szczęśliwy. Przynosił do domu małe czarne okonie, które babcia czyściła, patroszyła, posypywała tartą bułką i smażyła na smalcu. Ile trucizny wchłonęli przez te lata, nie wiedząc o tym lub nie chcąc wiedzieć? Ada wołała się nie zastanawiać.

Tego ranka rzeka była jaskrawa i wzburzona, w oddali widać było kilka łodzi. Na przeciwległym brzegu znajdowały się nieczynne fabryki i zakłady przemysłowe, które zamknięto już w czasach, kiedy chodziła do liceum. Ledwie pamiętała (była wtedy małą dziewczynką), jak w latach sześćdziesiątych ojciec i dziadek byli spawaczami w Pascayne Welding & Machine. Potem ojciec pracował w fabryce chemicznej Rand Alkali Pesticides, dopóki nie zaczął chorować i nie został zwolniony. (Fabryka pestycydów, rozciągająca się na trzech hektarach „niebezpiecznego” terenu w obrębie miasta Pascayne, została zamknięta przez Wydział Zdrowia Stanu New Jersey w 1977 roku z powodu emisji toksycznych wyziewów i wykorzystywania materiałów rakotwórczych. Firma Rand Alkali zapłaciła grzywnę i zawarła ugodę ze stanem New Jersey, ale nie miało to znaczenia dla schorowanych pracowników, w tym dla ojca Ady, którego renta inwalidzka była niższa niż jego zasiłek z opieki społecznej. Wszystko to razem nie wystarczało na godne życie, nawet w taniej obskurnej czynszówce pod 1192 East Venter).

Ada nasłuchiwała: znów usłyszała płacz. Teraz brzmiał jak żałosne kwilenie istoty, która prawie całkiem straciła nadzieję na ratunek.

Bez wątpienia dobiegał z pobliskiej starej fabryki Jersey Foods.

Zakład konserw rybnych był ruiną, która z pewnością osunie się do rzeki,

kiedy ta znowu wyleje. Ostatnim razem, wiosną 1985 roku, brudna woda zalała zarówno nadbrzeżne przedsiębiorstwa, jak i wilgotne piwnice w budynkach mieszkalnych, także w tym, w którym mieszkała Ada. Nieznośny smród utrzymywał się tygodniami. W niektórych dzielnicach władze ogłosiły stan klęski żywiołowej, a w pobliskim liceum i fabryce broni urządzono prowizoryczne schroniska. Na szczęście Ada i jej rodzina nie zostały ewakuowane (Kahola mieszkała jeszcze z nimi).

Zbliżając się do pofabrycznego budynku o oknach zabitych deskami, Ada starała się nie myśleć: „Popełniam błąd. Na pewno robię źle”.

W jej życiu nie było mężczyzny, pod tym względem stanowiła zupełne przeciwieństwo swojej siostry. W życiu Kaholi było ich wielu, nie ograniczyła się do jednego. Ada była zbyt niezależna, by zdecydować się na coś tak nierozważnego. To była cena, którą płaciła, cena kobiety samodzielnej, dość oschłej i chyba sfrustrowanej z powodu tego, że jest obdarzona tak pulchnym ciałem. Och, naprawdę się bała. Ale niedoczekanie, teraz już za cholere nie zawróci. Przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

– Halo, jest tu kto?

Płacz zdawał się dobiegać z piwnicy. Już samo wejście do tej paskudnej fabryki rybnej było mało przyjemne – a co dopiero piwnice! Schody prowadzące w dół i drzwi, które wyłamano przed laty. Wszędzie brud, śmieci przyniesione przez powódź i błoto. Ada zaczerpnęła głęboko powietrza i wstrzymała oddech.

„To tylko kot, uwięziony kot”, pomyślała.

Ranny kot.

Zastanawiała się, jak schwyta kota – do pudełka? Chyba jakoś tak – i zabierze do schroniska dla zwierząt.

(Ale czy to miało sens? W schronisku uśpią kota. Lepiej zabrać go do domu).

(Ale nie może trzymać kota! W ich mieszkaniu nie ma miejsca dla wychudłego, chorego dachowca, już i tak jest im za ciasno).

Była ósma dwadzieścia, pogodny, chłodny październikowy niedzielny poranek. Ada Furst przypomniał sobie potem, jak schodzi do piwnicy po schodach prowadzących prosto w dół, bez zakrętów na półpiętrach, po stopniach zasłanych kawałkami betonu i potłuczonego szkła, jak nie przestaje wołać drżącym głosem: „Halo? Halo?”. Słabe, migotliwe światło ledwie przenikało ciemności.

Płacz stał się głośniejszy. Rozpaczliwszy.

Ada mruży oczy, stara się dostrzec coś w mroku. Posuwa się ostrożnie. Słyszy teraz, jak ktoś szepcze: „Pomóż mi, pomóż, pomóż”.

A potem ją zobaczyła. Dziewczynkę.

Leżała na brudnej podłodze piwnicy, niedaleko wejścia, na boku, twarzą do Ady, na kawałku brezentu, jakby ktoś ją tu zawlekł i porzucił. Wyglądało na to, że jest związana, nadgarstki i kostki u nóg miała ułożone za plecami. W usta chyba ktoś wcześniej wepchnął jej jakąś szmatę, którą udało się jej wypluć;

głowa była owinięta kawałkiem materiału lub ścierki – dziewczyna zdołała częściowo to z siebie zsunąć. Włosy uwalane błotem i czymś cuchnącym – kałem? Ada zaczęła się krztusić i wymiotować. Po chwili już krzyczała:

– O Boże, Boże! Mój Boże!

Dziewczynka miała trzynaście lub czternaście lat. Na brudnej podłodze wyglądała jak dziecko.

Ada była przerażona, przekonana, że dziewczynka umiera – i że ona będzie świadkiem jej śmierci. Zmarnowała tyle czasu i przyszła za późno, a dziewczynka dygotała spazmatycznie, jakby miała drgawki. Ada przykucnęła obok niej, ale obawiała się jej dotknąć. Jakie ma obrażenia? Czy to atak padaczki? Adzie wydawało się, że na brezencie jest krew – całkiem sporo krwi – tak jak i na podłodze. Pomyślała, że dziewczynka została w jakiś sposób okaleczona. Musi mieć połamane kości, pęknięty kręgosłup, Ada mogłaby przysiąc, że tak właśnie jest. Na pewno twarz była opuchnięta i posiniaczona, oczy podbite. Ciemna krew zakrzepła na nosie, który chyba był złamany. Tak młodo wyglądała, jak dziecko! Ubranie podarte, zakrwawione. Małe nagie piersi pokryte jakimś obrzydliwymi gryzmołami. Ktoś w okrutny sposób przywiązał jej za plecami nogi do rąk.

Ada przemawiała do dziewczynki, że jest tuż obok, przy niej. I teraz się nią zajmie. I wszystko będzie dobrze.

– Czy ty jesteś... Sybilla? Sybilla Frye?

Dziewczyna jęczała i niezdarnie próbowała się uwolnić. Ada szarpnęła za sznury krępujące przeguby i kostki; to były cienkie linki, jak te do suszenia bielizny – ciągnęła, aż poluzowała węzły i mogła unieść dziewczynkę. Próbowała ją umieścić na brudnym brezencie w pozycji siedzącej, podtrzymując ją ramionami. Smród psiego gówna był obezwładniający, dziewczynka drżała z przerażenia. Szeptła słowa, które brzmiały mniej więcej tak: „Mówili, że wrócą i mnie zabiją, nie pozwól im mnie zabić!”. Kiedy Ada spróbowała przesunąć ją trochę, żeby znalazła się nieco dalej od brudnego brezentu, dziewczyna zaczęła się wić, wrywać i dyszeć. Wydawało się, że nie wie, kim jest Ada. Oczy jej zmętniały i upadła ciężko, jak nieżywa. Ada nie zastanawiała się wtedy, dlaczego tak łatwo udało się jej poluzować węzły. Błagała dziewczynę:

– Nie umieraj! Tylko nie umieraj!

„Tak, rozpoznałam, że to Sybilla Frye. Od razu to wiedziałam”.

Ada Furst, krzycząc i zataczając się, pobiegła po pomoc.

Ktoś z jej budynku, mieszkający na parterze, zadzwonił pod dziewięćset jedenaście.

Karetką ze szpitala Świętej Anny, który znajdował się trzy kilometry stąd, na drugim brzegu rzeki, przyjechała po szesnastu minutach.

Pierwsze pytanie, które ludzie zadawali sobie na ulicach, brzmiało: „Czy przeżyje?”.

I następne: „Kto jej to zrobił?”.

Biały glina

7 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU

Jezu, pomóż mi.

Mówili, że mnie zabiją, jak komuś powiem, Słodki Jezu, pomóż mi, tak mnie skrzywdzili, a następnym razem będzie jeszcze gorzej, mówili, skrzywdzą mamę i moją małą siostrzyczkę, i każdego czarnucha, tam, gdzie mieszkam, mówili, że wszystkich zamordują.

Myśleli, że umrę, zostawili mnie w tym miejscu, żebym umarła, mówili, zjedzą cię robaki, ty wstrętna czarna pizdo, zasługujesz na śmierć, bo jesteś taka BRZYDKA.

Chyba słyszałam, jak mówili, że leżą tam inni martwi czarni, śmiali się, że mnie tam ciągną, bo myśleli, że nie przeżyję w tej piwnicy, mówili, umrzesz tu, a robaki objedzą cię do kości, nikt cię nie rozpozna, kiedy zrobią swoje.

Mieli białe twarze, a jeden taką odznakę, jaką noszą nasze gliny albo policjanci stanowi, i mieli broń, jeden z nich wsadził we mnie lufę, potwornie bolało i strasznie płakałam, aż powiedział, ty czarna pizdo, przestań ryczeć, bo pociągniemy za spust, twoje wnętrzności wytrysną i mieszają się z twoimi murzyńskimi kudłami.

I śmiali się, ciągle się śmiali.

Śmiali się, jakby byli na haju, jakby palili crack. Wyczułam zapach.

Ci gliniarze z Pascayne konfiskują crack i potem sami go palą, dlatego im odbija i zabijają czarnych, a ich biali szefowie mówią tylko, dajcie nam procent i róbcie, co se chcecie.

Złapali mnie od tyłu, jak wracałam ze szkoły, w uliczce za myjnią samochodową na Camden, wsadzili mi na głowę jakiś worek z płótna, jak kaptur, próbowałam wrzeszczeć, ale nie mogłam złapać tchu, myślałam, że już po mnie, mama, mama, krzyczałam, aż wepchnęli mi szmatę do gardła, o mało się nie zatchnęłam, Jezu.

To było w furgonetce, policyjnej, chyba włączyli syrenę, śmiali się, że gliniarze mogą włączać syrenę, kiedy tylko chcą, pojechali pod most, słyszałam echo, poznałam je, bo bawiliśmy się tam, jak byliśmy dziećmi, przykładaliśmy ręce do ust i krzyczeliśmy, tak jak gołębie, takie głośne gruchanie, a echo wracało, i woda kapała z góry, tylko teraz nie słyszałam echa, biali się śmiali, kopali mnie po kolei, bili, dusili, gwałcili pistoletami i palcami, mówili, że nie wsadzą swoich kutasów w brudną, paskudną, czarną pizdę, spuszcza mi się na twarz, a jak to robili, to mówili, łykaj, ty durna czarna dziwko, nie wiem, ile razy, nie wiem, ilu ich było, nie widziałam, może pięciu, chyba pięciu – mieli białe twarze – jeden miał odznakę, świeciła się jak

psu jajca, odznaka naszych glin albo tych stanowych, i śmiali się ze mnie, mówili, że nikt nie uwierzy murzyńskiej brudnej piździe, tylko im, uczciwym białym ludziom.

Furgonetka znów ruszyła, pojechali gdzie indziej i chyba weszli następni faceci, była noc, i dzień, i noc, bardzo bolało, spuchły mi oczy, nie mogłam unieść powiek, zemdlałam z bólu, krwawiłam w środku, miałam rany w ustach i krew w gardle, bo wepchnęli mi też lufę w gardło, kilku to robiło, mówili, lubisz to, ty czarna murzyńska pizdo, prawda?

Związali mnie tak mocno jak świnie, nie dawali pić ani jeść, chcieli, żebym osłabła i umarła, jedni sobie poszli, a inni przyszli na ich miejsce, czarna kurwa z figloraju, śmiali się.

Nie widziałam twarzy, słyszałam tylko głosy.

Był taki jeden, młody, pytał, dlaczego nie może rozwalić łba tej czarnej piździe, chętnie to zrobi, mówił.

Na włosach i na ciele rozsmarowali mi psie gówno, chcieli mnie pohańbić, kiedy powiedzieli, że mają już dość, dwóch zaciągnęło mnie z furgonetki do tej piwnicy, wcisnęli mi głowę w ziemię, stopami, zostawią mnie tu, powiedzieli, a robaki mnie zjedzą i wszyscy będą mieć to gdzieś, kto się przejmie zafajdaną, wstrętną czarną dziewuchą, a jak przeżyje, to nikt jej nie uwierzy, boki zrywać!

O Jezusie, pomóż mi, nie chcę umierać, boję się, Jezusie, pomóż mi, wiem, że byłam niedobra, to kara, Jezusie, bo Jezus mówi, że ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi, a małe dziecko ich poprowadzi, AMEN.

Oddział ratunkowy, szpital Świętej Anny

7 października 1987 roku Zostawili ją na pewną śmierć.

Została pobita, zgwałcona i zostawiona na pewną śmierć.

Związali ją jak prosiaka, pobili, zgwałcili i zostawili na pewną śmierć.

Zwykła dziewczyna, młoda czarna dziewczyna. Zaciągnięta do piwnicy w starej fabryce konserw rybnych – gdyby nie udało się jej wypluć knebla i wołać o pomoc, umarłaby tam, w tym brudzie.

To było wezwanie telefoniczne, dzwoniono pod numer dziewięćset jedenaście. Właśnie na takie wezwania czekamy.

To normalne w sobotnią noc. Albo piątkową. Zdarza się i w czwartek wieczorem. Ale nikt nie spodziewa się takiego wezwania w niedzielę rano.

I ta okolica nad rzeką, East Vendor i Depp, te przecznice na wschód od Camden Avenue. „Teren wysokiej przestępczości” – tak określały te rejony gazety. W sierpniu 1967 roku w Newark wybuchły potężne zamieszki, a pożary i plądrowanie sklepów rozlały się i na tę dzielnicę, która potem nie wróciła już do dawnego stanu. Dwadzieścia lat później wschodnia część Camden Avenue, na odcinku ośmiu, dziesięciu kilometrów, nadal wyglądała jak teren działań wojennych: zabite deskami witryny sklepów, zniszczone i opuszczone domy, wypalone szkielety budynków, zaśmiecone puste działki i tablice z niezdarnymi odręcznymi napisami DO WYNAJĘCIA i NA SPRZEDAŻ, które wyglądały, jakby wisiały tu od lat.

Często zdarza się, że wzywają nas za późno i ofiara strzelaniny zdążyła się już wykrwawić na ulicy i umrzeć. Niemowlę udusiło się albo zostało śmiertelnie poparzone, bo ktoś wylał wrzątek z garnka stojącego na kuchence. Albo miało tak silny wstrząs mózgu, że nic nie można było zrobić. Albo zdarzył się „wypadek z gazem”. Albo dziecko znalazło broń (naładowaną) i chciało się pobawić z młodszą siostrą. Albo facet wrócił do domu nie w porę. Albo jakiś handlarz narkotyków popełnił błąd (to zdarzało się często). Albo ktoś przedawkował (to też zdarzało się często). Albo zapalił się piecyk olejowy. Albo rzucony niedbale niedopałek wywołał pożar. Albo jakaś kobieta połknęła środek do odtykania rur i położyła się do łóżka, by umrzeć. Albo jakiś młodzieżowy gang ostrzelał inny młodzieżowy gang. Albo czyjś pitbul wściekł się z głodu, zaatakował, zacisnął szczęki na nodze i nie chciał puścić pokruszonych kości, dopóki policjant nie wypalił mu w głowę ze służbowej broni.

Telefony pełne rozpacz i strachu. Ale co za radość, kiedy wzywają cię i pędzisz w karetce, a syrena przeszywa powietrze jak lśniaca szabla.

Ta prędkość cię napędza. Można się uzależnić od dreszczyku emocji, bo nigdy

nie wiesz, co cię czeka; jesteś jak ratownik, który skacze do rwącej rzeki na ratunek nieznanemu.

Ale to było wezwanie, które miało odmienić nam życie; jeszcze mieliśmy pożałować, że do niego doszło.

Niech mnie cholera, jeśli to prawda! Załoga karetki nie spieszyła się z przyjazdem? Tak, szesnaście minut, ale musieliśmy zwolnić na moście, no i dyspozytor podał nam niedokładny adres.

Mówiono, że to dlatego, że wyjazd był do czarnej dzielnicy, że sanitariusze z pogotowia Świętej Anny się nie spieszyli.

Zareagowaliśmy na zgłoszenie dyspozytora jak zwykle.

Mówiliśmy już, że to wezwanie nie różniło się od innych – oczywiście nie licząc tego, co później zaczęło się dziać wokół tej sprawy.

Kiedy przyjechaliśmy na róg East Vendor i Depp, nie od razu wiedzieliśmy, dokąd mamy się udać. Dyspozytor nie powiedział dokładnie, gdzie leży ranna dziewczyna.

Wspominał coś o fabryce. I piwnicy.

No i zmarnowaliśmy trochę czasu, zastanawiając się, co to znaczy. Powiedziano nam „piwnica” – więc zabraliśmy latarki, na wszelki wypadek. Szukaliśmy przejścia przez ogrodzenie, dopóki nie przyszła ta kobieta; natychmiast zaczęła krzyżeć, że dziewczyna umiera i wykrwawia się na śmierć, i pokazała nam, gdzie mamy iść.

Od razu zauważyliśmy, że dziewczyna (później zidentyfikowana jako Sybilla Frye), która leżała na podłodze piwnicy na kawałku brezentu, wydawała się przytomna, ale nie odpowiadała na nasze pytania, zupełnie jakby była nieprzytomna.

Kiedy zbiegliśmy do piwnicy z latarkami, zobaczyliśmy, że ma otwarte oczy, ale natychmiast je zamknęła, kiedy tylko światło padło na jej twarz. Zobaczyliśmy, że zasłania się i kryje.

Zaniepokoiło nas to, że dziewczyna była w ciężkim stanie, w szoku, możliwe, że miała krwotok wewnętrzny; musieliśmy to natychmiast ustalić (a przynajmniej spróbować), inaczej nie moglibyśmy położyć jej na noszach.

Miała zakrwawioną i poturbowaną twarz. Część głowy była obwiązana ręcznikiem lub szmatą, a włosy pokryte nieczystościami.

Nie było widocznych głębokich ran charakterystycznych dla obrażeń zadanych ostrzem lub bronią palną. Rany były powierzchowne, choć mocno krwawiły. Nie wyglądały na ciężkie, a upływ krwi nie zagrażał życiu.

Dało się wyczuć silną woń ekskrementów – ludzkich lub zwierzęcych.

Wyglądało na to, że dziewczyna została skrupowana sznurem od bielizny, ale kiedy przyjechaliśmy, była już rozwiązana. Kobieta, która czekała na nas na zewnątrz, powiedziała, że znalazła ją związaną i zdjęła jej pęta. Ręce i nogi były skrupowane za plecami.

Pomyśleliśmy, że jest w tym coś dziwnego: ranna dziewczyna rozmawiała z kobietą, która ją znalazła (tak nam powiedziała ta kobieta), ale nie chciała rozmawiać z nami.

Była bezwładna, ramiona miała rozluźnione, jak u osoby nieprzytomnej, ale kiedy jej dotknęliśmy, cała zeszywniała. Zacisnęła powieki i nie otwierała oczu.

Dziewczyna była w szoku! Nie wiedziała, kim jesteśmy.

Wyjaśniliśmy. Musiała wiedzieć, że ma do czynienia z ratownikami medycznymi.

Ależ była przestraszona! Przerazona. Była taka młoda i ktoś o mało jej nie zabił. Mogła wziąć nas za napastników, którzy wrócili. Drżała, a kiedy jej dotknąłem, skóra wydawała się lepka.

Nic do nas nie powiedziała, nie odezwała się ani słowem.

To możliwe, pomyślałem, że była, no wiecie, upośledzona psychicznie, na przykład opóźniona lub autystyczna. Porozumiewała się ze mną...

Wcale się z tobą nie porozumiewała. Nikt nie widział, żeby się z tobą porozumiewała.

Nie rozmawiała ze mną, ale... ale się *komunikowała*...

Posłuchaj, to nie była osoba, która z nami „współpracowała”. Zaraz jak zeszedliśmy do piwnicy z latarkami, zobaczyliśmy, że dziewczyna ma otwarte oczy i patrzy na nas – a potem je zamknęła. Widzieliśmy, jak podnosi dłoń, żeby zakryć twarz przed jaskrawym światłem, czego by nie zrobiła, gdyby była nieprzytomna.

Światła ją oślepiły i wystraszyły...

Cholernie trudno było jej zmierzyć ciśnienie i zbadać puls, sprawdzić, jakie ma obrażenia. Cały czas podkurczała nogi, nie chciała ich wyprostować i nie mogliśmy przypiąć jej do noszy.

Czasami to się zdarza: ranni wpadają w panikę i nie chcą jechać na pogotowie.

Ale ta dziewczyna nie chciała z nami rozmawiać. Nie krzyczała ani nie powiedziała, że nie życzy sobie opieki lekarskiej. Nie histeryzowała ani nie szalała. Starła się udawać nieprzytomną, ale była świadoma i czujna. Można było zobaczyć, jak pod zamkniętymi powiekami drgają jej gałki oczne. Było jasne, że padła ofiarą napaści, bardzo prawdopodobne, że została zgwałcona; ubranie miała częściowo zdarte, chociaż miała na sobie dzinsy – pokrwawione dzinsy.

Widoczne były rany: otarcia i stłuczenia na twarzy, piersiach i brzuchu – w tych miejscach, gdzie miała zdarte ubranie.

Kobieta krzyczała, że dziewczyna wykrwawia się na śmierć, ale tak nie było, większość krwi już zakrzepła. Jeżeli została pobita, musiało się to stać jakiś czas temu.

Została pobita i zostawiona na pewną śmierć! Związana, zakneblowana i pozostawiona na śmierć w tym okropnym miejscu! Kiedy ją znaleźliśmy, była

pod wpływem wstrząsu.

Właściwie nie był to wstrząs – ciśnienie krwi nie odbiegało od normy, odkryliśmy to, kiedy wreszcie udało się nam je zmierzyć, miała też przyspieszone tętno.

Mówię o czymś w rodzaju wstrząsu emocjonalnego...

Kobieta wyjaśniła, że obudziły ją w nocy „dziwne jęki”. Rano wyszła na zewnątrz i znalazła dziewczynę związaną i zakrwawioną, pozostawioną na śmierć. Była pełna obaw, bo poruszyła ją, starała się podnieść, a może dziewczyna miała uraz czaszki albo złamany kręgosłup lub obrażenia wewnętrzne, mogła niechętnie zrobić jej krzywdę, chciała, żebyśmy o tym wiedzieli.

Ta kobieta histeryzowała. Wyglądała, jakby serce miało wyskoczyć jej z piersi. Powiedziała, że jest nauczycielką, a dziewczyna była kiedyś jej uczennicą...

Sądziła, że dziewczynę zrzucono na ziemię z dużej wysokości i ma złamany kręgosłup, bez przerwy to powtarzała. Myślała, że wykrwawia się na śmierć, właśnie to nam powiedziała, kiedy przyjechaliśmy. I została zgwałcona, była tego pewna...

Chciała pojechać razem z nami karetką, ale musieliśmy odmówić. Poprosiliśmy ją, żeby powiadomiła matkę dziewczyny.

Biedna dziewczyna, wyglądała, jakby miała atak paniki. Może nie był to wstrząs, ale dyszała jak przy hiperwentylacji. Miała lepką skórę, jakby była w agonii.

No cóż, każdy na jej miejscu byłby przerażony i wytrącony z równowagi. W świetle latarek mogliśmy stwierdzić, że padła ofiarą brutalnej napaści. Byliśmy pewni, że została zgwałcona. Włosy i te fragmenty ciała, które były odkryte, miała powalane czymś ohydny – błotem i psim gównem. A w karetce zobaczyliśmy, że na brzuchu ma jakiś napis.

Te obrzydliwe słowa! Wysmarowane psim gównem na biednej dziewczynie.

Tego napisu nie zrobiono psim gównem, to był jakiś rodzaj rozmazanego tuszu, jakby z flamastra.

To też było psie gówno, sam widziałem.

Litery nagryzmołono czarnym grubym pisakiem. Trudno było je odczytać, ponieważ tusz był rozmazany, a skóra dziewczyny dość ciemna...

Chodzi o to, że kiedy ktoś jest nieprzytomny, to nie sztywnieją mu kończyny i nie jest w stanie opierać się zabiegom medycznym. Jak jest przytomny, wtedy może się bronić – jeśli jest przerażony, wpada w panikę. Ale w końcu udało nam się zmierzyć jej ciśnienie i okazało się, że nie jest to wstrząs – ani nic podobnego – miała ciśnienie sto trzydzieści na sto piętnaście. Tętno było dość szybkie, ale nie przesadnie.

Widać było, że ktoś ją poważnie skrzywdził! Nie jedna osoba, musiało być ich więcej: skopali ją, pokaleczyli i zostawili, by skończyła w tym wstrętnym miejscu.

W szpitalu, w ambulatorium, przy jasnym świetle dało się odczytać te słowa,

choć z trudem, bo litery były rozmazane i zniekształcone: CZARNA KURWA KU KUX KLANN.

(Od razu zacząłem się zastanawiać, dlaczego ktoś to napisał do góry nogami).

CZARNA KURWA – to miała wypisane na brzuchu, tuż pod piersiami.

KU KUX KLANN – na brzuchu, tuż nad pępkiem.

Sfotografowano te rasistowskie napisy, podobnie jak i obrażenia, których doznała dziewczyna. To zwykła procedura na szpitalnym oddziale ratunkowym w takich przypadkach. Kiedy błyskał flesz, Sybilla Frye starała się ukryć twarz i wydawała zawodzący dźwięk, coś jakby „nieeeeeee”.

Przyjeliśmy założenie, że została zgwałcona – prawdopodobnie zbiorowo. Ubranie miała podarte i pokrwawione, podbrzusze i uda posiniaczone – zobaczyliśmy to, kiedy ściągnęliśmy jej dżinsy (rozpaczliwie próbowała się opierać). Na twarzy widoczne były najpoważniejsze obrażenia. Oczy podbite, górna warga spuchnięta, dwa razy większa niż normalnie, przypominała balon.

Brutalny zbiorowy gwałt nie jest czymś, co zdarza się często nawet w śródmieściu Pascayne. Ale w śródmieściu Pascayne brutalny zbiorowy gwałt nie jest również czymś niezwykłym.

Kiedy przywieźliśmy Sybillę Frye do szpitala, nie znaleźliśmy jeszcze jej personaliów. Nie wiedzieliśmy, jak się nazywa, gdzie mieszka ani kogo należy powiadomić. Sanitariusze niewiele nam pomogli. Zadawaliśmy jej pytania, ale ciągle udawała nieprzytomną, jakby nic nie słyszała, chociaż było jasne, że jest świadoma i wszystko słyszy.

Jestem lekarzem, w niedzielę rano, siódmego października, miałem dyżur na oddziale ratunkowym.

Od razu do niej powiedziałem:

– Panienko? Proszę otworzyć oczy.

Bo musiałem zbadać jej wzrok. Musiałem ustalić, czy mogła mieć wstrząs mózgu lub uraz czaszki. Chciałem wiedzieć, czy mam zlecić prześwietlenie (w tym prześwietlenie czaszki), ale nie chciała otworzyć oczu. Była strasznie spięta, można było wyczuć, jak drży jej ciało, ale nie chciała nam pomóc. Symulowała, że jest nieprzytomna; robiła to w taki sposób jak małe dziecko, kiedy udaje, że śpi. Niełatwo symulować, że jest się nieprzytomnym. To nie takie proste, jak się wydaje. Uniosłem jedno jej ramię nad głowę i puściłem; natychmiast przesunęła je w bok, żeby nie uderzyć się w twarz. To odruch, tego nie da się powstrzymać. Bez wątpienia ta dziewczyna, która została później zidentyfikowana jako Sybilla Frye, na izbie przyjęć była przytomna i kontrolowała swoje reakcje. Wiedziałem, że jest ranna – to było oczywiste – współczułem jej, ale jej opór utrudniał nam pracę, więc powiedziałem:

– Panienko, wiem, że mnie słyszysz. Otwórz oczy.

I w końcu to zrobiła.

Popatrzyła na doktora D., jakby się go bała.

Doktor D. jest Azjatą o jasnej karnacji. Później wyszło na jaw, że się przestraszyła, bo wzięła go za białego.

Wśród sanitariuszy tylko jeden był biały – „biały Latynos”. Inni byli ciemnymi Latynosami i Afroamerykanami. Mimo to zachowywała się tak, jakby bała się nas wszystkich.

Była przerażona! Naprawdę się bała...

Nie histeryzowała, chyba nie była w pełni władz umysłowych, a w takich okolicznościach nie można jej obwiniać, że nie chciała nam pomóc. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy, gdzie jest ani co się z nią dzieje...

Doskonale wiedziała, gdzie jest i dokładnie wiedziała, co się dzieje. Po prostu nie chciała z nami współpracować, to wszystko.

Zastanawiałem się, dlaczego nie płacze – większość dziewcząt na jej miejscu już by płakała. Większość kobiet.

Opatrzyliśmy obrażenia na twarzy. Otarcia, podbite oczy, stłuczony nos, spuchnięte usta. Ruszało się jej kilka zębów, w tych miejscach, gdzie została uderzona. (Można było nieomal dostrzec odcisk męskiej pięści na szczęce. Ale nie była duszona, na szyi nie miała wybroczyn). Krwawienie ustało jakiś czas temu i krew zakrzepła już w nozdrzach i na włosach. Po kolorze siniaków można było stwierdzić, że pochodzą sprzed co najmniej dwudziestu czterech godzin. Podobnie jak sińce pod oczami. Założyliśmy szwy na najgłębsze rany, nad brwią i na górnej wardze. Zareagowała na szycie i środki dezynfekujące i musieliśmy ją przytrzymać, ale nadal nie odezwała się ani słowem, tylko jęczała „nieeeeeee”. Zastanawialiśmy się, czy nie pochodzi na przykład z Dominikany i nie zna angielskiego albo może jest Nigeryjką. W Pascayne mieszka wielu Nigeryjczyków...

Pracują u nas latynoskie pielęgniarki. Poprosiliśmy je, żeby powiedziały coś do niej po hiszpańsku, ale nie zwróciła na nie uwagi.

Tam, gdzie (najprawdopodobniej) miała założone więzy, wokół nadgarstków i kostek, widoczne były tylko lekkie obtarcia skóry. Żadnych głębokich zadrapań, obrzęków czy ran.

Nie mogliśmy pobrać próbki krwi, udało nam się to zrobić dopiero później.

Funkcjonariusze policji z Pascayne przyjechali do fabryki, kiedy karetka zabierała dziewczynę. Zakrwawiony brezent i inne rzeczy zostały na miejscu, żeby policja mogła je zbadać, w końcu były to dowody rzeczowe.

Wkrótce potem policjanci pojawili się na oddziale ratunkowym szpitala Świętej Anny.

Najtrudniej było przeprowadzić badanie narządów miednicy...

Musieliśmy ustalić, czy została zgwałcona, i pobrać próbki nasienia, jeśli udałoby się je znaleźć. Musieliśmy zgromadzić wszelkie dowody gwałtu, takie jak włosy łonowe, ale dziewczyna zaczęła histeryzować; nie udawała, naprawdę wpadła w histerię, wierzgała i krzyczała: „Nie, nie, nie róbcie mi krzywdy! Nie!”. (Teraz przynajmniej wiedzieliśmy, że mówi po angielsku). Doktor D. był zły, bo wydawała się gotowa na wszystko, byle udaremnić

dokładne badania, chociaż takie oględziny leżały oczywiście w jej interesie. W końcu udało nam się ją zbadać, chociaż tylko powierzchownie; zajęło to sporo czasu, bo kopała, krzyczała, dyszała i sanitariuszki musiały ją przytrzymywać...

W dalszym ciągu nie zgadzała się, by zbadał ją doktor D., nadal zaciskała nogi i krzyczała, więc doktor D. – poczerwieniały i zdenerwowany – poprosił o pomoc jedną ze stażystek. Ta młoda kobieta, doktor T., była jasnoskórą Indianką. Udało się jej nieco uspokoić dziewczynę i przeprowadzić badanie narządów miednicy; przyłożyła papierowy ręcznik do dolnych części ciała, ale kiedy chciała wprowadzić wziernik do waginy, dziewczyna znów zaczęła wariować: krzyczała i kopała, jakby ją mordowano.

Jakby ją gwałcono...

Trudno było na to patrzeć. Postępowanie doktora D. w tym wypadku bardzo nas wszystkich (a przynajmniej niektórych) zbulwersowało.

Wtedy matka była już na miejscu. Zawiadomili ją i ktoś przywiózł ją do szpitala. Zanim ochrona zdążyła zareagować, wpadła na oddział i kiedy usłyszała krzyki swojej córki, też zaczęła krzyczeć, a razem z nią kilka innych krewnych czy sąsiadek – wszystkie te kobiety się wydzierały, a nasi pracownicy ochrony, zaszokowani, starali się bezskutecznie zapanować nad tym chaosem...

Na oddziale zjawiła się policja z Pascayne. Próbowali zadawać pytania, ale dziewczyna nie chciała nikogo słuchać; zacisnęła powieki, krzyczała, że chce do domu, a matka powtarzała: „Moje dziecko! Moje dziecko! Co oni zrobili mojemu dziecku!”.

Nie dało się podejść do dziewczyny, bo natychmiast zaczynała wrzeszczeć, kopać i drapać. Chcieliśmy podać jej środek uspokajający, ale matka zagroziła, że nas pozwie, jeśli nie wypuścimy jej córki.

(To dziwne, że matka chciała, by córka opuściła szpital, zanim się dowiemy, jakich obrażeń doznała. To dziwne, że matka, tak jak i córka, odmówiły prześwietlenia i badania krwi. A może nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na okoliczności. Na oddziale ratunkowym jesteśmy przyzwyczajeni do pacjentów cierpiących na urojenia i do tego, że niektórzy z nich uciekają się do przemocy. Jesteśmy też przyzwyczajeni, że niektórzy pacjenci umierają na naszym oddziale, a wtedy ich krewni czasem wpadają w furję. A jednak ten przypadek był szczególny).

Staraliśmy się jej wytłumaczyć, że musimy zrobić dziewczynie prześwietlenie, zanim ją wypiszemy.

Prześwietlenie było niezbędne.

Jeśli miała wstrząs mózgu, pęknięcie włoskowate czaszki albo złamania, zwichnięcia lub inne urazy – powinniśmy się o tym dowiedzieć, zanim opuści szpital.

Mogła na przykład mieć krwotok mózgowy.

I należało zrobić badania krwi, chcieliśmy pobrać krew.

Pani Frye nic to nie obchodziło. Wściekłym tonem opowiadała, że jej córka

zniknęła na trzy dni i trzy noce; gdziekolwiek się podziewała, na pewno są ludzie, którzy wiedzą więcej, niż chcą powiedzieć, a teraz przyszła zabrać swoją dziewczynkę do domu.

„Uprawdzili moje dziecko, teraz zabiorę je do domu, nikt z was mnie nie powstrzyma”.

Na widok policji zareagowała jeszcze gorzej. Kiedy funkcjonariusz z wydziału do spraw nieletnich próbował z nią porozmawiać, pani Frye cofnęła się, rozkładając ramiona, jakby próbowano ją zaatakować. Bez przerwy powtarzała: „Nie pozwolę się aresztować, nie dam sobie założyć kajdanek, zostawcie mnie, nie wystarczy wam to, co zrobiliście z moim dzieckiem?”.

Strach pani Frye przed policjantami wydawał się szczery.

W tym czasie Sybilla Frye siedziała na łóżku szpitalnym z kolanami przyciśniętymi do piersi; starała się okryć pogniecionym białym prześcieradłem i wydawała urywane dźwięki – „nnn-nnn-nnn”; drżała spazmatycznie, jakby była śmiertelnie przerażona; słychać było, jak szczękają jej zęby. Po chwili płakała jak dziecko: „Mamo, nie pozwól, żeby mnie zabrali, mammo, chcę do domu...”.

Błoto i psie odchody zostały usunięte z włosów dziewczyny.

Musieliśmy obciąć część włosów, by pozbyć się tych substancji. Oskarżono nas później, że *upokorzyliśmy* i *oszpeciliśmy* Sybillę Frye, bo specjalnie obcięliśmy jej włosy; że zrobiliśmy to niedbale i je postrzępiliśmy.

Brud z jej ciała został zmyty, ale rasistowskie obelgi wypisane markerem pozostały na tułowiu i brzuchu, choć już prawie nieczytelne.

Fotografie zrobione na oddziale ratunkowym pokazywały, że ten napis został umieszczony na jej ciele do góry nogami.

Można by pomyśleć, że Sybilla Frye sama to napisała, prawda? Ale sprytny napastnik mógł wypisać te słowa na jej ciele, stojąc za nią – po to, żeby mogła je odczytać. Albo zrobił to, żeby ofiara została oskarżona o kłamstwo. To też było możliwe.

Widząc takie słowa na ciele dziewczyny, musieliśmy zawiadomić FBI. Taka jest procedura, gdy zachodzi podejrzenie o „przestępstwo motywowane nienawiścią rasową”, a tak bez wątpienia było w tym wypadku.

Na oddziale ratunkowym w takim mieście jak Pascayne w stanie New Jersey większość czasu spędza się na zgłaszaniu podobnych przestępstw i robieniu fotografii na potrzeby śledztwa. Jeśli pacjent umrze, często to my jesteśmy jedynymi świadkami.

FBI musi być powiadomione natychmiast; zrobił to kierownik oddziału ratunkowego. Ani dziewczyna, ani matka wtedy o tym nie wiedziały.

Pani Frye domagała się rozmowy z córką na osobności, jeśli nie chcemy wypuścić dziewczyny do domu. Doktor D. się zgodził.

Pani Frye zasunęła zasłonę wokół łóżka.

Przez kilka minut matka z córką szeptały do siebie.

Policjanci wypytywali pracowników oddziału ratunkowego i sanitariuszy

karetki, co się stało; powiedzieliśmy im to, co sami wiedzieliśmy: pani Frye zidentyfikowała swoją córkę, Sybillę Frye, lat czternaście (jak później ustalono, Sybilla miała w rzeczywistości piętnaście lat; urodziła się we wrześniu 1972 roku). Dziewczyna padła ofiarą napaści i odniosła liczne obrażenia; została pobita i skopana, ale nie zaatakowano jej żadną bronią; rany na twarzy zostały zadane pięścią przez jednego lub kilku sprawców, nie użyto żadnego ostrego przedmiotu; nie miała ran postrzałowych; twarz, tułów, brzuch i nogi (zwłaszcza uda) miała posiniaczone; wyglądało na to, że odniosła też obrażenia w okolicach łonowych, ale bez badania narządów miednicy nie można było stwierdzić, czy doszło do penetracji i czy pozostały jakieś ślady nasienia.

Próbki naskórka pobrane z ciała dziewczyny miały być zbadane na obecność obcego DNA i też mogły zawierać ślady spermy. Aby ustalić, czy doszło do przestępstwa na tle seksualnym, należało przeprowadzić dodatkowe badania.

Pani Frye utrzymywała, że jej córka została porwana i zamknięta gdzieś na trzy dni i trzy noce. Przez ten czas pani Frye szukała dziewczyny wszędzie, gdzie się dało, ale nikt nie widział jej córki. Następnie, tego ranka, Sybilla Frye została znaleziona przez kobietę mieszkającą niedaleko Jersey Foods, która słyszała w nocy „płacz i jęki”.

Jak dotąd Sybilla Frye nie zidentyfikowała ani nawet nie opisała napastnika lub napastników. W ogóle nie chciała rozmawiać z personelem oddziału ratunkowego.

Nie pozwoliła na badanie narządów miednicy ani nie zgodziła się na pobranie próbki krwi.

Pomimo twierdzenia matki, że dziewczyna była gdzieś więziona przez trzy doby, Sybilla Frye nie wydawała się odwodniona ani wygłodzona.

To właśnie powiedzieliśmy policji z Pascajne.

Po mniej więcej dziesięciu minutach cichej rozmowy pani Frye rozsunęła zasłonę. Była głęboko poruszona; jej policzki lśniły od łez. Wycierała twarz córki chusteczkami higienicznymi i zażądała, by pozwolono jej zabrać dziewczynę do domu. „To wolny kraj” i jeżeli nie jest aresztowana, zabiera Sybillę do domu.

(Ednetta Frye utrzymywała później, że musiała sama zetrzeć z córki błoto i psie gówno, bo personel medyczny „nawet palcem przy tym nie kiwnął”. Twierdziła, że wyniosła swoje dziecko ze szpitala na własnych rękach, a Sybilla ciągle miała brud we włosach i na ciele. Na gołe ciało miała narzucony tylko „paskudny” koc, ponieważ personel oddziału ratunkowego porzucił jej ubranie i zatrzymał jako dowód rzeczowy).

Do szpitala przyjechała funkcjonariuszka z wydziału do spraw nieletnich, ale pani Frye nie pozwoliła Sybilli z nią porozmawiać, podobnie jak sprzeciwiła się rozmowie z urzędnikiem ze Służby Pomocy Dzieciom.

Pani Frye została poinformowana, że doszło do przestępstwa i Sybilla powinna zostać przesłuchana przez funkcjonariuszy policji – powinna złożyć zeznania – kiedy tylko poczuje się lepiej, na co kobieta odparła z oburzeniem:

„Ta dziewczyna jeszcze długo nie «poczuje się lepiej», więc dajcie jej spokój. Ostrzegam – zostawcie moje dziecko i mnie w spokoju, bo pozwę szpital i każdego z was o porwanie i bezprawne ograniczenie wolności”.

W końcu pani Frye uspokoiła się i powiedziała, że pozwoli porozmawiać Sybilli z policjantem. „Z takim jak my, i to ma być kobieta – jeśli w ogóle macie kogoś takiego u siebie w policji”.

Przesłuchanie

To nie było wzorcowe przesłuchanie – dziewczyna dukała coś przez niespełna dwadzieścia minut.

I było to najbardziej frustrujące przesłuchanie, od kiedy zaczęła pracować w policji.

Powiedziano jej bez ogródek, że czarna dziewczyna, która została pobita i (być może) zbiorowo zgwałcona, zażądała, by jakaś czarna policjantka odebrała od niej zeznania na oddziale ratunkowym w szpitalu Świętej Anny.

Dostała to polecenie służbowe późnym niedzielnym popołudniem, kiedy siedziała przy swoim biurku w dzielnicowej komendzie policji. „Myśli pan, że jestem wystarczająco czarna, szefie?”. Powiedziała to tak żałośnie zabawnym tonem, że przełożony nie poczuł się urażony.

Ona też nie czuła się urażona, doskonale rozumiała, co się stało.

Nie dostała pracy ze względu na politykę zatrudniania mniejszości. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Służyła w policji miasta Pascayne od jedenastu lat. Miała dyplom uniwersytetu stanowego, skończyła specjalne kursy kryminalistyki i interpretacji danych statystycznych oraz przeszła szkolenie w Akademii Policijnej New Jersey. Miała trzydzieści sześć lat i niedawno awansowała na detektywa.

Jako nowicjusz na tym stanowisku przy większości spraw pracowała razem z jednym ze starszych detektywów. Teraz miało być inaczej.

Iglesias nie stawiała krzyżyka w rubryce „czarna”, kiedy wypełniała oficjalne dokumenty. Nie myślała o sobie jak o *kolorowej*, chociaż dopuszczała myśl – zwłaszcza kiedy widziała swoje odbicie na różnych błyszczących powierzchniach, gdy obok niej stali jej biali koledzy – że dla kogoś, kto nie lubi dzielić włosa na czworo, może uchodzić za *jasnoskórą Latynoskę*.

Jej mama (Amerykanka z Portoryko) nie była jej biologiczną matką. Jej tata (Afroamerykanin) nie był jej biologicznym ojcem. W katolickim ośrodku adopcyjnym w Newark najwięcej niemowląt pochodziło od Afroamerykanów – „spadek” po cracku i HIV – ale Iglesias i z nimi nie potrafiła się utożsamić. Jej dziadkowie (adopcyjni) stanowili mieszankę ras i kolorów: Portorykanie, Kreole, Hiszpanie, Azjaci, Afroamerykanie i biali. Utrzymywali (jak większość im podobnych), że płynie w nich też krew rdzennych mieszkańców Ameryki. I rzekomo istniało jakieś odległe powinowactwo ze strony ojca Iglesias z plemieniem Indian Delawarów. Rodzina Iglesiasów posiadała nieruchomości w północno-wschodnim Pascayne, okręgu sąsiadującym ze starą, w większości „białą” dzielnicą zwaną Forest Park. Należały do nich budynki do wynajęcia, kilka małych sklepów oraz oczywiście ich własne domy. W tej rodzinie młodzi

ludzie często szli na studia – do Rutgers-Newark, Rutgers-New Brunswick, Bloomfield College czy na uniwersytet stanowy, a pewien zdolny młodzieniec zdobył nawet stypendium w Princeton. Nie uważali siebie za czarnych i zazwyczaj nikt też tak o nich nie myślał.

Iglesias nie obraziła się za takie niekonwencjonalne wezwanie do szpitala Świętej Anny, chociaż poruszyło ją to, że znajdzie się w dość niezręcznej i niecodziennej sytuacji; poczuła się trochę jak zawieszona wysoko flaga targana wiatrem.

Bowiem każdy rasizm jest zły. No chyba że możemy na tym skorzystać.

Lubiła myśleć, że praca w policji pozwala jej nieść pomoc potrzebującym. I nawet jeśli nie zawsze była w stanie zrobić coś dobrego, to mogła przynajmniej zapobiegać, by nie zdarzało się coś gorszego. Jeżeli fakt, że jest jasnoskórą Latynoską, miał jej w tym pomóc, Ines Iglesias nie zamierzała się z tego powodu obrażać (chyba że w najodleglejszych zakamarkach swojego bystrego umysłu, gdzie kryły się stare, kłujące i bolesne rany po zniewagach zadawanych jej przypadkowo i najczęściej nieświadomie przez białych, czarnych i brązowych mężczyzn; mężczyzn wszelkiego rodzaju).

Sierżant detektyw Iglesias pojechała do szpitala Świętej Anny podniecona i pełna obaw. Wejście na oddział ratunkowy znajdowało się z boku pięciopiętrowego budynku.

Ines Iglesias знаła to miejsce, była tu świadkiem wielu śmierci – i to nie zawsze nieznanym jej osobom.

Przy wejściu na oddział czekał już na nią funkcjonariusz z patrolu. Zaprowadził ją do oddzielonego parawanami miejsca, gdzie leżała dziewczyna, rzekoma ofiara zbiorowego gwałtu.

Ines poczuła na sobie zdziwione spojrzenia kolegów policjantów i personelu medycznego. Zastanawiali się, czy to właśnie ona jest tą wezwaną *czarną* funkcjonariuszką.

Iglesias ostrożnie odsunęła zasłonę otaczającą szpitalne łóżko, na którym leżała przerażona dziewczyna. Oprócz niej siedziała tam jej matka, Ednetta Frye.

Sybilla Frye była nieletnia i matka miała prawo być obecna przy każdym przesłuchaniu, jakie zechcieliby przeprowadzić z jej córką dowolni funkcjonariusze policji lub pracownicy opieki społecznej miasta Pascaigne.

Niedobrze. Iglesias zrozumiała, że czeka ją niełatwe zadanie.

Przedstawiła się Sybilli, która nawet na nią nie spojrzała i w żaden sposób nie zareagowała na jej przybycie. Potem przedstawiła się Ednetcie, która przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, jakby nie mogła się zdecydować, czy nadal powinna być obrażona, czy też może się już udobruchać.

Iglesias zwróciła się do pani Frye i oznajmiła, że chciałaby pomówić z Sybillą przez kilka minut.

– Jest w szoku, cierpi, więc nie zajmę jej dużo czasu, ale to naprawdę konieczne.

Iglesias miała swoje sposoby na opornych. W dzieciństwie musiała nauczyć się oczarowywać – tak została wychowana – niektórych członków swojej rodziny (kobiety i mężczyźni, wszystkich o silnych charakterach). Wiedziała, że odpowiednie porozumiewawcze spojrzenie, stworzenie wrażenia, że jest im bliska jak siostra i podziela ich oburzenie i ból, były niezbędne w tym konkretnym przypadku. Chciała, aby pani Frye potraktowała ją jak kobietę, która jest do niej podobna i która też jest matką, a nie tylko policjantką.

Wyciągnęła rękę, uściśnęła dłoń Ednetty i poczuła, że podejrzliwie nastawiona kobieta uchwyciła jej palce, jakby ktoś rzucił jej linę ratunkową.

– Proszę pytać ją o cokolwiek, proszę pani, powie całą prawdę. Mówiłam już z nią i jest gotowa z panią porozmawiać.

Pani Frye mówiła z przejęciem, miała przyspieszony oddech i ochryply głos.

Nie jest najlepszego zdrowia, pomyślała Iglesias. Znała wiele takich kobiet jak Ednetta Frye – otyłych i prawdopodobnie cierpiących na cukrzycę. Matka Sybilli miała żylaki na nogach, a piękne niegdyś ciało zwiotczało, jakby rozpuszczało się powoli w miarę upływu lat.

Można było jednak dostrzec, że jeszcze niedawno była atrakcyjną kobietą. Głęboko osadzone oczy skryte za ciężkimi powiekami mogłyby uchodzić za niezwykle piękne, gdyby nie były tak przekrwione. Wyglądała na zrozpaczoną, jakby razem z córką została uwięziona w jakimś straszliwym miejscu i dopiero przed chwilą ktoś ją uwolnił.

Kiedy Iglesias zaczęła rozmawiać z Sybillą, pani Frye nie mogła się powstrzymać:

– Powiedz jej to co mnie, Sybilla! Mów wszystko, od razu.

Pobita dziewczyna siedziała na szpitalnym łóżku owinięta w koc i trzęsła się. Iglesias znalazła jeszcze jeden koc i narzuciła go na jej wątłe ramiona. Z bliska wyczuła od dziewczyny nie tylko woń środków dezynfekujących, ale też czegoś obrzydliwego, przyprawiającego o mdłości – smród ekskrementów. Tłuste potargane włosy miała postrzępione, jakby ostrzygł ją niewidomy.

Na tle dwóch dorosłych kobiet Sybilla wyglądała na kruchą, drobną istotę. Jej twarz sprawiała wrażenie, jakby dziewczyna była upośledzona; malowała się na niej dziwna mieszanina strachu, skrępowania, obawy i buntu. Wydawało się, że dostrzega przede wszystkim swoją matkę, a nie zwraca uwagi na nieznaną jej policjantkę w cywilu.

Między matką a córką wyczuwało się silne napięcie, powietrze było naelektryzowane jak przed burzą i Iglesias wiedziała, że nie powinna się wtrącać w to, co je łączy. Bądź dzieli.

Zapytała dziewczynę, czy nie czuje się skrępowana i czy jest na siłach odpowiedzieć na kilka pytań. Potem, jeśli lekarze pozwolą, będzie mogła pójść do domu.

Ofiara agresji przypomina zranione zwierzę. Kiedy starasz się jej pomóc,

możesz spowodować, że poczuje się gorzej. Możesz zostać zaatakowany.

– Sybilla? Słyszysz mnie? Nazywam się Ines, Ines Iglesias. Chcę z tobą porozmawiać.

Iglesias delikatnie ujęła dłoń Sybilli. Dziewczyna zareagowała, jakby dotknął jej wąż – wyrwała rękę i gwałtownie zaczerpnęła powietrza, wydając z siebie przeciągły jęk.

„W jej zachowaniu jest coś dziecinnego i irytującego”, pomyślała Iglesias. Ale chciała wierzyć, że ta dziewczyna została okrutnie zraniona.

Pani Frye odezwała się ostro do córki:

– Mówiłam ci już, dziewczyno. Masz odpowiedzieć na pytania pani policjantki, a potem pójdziemy do domu.

Sybilla nadal kulila się pod kocami. Zacisnęła oczy tak, jak potrafią to robić uparte dzieci. Jej górna warga, spuchnięta jak jakiś dziwaczny spłowiały owoc, drżała.

Iglesias wiedziała, że napastnicy wysmarowali ciało i włosy dziewczyny błotem i psimi odchodami i że wypisali jej na brzuchu rasistowskie hasło czarnym tuszem.

Spytała ją, czy może obejrzeć napis. Sybilla zeszywniała i nic nie odpowiedziała.

– Gdybym mogła tylko na minutkę rozchylić koc. Zasłony są zaciągnięte, nikt nie zobaczy. Wiem, że to niemiłe, ale...

Sybilla zaczęła gwałtownie potrząsać głową. Nie.

Pani Frye odezwała się płaczliwym tonem:

– Nie musi tego znowu robić, proszę pani. Jest nieśmiała, nie lubi pokazywać ciała jak niektóre. Zrobili już zdjęcia tego napisu, pokażą go pani. Już wystarczy.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdybym mogła zobaczyć ten napis na własne oczy.

– Proszę pani, tego wstrętnego napisu już nie ma, chyba go zmyli. Ale zrobili zdjęcia, niech pani pójdzie i sobie obejrzy.

– Gdybym mogła tylko...

– Mówiłam już, że nie, proszę pani. Wystarczy już tego dobrego, Sybilla wraca ze mną do domu.

Iglesias poinformowano wcześniej o tych rasistowskich obelgach wypisanych na ciele dziewczyny do góry nogami. Już to budziło podejrzenia – dlaczego do góry nogami? Później obejrzy uważnie te zdjęcia i zobaczy, czy coś z tego zrozumie.

Położyła dyktafon na stole zabiegowym. Pani Frye zaprotestowała:

– Nagrywa to pani? Mam nadzieję, że nie, nie mogę na to pozwolić.

Małe, kręcące się kółeczka w dyktafonie działały na niektórych jak płachta na byka. Iglesias wiedziała, że pani Frye niełatwo da się przekonać.

Wyjaśniła powoli, że zgodnie z zasadami komendy policji takie przesłuchanie powinno zostać nagrane.

– Robimy to dla dobra wszystkich zainteresowanych stron.

– Wcale nie, proszę pani! To jak w filmie, możecie poprzekręcać wszystko, co ludzie powiedzą, poprzestawiać tak, jak chcecie. Tak jak w telewizji. Możecie wyrzucić pewne słowa, dodać inne, takie, jakie chce policja. A potem wychodzi na to, że ludzie przyznają się do rzeczy, których nie zrobili. Dobrze pani o tym wie, sama jest pani policjantką.

Pani Frye mówiła to z szyderczym uśmieszkiem. Ta nagła wrogość zaskoczyła Iglesias.

Sądziła, że udało się jej przekonać do siebie Ednetę Frye i zyskała w niej sprzymierzeńca, a nie wroga. To, co mówiła ta kobieta, było gorzką prawdą, jednak jako funkcjonariuszka policji Iglesias musiała udawać, że jest inaczej.

– Nie w tym przypadku, pani Frye. Ja tak nie postępuję.

Pani Frye skrzyżowała ramiona na ciężkich piersiach. Miała na sobie chyba kilka warstw ubrań: bluzę, koszulę z długimi rękawami, sweter i luźne spodnie, a na małych szerokich stopach wytarte tenisówki. Iglesias zauważyła, że Ednetta Frye niedawno malowała paznokcie. Na każdy nałożyła inny kolor (na kciukach paseczki zebry), ale lakier był popękany, a paznokcie przycięte nierówno. Paznokcie dziewczynki były połamane i także pokryte lakierem, chociaż zrobiono to już jakiś czas temu. Córka nie nosiła biżuterii, nie licząc małych złotych kolczyków. Matka miała w uszach duże złote kółka, a na rękę zegarek wysadzany kryształami górskimi, z pąsowym plastikowym paskiem, kilka pierścionków i obrączkę ślubną, która wydawała się za mała na jej pulchnym palcu.

– Proszę pani, nie mogę pozwolić, żeby mojej córce znowu stała się krzywda. Żadnego nagrywania albo od razu idziemy do domu.

Kobieta nie pamiętała nazwiska Iglesias ani jej stopnia. To było zrozumiałe. I nie miała najmniejszego zamiaru jej obrazić.

Iglesias mogła tylko powtórzyć, że nagrywanie rozmowy miało na celu dobro wszystkich zainteresowanych, ale pani Frye znów jej przerwała:

– Wcale nie! Bierzecie nas za głupców! Trzeba być naprawdę głupim, żeby nie wiedzieć, jak białe gliny potrafią obrócić przeciwko tobie twoje własne słowa. Zupełnie jak wtedy, kiedy mówią, że sięgasz po broń, a nie po prawo jazdy, żeby mogli cię zastrzelić.

Iglesias spokojnie i powoli przemawiała do rozemocjonowanej kobiety. Mówiła, że rozumie jej wątpliwości, jednak ten wypadek jest inny. Podczas gorączkowych kłótni zdarzają się czasem straszne pomyłki, ale zgoda na nagrywanie zeznań córki w takim bezpiecznym miejscu jak szpital to zupełnie inna historia.

Pani Frye, prychając z oburzenia, odparła, że to jakieś bzdury, które próbują wciskać biali.

Iglesias odpowiedziała ze zboląłą miną, że biali nie mają tu nic do rzeczy, nie w tej sprawie. Obie mogą pomówić z nią szczerze i dlatego właśnie tu przyszła, chce tylko porozmawiać.

Pani Frye pozostała niewzruszona. Powiedziała Sybilli, że przyniesie jej jakieś porządne ubranie, a potem wyniosą się z tego miejsca. Jeśli nie zostaną aresztowane, nikt ich nie powstrzyma.

– Pani Frye, proszę mi pozwolić porozmawiać z Sybillą, tylko przez kilka minut. Nie będę nagrywać rozmowy.

Iglesias nie miała wyjścia, musiała ustąpić, bo kobieta naprawdę zamierzała wyjść razem z córką. Zorganizowanie kolejnego przesłuchania byłoby bardzo trudne.

– Nie, chyba będzie lepiej, jak już pójdziemy. Rozmowa z panią nie poszła po mojej myśli, pani jest jedną z nich.

Pani Frye powiedziała to z pogardą; Iglesias poczuła się zdeprymowana.

„Jestem jedną z was, nie jedną z nich. Uwierzcie mi!”.

– Pani Frye, proszę, tylko kilka minut. Bez nagrywania.

Przez ten czas Sybilla siedziała niema i dygotała. Wydawało się, że nie słucha, co mówią te dorosłe kobiety, zupełnie jakby nimi pogardzała.

Iglesias ujrzała w tej dziewczynie, która miała nie więcej niż czternaście lat, samą siebie, kiedy była w podobnym wieku – nadąsaną, ponurą, krnąbrną i przestraszoną nastolatkę.

Ona też nieraz była molestowana seksualnie. Wiele razy napastowano ją i zastraszano. Ale nigdy nie została zgwałcona, nigdy brutalnie pobita. To nie spotkało Ines Iglesias.

Frye'owie mieszkali przy Trzeciej Ulicy, w tej zniszczonej okolicy nad rzeką. Opuszczone fabryki, na wpół wypalone budynki o oknach zabitych deskami, ulice zablokowane porzuconymi, rdzewiejącymi samochodami. Pascaigne South High, najgorsza dzielnica w mieście. Piąty okręg, z najwyższym wskaźnikiem przestępczości. Dzieci dorastały tam szybko.

W przylegającej do Forest Park dzielnicy, w której mieszkała Iglesias, na starannie wypielęgnowanych trawnikach stały jednorodzinne domki z garażami, a na ulicach nie było porzuconych samochodów. Mieściło się tam liceum Forest Park High, którego uczniowie kontynuowali naukę w college'u; w tamtej okolicy nie było bójek, nożowników ani gwałtów.

„Przecież jestem jedną z was! Zaufajcie mi”.

Chociaż nie dorastała w śródmieściu, Iglesias miała powody, by obawiać się policji z Pascaigne i nie ufać jej. Członkowie jej rodziny, krewni, znajomi i sąsiedzi często mieli do czynienia z policjantami (białymi) i niewiele dobrego można było powiedzieć o tych spotkaniach; chyba jedynie to, że nie zawsze kończyły się źle.

Ale wiedziała i o takich, które skończyły się fatalnie.

Słyszała o funkcjonariuszach policji, którzy nawet teraz, w 1987 roku, byli rasistami. Mimo że Departament Policji w Pascaigne był zintegrowany etnicznie od dwudziestu lat. Czasami wygłaszali rasistowskie komentarze, kiedy wiedzieli, że mogą dotrzeć do jej uszu – miała wrażenie, że w ten sposób okazują jej pogardę. Choć te rasistowskie komentarze nie były skierowane

bezpośrednio przeciwko niej ani jej podobnym – jasnoskórym Latynosom.

Ich pogarda dotyczyła Afroamerykanów – *czarnuchów*.

Być może jednak za jej plecami – na swój niefrasobliwy, żartobliwy sposób, który wyolbrzymiał bigoterię i fanatyzm, co uważali za nieodłączny składnik humoru – ją też traktowali jak czarnucha.

Iglesias jest całkiem niczego sobie, jak na czarną, prawda?

Stary, bardzo niczego sobie!

Ma świetny tyłek.

Widziałem lepsze.

Spokojnym, stanowczym tonem Iglesias opowiadała Sybilli Frye, w jaki sposób zamierza jej pomóc. Jak bardzo chce się dowiedzieć, kto ją tak strasznie skrzywdził, kim był napastnik lub napastnicy, bo trzeba ich aresztować, bo tacy jak oni muszą zniknąć z ulicy.

Sybilla zadrżała, przestraszona, i ściślej owinęła się kocami. Sprawiała wrażenie, jakby budziła się ze snu. Trzęsła się jej głowa, wyglądała na przerażoną i nieszczęśliwą.

Iglesias zastanawiała się, w jaki sposób ofiara gwałtu wraca do normalnego życia – do szkoły, do przyjaciół. Na ulicach już przekazywano sobie wiadomość, że zaginioną córkę Frye'ów znaleziono związaną w fabryce konserw.

Sybilla nachyliła się do matki i wyszeptała jej coś do ucha. Jej spuchnięta warga poruszała się, ale Iglesias nie potrafiła odczytać, co dziewczyna mówi.

– Tak, skarbie, wiem – powiedziała do córki pani Frye. A potem zwróciła się do Iglesias z nutką satysfakcji w głosie: – Sybilla mówi, że ją zabijają, proszę pani. Powiedzieli jej, że zabijają całą jej rodzinę, to właśnie chce powiedzieć.

Było coś dziwnego w tym, jak pani Frye zwraca się do swojego dziecka. Raz łagodnie, z czułością, to znowu szorstko i z wyrzutem. Jej córce chyba trudno było odgadnąć, jaką matkę za chwilę usłyszy. Dało się jednak zauważyć, że kiedy Sybilla nie sprzeciwiała się Ednetcie w jakiś widoczny sposób, czy to grymasem twarzy, przekrzywieniem głowy, czy przygarbieniem pleców, wtedy pojawiała się czuła i kochająca matka.

– Możemy cię ochronić, Sybillo. Możemy umieścić cię w bezpiecznym miejscu, dopóki nie aresztujemy tych, którzy cię skrzywdzili.

Iglesias była funkcjonariuszką policji, musiała zapewniać i o takich nieprawdopodobnych możliwościach.

Ileż już razy policjanci z Pasgayne w podobnych sytuacjach nadaremnie próbowali coś osiągnąć.

– Pani władzo, to pieprzenie. Połowa ludzi, którzy uwierzyli w te brednie, co im wciskacie, skończyła na ulicy z kulą w głowie. I ktokolwiek ma to zrobić, nie czeka, aż się ściemni, po prostu strzela przy pierwszej lepszej okazji. Nie jest pani szczerą z moją córką i dobrze pani o tym wie. Prosiłam o policjantkę Afroamerykankę, a pani nią nie jest.

– Jestem! I przyszedłam tu, by wam pomóc.

– Pani jest kobietą, powinna pani wiedzieć, co zrobią mojej córce, jeśli

powie, kto ją skrzywdził. Mówiła mi tylko, że było ich pięciu, sami mężczyźni. Mężczyźni, nie chłopcy. Nikogo, kogo by znała z sąsiedztwa czy ze szkoły. Tyle mi tylko powiedziała, jest zbyt wystraszona. – Pani Frye wykrzywiła twarz w ostrym, wymuszonym uśmiechu; szczelina między jej przednimi zębami przypominała wykrzyknik.

Iglesias znów spróbowała zagadnąć Sybillę.

– Więc powiedziałaś, że było pięciu mężczyzn? Nikogo nie rozpoznałaś? Mogłabyś zacząć od początku? Proszę. Twoja mama mówi, że zaginęłaś we wtorek...

Wtedy powoli, ochryplym szeptem, jakby słowa raniły jej usta niczym ostre kamyki, Sybilla zaczęła mówić. Trzęsa się pod kocami i nie patrzyła na zatroskaną policjantkę, tylko utkwiała wzrok w podłodze. Wydawało się, że leciutko zezuje na lewe oko. Być może dlatego nie podnosiła spojrzenia. Iglesias nie wiedziała, czy dziewczyna jest naprawdę wystraszona, czy też tli się w niej coś w rodzaju dziecinnego uporu, wręcz impertynencji – zachowanie to miało związek nie tyle z policjantką, ile z obecnością matki, która przez cały czas trzymała się blisko córki, przysiadłszy na krawędzi stołu zabiegowego. Jej obecność musiała być dla dziewczyny przytłaczająca, nie mogła się przed nią w żaden sposób schronić.

Iglesias zauważyła, że oczy (choć wciąż były zapuchnięte i podkrążone) Sybilla odziedziczyła po matce: ciemne, wręcz czarne, duże, głęboko osadzone i otoczone gęstymi rzęsami. Podczas krótkiego zebrania w komendzie policjantka dowiedziała się, że ofiara może być psychicznie upośledzona, możliwe, że opóźniona w rozwoju, i dlatego tak trudno się z nią porozumieć. Jednak teraz nie uważała, aby naprawdę tak było.

Iglesias poprosiła Sybillę, by powtórzyła troszkę głośniejsze to, co powiedziała. Nachyliła się nad nią, by lepiej słyszeć.

Powolnym, ochryplym szeptem dziewczyna opowiedziała, jak wracała we wtorek ze szkoły, kiedy ktoś, jacyś mężczyźni zaszli ją od tyłu, zarzucili jej na głowę kawał brezentu, porwali ją, wrzucili do furgonetki i trzymali ją tam przez trzy dni – myślała, że trwało to trzy dni, ale nie była tego pewna, bo straciła poczucie czasu – bili ją i kopali, robili jej różne rzeczy i śmiali się z niej, kiedy płakała, a potem wysmarowali ją błotem i psim gównem, wypisali na ciele „paskudne słowa”, zwiążali i zostawili w fabrycznej piwnicy, mówiąc, że leżą tam już inne martwe czarnuchy.

Zaczęła płakać. Pani Frye ścisnęła ją za rękę i wydawało się, że Sybilla nie powie już więcej ani słowa.

Iglesias zapytała ją, czy widziała ich twarze. Czy może opisać tych mężczyzn – ich wiek, kolor skóry. Czy ich znała.

Sybilla potrząsnęła głową. Nie, nie znała ich. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale urwała.

– Jesteś pewna, że nie znałaś tych mężczyzn, Sybillo? Możesz ich opisać?

Dziewczyna wpatrywała się w podłogę. Jej oczy napełniły się łzami, które

spłynęły po posiniaczonych policzkach.

– Czy wykorzystali cię seksualnie?

Sybilla siedziała bez ruchu i wpatrywała się w podłogę. Twarz miała lśniąca od łez.

Pani Frye przynagliła ją łagodnie:

– Sybilla, skarbie, musisz to powiedzieć tej pani, dobrze? Musisz powiedzieć jej jak najwięcej. Nie opowiedziałas mi o wszystkim, prawda? Wiesz, że nie. Teraz musisz powiedzieć to jej.

– Sybillo, czy oni cię zgwałcili?

Dziewczyna lekko skinęła głową.

– Więcej niż jeden, tak?

Znów skinęła głową.

– Mówiłaś matce, że było ich pięciu?

Znów skinęła głową.

– Nie chłopców, tylko mężczyzn?

Znów skinęła głową.

– Nie znałaś żadnego z nich?

Pokręciła głową.

– Możesz ich opisać? Podać choć kilka szczegółów?

Sybilla nie odrywała wzroku od podłogi. Pani Frye przysunęła się blisko niej i objęła ją ramieniem.

– Kolor skóry? Mówiłaś, że używali słowa „czarnuch”...

Pani Frye ją zachęciła:

– No dalej, dziewczyno! Czy to byli czarni, czy jacyś inni? Kto oprócz innych używa takiego słowa?

Sybilla wpatrywała się w podłogę. Nie wyglądała już na niesforną czy hardą, ale na wyczerpaną. Iglesias zaniepokoiła się, czy dziewczyna zaraz nie zemdleje lub nie wpadnie w jakiś osobliwy stan psychiczny, na przykład w katatonię.

Iglesias przesłuchiwała kiedyś prawie niemą dwunastolatkę. Dała jej wtedy kartkę i dziewczynka zaczęła pisać. Iglesias wręczyła Sybilli bloczek samoprzylepnych karteczek (tych w wesołym żółtym kolorze) i długopis. Po chwili wahania Sybilla napisała wielkimi literami:

BIAŁY GLINA

– Biały glina...

Iglesias usiłowała nie zdradzić, jak bardzo jest zaskoczona.

Pani Frye wyjęła bloczek z dłoni policjantki, przeczytała i zaczęła zawodzić, jakby słowa „biały glina” oznaczały wyrok śmierci.

Iglesias spytała, czy to biały glina skrzywdził Sybillę.

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

- Czy tylko jeden z mężczyzn był biały? A może tylko jeden był gliną? Sybilla potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że nie wie.
- Skąd wiesz, że ten mężczyzna był gliną? Sybilla napisała na karteczce:

MIAŁ ODZNAKĘ

- Nosił odznakę? Miał odznakę, kiedy cię gwałcił? Sybilla potrząsnęła głową; nie była pewna, wydawało się jej, że tak. Zaczęły opadać jej powieki, usta zwiotczały z wyczerpania.
- Czy inni też mieli odznaki? Sybilla potrząsnęła głową, nie wiedziała.
- Możesz go opisać? Tego białego glinę? Sybilla napisał na karteczce:

ŻÓŁTE WŁOSY

- Możesz powiedzieć, w jakim mniej więcej był wieku? Sybilla niepewnie potrząsnęła głową.
- Trzydzieści? Trzydzieści pięć? Sybilla potrząsnęła głową.
- Ja mam trzydzieści sześć. Jak myślisz, był ode mnie młodszy czy starszy? Sybilla zerknęła na Iglesias. Wydawało się, jakby traciła ostrość widzenia w lewym oku, ale prawym wpatrywała się w policjantkę. Napisała na karteczce:

30 LAT

- Czy pozostali mężczyźni też byli biali? Widziałaś ich? Sybilla napisała na karteczce:

BYLI BIALI

Sybilla znów sięgnęła po bloczek i napisała:

WSZYSCY BYLI BIALI

- Ci mężczyźni uprowadzili cię, więzili w furgonetce, bili, gwałcili co jakiś czas, przez trzy dni i trzy noce? Czy masz jakieś pojęcie, gdzie zaparkowali furgonetkę?

Sybilla potrzęsnęła głową, nie wiedziała.

– Czy możesz opisać furgonetkę? Jak wyglądała z zewnątrz i w środku?

Sybilla powoli potrzęsnęła głową. Nie była pewna.

Uśmiechnęła się, a może jej usta wykrzywił nerwowy grymas. Wyglądała na zupełnie dziecko, ciężko pobite dziecko ze szczerbatym uśmiechem, które patrzyło teraz na funkcjonariuszkę nieomal nieśmiało.

Iglesias chciała wziąć ją za rękę, by dodać jej otuchy, ale nie ośmieliła się jej dotknąć, bo dziewczyna odsunęła się od niej.

– Czy możesz porównać tę furgonetkę do jakiejś innej, którą już widziałaś? Będziesz mogła ją opisać?

Sybilla skinęła głową. Tak, spróbuje.

– Kiedy zostawili cię w piwnicy w fabryce, zagrozili, że cię zabiją, jeśli powiesz o tym komukolwiek. Kto to powiedział?

Sybilla potrzęsnęła głową, nie wiedziała.

– Czy to powiedział jeden z nich, czy wszyscy?

Sybilla ukryła twarz w dłoniach. Pani Frye szepnęła coś do niej i odsunęła jej rękę.

Przesłuchanie wyczerpało dziewczynę. Podobnie jak Iglesias.

„Biały glina – myślała. – Biały glina!”.

„Nic z tego nie jest prawdą – myślała. – To same kłamstwa. Matka ją poinstruowała. To matka ją pobiła. Przyjaciół matki, jej własny chłopak, ktoś, kogo zna...”.

Pani Frye obejmowała córkę. Obie płakały, miały oczy mokre od łez.

– Proszę pani, dość już tego przesłuchania. Moja córka musi wracać do domu, tam będzie bezpieczna, jej mama się nią zajmie.

A ona nie nagrała tego przesłuchania! Iglesias wiedziała, że popełniła błąd.

Miała tylko te zapiski, jaskrawożółte samoprzylepne karteczki.

I tylko swoje słowo.

– Pani Frye, gdybyśmy mogły... Jeszcze tylko kilka minut i...

– Powiedziałam: nie! Najważniejsze jest zdrowie mojej córki, nic innego się nie liczy. Nakłoniła ją pani do wyznania, które może ją zabić, i lepiej będzie, jak nie zrobi pani z tego złego użytku. Inaczej Sybilla może... ostrzegam panią... pani detektyw...

To ostatnie słowo Ednetta Frye wypowiedziała z oburzeniem, podnosząc się ze szpitalnego łóżka i biorąc Sybillę w ramiona. Dziewczyna nie opierała się teraz i ukryła twarz na piersiach matki.

Iglesias cofnęła się. Miała mdłości i była jak ogłuszona.

Biały glina.

Czuła się, jakby zdrętwiały jej usta.

Wiele razy w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy ta myśl będzie powracała do niej jak wyrzut sumienia, jak pchnięcie nożem w brzuch. „A jeśli to prawda?

Jeżeli to biali mężczyźni ją skrzywdzili? A my jej nie uwierzyliśmy? Boże, pomóż mi odróżnić prawdę od kłamstwa”.

Red Rock

„Związana i zostawiona na pewną śmierć.

Dziewczyna Frye'ów, ma tylko czternaście lat. Pobita, zgwałcona, wysmarowana gównem i zostawiona na pewną śmierć w jakiejś fabrycznej piwnicy.

Mówią, że to byli biali gliniarze. Obwozili czarną dziewczynę w furgonetce, którą prowadził glina. Aresztowali ją pod pretekstem, że jest dziwką, i wykorzystali ją jak jakąś seksualną niewolnicę, a potem wysmarowali gównem, wypisali paskudne słowa na jej ciele i wyrzucili ją, zostawili, żeby zdechła.

Ale przeżyła, uratowano ją, uratowała ją jej nauczycielka!

Nie umarła i teraz opowiada, co zrobiły jej białe gliny; zobaczymy, co skurwiele teraz zrobią, czy potrafią sami się ukarać”.

W Red Rock zaczęto o tym gadać. W sklepikach, w barach, knajpkach z grillem przy Camden Avenue, Penescott, Mentor i Dwunastej Ulicy. W szeregowych domkach z czerwono-brunatnego piaskowca przy Trzeciej, Czwartej, Piątej i Szóstej i w czynszówkach przy East Ventor, Crater i Depp. W kilku wieżowcach na osiedlu mieszkań socjalnych Earla Warrena blisko rzeki przy Dwunastej Ulicy, z zapiaszczonymi podłogami holów, psującymi się windami, ciemnymi klatkami schodowymi, korytarzami i wielkimi dziedzińcami, zdewastowanymi jak ziemia, nad którą szalały biblijne plagi. W salonach fryzjerskich i kosmetycznych, sklepach z perukami, punktach sprzedaży alkoholu, spożywcach, lombardach, biurach poręczeń majątkowych i jedynej w Red Rock aptece, na skrzyżowaniu Camden i Freud, gdzie ciągle hulał wiatr (ponura sieciówka Walgreens z wąskimi korytarzami i nisko zawieszonym wytłaczanym blaszanym sufitem; mieli ją zlikwidować do końca roku). W opiece społecznej hrabstwa Passaic, w centrum medycznym Polk, w placówce świadomego rodzicielstwa Planned Parenthood, w outlecie z używanymi meblami, w ośrodku charytatywnym Goodwill i na zniszczonych przystankach autobusowych na ulicach Camden, Trenton, Crater, Jersey i West River. W sąsiedztwie Piątego Komisariatu Policji Pascajny przy Piątej Ulicy i na bocznych przecznicach zastawionych biało-zielonymi radiowozami i furgonetkami (stały tam nieruchomo niczym groźna formacja wojska). W podcieniach mostu Pitcairn przebiegającego grzbietem nad rzeką, biegnącego równoległe do mostu kolei tranzytowej (ten zaś wznosił się obok wyniosłej estakady zasłaniającej dużą część wschodniego nieba nad Red Rock). W czynszówkach z piaskowca (wyglądały, jakby zostały zbudowane w jakimś brzydkim małym miasteczku z zamierzchłej epoki), których sylwetki przecinały widoczną w tle krętą jezdnię autostrady. Na Hicks Square, w Polk Plaza, na

zachwaszczonych ziemi niczyjej (zaśmieconej butelkami, puszkami, styropianem, strzykawkami narkomanów, zużytymi kondomami przypominającymi skurczone ślimaki) graniczącej w Washburn z rzeką Passaic, gdzie władze miejskie planowały założenie parku. W szaroburym, podobnym do fabryki liceum Pascaigne South High, gdzie Sybilla Frye chodziła do drugiej klasy, w gimnazjum Edson, a nawet w podstawówce Edson, gdzie się uczyła, kiedy była młodsza, mówiono sobie o tym i powtarzano:

„Ta dziewczyna Frye’ów, ta, która zaginęła, słyszeliście, że ją znaleźli? W tej fabryce konserw rybnych, w piwnicy, zostawili ją tam na śmierć, związaną i krwawiącą, te białe gliny, które ją porwały, kiedy wychodziła ze szkoły. Powiedzieli, że mają nakaz i muszą ją aresztować. Bo wagarowała i teraz ma jechać z nimi furgonetką. Widzieliśmy to, staliśmy przed szkołą”.

„Zostawili ją na pewną śmierć, pobili ją, głodzili i zgwałcili. Straciła połowę krwi. Wypalili jej na ciele KKK, znak Ku Klux Klanu, rozpalonym żelazem. Na plecach wycięli jej ohydny napis. Zabrali ją sprzed liceum, świadkowie widzieli, jak biali gliniarze zabrali ją w policyjnej furgonetce, mówili, że jest czarną dziwką i że to jej alfons im ją dał, jako łapówkę. Trzymali związaną dziewczynę przez trzy dni, a jej matka szukała jej na każdej ulicy, widzieliśmy biedaczkę, jak pokazywała zdjęcia córki każdemu, kto tylko chciał popatrzeć. Zgwałcili ją, pobili, skopali, wytarzali w psim gównie i powiedzieli, że podejrzną gardło jej i rodzinie, jeśli coś powie, i mówili, że nikt jej nigdy nie uwierzy, bo co znaczy słowo czarnej dziwki przeciw słowu białego policjanta, i zostawili ją na pewną śmierć w tym strasznym miejscu, gdzie w sześćdziesiątym siódmym wrzucali ludzi, których zastrzelili na ulicach, i nikt przez cały ten czas nie odkrył ich ciał. Ale ta dziewczyna przeżyła”.

Schowana

„Gdzie moje dziecko? Schowane. Nie ma jej tu. Jest chora, wyjechała, żeby dojechać do siebie. Zostawcie nas w spokoju!”.

W szeregowym domku z czerwono-brunatnego piaskowca przy Trzeciej Ulicy pod numerem 939 wzburzona matka lekko uchylała drzwi i krzyczała przez szparę, odganiając nieproszonych gości. Początkowo pani Frye starała się zobaczyć, kto dzwoni do drzwi lub stuka głośno, kiedy dzwonek był zablokowany. Znajome twarze, krewni, koleżanki Sybilli, rozsierdzeni i współczujący sąsiedzi i obcy – tylu obcych! – ale w końcu, przestraszona i skonsternowana, przeganiała wszystkich, zatrzaskując im drzwi przed nosem.

Przez okno można było dostrzec przesuwającą się sylwetkę Ednetty Frye, jak zerka zza zasuniętych żaluzji. Wydawała się jednocześnie niezdarnie ocieężała i wiotka. Powtarzała pod nosem: „Boże, pomóż, Boże, pomóż nam w nieszczęściu”.

*

Wszyscy wiedzieli, że Sybilla Frye nie chodzi do szkoły, tylko siedzi w domu. Po tym, kiedy rozeszła się wieść, że znaleziono ją w fabryce Jersey Foods, nie pojawiła się w liceum Pascaigne South High, gdzie uczęszczała do drugiej klasy. Dyrekcja szkoły wiedziała, że już wcześniej chodziła w kratkę – kłopoty z frekwencją trwały od początku semestru jesiennego, po Święcie Pracy obchodzonym w pierwszy poniedziałek września. Podobnie było rok wcześniej.

Wypytywany przez władze o napadniętą dziewczynę dyrektor liceum nie kojarzył ani jej, ani tego, żeby nauczyciele wspominali o Sybilli Frye. Klasy w Pascaigne South High były przepelnione, uczniowie nie zawsze siedzieli w przypisanych im ławkach, a wychowawczynie Sybilli we wrześniu poszła na zwolnienie lekarskie. W tym czasie nauczyciele na zastępstwie mieli na głowie ponad trzydziestu uczniów z tej klasy; żaden nie pamiętał dobrze Sybilli Frye i oczywiście nie był w stanie udzielić o niej bliższych informacji.

Koleżanki i koledzy z klasy też nie chcieli o niej mówić, najwyżej stwierdzali ogólnikowo: „Sybilla nie chodzi do szkoły, coś się jej stało”.

Kiedy dzwonił ktoś z liceum, Ednetta Frye szybko kończyła rozmowę. Nie chciała słuchać, co mają do powiedzenia, o co chcą ją zapytać lub o czym poinformować. „Moja córka już nie mieszka w tym domu! Jest schowana w bezpiecznym miejscu”. Kiedy telefon dzwonił powtórnie, Ednetta podnosiła słuchawkę i rzucała nią bez słowa.

Wydział do spraw nieletnich, Służba Pomocy Dzieciom, opieka społeczna hrabstwa Passaic – telefony z tych instytucji Ednetta Frye traktowała podobnie. Ich pracowników, nawet ciemnoskóre kobiety, odganiała bezceremonialnie sprzed drzwi.

„Jest schowana tam, gdzie jej nie znajdziecie! Idźcie sobie i dajcie nam spokój! Pomyślałby kto, że obchodzi was, co się z nią dzieje!”.

Latynoska funkcjonariuszka policji, ta sama, która w szpitalu udawała, że jest po stronie Ednetty, przysłała do niej ze swoim kolegą detektywem (wyglądał na Włocha), a ten patrzył na nią z wyrazem ledwie skrywanej pogardy. Ednetta widziała biało-zielony radiowóz policyjny zaparkowany przy krawężniku zaledwie kilka metrów od okna, w którym się czaiła, przyciskając dłoń do piersi. Dyszała z bólu i lęku – „Jezu, pomóż mi, Jezu, niech ci ludzie sobie pójdą” – ale uznała, że nie ma wyjścia, musi otworzyć im drzwi, chociaż uchylić, bo może mają nakaz rewizji. Albo aresztowania. Chociaż Ednetta nie miała pojęcia, kogo mieliby aresztować, ją czy Sybillę. Szumiało jej w uszach i ze zdenerwowania o mało nie zemdląła. Kiedy policjantka zapukała, Ednetta błyskawicznie otworzyła drzwi i powiedziała ochrypłym, błagalnym głosem, który detektywi ledwo zrozumieli: „Moje dziecko jest schowane! Nie ma jej tu! Nie mogę z wami rozmawiać, zamykam drzwi”.

Policjantka (Ednetta nie dosłyszała nazwiska; wiele z tego, co ostatnimi dniami mówili do niej ludzie, przelatywało obok jej uszu; uchylała się przed ich słowami jak przed skrzydłami ptaka, który wpadł w panikę i leci prosto na człowieka) nie chciała pozwolić, żeby zamknęła drzwi. Mówiła, że koniecznie musi porozmawiać z nią i z Sybillą. Kolega policjantki stał obok z ponurą twarzą i wpatrywał się w Ednetę przez pięciocentymetrową szparę między drzwiami a framugą. Ednetta wyczytała w jego lodowatym spojrzeniu: „Wiemy, że łżesz, ty kurewska czarna suko, i jeszcze tego pożałujesz”.

Kobieta – Iglesias – starała się mówić spokojnie, widziała, że Ednetta jest zdenerwowana. (Razem z partnerem zerkała czujnie, czy zrozpaczona, dysząca tęga czarna kobieta nie ukrywa rzeźnickiego noża lub pistoletu za szerokimi biodrami). Mówiła, że ona, Iglesias, jest jej przyjaciółką. I że przyprowadziła ze sobą detektywa – jego nazwiska Ednetta nie mogłaby usłyszeć, nawet gdyby chciała, bo krew zbyt głośno pulsowała jej w uszach. I mają nadzieję, że poświęci im kilka minut.

– Gdybyśmy tylko mogli porozmawiać z Sybillą, proszę...

Ale Ednetta odpowiedziała ostro:

– Proszę pani, mówiłam już, że nie! Mojego dziecka nie ma w domu, jest schowane w bezpiecznym miejscu.

Iglesias nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

– Schowane? Jak?

Ednetta szybko zamknęła drzwi. Serce waliło jej tak mocno w falującej piersi, jakby jakaś pięść tłukła się tam w środku, starając się wydostać na zewnątrz.

Ednetta zobaczyła przez okno, że Iglesias i ten drugi detektyw naradzają się, co zrobić. Trafnie odgadła, że policjanci nie mieli nakazu, by wejść do jej mieszkania. Gdyby było inaczej, na pewno by to zrobili. Nie mieli też nakazu aresztowania ani jej, ani Sybilli. (Czy można aresztować *ofiare*? Czy można aresztować kogoś za to, że jest *matką ofiary*?). Jednak Ednetta dobrze pamiętała dni i noce stanu wyjątkowego w sierpniu 1967 roku, kiedy oddziały SWAT szturmowały domy w Red Rock, obsypując je gradem kul lub wrzucając do środka ładunki zapalające czy gaz łzawiący pod pretekstem, że „unieszkodliwiają” snajperów. Nie знаła wtedy Anisa Schutta, ale wiedziała, że szesnastoletni brat Anisa, Lyander (nieuzbrojony), został zamordowany przez policjantów, kiedy wyszedł przed dom swojej matki na ulicy Freund pięć minut po dziewiątej (wtedy zaczynała się godzina policyjna). Sześćdziesięcioletnia cioteczna babka Ednetty mieszkająca na pierwszym piętrze w domu komunalnym została zastrzelona, bo przechodziła za żaluzjami na tle ostrego światła żarówek – kolejna ofiara polowania na snajperów.

Iglesias zawołała, przykładając ręce do ust (przyjaznym kobiecym głosem, nie było w nim niczego, co przypominałoby policyjne groźby):

– Pani Frye? Proszę! Możemy porozmawiać tylko z panią. To niezbędne dla dochodzenia.

Ednetta wycofała się do wnętrza domu; sapiąc i spływając potem, weszła na piętro. Ukryła się w sypialni i skomląc jak zranione zwierzę, wyciągnęła na łóżku i nakryła głowę kocem. „Jezu, pomóż mi, Jezu, przebacz mi. To nie moja wina, dobry Jezu!”.

Kiedy tam leżała, dom pogrążył się w ciszy. Nasłuchiwała, czy detektywi stukają do drzwi, czy ją wołają.

Usłyszała odjeżdżający samochód. Miała nadzieję, że to radiowóz.

Cholerny telefon znów zaczął dzwonić, a myślała, że zdjęła słuchawkę z widełek. Teraz zawsze starała się tak robić.

Mówiła prawdę – Sybilli nie było w domu pod numerem 939 przy Trzeciej Ulicy. Zaraz po tym, jak przyjechały ze szpitala Świętej Anny, jeszcze zanim Anis wrócił do domu, Ednetta zabrała dziewczynę do swojej siedemdziesięciodziewięcioletniej babki, która mieszkała na parterze w domu przy Jedenastej Ulicy (ślepej uliczce tuż przy rzece).

Przed oknami mieszkania babki wznosiła się estakada ciągnącej się na północ autostrady I-95. Mieszkanie prawie bez przerwy drgało i wibrowało od przejeżdżających samochodów jak pod wpływem oddechu jakiejś ogromnej bestii, a powietrze przypominało kolorem jasnocynamonowe opary.

Prababce Sybilli, Pearline Tice, oszczędzono szczegółów okoliczności, w jakich napadnięto i pobito dziewczynę. Powiedzieli tylko: „Sybilla musi trochę u ciebie pobyc, babciu. Ktoś ją skrzywdził i teraz ma konwulsje. Jak będzie sprawiać kłopoty, to zaraz dzwoń!”.

Reszta dzieci Ednetty, które nadal mieszkały z nią – młodsza córka i syn – była w szkole, kiedy zjawili się detektywi. Anis gdzieś wyszedł, a Ednetta jak zwykle nie wiedziała (i wolała nie pytać), czy zamierza wrócić na kolację.

(Anis miał różne miejsca, gdzie czasami nocował. Miał dorywczą i nie do końca określoną pracę, która zapewniała mu całkiem znośne dochody, sądząc po gotówce, którą zostawiał dla Ednetty na kuchennym stole, kiedy miał dobry nastrój. Ednetcie wystarczyło, że Anis Schutt trzymał swoje ubrania i rzeczy u niej – to oznaczało, że zawsze do niej wróci. Inne miejsca i kobiety były tylko przejściowe).

Nieobecność Sybilli wpływała na Anisa uspokajająco.

Ednetta nie powiedziała mu o tym, że dziewczynę znaleziono związaną w fabryce konserw i zawieziono do szpitala. Nie powiedziała mu, że Sybillę przesłuchiwała funkcjonariuszka policji z Pascayne. Jeszcze nie.

Anis wiedział trochę o tym, co się stało. Ale nie wszystko. Podobnie jak przy tej historii z Lyanderem, którego zastrzelono na Freund, a ciało znaleziono dopiero rano, kiedy skończyła się godzina policyjna. Wiedział, że coś się stało, że ta wiadomość wstrząśnie nim nieodwracalnie, ale (jeszcze) to do niego nie dotarło i nie było mu spieszno do tej wiedzy.

Tego ranka obudził się późno. Trzeba było chodzić na palcach wokół nagiego, rozciągniętego i chrapiącego Anisa (jedno ramię zwykle zwisało mu z łóżka jak sękaty konar). Niemłoda, pokryta brzydkimi bliznami twarz podczas snu wykrzywiały nerwowe tiki. Kiedy Ednetta stała nad mężczyzną i widziała, jak pod zamkniętymi powiekami drgają mu gałki oczne, co oznaczało, że coś mu się śni, sama zaczęła śnić na jawie. Przypomniała sobie przyjaciółkę z dzieciństwa, Natalię, która zamordowała swojego konkubenta (tak nazwały go gazety), kiedy zdrzemnął się w podobny sposób; wzięła należący do niego rewolwer, wymierzyła i pociągnęła za spust, trzymając lufę w odległości zaledwie paru centymetrów od jego czoła. „Ja albo on; inaczej on by mnie zabił”, powiedziała później Natalia i chociaż była to prawda, została skazana na dwadzieścia pięć lat dożywocia za morderstwo (z zimną krwią) drugiego stopnia i odesłana do kobiecego więzienia w Trenton.

Ednetta zbyt kochała Anisa, by zdobyć się na coś takiego.

Nawet gdyby to było konieczne, nie potrafiłaby tego zrobić.

By go nie obudzić, musiała poruszać się bezszelestnie i uważać, żeby nie trzaskać drzwiami. Wyjść po cichu z pokoju i ubrać się w łazience, nie odkręcać piszcącego kranu i nie spuszczać wody w toalecie (bo to cholernie głośne). A jeśli chciała włączyć telewizor, żeby obejrzeć lokalne wiadomości, musiała ściszyć dźwięk prawie do minimum.

(W telewizji nie było nic o Sybilli Frye – na razie. Nikomu nie postawiono oficjalnie zarzutów i żadne informacje nie przedostały się do mediów. Ednetta sądziła, że jeśli ona i Sybilla będą trzymać się z daleka od glin, w wiadomościach nic o nich nie powiedzą i wszystko rozejdzie się po kościach; jak zwykle w takich przypadkach).

Młodsze dzieci wiedziały, że muszą zachowywać się cicho i nie robić hałasu, by nie obudzić ojczyma. Kiedy Anis zwiłkł się na śniadanie, były już w szkole (Sybilla, gdyby nocowała w domu, też by już wyszła). Nie miał powodu o nią pytać – i nie zapytał. Nie odezwał się ani słowem. W milczeniu wsuwał jedzenie, które przygotowała mu Ednetta, gorący posiłek złożony z odsmażonych na tłuszczu kiełbasek, chleba kukurydzianego i mocnej aromatycznej kawy, którą zabieliła mlekiem w taki sposób, jak lubił. Nie chciała, żeby spojrzął na nią z wściekłością lub wyrzutem; na szczęście burknął coś na pożegnanie, wstawszy od stołu, chwycił marynarkę i czapkę i wyszedł dość szybko, jak na tak ciężkiego mężczyznę (podłoga dudniła pod jego krokami jak bruk pod ubijakiem).

W ciągu tego tygodnia musiał na ulicy słyszeć niejedno, ale ani słowem nie wspomniał o tym Ednetcie.

Między dziewczyną a jej ojczymem istniała jakaś niebezpieczna, dzika strefa, której Ednetta wolała unikać.

Dziewczyna i ojczym byli do siebie podobni, Ednetta musiała więc być „tą odpowiedzialną”. Bo była matką.

Kiedy wprowadził się do jej domu, od razu powiedział, że jeśli te dzieciaki mają mieszkać z nim pod jednym dachem, to muszą przestrzegać jego zasad i to on będzie je wychowywał. Dał jej to do zrozumienia na swój sposób, który niekoniecznie obejmował jednoznaczne, precyzyjne wypowiedzi. Przyprowadził też ze sobą swoich synów, wyrosniętych ponurych chłopców, których często, a w zasadzie przez większość czasu, nie było w domu. Ani on, ani ona nie zaprzęтали sobie tym głowy.

Sybilla chodziła wtedy do szóstej klasy – miała jedenaście lat. Była szczęśliwa, kiedy mogła pójść naprzeciwko do dziewczynek Tyne’ów, gdzie ich macocha, przepiękna Jamajka Gloria Ester, zaplatała im i Sybilli warkoczyki. Sybilla uwielbiała te dziewczynki totalnie i bezkrytycznie. Szalały razem po chodnikach, chichotały, wygłupiały się i potraçały przechodniów: starsze panie, kalekich mężczyzn i tego biednego chłopaka bez nóg, który jeździł na wózku po Hicks Square; w koreańskim spożywczaku dwie z nich odwracały uwagę kasjera (syna właściciela), a pozostałe dwie wałęsały się między półkami z minami niewiniątek i napełniały kieszenie żelkami, słonymi orzeszkami i miętówkami. Nic dziwnego, że zostały w końcu przyłapane (zniesmaczony pan Park widział sylwetki dziewczynek na migającym ekranie monitora telewizji przemysłowej) i kiedy Anis dowiedział się, że jego jedenastoletnia pasierbica została „aresztowana” za kradzież w sklepie razem z trzema innymi, starszymi dziewczynami, ukarał ją srogo – tak jak obiecał – w ten sam sposób, w jaki jego ojciec postępował ze swoimi dziećmi. Zbił dziewczynkę pasem, zadając jej kilka mocnych uderzeń, a potem kilkanaście jeszcze mocniejszych, aż zaczęła krzyczeć z bólu i przerażenia, bo jej mama nigdy jej tak nie skrzywdziła. Ednetta, nawet wpadając w furję, nie biła swoich dzieci, jednak ich nowy ojczym wierzył w surową dyscyplinę. Ednetta w końcu

odważyła się rzucić na niego, chcąc go powstrzymać, przerażona, że poważnie zrani córkę klamrą, która spadając ze świstem, pozostawiała na gołych pośladvach i nogach dziecka podbiegające krwią ślady. Anis odepchnął Ednetę, która poleciała na ścianę i znieruchomiała, zaszokowana tym, co się działo. Anis powiedział później, że dobrze zrobiła, powstrzymując go, bo kiedy zaczynał lanie, takie lanie, jakie sprawiał mu ojciec, trudno mu było przestać.

Powiedział to poważnie i na trzeźwo. Nie przesadzał. Zaniepokojona Ednetta przypomniała sobie pogłoski (a właściwie nie pogłoski, tylko fakt, ale nie chciała o tym myśleć w takich kategoriach), że Anis Schutt pobił na śmierć swoją pierwszą żonę, piękną Haitankę Tanę, i został skazany za zabójstwo drugiego stopnia i osadzony w więzieniu Rahway (Ednetta nie potrafiła sobie przypomnieć, ile dokładnie lat tam siedział).

„Więc to było ostrzeżenie”, pomyślała Ednetta. Ostrzeżenie dla bezmyślnej pasierbicy i jej matki.

„Nie prowokuj Anisa, dziewczyno. Wiesz, że łatwo puszczają mu nerwy, nic na to nie poradzi”.

Tak, szaleńczo kochała Anisa Schutta. To było takie uczucie, jakby coś topiło się w okolicach serca. Jezu! Od pierwszego razu, kiedy go zobaczyła, a nie była już wtedy pierwszą naiwną. Pomyśleć, że był w zasadzie brzydki, z wielką tępą twarzą, jakby wyrzeźbioną w spękany kamieniu, o czarnej tłustej skórze, dziesięć razy ciemniejszej niż skóra Ednetty, która uchodziła za dość jasną. I te jego oczy, wyraziste, świecące, jakby w czaszce osadzono szklane kulki rzucające niespokojne spojrzenia. Tak też się zachowywał, niespokojnie, nerwowo; nie dało się go okiełznać. Nie należało mu wchodzić w drogę ani skupiać na sobie jego gniewnej uwagi, a mimo to gapiała się na niego bez przerwy. Zobaczył ją i uśmiechnął się do niej. I nagle jego twarz się zmieniła, stała się prawie chłopięca i łagodna.

„Przyglądasz mi się, skarbie? Masz na mnie ochotę?”.

Zwariował na punkcie jej szczerbatego uśmiechu. Przerwa między zębami była tak duża, że mógł w nią wetknąć niemal cały język.

W porównaniu z nią był stary, choć nie miał jeszcze trzydziestki.

A ona miała dopiero siedemnaście lat!

Ednetta uśmiechnęła się do swoich wspomnień. O Jezu!

W życiu kobiety może być tylko jeden taki mężczyzna jak Anis Schutt. Musiał być jej i chociaż mogła go później stracić, nic nie było w stanie odebrać jej tego, co zdobyła.

Nie było takiej rzeczy, której kobieta nie zrobiłaby dla mężczyzny takiego jak Anis Schutt! Ednetta zrobiła już niejedno i wiedziała, że nadal będzie robić.

Jego pierwsza żona, Tana, pewnie musiała go zdradzić. A nie można było bezkarnie zdradzać Anisa Schutta.

Ednetta nie była pewna, czy kocha córkę. Widziała w Sybilli niesamowite podobieństwo do samej siebie – te migdałowe oczy, ten szczerbaty uśmiech. Była jak jej własne odbicie, a czy można kochać samą siebie?

„Moje dziecko – ona jest mną. Dlaczego tak źle ją traktuję i ciągle o coś obwiniam?”.

Wkrótce te sukinsyny, które uprzykrzały życie Ednetty, wróciły pod drzwi domu numer 939 przy Trzeciej Ulicy. Zobaczyła te pieprzone samochody, jak zatrzymują się tuż przy krawężniku, jakby jej dom był jakimś barem szybkiej obsługi albo jakby znajdował się tu bankomat. Tym razem byli to wyżsi rangą urzędnicy z opieki społecznej, oficerowie z wydziału do spraw nieletnich i przedstawiciele organizacji Ratujmy Nasze Dzieci, instytucji kościelnej białych, której siedziba mieściła się w biurze w Red Rock. No i była też sierżant Iglesias. Wszyscy szukali *jej córki*, Sybilli Frye. Mieli nakazy. Ednetta, przyciskając ręce do piersi, z oczyma pałającymi oburzeniem i bólem, powiedziała:

– Już wam mówiłam! Moje dziecko jest schowane tam, gdzie go nie znajdziecie.

Ponieważ mieli nakazy, Ednetta musiała ich wpuścić. Pozwoliła tym sukinsynom, żeby przeszukali parter i piętro, pokoje dzieci, sypialnię jej i Anisa oraz pokoik Sybilli. Był nie większy niż szafa, a na jego ścianach wisiały plakaty z Michaeliem Jacksonem, Tiną Turner, Whitney Houston, Prince’em, LL Cool J i Public Enemy. Oczywiście Sybilli nie było w domu.

Kuzynki

– Gdzie jest Sybilla?

– Mówią, że Sybilla leży w jakimś szpitalu.

– Mówią, że Sybilla jest w areszcie.

– Siedzi w poprawczaku.

– Nie, nie siedzi w poprawczaku, przecież ona jest ofiarą.

Kuzynka Sybilli, Martine, i niektóre z jej koleżanek z sąsiedztwa zaglądały do niej do domu, ale za każdym razem pani Frye je odprawiała. „Sybilli tu nie ma. Idźcie sobie”.

Martine była w wieku Sybilli, chodziły do tej samej klasy w Pascayne South High. Niektóre plotki o jej kuzynce były tak wstrętne, że musiała zatykać sobie uszy i uciekać.

Bocznymi uliczkami podeszła na tyły domku, w którym jej ciotka, Ednetta Frye, mieszkała razem z tym mężczyzną, Anisem Schuttem. Pomyślała, że może uda się jej zajrzeć przez okno i sprawdzić, czy Sybilla jest w środku, ale Ednetta opuściła rolety do samego parapetu.

Martine sądziła, że gdyby jej kuzynka Sybilla nie żyła, ona na pewno by o tym wiedziała. Powiedziałoby to jej takie wywołujące ciarki uczucie, podobne do tego, które ogarnia cię, kiedy wyobrażasz sobie, że ktoś chodzi po twoim przyszłym grobie.

Wszystkie koleżanki Sybilli rozmawiały o niej, próbowały odgadnąć, gdzie może być. Sybilla zaczynała się zadawać ze starszymi facetami, ale to musiało pozostać tajemnicą – Ednetta nie mogła się dowiedzieć. (A już na pewno nie mógł się dowiedzieć jej ojczym, Anis Schutt. Ten człowiek potrafił sprać ją paskiem, a przy okazji dostawało się też Ednetcie). Koleżanki zastanawiały się, czy jej zniknięcie i te wszystkie pogłoski mogą mieć z tym coś wspólnego.

A może nie mają. Sybillę po prostu porwali w bocznej uliczce, wepchnęli do samochodu czy furgonetki, zabrali i przetrzymywali przez trzy dni i noc. I Bóg jeden wie, co jej zrobili.

– Mówią, że jest teraz w szpitalu, na jakimś oddziale „specjalnej opieki”. Jest podłączona do urządzeń podtrzymujących życie.

– Nie. Mówią, że uciekła z tym Jayceem.

Nie było w tym nic niezwykłego, że takie dziewczyny jak Sybilla, które nie dogadywały się z matkami, wysyłano gdzieś w nieznane miejsca. Martine zastanawiała się, czy tak było i teraz.

Gdzie jest Sybilla? Martine dręczyła tym pytaniem swoją matkę, która wciąż jej odpowiadała, że nie ma pojęcia. W głosie matki było coś wymijającego, co zdaniem Martine świadczyło, że nie jest szczerą. (Matka Martine, Cheryl, była

młodszą siostrą Ednetty. A Ednetta gównem jej powiedziała).

Kiedy Martine po raz ostatni poszła na Trzecią Ulicę, by zapukać do drzwi ciotki, Ednetta posłała jej wiązaną zdużonym przez łkanie głosem: „Cholerna dziewczyno, mówiłam ci już! Sybilli tu nie ma! Idź sobie stąd!”.

Sybilli coś się musiało stać, na pewno, świadczyło o tym zachowanie Ednetty, jej twarz naznaczona winą i to, jak szybko wybuchała złością.

Cokolwiek się stało, Ednetta o tym wiedziała. Nie chciała tylko nikomu o tym powiedzieć.

Martine nie znosiła, kiedy matki jej znajomych przeistaczały się w kogoś innego, kiedy zmieniały się ich twarze i kobiety obrzucały ją takimi spojrzeniami, jakby była kimś obcym, jakby nic ich już nie obchodziła. Mężczyźni byli inni, nie dziwiła się, że mogą się zmienić, a potem znów stać się tym, kim byli; mężczyzna mógł odejść i nigdy więcej się nie pojawić. Ale kobieta taka jak Ednetta, która była ciotką Martine, starszą siostrą jej matki, która tyle razy zajmowała się swoją siostrzenicą, niańczyła ją i całowała, zupełnie jakby Martine była jej własną córką, może nawet miłszą jej niż Sybilla? Jeśli matka w rodzaju Ednetty mogła się tak zmienić, Martine była gotowa się rozpłakać.

*

– SYBILLA? – ZAWOŁAŁA CICHKO MARTINE, PRZYKŁADAJĄC DŁONIE DO UST.

Wspinała się na palce, stojąc przed położonym na parterze mieszkaniem swojej prababci przy Jedenastej Ulicy. Nie miała pojęcia, czy Sybilla tam jest, ale jeśli gdzieś ją odesłano, było spore prawdopodobieństwo, że znajduje się właśnie tutaj. Martine też kilka razy była odsyłana do prababci Tice, kiedy matka nie miała czasu się nią zajmować lub przebywała w schronisku dla kobiet, a Martine nie chciała być tam razem z nią i innymi żalonymi pobitymi kobietami i ich dziećmi.

– Sybilla? Hej, to ja.

Z miejsca, gdzie stała, nie widziała wnętrza mieszkania, ale jeśli Sybilla tu była, to musiało być okno jej pokoju.

Gdzieś w pobliżu wściekle ujadł pies. Przeklęte stworzenie, miała ochotę je zamordować. Gdyby zamiast Sybilli to prababcia Tice podeszła do okna, zbeształaby Martine i przepędziła ją do domu.

Martine znów zawołała cicho, ale natrętnie jak gruchający gołąb:

– Sybilla! To ja, Martine.

Nagle ktoś gwałtownie otworzył okno. Sybilla wychyliła się i popatrzyła na Martine. Była zdziwiona i uszczęśliwiona, zupełnie jak mała dziewczynka.

– Martine! Jezu! Cześć!

– Sybilla! O Jezu!

To był szok – zobaczyła, że jej kuzynka została pobita.

Mało brakowało, a Martine by jej nie rozpoznała.

Sybilla miała podbite oczy i opuchniętą, pokrytą strupami górną wargę; na jednej, wygolonej brwi miała szwy, jak jakaś dziwaczna lalka z horroru, a obcięte, postrzępione włosy przypominały upiorną perukę z filmu grozy. Wyglądała, jakby ktoś ciągnął ją przywiązaną za samochodem, tak jak robiono to z czarnymi w tych okropnych czasach na Południu lub teraz w jakichś strasznych miejscach jak Teksas.

Sybilla uchyliła okno odrobinę szerzej, tak żeby mogła się wychylić i wciągnąć Martine do środka. Jęknęła lekko z bólu, twarz jej poczerwieniała, ale nie z gorąca czy wysiłku; po prostu na skutek tych ruchów musiały ją zabołec plecy. Martine złapała futrynę, przerzuciła nogi jak małpka, wślizgnęła się do pokoju i chichocząc, wpadła w objęcia Sybilli.

– Och, Martine, to ty!

– Tęskniłam za tobą, Sybilla. Dlaczego tu jesteś?

– Mama powiedziała, że muszę tu być.

Kuzynki były w tym samym wieku, tego samego wzrostu i wagi, więc Martine doznała szoku, kiedy objęła Sybillę i poczuła, jaka tamta jest chuda.

– Kurwa, kto cię tak skrzywdził, dziecinko?

– Jezu, Martine! Ciszej!

Sybilla wyrwała się z jej objęć. Musiała po cichu zamknąć okno, żeby prababcia nie usłyszała ich i nie nakryła.

Pearline Tice miała swoje lata, ale zachowała bystry wzrok i wyczulony słuch. Ludzie mówili o niej z podziwem: „Tej kobiety nikt nie nabierze”. Miała siedmioro dzieci, dwadzieścioro jeden wnuków i więcej prawnuków, niż ktokolwiek mógł zliczyć; były rozsiane nie tylko po całym stanie New Jersey, ale też po całym kraju.

– Dobrze się czujesz, Sybilla?

– Tak. Chyba jeszcze nie umieram.

Sybilla weszła na olbrzymie łóżko, które zajmowało większą część pokoju. Ledwo można było uchylić drzwi i pozostawało tylko tyle miejsca, żeby zmieściły się stara komoda i paskudny kaloryfer. Martine usiadła obok kuzynki, zdyszana i oszołomiona.

– Najgorsze jest to, że jestem sama.

Sybilla przetarła oczy. Wyglądało na to, że przed chwilą leżała w zapadniętym łóżku, śpiąc lub starając się zasnąć. Miała na sobie spraną flanelową nocną koszulę, narzucony na nią szorstki, zrobiony na drutach sweter Ednetty, a na nogach wełniane skarpetki. Powiedziała Martine, że nie ubierała się od wielu dni. („Śmierdzą jej pachy, ale nawet o tym nie wie”, pomyślała Martine). Brała środki przeciwbólowe, które mama zostawiła u babci; dostaje je trzy razy dziennie, nie wolno ich brać częściej.

Martine zrobiło się przykro, kiedy pomyślała, jak jej kuzynka cierpi. Skrzywiła się, kiedy z bliska obejrzała podbite oczy, opuchnięte policzki

i zniekształcone wargi. Znajoma twarz kuzynki wydawała się obca, Martine poczuła się tak, jakby nie mogła rozpoznać własnej twarzy w lustrze.

- Kto ci to zrobił, Sybilla?
- Ednetta powiedziała, że nie wolno mi o tym mówić.
- Dlaczego?
- Powiedzieli, że nas wszystkich zamordują, dlatego.
- Sybilla, mnie możesz powiedzieć.
- Wtedy ciebie też zamordują, Martine.

Obie dziewczynki wzdrygnęły się na tę myśl. Martine delikatnie przesunęła palcem po posiniaczonej twarzy kuzynki. Dotknęła spuchniętej wargi, która zdawała się parzyć.

– Mam szwy na wardze i na brwi. Doktor powiedział, że same się rozpuszczą, nie będę musiała wracać do tego cholernego szpitala. – Sybilla oznajmiła to z lekką nutką dumy.

– Jezus, Sybilla! Dlaczego ktoś tak cię skrzywdził?

Sybilla znów się wzdrygnęła, a potem roześmiała.

– Dlaczego w ogóle ktoś kogoś krzywdzi? Zapytaj ich.

– Niektórzy mówili, że jesteś w szpitalu albo coś gorszego. Opowiadali różne rzeczy.

– Tak? Co mówili?

Martine słyszała tyle strasznych plotek; może nie powinna ich powtarzać Sybilli? To było najgorsze – przydarzyło ci się coś złego, a wszyscy o tym wiedzieli. A jeśli to ci się nie przydarzyło albo nie w taki sposób, w jaki ludzie to opowiadali, to było jeszcze gorsze. Chciało się umrzeć – jeśli niektóre z tych rzeczy powtarzano na przykład w szkole.

Najróżniejsze rzeczy związane z seksem. Gwałtem. Upokorzeniem.

Dziewczynom było cię żal, ale myślały też: cokolwiek cię spotkało, sama sobie jesteś winna.

Chłopcy nie chcieli mieć z tobą nic wspólnego. A jeśli już, to chodziło im po głowach coś bardzo nieprzyjemnego.

– Martine? Co oni, kurwa, wygadują?

Martine zauważyła, że oddech kuzynki był przyspieszony i głośny, jakby gardło wypełniała jej flegma. Sybilla miała rozpaloną skórę i brakowało jej tchu, jakby biegła, a nie leżała w łóżku, zamknięta w dusznym małym pokoju.

– No, że karetka zawiozła cię do Świętej Anny. Ktoś znalazł cię w niedzielę rano, jak wykrwawiałaś się na śmierć, pchnięto cię nożem i zostawiono, żebyś umarła, w piwnicy fabryki konserw. Ale to pewnie nieprawda?

– Nie, nie pchnięto mnie, przynajmniej nie nożem.

Sybilla skrzywiła się i roześmiała. Poderwała dłoń i dotknęła brody, jakby śmiech spowodował, że zabolą ją twarz. Martine nie wiedziała, czy Sybilla ma uszkodzoną szczękę – była tak spuchnięta. Martine wybiła sobie kiedyś szczękę, kiedy upadła na schodach w domu, w którym wtedy mieszkali.

– Ludzie mówili, że byłaś na oddziale nagłych wypadków u Świętej Anny.

Sybilla kiwnęła głową – tak, chyba tak było.

– Przywieźli cię tam karetką na sygnale?

Sybilla kiwnęła głową – pewnie tak.

– To musiało być przerażające.

Sybilla zachichotała – nie! Wcale nie.

– Nie?

Sybilla wzruszyła ramionami, jakby nie mogła sobie dokładnie przypomnieć. Jakby to, co się jej przydarzyło, było skryte w jakiejś chmurze, mgle, która powoduje, że kaszlesz i dusisz się, ale kiedy znika, zapominasz o wszystkim.

– Rozumiesz, po prostu starasz się przeżyć. Kiedy bardzo cię boli, starasz się myśleć tylko o oddychaniu, wdech i wydech, i od nowa, tylko tyle, i to wystarczy. Myślisz: „Jezu, pomóż mi przetrwać”, nie ma czasu na banie się ani inne pierdoły.

Sybilla przytuliła się do Martine, a ta objęła ją tak, jakby obejmowała niemowlę. Sybilla nie pachniała zbyt przyjemnie. To nie była tylko woń potu, ale (być może) też stęchłej, zakrzepłej krwi.

Sybilla zapytała, co mówią o niej w szkole. Martine zawahała się, zanim odpowiedziała, że wszyscy zastanawiają się, gdzie jest, i że wszyscy jej współczują.

– Co mówią nauczyciele?

– Pytali nas. A my na to, że nie widzieliśmy cię i nic nie wiemy.

– Kręciły się jakieś gliny?

Martine pomyślała, że chyba tak, ale nie chciała tego powiedzieć Sybilli, nie chciała jej jeszcze bardziej zmartwić.

– Mnóstwo ludzi dobija się do twojego domu, pukają do drzwi. Ednetta nie chce ich wpuścić.

– Jakich ludzi?

– Nie wiem. Białych... Nie wszyscy są biali, ale wyglądają, jakby byli z hrabstwa albo z miasta, z tej cholernej opieki społecznej i innych takich. Wiesz.

– Cholerni dozorczy z opieki społecznej?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Taka kobieta, policjantka, detektyw, też tam była?

Martine nie wiedziała. Nie widziała żadnych umundurowanych gliniarzy, ale w końcu nie przesiadywała bez przerwy przed domem kuzynki.

Sybilla oddychała ciężko, z trudem. Od czasu do czasu pociągała nosem i chrząkała, jakby chciała oczyścić zatoki.

– Jezu! Sybilla, czy ty masz złamany nos?

– Nie, wszystko z nim w porządku.

– Jesteś pewna?

– Nie jestem, kurwa, niczego pewna. – Sybilla się roześmiała i zmarszczyła brwi. – Zgadnij, czyja to koszula nocna.

– Babci?

– Tak! I jej skarpetki.
– Dlaczego Ednetta cię tu przyprowadziła?
– Zapytaj ją.
– Nie mogę jej o nic spytać, jest w paskudnym nastroju. Jakby się czegoś, kurwa, bała.

– Tak, mama się boi. Ma swoje powody.

Sybilla nagle usiadła, rozpięła sweter i ściągnęła z ramion koszulę nocną, żeby pokazać kuzynce siniaki i rany na piersiach. Widok częściowo obnażonej Sybilli zaszokował Martine, zwłaszcza kiedy zobaczyła, jak bardzo została pobita. Jej małe, miękkie piersi wyglądały, jakby miały zadrzeć z bólu, gdyby tylko ich dotknęła.

– Oooch, Sybilla! Co się, do cholery...

Sybilla przekręciła się, uniosła koszulę i podciągnęła ją nad biodra. Leżała w taki sposób, że jej mały pępek w kolorze toffi skurczył się i był prawie niedostrzegalny. Miała na sobie białe bawełniane majtki, które odciągnęła palcami, pokazując Martine więcej siniaków i ran na brzuchu i miękkiej, wewnętrznej stronie ud.

– Och, kochana, zranił cię też... tam?

– Tak, bardzo mocno. Nie swoim ohydny interesem, nie wsadził go do środka, ale czym innym, pewnie palcami, jakby we mnie szperał i miał cholernie ostre paznokcie. A ja tylko wrzeszczałam, bez przerwy, tak głośno, że walnął mnie w szczękę i chyba straciłam przytomność.

– Kto?

Zmaltretowana Sybilla spochmurniała. Nie spodobało się jej to pytanie.

– Mówiłam ci już, Martine, że nie mogę powiedzieć.

– Mnie możesz.

– Nie, to głupota, nie będę cię narażać. Zresztą to nie był jeden, było ich pięciu.

– Pięciu!

– Tylu się doliczyłam, może było ich więcej. Przychodzili i odchodzili, trzymali mnie w furgonetce przez trzy dni i trzy noce. Nikt by się, kurwa, nie doliczył, ilu było tych skurwieli.

Sybilla powiedziała to dziwnym, szyderczym tonem, jakiego Martine nigdy u niej nie słyszała.

– To jacyś faceci z sąsiedztwa? Jakiś gang?

– Nie! Nikt z sąsiedztwa.

– Hercules był z nimi?

(Hercules Jones chodził z nimi do szkoły; był o kilka lat starszy od kuzynek, ale nie zdawał już tyle razy, że prawie przez cały czas był tylko o jedną klasę wyżej. Hercules rzucił szkołę, kiedy miał szesnaście lat, i teraz razem ze swoimi kumplami służył jako chłopiec na posyłki dla dilerów, grubszych ryb handlu narkotykami w Red Rock).

– Powiedziałam, że nie. Ani Hercules, ani nikt, kogo znasz.

– Więc kto?

– Mówiłam już, Martine, nie mogę ci powiedzieć. Zagrozili, że mnie zamordują, jeśli to zrobię. I moją mamę, i każdego w domu i rodzinie, a to dotyczy także ciebie.

Sybilla mówiła ze złością, jakby to było oczywiste i jasne, ale jakby mimo to jej kuzynka nie potrafiła zrozumieć.

Martine spróbowała się zastanowić. To, co mówiła Sybilla, było nieprawdopodobne, ale dla niej stanowiło logiczną całość. Nie mówiło się, jeżeli mówienie oznaczało wskazanie sprawcy lub sprawców, którzy mogli zrobić ci coś takiego, czego jeszcze nie przeżyłaś. Nawet jeśli wszyscy wiedzieli, kto, co i komu zrobił – a tak najczęściej było w Red Rock – nie mówiło się.

– Gadali jeszcze, że miałaś na sobie jakiś napis. Jakieś słowa, murzyńska dziwka, Ku Kux Klann. Podobno wypisane psim gównem. – Martine zachichotała.

To było takie dziwaczne i straszne, ale Sybilla tylko prychnęła, jakby usłyszała jakąś starą nudną historyjkę.

– Mówili, że gadałaś z gliniarzami. Że coś im powiedziałaś.

– Nie gadałam, kurwa, z żadnymi gliniarzami. Była ta kobieta, detektyw, mówiłam ci już, z Portoryko, chciała podpuścić mnie i mamę. Udawała, że jest siostrą, jedną z nas, pieprzona zdzira. Przyszła na oddział, kiedy byłam prawie nieprzytomna, mama była tam ze mną, ale udało się jej ze mnie coś wyciągnąć. Mama mówiła, że tak trzeba, ale nic poza tym. Nikogo nie oskarżyliśmy, a tego chcieli, tak mówiła mama. Trzeba iść na komendę i zgłosić, że padłaś ofiarą przestępstwa, i kogoś oskarżyć. Wtedy to spisują i nie da się już tego cofnąć. Zadają ci setki głupich pytań i zbierają dowody, takie jak w szpitalu. Robią ci zdjęcia i każą oglądać różne fotografie na komendzie. Nie odpuszczają, kiedy to się zacznie. I nie pójdę już do żadnego białego lekarza. Daliby mi jakieś środki, po których mówiłabym prawdę i nawet bym o tym nie wiedziała, ani mama. Tak mówi mama – opowiadała z przejęciem Sybilla, drżąc z podniecenia.

Zanim Ednetta zawiozła ją na Jedenastą Ulicę, zabrała ją do lekarza na Trenton, powiedziała Sybilla. Ednetta nie ufała białym lekarzom. (Dla Ednetty każdy fachowiec wyglądający na Azjatę był biały, a nawet gorszy niż biały. Patrzyli na ciebie z tym wkurzającym politowaniem, żebyś wiedziała, jaka jesteś żalosna). Ten doktor Cleveland miał na ścianie dyplom stwierdzający, że jest kręgarzem, ale wolno mu było wydawać w gabinecie środki przeciwbólowe, białe jak kreda tabletki, tak duże, że trzeba było je przekrawać nożem na pół.

– Mama powiedziała, że ten doktor Cleveland może mnie zbadać, także moją pochwę, bo bardzo mnie bolała. Ale mu nie pozwoliłam, chociaż krwawiłam tak, że musiałam zakładać cholerne podpaski. Do cholery, mam, powiedziała, mam już dość tego szperania we mnie, niech sobie szperają w twojej wielkiej, tłustej pochwie, zobaczymy, czy to ci się spodoba.

– Sybilla! Chyba nie powiedziałaś tak do matki?!

Sybilla zachichotała. Zatrzepotała sennie opuchniętymi powiekami.

– Założę się, że nie powiedziałaś do ciotki Ednetty o wielkiej, tłustej pochwie.

Sybilla znów zachichotała. Owszem, powiedziała.

– I jeszcze gadali, że to biali gliniarze tak cię urządzili. – Martine zdradziła to z wahaniem.

Sybilla zeszywniała i nie odpowiedziała.

– Biali gliniarze zgarnęli cię na ulicy i trzymali w kajdankach przez trzy dni i trzy noce w jakiejś furgonetce policyjnej; gwałcili cię i bili, a potem zostawili w piwnicy w fabryce konserw, żebyś tam umarła. To najgorsze, co ludzie mówią.

Martine miała nadzieję, że Sybilla zaprzeczy. To było takie okropne!

Ale kuzynka tylko wzruszyła ramionami.

– Ta. Pieprzone białe gliny.

Sybilla znów mówiła tym dziwnym, szyderczym, dziecinno-cynicznym głosem, jakby recytowała wyuczony tekst, którego nie znosi.

– Podobno mówiłaś, że było ich pięciu, tych białych gliniarzy.

– Pięciu albo sześciu. Albo siedmiu. Białych skurwieli, glin.

Sybilla roześmiała się i wzdrygnęła. Bolała ją szczeka.

Martine powiedziała powoli:

– Ci gliniarze dopadli cię podobno we wtorek? Tak mówi Ednetta.

– Ta, chyba we wtorek. Gdzieś koło tego.

Martine zapytała jeszcze wolniej:

– Więc jak się wydostałaś, żeby odwiedzić Jayceego w poprawczaku Mountainview? Jego siostra Shirley mówiła, że byłaś tam w piątek. W godzinach odwiedzin, w piątek rano.

Sybilla leżała nieruchomo i głośno pociągała nosem.

– Shirley mówiła, że zwiłaś ze szkoły i razem pojechałyście autobusem. Wprowadziła cię, mówiąc, że jesteś młodszą siostrą Jayceego, Colette.

Sybilla ciągle leżała bez ruchu i nie odpowiadała. Martine zastanawiała się, czy jej kuzynka czasem nie zasnęła.

Ale ostrożnie kontynuowała:

– W każdym razie tak gada Shirley. Oczywiście jeśli odwiedziłaś Jayceego w poprawczaku i podałaś inne imię, nikt nie udowodni, że to ty tam byłaś, a nie Colette. Nikt nie udowodni, że byłaś wtedy gdziekolwiek.

Martine słyszała o Sybilli i Jayceem Handlerze – nie od kuzynki, ale od innych. Jaycee miał dziewiętnaście lat, był wielki i niezdarny, z ogoloną, pokrytą bliznami głową, muskularnymi ramionami i nogami; kiedy na niego patrzyłaś, chciało ci się śmiać, nawet jeśli cholernie się go bałaś. Jaycee poznał Sybillę Frye u kogoś na osiedlu Warrena, kiedy był w ósmej klasie i miał bzika na punkcie hip-hopu. Martine nie słyszała, żeby Sybilla i Jaycee chodzili ze sobą na poważnie. Ten chłopak, zbudowany jak zawodowy zapaśnik, miał

metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów, a ona miała metr pięćdziesiąt pięć i ważyła niecałe czterdzieści pięć kilogramów. (To mogło być niebezpieczne dla Sybilli, zwłaszcza gdyby dowiedzieli się o tym jej matka i ojczym, Anis Schutt). Ale ostatniej wiosny Jaycee został osadzony w domu poprawczym Mountainview, odległym o godzinę drogi autobusem od Pascayne, pod zarzutem posiadania narkotyków i rozboju. Martine nie słyszała, żeby Sybilla odwiedzała wcześniej Jayceego, ale może po prostu była źle poinformowana.

Martine nie była zazdrosna o kuzynkę. Nawet o Jayceego Handlera, który traktował głupie małe dziewczyny jak szmaty. (Mówiło się, że jest z nim coś nie tego, bo wolał te naprawdę młode, które jeszcze chodziły do szkoły).

Mnóstwo znajomych Martine, także krewnych, siedziało w Mountainview, ale nie jeździła do nich w odwiedziny. Nigdy by tego nie zrobiła, chyba że zabrałaby ją tam matka. Nie było tam nikogo, kto by się chciał z nią zobaczyć. Z Mountainview wypuszczali każdego, kto skończył dwadzieścia jeden lat, bez względu na przestępstwo, jakie popełnił. Martine wydawało się to dziwne, ale chłopakom na pewno się to opłacało. Kiedy trafiali tam w wieku czternastu lat, z poważnymi zarzutami jak rozbój czy nawet zabójstwo, musieli w tym miejscu zostać do ukończenia dwudziestu jeden lat. Kiedy trafiali tam jako osiemnastolatki, jak Jaycee, też wychodzili po osiągnięciu pełnoletności. Takie same przepisy obowiązywały oczywiście dziewczyny w ośrodku poprawczym w Barrow. Jaki to miało sens? Trzeba by spytać tych dupków, którzy ustanawiali prawo.

Martine szturchnęła Sybillę, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, ale kuzynka, ciężko oddychając przez nos, powiedziała tylko to, co powtarzała innym:

– Wracalam ze szkoły we wtorek, uliczką obok myjni samochodowej. Szłam sama, a ktoś zaszedł mnie z tyłu i zarzucił mi na głowę takie coś, jakby kawał brezentu. Przewrócił mnie, jakbym była jakimś wściekłym kundlem, i wciągnął do furgonetki. A tam był biały gliniarz, widziałam odznakę, i pięciu innych białych gliniarzy. Albo sześciu. Właśnie tak.

Sybilla umilkła. Martine nie czuła się na siłach, by naciskać na kuzynkę, która mówiła bez emocji i wyzywająco.

– Ojej! Byłabym zapomniała!

W szkolnej torbie Martine przyniosła dla Sybilli różne rzeczy: ciasteczka czekoladowe, chipsy kukurydziane, litrową butelkę coca-coli, którą miały wypić wspólnie, fioletowy lakier do paznokci z brokatem, szczotkę do włosów i grzebienie. Sybilla łąpczywie rzuciła się na ciastka, chociaż krzywiła się, bo bolała ją szczęka. Poskarżyła się Martine, że prababcia wpycha w nią jedzenie, od którego robi się jej niedobrze: jarmuż, kaszę kukurydzianą, tłuste żeberka i to muliste świństwo, okrę. Dziewczyny razem udawały, że wymiotują.

Wkrótce Sybilla zaczęła płakać. Martine też się rozpłakała.

Tego wietrznego popołudnia, czternastego października 1987 roku,

w mieszkaniu swojej prababci Pearline Tice przy Jedenastej Ulicy wyczerpane kuzynki usnęły przytulone do siebie.

Oficer śledcza

Usłyszała to, kiedy mijała ich w korytarzu w komendzie dzielnicowej.
„To ona? Niezła szprycha, co nie?”.

Skończyła wstępny raport i złożyła go porucznikowi. Zawarła w nim wszystko, czego się dowiedziała. Nie nagrała rozmowę z Sybillą Frye i jej matką, ale „notatki”. Wygładziła żółte karteczki samoprzylepne na biurku porucznika, żeby mógł je dokładnie zobaczyć, każdą z osobna.

BIAŁY GLINA

ŻÓLTE WŁOSY

30 LAT

BYLI BIALI

WSZYSCY BYLI BIALI

Porucznik wpatrywał się w karteczki ze starannie wykaligrafowanymi literami. Potem roześmiał się szorstko.

– To właśnie mówi? Ta czarna dziewczyna? Pieprzenie.

Porucznik wierzchem dłoni zmiotł karteczki z biurka. Zagrywka, którą detektyw Iglesias postanowiła potraktować jako zabawny żart – niby szef chciał jej dopiec, ale nie na serio, a w każdym razie nie tak bardzo, by mogła zareagować zdenerwowaniem zamiast rozbawienia. Roześmiała się więc, żeby pokazać, jaka jest równa, zupełnie jak facet. Pochyliła się, starannie pozbierała drogocenne karteczki i włożyła je z powrotem do teczki opatrzonej napisem SYBILLA FRYE.

Jak długo miało to jeszcze trwać?

Czuła się jak zwierzę hodowlane – krowa, cielę czy wieprz – które prowadzą na łańcuchu na rzeź.

Dlatego że matka, Ednetta Frye, zażądała czarnej policjantki. Czarnej funkcjonariuszki.

Nie lubiła określenia „czarna”, wołała termin „Afroamerykanka”. Była też „Murzynka”, ale to słowo wyszło już z użycia.

Kiedy w ogóle o tym myślała, uważała się za Latynoskę, choć prymitywni osobnicy zwykli nazywać ją i jej podobnych Meksykańcami.

Jednak jak na amerykańską Latynoskę była zbyt biała – nie tylko z powodu koloru skóry, ale też ze względu na sposób, w jaki mówiła, i to, jak się zachowywała.

Przez całe życie, od kiedy przestała być dzieckiem, usiłowała przezwyciężyć prostackie ograniczenia swojej tożsamości: kolor skóry, pochodzenie etniczne i płeć. „Jestem kimś, kto przedstawia sobą o wiele więcej niż osoba, którą widzicie. Dajcie mi szansę!”.

Kiedy Ines Iglesias skończyła dwadzieścia lat, zaczęły ją nachodzić jakieś mgliste pomysły – wynik jej idealizmu – by służyć społeczeństwu i krajowi.

Kilku jej kuzynów (mężczyzn) zaciągnęło się do amerykańskiej armii. Wiele jej krewnych (kobiet), podobnie jak Iglesias, postanowiło zostać nauczycielkami w tak zwanych trudnych dzielnicach, pracownicami opieki społecznej, pielęgniarkami w szpitalach psychiatrycznych, siostrami Czerwonego Krzyża i psychologami w ośrodkach pomocy dla młodzieży.

Jej stryjeczny dziadek (od strony adopcyjnego ojca) był niegdyś policjantem stanowym w New Jersey. Inny krewny, także z rodziny jej ojca, był kapitanem policji Pascajny w okręgu Forest Park – pierwszy latynoski funkcjonariusz, który osiągnął tak wysoki stopień.

Kiedy skończyła akademię policyjną i zaczęła nosić mundur, poczuła, że rozpiera ją duma. Myślała: „Teraz jestem jedną z nich. I teraz jest już wiele takich jak ja”.

Oprócz kapitana Ramona Iglesiasa z okręgu Forest Park w policji miasta Pascajny służyło niewielu latynoskich funkcjonariuszy (pochodzili z Portoryko). I bardzo mało Afroamerykanów. I jeszcze mniej kobiet.

I wkrótce zaczęła słyszeć szeptów kolegów za plecami: „Jeżeli Iglesias wierzy w te brednie o gwałcie, to chyba zwariowała. Jest skończona”.

Jeździła po ulicach Red Rock.

Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że zaczyna mieć obsesję na punkcie Sybilli Frye.

Dziewczyna i jej matka.

Biały glina. Białe gliny.

„Rozmowa z panią nic nie dała. Jest pani jedną z nich”.

Nigdy nie mieszkała w Red Rock, dorastała po drugiej stronie rzeki, ledwie o kilometr stąd. O tysiąc kilometrów.

Miała szesnaście lat, kiedy w sierpniu 1967 roku w śródmieściu Pascajny wybuchły rozruchy. Przez kilka dni i nocy słychać było pojedyncze wystrzały, wybuchały pożary i rabowano sklepy. By opanować sytuację, wprowadzono stan wyjątkowy i ściągnięto Gwardię Narodową. W tych wydarzeniach, które nazwano zamieszkami rasowymi, zginęło dwadzieścia siedem osób; wśród nich

dwadzieścia cztery były czarne.

Spośród dwudziestu siedmiu ofiar co najmniej dwadzieścia nie brało udziału w rozruchach – byli to nieuzbrojeni przechodnie, którzy znaleźli się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie lub nieopatrznie wyglądali przez okna w rejonach, gdzie, według funkcjonariuszy policji, działali snajperzy. Wśród nich była trójka dzieci poniżej dwunastu lat i dwie starsze kobiety zabite w swoich mieszkaniach przez członków Gwardii Narodowej, którzy strzelali do okien.

Zginęło też („w trakcie wykonywania obowiązków służbowych”) dwóch funkcjonariuszy policji; ustalono, że padli ofiarą strzałów oddanych przez swoich kolegów.

Policjantom z Pasgayne wydano ekwipunek bojowy: nosili pojemniki z gazem łzawiącym, broń automatyczną i strzelby. Strzelali bez oporów do ludzi o ciemnej skórze, których zachowanie uznawali za podejrzane i niebezpieczne. Strzelali do przejeżdżających samochodów, w okna domów jednorodzinnych i kamienic. Wielu z nich zdjęło odznaki i zaklejało taśmą tablice rejestracyjne radiowozów. Po śledztwie przeprowadzonym po zamieszkach w sprawie niewinnych ofiar żaden funkcjonariusz nie został skazany za nieuzasadnione użycie broni.

Po sierpniu 1967 roku spora część Red Rock leżała w zgliszczach i nigdy nie została odbudowana. Ale też po owym feralnym sierpniu nowe władze miasta i nowo mianowany szef policji rozpoczęli reformy w Departamencie Policji w Pasgayne. Prowadzono kampanie, by zintegrować siły porządkowe, wdrażano programy, które miały na celu zwiększenie liczby kobiet i przedstawicieli mniejszości etnicznych wśród funkcjonariuszy. Rozpoczęła się nowa era, epoka sprawiedliwości społecznej; Ines Iglesias chciała wziąć w tym udział.

Minęło dwadzieścia lat. Liczba mieszkańców śródmieścia Pasgayne zmniejszyła się, podobnie jak i w innych częściach miasta. Red Rock nadal przypominało strefę działań wojennych.

Swoim (nieoznakowanym) radiowozem Iglesias jeździła po zdewastowanych ulicach tej dzielnicy. Parterowe drewniane domki i jednopiętrowe szeregowce z piaskowca, kościoły i jadłodajnie dla ubogich, budynki komunalne nad rzeką. Siedziby ludzkie przypominające klocki, otoczone przez puste parcele i porzucone zrujnowane domy. Nad brzegiem rzeki ciągnące się kilometrami nieczynne stare zakłady przemysłowe. Wśród nich ta fabryka konserw rybnych, gdzie znaleziono dziewczynę.

Iglesias dokładnie obejrzała fotografie z miejsca zdarzenia: schody prowadzące w dół, piwnice i zasmarowana graffiti fasada. Jak w większej części Red Rock, tak i w tej okolicy przemoc odcisnęła swoje piętno: zdewastowane ściany budynków, wybite szyby, zniszczone ogrodzenia.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego, że ciężko pobita i zgwałcona czarna dziewczyna została znaleziona w piwnicy jednej z tych przeznaczonych do

rozbiórki budowli. „Pozostawiona na pewną śmierć”, brzmiał refren powtarzany bez przerwy na ulicach. „Biali gliniarze związali ją, zgwałcili i pozostawili na pewną śmierć”. Tak mówiła ulica.

Z fragmentarycznych zeznań Sybilli Frye trudno było wyczytać, jak długo leżała skępowana w tej piwnicy. Znalaziono ślady świadczące o tym, że oddała mocz (ale tylko odrobinę) na brezencie, co sugerowało, że przebywała tam nie dłużej niż kilka godzin. Niezliczone odciski stóp na miękkim, wilgotnym podłożu należały zarówno do ludzi, jak i zwierząt, a inne liczne ślady wskazywały, że w ciągu ostatnich miesięcy przebywało tam wiele osób, ale nie było dowodów, że ktoś tam był niedawno (z wyjątkiem tego konkretnego miejsca, gdzie znaleziono dziewczynę). Tam właśnie widniały świeże odciski dwóch par stóp, choć nie były to ślady, które mogłyby pozostawić dorośli mężczyźni. W całej piwnicy rozrzucone były wyschnięte szczątki niedużych zwierząt – kości z fragmentami sierści. Wbrew plotkom krążącym po ulicach w żadnej części fabryki nie znaleziono ludzkich szkieletów.

Brudny brezent, na którym leżała dziewczyna, sznur do bielizny, którym rzekomo skępowano jej nadgarstki i kostki, ścierka do naczyń, którą podobno miała owiniętą głowę (służyła też za knebel) – to wszystko zostało zbadane przez policyjnych techników. Wyniki były niejednoznaczne. Na brezencie znaleziono rozmazane odciski palców, drobiny błota i psich ekskrementów. Iglesias nalegała, by technicy zbadali dosłownie wszystko, co znajdowało się w piwnicy, ale okazało się to niemożliwe – było tego zbyt wiele, a środki policyjne ograniczone.

Możliwe, że wśród śmieci nagromadzonych przez lata w tej piwnicy znajdował się jakiś przedmiot – na przykład butelka po napoju gazowanym lub ciśnięta gdzieś w kąt puszka – z odciskami palców Sybilli Frye. To mogłoby sugerować, że dziewczyna przyszła na miejsce zdarzenia sama. Lub w czyimś towarzystwie, ale z własnej woli.

„To, co opowiada, to kłamstwa. Jednak w każdej opowieści jest przynajmniej ziarno prawdy”.

„Powiedziała nam, że została skrzywdzona i jej życie było w niebezpieczeństwie. To chyba na pewno jest prawda?”.

„Tak. To na pewno jest prawda”.

– Pani oficer, mówiłam, że Sybilli tu nie ma. Jest w bezpiecznym miejscu, musi dość do siebie. Doktor powiedział, że przeżyła poważny wstrząs i że ma anemię, bo straciła tyle krwi.

Iglesias przyszła z nakazem przeszukania; chciała sprawdzić, czy Sybilli naprawdę nie ma w domu. Razem z dwoma funkcjonariuszami z patrolu weszła do budynku pod numerem 939 przy Trzeciej Ulicy, w którym Sybilla mieszkała razem z młodszą siostrą, bratem, matką i jej konkubentem, Anisem Schuttem.

Pani Frye gniewnie twierdziła, że dziewczyny tam nie ma.

– Proszę bardzo, pani oficer, proszę sprawdzić! Tu nic nie ma!

Iglesias stała w drzwiach pokoju dziewczyny, który był nie większy od szafy. Wąskie łóżko nakryte brudną kołdrą, gołe klepki podłogowe, szenilowa kapa, komoda, pojedyncze okno z połamaną żaluzją. Pluszowe zwierzaki, lalka Raggedy Ann z ziemistą twarzą i naderwaną nóżką. Fotografie uśmiechniętych czarnych twarzy, w większości młodych (krewni i przyjaciele Sybilli), przymocowane taśmą klejącą do wypłowiałych ścian. Resztę wolnego miejsca pokrywały błyszczące plakaty muzyków rockowych. Iglesias знаła większość z nich – ona też bardzo lubiła Tinę Tuner i Whitney Houston.

– Pani Frye, proszę powiedzieć, gdzie jest Sybilla. Może potrzebować opieki lekarskiej. Powinna pani współpracować przy dochodzeniu.

Ednetta stanęła za Iglesias; była zdyszana i wściekła. Ledwie słyszalnie wymamrotała słowa, które brzmiały jak „cholerna suka”.

Iglesias poczuła, że czerwienieje jej twarz, ale mówiła spokojnie i bez urazy.

Powiedziała Ednetcie Frye, że jej córka rzuciła poważne oskarżenia i że w końcu zostanie ustalone, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Byłoby lepiej dla Sybilli i pani, gdybyście zaczęły współpracować. Chodzi nam jedynie o dobro pani córki.

Ednetta prychnęła szyderczo. Po wdrapaniu się na schody dyszała mocno.

– Pani oficer, lepiej niech już pani sobie idzie. Widzi pani, że Sybilli tu nie ma, tak jak mówiłam.

– A gdzie jest? U krewnych?

Ednetta zmarszczyła brwi. Sposób, w jaki spojrzała na Iglesias, świadczył o tym, że właśnie tak było. Wysłała Sybillę do krewnych. I pewnie niezbyt daleko stąd.

– Jest tam, gdzie będzie bezpieczna. Będziemy miały same kłopoty, jak pani nie przestanie jej ścigać.

Iglesias bolało, że Ednetta Frye tak jej nie lubi i nie ufa. Wydawało się, że nie może nic zrobić, aby zmienić nastawienie tej kobiety.

Potrafiła zrozumieć niechęć mężczyzn – w tej kulturze powszechnie pogardzali oni słabszą płcią. Ale niechęć innej kobiety, tak podobnej do niej samej – w zasadzie takiej samej jak ona – była czymś zupełnie innym.

– Obie pragniemy dla Sybilli jak najlepiej, pani Frye. Bardzo bym chciała, żeby zaczęła pani współpracować przy śledztwie. I ze mną. Chciałabym, żeby mi pani pomogła.

– Żaden gliniarz nam nie pomoże. Żaden biały gliniarz nie aresztuje drugiego białego gliniarza.

„Ale ja nie jestem białym gliniarzem”, pomyślała Iglesias.

Przekonała się, że Sybilli nie ma u matki, ale i tak należało przeszukać cały dom. W wilgotnej, cuchnącej piwnicy, do której zeszła po chybionych schodach, trzymając latarkę w dłoni, poczuła instynktowny dreszcz odrazy do ludzi, którzy mieszkają w takich warunkach. Ludzi, którzy nie potrafią lepiej

pokierować swoim życiem.

Następnego dnia Iglesias odnalazła dziewczynę w mieszkaniu babki pani Frye, w bloku przy Jedenastej Ulicy.

Białowłosa starsza pani, Pearline Tice, powiedziała, że jej prawnuczka odpoczywa i nie może rozmawiać z kimś obcym, ale policjantce udało się przekonać staruszkę, żeby otworzyła drzwi do pokoju, w którym Sybilla leżała na łóżku. Dziewczyna była przykryta kołdrą pod samą brodę i patrzyła na Iglesias lodowatym wzrokiem; nie zareagowała na jej pozdrowienie.

Nadal miała sińce na twarzy, ale jej oczy nie były już tak opuchnięte jak wtedy, kiedy Iglesias widziała ją ostatni raz. Wyglądałaby prawie zupełnie normalnie, gdyby nie szwy na wardze i nad brwią.

Umyte i wyszczotkowane mocno kręcone ciemne włosy miała związane wstążką.

– Sama pani oficer widzi, Sybilla ma się dobrze. Nie jest chora, musi tylko dojść do siebie. Jej matka nie chce, żeby szła do szkoły, zanim się nie wzmocni.

Iglesias zapytała grzecznie, czy może zadać Sybilli tylko jedno lub dwa pytania, na co Pearline Tice odparła ostro, że policjantka powinna pytać ją, a ona z kolei wypyta dziewczynę.

W taki sposób Iglesias przeprowadziła coś w rodzaju przesłuchania – przesłuchania, które nie miało żadnej wartości procesowej.

Zapytała, czy Sybilla mogłaby coś dodać do opisu białych gliniarzy lub furgonetki, w której była przetrzymywana. I czy zgodzi się, by przyszedł do niej lekarz i ją zbadał, bo oględziny na oddziale w szpitalu Świętej Anny nie zostały dokończone.

Pearline Tice zamknęła drzwi sypialni i zaczęła naradzać się z Sybillą. Iglesias nie słyszała, co mówią do siebie ściszymi głosami stara kobieta i jej prawnuczka. „Ale przynajmniej ją wreszcie znalazłam. I ciągle żyje”, pomyślała.

Dowiedziała się o Pearline Tice, wpytując sąsiadów Ednetty Frye. Kiedy przyjechała na Jedenastą Ulicę do zniszczonego starego bloku, który wyglądał, jakby był niezamieszany, wydawało się jej, że Sybilla Frye wcale nie leżała w łóżku, tylko oglądała telewizję we frontowym pokoju; dopiero kiedy Pearline Tice wpuściła Iglesias do mieszkania, telewizor został wyłączony i Sybilla szybko schroniła się w sypialni znajdującej się w głębi mieszkania.

– Pani oficer, Sybilla teraz źle się czuje, nie ma siły rozmawiać. Jeśli ma zostać przesłuchana, musi tu być Ednetta. Więc proszę już sobie pójść.

Tak szybko! Już ją wyprasza ją.

Iglesias była przyzwyczajona do przesłuchiwanie ludzi, którzy chcieli ją okłamać, którzy twierdzili, że nic nie pamiętają, i czasem zasłaniaли się przy tym słabym zdrowiem. Funkcjonariusz policji powinien spodziewać się oszustwa, nie może sobie pozwolić na naiwność. Jednak przypadek Sybilli Frye

zbił Iglesias z tropu. Nie wierzyła w historię, którą od niej usłyszała, ale wierzyła, że istniała jakaś inna historia, którą dziewczyna chce ujawnić. Oznajmiła Pearlina Tice, że Sybilla powinna zostać zbadana przez lekarza dokładniej, niż zrobiono to w szpitalu na oddziale ratunkowym. Nie sprawdzono wtedy, czy została zgwałcona, a teraz było już na to za późno. Ale istnieje niebezpieczeństwo infekcji, chorób przekazywanych drogą płciową, komplikacji wywołanych ranami...

– Sybillę zbadał już doktor, do którego zabrała ją matka. Czuje się dobrze i tylko odpoczywa, mówiłam już.

– Doktor? Wasz domowy lekarz? Kto to? Proszę mi podać jego nazwisko...

– Musi pani zapytać o to Ednetę.

Pani Tice była uparta. Iglesias zanotowała: „lekarz?”.

Prawdopodobnie matka zabrała Sybillę do czarnego lekarza, który praktykował w sąsiedztwie. Iglesias miała nadzieję, że jest dobrym fachowcem. Drżała na myśl, że Sybilla Frye mogła się zarazić wirusem HIV i dowie się o tym, kiedy będzie już za późno.

Za plecami Pearlina Tice, w odległości nie większej niż półtora metra, dziewczyna w łóżku wpatrywała się w Iglesias nieruchomym wzrokiem. Spojrzenie spod zaczerwienionych powiek nie było otwarcie wyzywające czy bezczelne, ale delikatne wygięcie spuchniętej górnej wargi sugerowało, że Sybilla próbuje uśmiechnąć się szyderczo. „Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą porozmawiała! Nie możesz, kurwa, zmusić mnie do niczego, na co nie mam ochoty”.

W pokoju z jednym oknem nie było żadnych mebli oprócz komody, w przegrzanym powietrzu unosiła się woń spoconego ciała i pościeli, która wymagała zmiany.

Iglesias spróbowała zwrócić się do dziewczyny ponad ramieniem jej prababci, ale Pearlina Tice zatarasowała jej drogę i stanowczym ruchem zamknęła drzwi.

– Pani oficer, ta dziewczyna nie jest przestępcą. Ona jest ofiarą. Ani pani, ani nikt inny nie ma prawa jej dręczyć. Proszę już sobie iść.

– Pani Tice, czy mogę pomówić z panią? Pani prawniczka została znaleziona w ciężkim stanie, oskarżyła „białych gliniarzy” o to, że wielokrotnie ją zgwałcili, pobili i zostawili, żeby umarła... Musi pani zrozumieć, że nadal potrzebuje opieki lekarskiej i powinna otrzymać pomoc psychologiczną. Ktokolwiek ją skrzywdził, popełnił poważne przestępstwo i musi zostać zatrzymany. Nie możemy udawać, że nic się nie stało...

Pearlina Tice odprowadziła Iglesias do drzwi. Stara kobieta miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, była drobna i krucha, ale nadrabiała to siłą, jaką dawało jej wzburzenie.

– Pani Tice, co pani wie o tym, co przydarzyło się Sybilli? Co one pani powiedziały?

Pearlina Tice otworzyła drzwi na korytarz i czekała, aż Iglesias wyjdzie.

Twarz pomarszczona jak zmięta miękka rękawiczka, srebrzyste cienkie włosy zaplecione w warkoczyki sięgające do ramion i spojrzenie świadczące o inteligencji, czujne i ostrożne. Iglesias zrozumiała, że wiekowa pani była z natury uprzejmą i sympatyczną kobietą; najwyraźniej to, że musi być niemiła dla gościa, sprawiało jej ból.

„Biały glina. Białe gliny. Wrogowie”.

Pearline Tice dotknęła ręki Iglesias i ścisząc głos, jakby czytała w jej myślach, powiedziała:

– Pani oficer, jak to możliwe, że jest pani jedną z nich? Przecież musi pani wiedzieć, że policjanci z Pasgayne to rasiści, którzy zachowują się podle w stosunku do czarnych, jeśli wiedzą, że ujdzie im to płazem. Nadal traktują nas jak zwierzęta, zabijają nas tak samo jak w czasie zamieszek w sześćdziesiątym siódmym. Może zginęło nas ostatnio trochę mniej, dlatego nazywają to postępem. Jak Sybilla powie, co jej zrobili, już nigdy nie będzie bezpieczna w Red Rock. Ani jej matka, ani nikt z jej rodziny. Nasz pastor powiedział, że jeśli będzie świadczyć, znajdzie się w niebezpieczeństwie. Trudno jej będzie wrócić do szkoły, gdzie wszyscy o niej gadają. Mówi pani, że są funkcjonariusze tacy jak pani, którzy chcą jej pomóc. Ale nigdy nie znajdą tych, co to zrobili, dobrze o tym wiemy. Żaden biały gliniarz nigdy nie zostanie aresztowany za to, że skrzywdził czarną dziewczynę. Zamiast tego są pewnie przenoszeni do jakiejś innej komendy, gdzieś do jakiegoś południowego hrabstwa w New Jersey, gdzie nadal działa Klan. – Pani Tice się roześmiała. Ciągle dotykała ręki Iglesias w jakiś dziwny, poufaly sposób.

– Pani Tice, jeśli nic nie zrobimy, temu, kto skrzywdził Sybillę, ujdzie to na sucho. Jeśli napastował ją seksualnie, znów to zrobi. Albo zrobią.

Pani Tice spoważniała i powiedziała ponuro:

– Tak, proszę pani. Znowu to zrobią. I nikt ich nie powstrzyma.

Anioł Gniewu

Ednetta mówi mi: Anis, moja córka została pobita.

Powiedziała, że to biali mężczyźni skrzywdzili Sybillę, biali gliniarze – pięciu czy sześciu porwało ją, ukryło, zgwałciło i pobiło. Związali ją jak prosiaka i zostawili w piwnicy fabryki konserw na pewną śmierć.

A potem patrzy na mnie. Przestraszona, oczy we łzach, cała twarz jakby się rozpływała, usta sine.

Anis? Słyszysz, co mówię? To zrobili biali faceci.

A ja jestem... Jestem w kuchni. Odwróciłem się na krzesło i tak mocno przechyliłem się do tyłu, że złamałem całkiem solidne oparcie. Cholerna noga, bardzo mnie boli, ten ból pojawia się tak nagle.

Anis? Dlatego jej nie było. Sybilla zniknęła, bo biali gliniarze zatrzymali ją na ulicy, tak mówi. Wracała ze szkoły w czwartek, kiedy ją zatrzymali. Przez cały ten czas, kiedy jej nie było, to właśnie ci biali ją mieli.

Anis, to właśnie wtedy jej szukałam. Przez cały czas szukałam Sybilli po ulicach i błagałam ludzi, żeby pomogli mi ją znaleźć. A ona była w ich łapach.

I Ednetta patrzy na mnie tym swoim spojrzeniem. Twarz ma rozmazaną, jakby ktoś wycierał w nią palce.

Ednetta dyszy i trzyma rękę na piersiach, jakby się bała, że wyskoczy jej serce.

Anis, mówi, wypisali jej na ciele straszne rzeczy. Psim gównem, na ciele! Tak nas nienawidzą, jesteśmy dla nich jak psy. CZARNA KURWA KU KUX KLANN. Zupełnie jak czarni na Południu, których wieszali na drzewach, cięli nożami i palili żywcem.

Sybilla wyszła z tego z życiem, jacyś ludzie znaleźli ją w fabryce konserw. Karetka zabrała ją do szpitala, do Świętej Anny. Do końca życia będzie miała blizny na twarzy. Nigdy nie aresztują tych glin. Podobno prowadzą śledztwo, ale to tak dla głupich żartów. Anis, tak się boję.

Płacze z zamkniętymi oczami, podchodzi do mnie i chce, żebym ją objął, a moje ramiona są takie ciężkie, jak z ołowiu. I staram się zrozumieć, co ta kobieta wygaduje. „Co ona wie, dlaczego używa takich słów? Biali to zrobili. Biali gliniarze”.

Ednetta ukrywa twarz na mojej piersi. Nie chce, żebym widział jej oczy. Opiera się na mnie, jakby była pijana albo wzięła te swoje cholerne proszki. Łzy plamią mi koszulę, nie mam sił podnieść rąk i odepchnąć tej kobiety. Zapach jej sztywnych tłustych włosów uderza mnie w twarz. Chcę złapać tę kobietę, zacisnąć palce na jej grubych ramionach i potrząsnąć, tak jak potrząsa się płaczącym niemowlęciem, żeby wreszcie zamknęło się na dobre.

Żeby czterdzieści lat cierpieć męki z powodu tego pierdolonego czarnopiórego sępa – Anioła Gniewu!

Mówi mi: „Zabij jednego z tych białych gliniarzy. Wiesz, że sam do siebie nie będziesz miał szacunku ani nikt inny nie będzie szanował Anisa Schutta, jeśli w końcu tego nie załatwisz. Powinieneś był to zrobić, kiedy byłeś młodym chłopakiem, a oni zastrzelili Lyandera na ulicy. Co oni z tobą zrobili, i jeszcze musiałeś stawać za świadka. A nie jesteś już chłopcem, czarnuchu”.

Pięćdziesiąt dwa lata. Chryste, ale jesteś stary.

Nigdy bym nie pomyślał, że Anis Schutt dożyje takiego wieku.

Pękło mi coś w gardle, kiedy bili mnie gliniarze, i ludzie nie słyszą mnie, kiedy próbuję mówić. Mój głos jest jak szmer wiatru w wysokich trawach. Doktor powiedział, że to zapalenie tchawicy.

„Pierwsze, co pamiętam, to ta stopa; stopa w ciężkim bucie i kopniaki. Nie pamiętam, skąd się tam wzięłam – leżałam na chodniku. Gliniarze musieli mnie schwycić od tyłu, a reszta chłopaków ziała. Rzucili mnie na ziemię, jeden z nich mnie kopał, a drugi butem przyciskał mi szyję. Nadepnął na nią tak, jakby chciał mi połamać wszystkie kręgi, inni gliniarze zaczęli krzyczeć, żeby lepiej przestał. I zostawili mnie tam. Ktoś przechodził i pomógł mi wstać; powiedział, że gliniarze szukali jakiegoś innego czarnego chłopaka; masz cholerne szczęście, Anis Schutt, że nie chodziło im o ciebie.

Ze wszystkich braci i kuzynów chyba tylko Anis Schutt jeszcze żył. Jeden syn zabity, drugi w Rahway, nawet nie warto o tym myśleć. Wszystkie córki dorosłe, wyprowadziły się, ułożyły sobie życie bez swojego tatki, pieprzyć je, tak jest lepiej, Anis nie będzie zebrał o łaskę u nikogo. Co innego siostry i kuzynki – kobieta zawsze znajdzie sposób na przeżycie, nawet jeśli by musiała się czołgać jak pies. Ale z mężczyzną nie taka łatwa sprawa.

Białe gliny. Ilu ja znałem ludzi, których zabili, pobili lub wsadzili do więzienia. Nawet moi synowie...

I nieważne, jaką naprawdę mają skórę – bo każdy glina jest biały.

Musi być. Bo jak nie, to nie zostanie gliną.

A ten pierzasty czarny stwór gada: „Twój czas się kończy, Anis. Starzejesz się, niedługo będziesz żalonym dupkiem”.

Biorę te tabletki przeciwbólowe, które przynosi Ednetta, na artretyzm, ten kurewski artretyzm w rękach, nogach, biodrach. To te jazdy na śmieciarce w deszczu, kiedy robiłem w oczyszczaniu miasta. A gdy po raz ostatni rzuciłem robotę, powiedzieli: „Anis, jak znów nawalisz, możesz już tu nie wracać”. A ja im na to: „Macie rację, skurwysyny, nie mam zamiaru tu wracać”.

Ednetta mówi mi, ta kobieta, glina, przyszła do domu i szukała Sybilli, chciała z tobą pogadać, Anis. Ja jej na to, że rzadko tu bywasz, Anis. Bo to przecież

prawda.

I mówię jej, że jesteś dobrym ojcem dla moich dzieci. Bo to prawda.

Wiem, co Ednetta chce, żebym jej powiedział, ale niedoczekanie! Kurwa, nie będę tańczył, jak mi zagra.

Myśli, że mnie ratuje. Że chroni mnie, Anisa Schutta, przed glinami.

Ednetta to dobra kobieta, jak się zatka jej gębę poduszką. Kiedy za dużo gada, to się podnieca, oczy wyłażą jej na wierzch, pot spływa po twarzy. Wiem, że z niej dobra kobieta, miłosierna chrześcijanka, i że mnie kocha.

Przez tyle lat z nią żyję i ani razu nie spytała mnie o moją żonę Tanę ani o żadną inną kobietę.

Tana. Szalałem za nią, a okładałem ją pięściami, aż przestała wrzeszczeć, przestała się ruszać, rozwaliłem jej twarz, taką piękną twarz. I jej śliczne oczy, którymi potrafiła spojrzeć na mnie tak wrogo.

Gniew zapłonął we mnie jak gaz na kuchence, który długo nie chce się zapalić, a potem nagle wybucha wysokim płomieniem. Nie wiedziałem, co się stało, dopóki nie zobaczyłem tego, co zrobiłem, i zrozumiałem, że to moja sprawka, niczyja inna, tylko moja.

„Anis, co ty zrobiłeś? Anis, co ty zrobiłeś swojej żonie?”

Tana, moja jedyna prawdziwa żona. To było tak dawno. Po niej było tyle kobiet, że trudno zliczyć i spamiętać. Tylko ona coś dla mnie znaczyła, pierwsza kobieta, do której czułem coś takiego. Szalałem za nią i kiedy ją zabiłem, zabiłem też to uczucie.

Ednetta mówi mi, że kobieta kocha swojego mężczyznę bardziej niż swoje dzieci. Jeśli jest prawdziwą kobietą. Anis, ja tak cię właśnie kocham.

Kłęczy na kuchennej podłodze i płacze. Obłapia mnie za nogi, jakby się bała, że odtrącę ją kopniakiem.

Dziewczyna jest za młoda, żeby tak się kurwić, a jej matka nie potrafi nad nią zapanować. Nie powiem jej tego, sama wie najlepiej, że jest temu winna.

To było w piątek, bardzo późno, w środku nocy. Wróciłem do domu, byłem pijany, ciążyły mi głowa, ręce i nogi. A ta kobieta płacze, moczy mi koszulę, pada na kolana i błaga. Anis, nie przestawaj mnie kochać, proszę, Anis, kochaj mnie, ja nic nie mówię, a ona wciąż to powtarza i błaga, Anis, ty mnie kochasz, prawda?, więc mówię: Tak, do cholery.

To było po ulewach, kiedy wylała ta pieprzona rzeka. Ulice zamieniły się w strumienie, szkołę zamknęli, w klasach na parterze stała oleista woda, nie było prądu. Nasza banda ganiała po Trenton Avenue, gdzie już wcześniej pozamykali sklepy, ale nie wszędzie żelazne żaluzje były opuszczone do samej ziemi i można było wybić szybę i dostać się do wnętrza, jak do sklepu z alkoholem, który ludzie zdążyli już opróżnić, zanim tam dotarliśmy. Wtedy podjechał radiowóz i gliniarze rzucili się na nas, wrzeszczeli, mieli broń. Na

ulicach było pełno wody, zalewała chodniki, mieszała się z deszczem, nurt zbijał cię z nóg. I wszędzie ciemności – nie było świateł, tylko latarki glin. Słup się przechylił, jakby miał zaraz runąć, i zerwany kabel zwisał zanurzony w wodzie. Jeden z gliniarzy mówi do Oscara – był najstarszy z nas i największy, chociaż nie miał więcej niż czternaście lat – chodź tu i podnieś ten kabel. Oscar chce się roześmiać, niby że gliniarz żartuje (nikt z nas nie wierzył, że żartuje), ale gliniarz znów to powtarza, ty durny czarnuchu, rusz dupę i podnieś ten kabel. A Oscar się boi, wszyscy się boimy odwrócić plecami do białych gliniarzy, którzy trzymają nas na muszce, nie chcemy ich sprowokować, żeby strzelili nam w plecy (to się zdarzało, również ludziom, których znaliśmy; czasem gliniarze mówili ci, żebyś uciekał, a potem strzelali). W końcu Oscar wlaźł do wody, nawet nie zdążył dotknąć kabla dłonią, tylko brodził w kałuży, i prawie natychmiast zajął się płomieniem, bo nadepnął na przewód, który był pod napięciem, i został porażony, nawet nie zdążył krzyknąć i zwałił się, płonąc żywcem, do tej ohydnej wody.

A gliniarze, wciąż wydzierając się na nas, wsiedli do radiowozu i odjechali. To było w 1947. Miałem dwanaście lat.

Ciała leżały na ulicach i w zaułkach, tam gdzie dosięgły ich kule. Biali gliniarze kazali uciekać, a potem strzelali w plecy. W sierpniu 1967 roku mówili, że to się rozlało od Newark. To, czyli „zamieszki rasowe”. Czekali, aż i Pascayne stanie w płomieniach – gliny ćwiczyły użycie gazu łzawiącego za komendą w Red Rock; smród był tam taki, że człowiekowi robiło się niedobrze, wszędzie w okolicy było go czuć; gliny miały nadzieję, że tu też wybuchną rozruchy, a burmistrz powiedział w telewizji, że siły policyjne dostały rozkaz, by strzelać tak, aby zabić, jeśli dojdzie do podpaleń i rabunków takich jak w Newark i Detroit. Policja stanowa i Gwardia Narodowa, gdzie służyli chłopacy ze wsi, którzy nigdy z bliska nie widzieli Murzyna, a teraz strzelali z karabinów do czarnych twarzy w oknach. Po kilku godzinach pożarów i strzelaniny w Pascayne wprowadzono stan wyjątkowy, co oznaczało, że gliny mogły zabić każdego, bez względu na wiek – od niemowląt po starców – jeśli tylko był czarny. Odpowiedziano im ogniem, padło mnóstwo strzałów, wzniecano pożary, rzucano koktajlami Mołotowa w radiowozy. Strażacy w swoich wozach też byli uzbrojeni, ale potem wozy strażackie przestały przyjeżdżać do Red Rock i ogień rozprzestrzenił się bez żadnej kontroli. Nasze matki krzyczały: „Nie! Nie! Nie! Spalicie nas żywcem!”. A jeśli wyszedłeś na ulicę, a byłeś czarnym chłopakiem, nieważne w jakim wieku, mieli prawo cię zastrzelić, tak jak mojego brata Lyandera. A jeśli stałeś w oknie, a na dachu twojego domu był snajper, też mogłeś zginąć. Czterdzieści, pięćdziesiąt strzałów oddanych w kierunku sypialni, gdzie została zabita stara babka i jej wnuczka. Gliniarze i żołnierze strzelali (także z broni maszynowej) w zaciemnione i oświetlone okna, do samochodów na ulicach, do ludzi uwięzionych na klatkach

schodowych, którzy schronili się tam przed strzelaniną, do jakiejś pary, która biegła do domu, żeby zdążyć przed godziną policyjną, a za to wszystko rzekomo odpowiadali czarni snajperzy.

I zjawiał się czarnoskrzydły Anioł Gniewu, i od tej chwili donośnym głosem o każdej godzinie każdego dnia powtarzał: „Musisz zabić białego glinę, Anis. Nie umrzesz śmiercią sprawiedliwego, jeśli tego nie uczynisz”.

Dobry sąsiad

Mijały dni, minął tydzień, a potem dwa – a ona czekała.

Czekała na właściwy moment. Nie chciała być natarczywa czy bezczelna. Bo nie była natarczywa ani bezczelna. To nie leżało w charakterze Ady Furst.

Czekała, aż matka, Ednetta Frye, do niej zadzwoni albo przyśle jej jakąś wiadomość. Chociaż tyle. Kilka słów z podziękowaniem, że uratowała życie Sybilli Frye, i zaproszenie, żeby Ada Furst przysłała je odwiedzić.

„Ta biedna dziewczyna, Sybilla Frye? To ja ją znalazłam.

Była związana jak prosię w fabrycznej piwnicy. Zostawiona na śmierć przez białych gliniarzy, którzy ją pobili i zgwałcili.

Słyszałam, jak woła o pomoc. Nikt inny jej nie słyszał”.

Nie mogła teraz zamknąć oczu, żeby nie słyszeć żałosnego płaczu dziewczyny. Brzmiał jak skowyt uwięzionego zwierzęcia. Nie mogła zamknąć oczu, żeby nie widzieć, jak leży związana na boku, na brudnym brezencie.

A oczy dziewczyny (podbite, opuchnięte) wpatrywały się w nią z przejęciem i nadzieją.

„Gdyby nie ja, Sybilla Frye już by nie żyła”.

Pobiegła po pomoc. Biegła i tak krzyczała, że kobieta z sąsiedniego bloku zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

Potem wróciła do dziewczyny i czekała na sanitariuszy. Zawołała, kiedy przyjechali, żeby od razu do nich trafili.

„Usłyszałam w nocy, jak płacze. Wiedziałam, od razu wiedziałam, że musiało się stać coś strasznego...”.

W Red Rock nie mówiono o niczym innym, tylko o tej dziewczynie i białych gliniarzach, że ją zgwałcili, pobili i zostawili na pewną śmierć, ale później to się zmieniło i ludzie nie zajmowali się już tak bardzo historią Sybilli Frye.

Ada codziennie z niecierpliwością przeglądała lokalną gazetę, szukając wiadomości o Sybilli, jakichś fotografii i swojego nazwiska (w końcu chodziło o nazwisko osoby, która uratowała dziewczynę i została nawet przesłuchana przez policjantów na miejscu zdarzenia). Ale nic nie znajdowała. Kilka razy dziennie słuchała wiadomości w radiu, włączała telewizor, żeby obejrzeć dziennik – i ciągle nic.

„Nikogo nie aresztowali! Udają, że nic się nie stało!”.

Praktycznie w każdym wydaniu „Pascayne Journal” były informacje i artykuły o napadach, gwałtach i morderstwach. Kiedy siedemnastoletnia (biała) dziewczyna zniknęła ze swojego podmiejskiego domu w Summit, przez kilka dni informowano o tym na pierwszej stronie. Wypadek na autostradzie, kiedy kierowca ciężarówki stracił panowanie nad pojazdem, wpadł na samochód, którym podróżowała (biała) rodzina, i zabił lub ciężko ranił kilkoro

dzieci... Jednak dotychczas, z tego, co wiedziała Ada, nie pojawił się żaden artykuł o Sybilli Frye.

Zastanawiała się, czy nie powinna sama skontaktować się z gazetą. A może napisać list – tylko czy go podpisać, czy wysłać jako anonim?

Była też lokalna stacja telewizyjna – WNJN. Chodziły słuchy, że śliczna afroamerykańska prezenterka popołudniowych wiadomości mieszkała swego czasu w Red Rock. Ada pomyślała, czy nie udałoby się zainteresować tej młodej kobiety historią Sybilli Frye...

„Haniebna napaść «białych glin» na czarną dziewczynę i żadnego artykułu w prasie, żadnych aresztowań. Jak zwykle.

Kim jestem? Sąsiadką. Gdyby nie ja, dziewczyna już by nie żyła”.

Ada stała przy oknie w sypialni. Nieopodal rzeka Passaic płynęła swym powolnym nurtem, jak kolorowy płynny ołów. Kiedy Ada lekko przymknęła oczy i znieruchomiała, w tle bicia swojego serca słyszała ciche, pełne skargi zawołanie: „Pomóżcie mi... Pomocy”.

– Ada? Możesz przyjść i mi pomóc? Co ty robisz?

Mama ją woła, jest zdyszana, ma urywany oddech. Ada musi pomóc jej wstać, żeby matka, korzystając z chodzika, mogła pójść do łazienki. I tak kilkanaście razy dziennie, albo i więcej. Starła się nie liczyć. Tak jak na zastępstwach w szkole (zwykle nie była zupełnie anonimową postacią, chociaż niewielu uczniów kojarzyło „pannę Furst”), gdzie starła się nie liczyć tych, którzy jej słuchali (niektóre uczennice nawet uważnie, w ten pełen nieśmiałości, charakterystyczny dla czarnych dziewcząt sposób, który przypominał jej ją samą w młodości), i tych, którzy z premedytacją, bezczelnie nie zwracali na nią uwagi.

Każdego dnia mama coraz ciężiej wspierała się na ramieniu Ady.

– Ta Ednetta Frye niezbyt miło się zachowuje, prawda? Powinna już do ciebie zadzwonić.

Takie słowa ją parzyły, jakby ktoś przyłożył pokrzywę do jej wrażliwej skóry. Matka sapie i uśmiecha się złośliwie, wiedząc, co Ada czuje, kiedy Frye’owie ją ignorują.

– Jakbyś nic dla nich nie zrobiła, jakby o tobie zapomniały. Czułabym się nietęgo, gdybym była na twoim miejscu.

Ada odpowiada, uśmiechając się nieszczercze:

– No cóż, mam, nie jestem tobą.

Dwa lub trzy razy w tygodniu Adę Furst wzywano na zastępstwa do szkół w Pascajnie. W większości wypadków dzwono do niej w ostatniej chwili, ponieważ nauczyciele, których miała zastąpić, zgłaszali chorobę na godzinę lub dwie przed rozpoczęciem zajęć.

„Halo? Ada? Czy możesz przyjechać do podstawówki Edson na ósmą trzydziestą, do szóstej klasy? Nauczyciel jest...”.

„Oczywiście, dziękuję. Będę”.

Zdarzało się, że Adę wzywano w inne rejony miasta, czasami nawet na zamieszkałe głównie przez białych przedmieścia, ale nie tak często jak do Red Rock. „To logiczne – myślała Ada – przecież mieszkam w Red Rock”.

Szkoły w tej dzielnicy były najbiedniejsze. Co też było zrozumiałe.

Większość nauczycieli w szkołach państwowych w Red Rock była czarna. Zdarzali się Latynosi i nieliczni biali, ale trudno było nie zauważyć, że właśnie spośród nich najczęściej wywodzili się dyrektorzy.

Ada nie chciała rozważać, czy kwoty na czekach, które otrzymywała za zastępstwa, były niższe niż zapłata, jaką dostawali za podobną pracę inni nauczyciele, zwłaszcza biali. Nie zastanawiała się, czy były niższe niż pensje pedagogów zatrudnionych na etatach.

Zawsze cieszyła się opinią dobrej, godnej zaufania nauczycielki. Nawet jeśli „panna Furst” nie zawsze potrafiła zapanować nad porządkiem w klasie (bo starsi uczniowie czasami nie chcieli się jej podporządkować), można było na niej polegać – uczyła tego, co było w programie, i chroniła słabszych przed agresywniejszą młodzieżą. Można było liczyć, że zjawi się o czasie, starannie sprawdzi listę obecności i wypełni odpowiednie papiery.

Dbała o wygląd i ładnie się ubierała. Była uprzejma, inteligentna i miła.

Jednak od czasu zdarzenia z Sybillą Frye Ada Furst zaczęła rozmawiać w szkołach, gdzie miała zastępstwa, o napastowanej dziewczynie. Ze wszystkimi nauczycielami i urzędnikami, którzy chcieli jej wysłuchać. Spokojna, przyjacielska i skromna Ada stała się porywcza. „Ta biedna dziewczyna! Porwana, pobita, zgwałcona i pozostawiona, by umrzeć. A gazety nic o tym nie piszą, ani słowa. Nikogo nie aresztowali”. Ada mówiła tak, jakby czuła się osobiście dotknięta tym nieszczęściem; wierzyła, że ludzie, którzy jej słuchają, odbierają to w podobny sposób, i była zdziwiona i skonsternowana, kiedy spotykała się z odmienną reakcją.

Ostrzeżono ją, by nie wspominała o Sybilli Frye, bo któryś z uczniów mógłby ją usłyszeć. Nie powinna niepokoić i martwić zwłaszcza młodszych dziewczynek.

W szkole podstawowej Edson koleżanka, która uczyła przyrody w ósmej klasie, wzięła Adę na bok i ostrzegła ją, że „sytuacja” Sybilli Frye nie jest najlepszym tematem do rozmów; kiedy Ada zapytała dlaczego, usłyszała wymijającą odpowiedź:

– W tej historii może być coś nie tak, Ada. Nikt niczego nie wie na pewno.

– Nie tak? O co ci chodzi?

– O to, co ta dziewczyna opowiada. I co mówi jej matka. To, co słyszeliśmy... To wszystko trudno potwierdzić.

– Oczywiście, że to trudno potwierdzić. Dziewczyna jest zbyt przerażona, by złożyć zeznanie na policji, przecież gwałcicielami byli biali gliniarze.

Ada Furst zwykle nie wypowiadała się z taką pasją na żaden temat. Zwykle nie czuła się tak sfrustrowana i zdezorientowana, jakby lada chwila mogła

wybuchnąć płaczem.

– No cóż, chyba nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że rozmawiasz z uczniami o Sybilli Frye. Musisz zachować obiektywizm...

– Zachowuję! Przecież jestem obiektywna.

Ada odeszła obrażona i dotknięta. Nie mogła ścierpieć, że jej czarni koledzy i koleżanki są tak zahukani.

Ada zawsze uważała, że integracja jest najważniejszym celem społecznym dla czarnych Amerykanów. Traktowała jak bohaterów pastora Martina Luthera Kinga, Rosę Parks, Bookera T. Washingtona, Medgara Eversa, trzech działaczy z ruchu obrony praw człowieka zamordowanych w Missisipi w 1964 roku, prezydenta Johna F. Kennedy'ego, prokuratora generalnego Roberta Kennedy'ego i prezydenta Lyndona Johnsona...

Najważniejszym wydarzeniem w jej życiu było uchwalenie ustawy o prawach obywatelskich wiosną 1964 roku, kiedy miała osiemnaście lat, i walka prezydenta Johnsona o przyjęcie tej ustawy z opozycją prawicowych, rasistowskich senatorów z Południa. W tym czasie w liceum Pasgayne pracowała czarna nauczycielka nauk społecznych, która na swoich lekcjach zajmowała się głównie tą właśnie sprawą i miała olbrzymi wpływ na uczniów, zwłaszcza tych poważnie myślących, jak Ada Furst.

Ada pamiętała, jak wielkie podniecenie zapanowało w Red Rock, kiedy w końcu uchwalono tę ustawę. Lyndon Johnson stał się ogólnie wielbionym bohaterem, ciągle też pamiętano o Johnie F. Kennedym, który został zabity za wspieranie czarnych obywateli. A potem zamordowano pastora Kinga, a następnie Roberta Kennedy'ego i Malcolma X za ich wiarę w sprawiedliwość społeczną. I był jeszcze Medgar Evers, który zginął jako jeden z pierwszych.

Nauczycielka nauk społecznych powiedziała, że znajomość własnej historii dodaje sił. A jeśli się o niej zapominało, siły słabły.

Kiedy Ada była młodą dziewczyną, babcia opowiadała jej o czasach, gdy zakłady przemysłowe nad rzeką Passaic zajmowały się głównie wyrobem tkanin. I jak w latach trzydziestych setki strajkujących z Pasgayne chciało przemaszerować przez most, gdzie czekała na nich policja w hełmach i z pałkami; i jak policjanci otworzyli ogień do bezbronnym robotników. To było jak wojna – na czele robotników stali komunistyczni działacze ze związków zawodowych, a policja broniła praw właścicieli fabryk. Strajk oznaczał stan wyjątkowy, policja miała prawo strzelać; strzelać, żeby zabić.

Podobnie jak podczas zamieszek rasowych w Pasgayne w 1967 roku, tylko w tych dawnych czasach biali gliniarze bili, strzelali i zabijali białych imigrantów: Polaków, Węgrów i Ukraińców. Murzyni zazwyczaj nie uczestniczyli w tych wydarzeniach, chyba że jako łamistrajków, cynicznie wynajęci przez zarządy fabryk. Była to praca nie tylko niebezpieczna, ale też tymczasowa – kiedy strajk ustawał, żadnemu z łamistrajków nie pozwalano

wstąpić do związku, a tylko członek związku mógł dostać pracę.

Babka Ady знаła czarnych mężczyzn, którzy zostali zabici lub okaleczeni w czasie walk podczas strajków z lat trzydziestych. Ada uważała, że dziadek miał szczęście, że nie znalazł się wśród ofiar.

Dziadkowie Ady przybyli do New Jersey z wiejskich obszarów Georgii, gdzie żyli w nędzy i w ciągłej obawie o swoje życie. (Pochodzili z Dundee, hrabstwa, które miało najwyższy wskaźnik linczów w tym stanie). Mieszkali w Newark, potem w Passaic, a w końcu osiedlili się w Pascaigne. Ada kochała ich i nadal za nimi tęskniła. Jej babka była dla niej miłsza niż matka, jej dziadek na starość został jednym z rybaków z doków. Na szczęście kiedy łowił ryby w rzece Passaic, woda w niej nie była jeszcze tak zanieczyszczona jak obecnie.

Młodzi ludzie nie interesowali się już zbyt rodzinnymi historiami. Opowieści „kolorowych” nudziły ich lub zawstydzaly. Stały się domeną nauki szkolnej, podobnie jak różne święta, które nikogo za cholere nie obchodziły – były jedynie okazją, by nie pójść do szkoły. Historie o ludziach, którzy w poszukiwaniu pracy emigrowali na północ z takiej zapadłej prowincji jak Georgia do miasteczek podobnych do Pascaigne – to było straszne nudziarstwo. Większość dziadków dzieci, które uczyła Ada, przybyła na północ, do New Jersey, w latach czterdziestych, żeby zatrudnić się w fabrykach zbrojeniowych. Po zakończeniu wojny zabrakło w nich pracy dla czarnych robotników, bo swoje miejsca odzyskali weterani wojenni (biali). Podobnie było z kobietami, które pracowały w tych zakładach. Kobieta, i na dodatek czarna – to był szczyt pecha.

Nowym, młodym pokoleniom prawie nic nie mówiły nazwiska Bookera T. Washingtona, Kinga, Kennedy'ego czy Malcolma X. Nie interesowali ich działacze walczący o prawa człowieka – ani czarni, ani biali. Znali i szanowali nazwiska sportowców, muzyków rockowych i aktorów filmowych – to byli czarni Amerykanie, którzy zdominowali masową wyobraźnię; brakowało wśród nich polityków czy bojowników o wolność, męczenników sprawy.

Prymitywni chłopcy i dziewczyny, których Ada musiała czasem uczyć (a przynajmniej próbować to robić) w szkołach takich jak liceum Pascaigne, nie dbali o to i byli (niemalże) gotowi powiedzieć jej to prosto w oczy. Miewała okropne lekcje, które kończyły się tym, że krzyczała na uczniów, żeby przynajmniej usiedli na swoich miejscach i zachowywali się cicho. Nie była w stanie zapanować nad nimi, dopóki inny nauczyciel lub zastępca dyrektora nie zjawiał się na pomoc.

Ada czuła się nieswojo, kiedy przypominała sobie, że Sybilla Frye chodziła chyba do jednej z tych klas, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Nie pamiętała tego dokładnie, ale chyba tak – tak jej się wydawało.

Ostrzegano ją, że jeśli nie zapanuje się nad uczniami od początku, klasa jest stracona. A tak się starała, tak bardzo się starała!

Szydercze uśmiechy, przymrużone oczy, przenikliwy śmiech – jak stado dzikich zwierząt, w które zmieniały się nastolatki zjednoczone przeciwko

„pannie Furst”. Prosiła ich, by się uspokoiли, niemal błagała: „Nie róbcie mi tego! Proszę! Tak bardzo chciałabym was pokochać!”.

Czekała. Aż wreszcie nie mogła już dłużej czekać.

Kiedy w sobotni ranek do godziny jedenastej nikt nie zadzwonił z wezwaniem na zastępstwo, poczuła się zaniepokojona, samotna i... trudno to określić. Gotowała się z wściekłości.

Powiedziała mamie, że wychodzi. Dzieci Kaholi dostały śniadanie i poszły do szkoły, ona mogła się zająć jedynie sprzątaniami i praniem (nie znosiła tego – sterta brudów, w tym strasznie utyłane ubrania dzieci i cuchnąca bielizna mamy). Ona, młoda kobieta, inteligentna, utalentowana idealistka, pełna zaangażowania, za co tak bardzo chwalili ją nauczyciele.

„To tak cholernie niesprawiedliwe”.

Zbliżało się Halloween. W witrynie apteki Walgreens wisiały jaskrawopomarańczowe plastikowe dynie i brzydkie, wycięte z czarnego papieru sylwetki czarownic. W dawnych czasach czarownicami nazywano niezamężne kobiety, które osiągnęły pewien wiek. „To tak cholernie niesprawiedliwe”.

Ada poszła na Trzecią Ulicę pod numer 939. To nie było daleko, około kilometra, a droga częściowo prowadziła nad rzeką. „Gdyby chcieli się z tobą zobaczyć, toby zadzwonili”. Starła się odpędzić takie myśli. A może Sybilla nic nie powiedziała o niej Ednetcie? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że Sybilla nie znała jej nazwiska i w całym tym zamieszaniu i przestachu zupełnie zapomniała o Adzie.

Gdyby w prasie ukazały się jakieś artykuły, z pewnością umieszczono by w nich jej fotografię.

Chciała coś dać napadniętej dziewczynie. Nie kupiła tego teraz, miała to od lat i bardzo to sobie ceniła.

Kiedy zbliżyła się do szeregowego domku, w którym mieszkała Ednetta ze swoją rodziną (dwa budynki za skrzyżowaniem z Union), zobaczyła, że otwierają się drzwi i wychodzi przez nie jakiś mężczyzna. To z pewnością musiał być Anis Schutt.

Ada znała trochę Anisa Schutta. „Zatłukł swoją żonę pięściami, a prokurator pozwolił mu przyznać się do nieumyślnego zabójstwa”.

„Jeden czarny zabił innego czarnego. Trudno, żeby biali ludzie traktowali w sądzie coś takiego zbyt poważnie”.

Anis Schutt został osadzony w Rahway. Nie było go najwyżej siedem, może dziesięć lat.

Chociaż Ada się zatrzymała, mężczyzna o byczym karku ją zauważył. Znieruchomiał i spojrzał na nią bez uśmiechu.

– Ty do nas? Jesteś przyjaciółką Netty?

Ada wyjąkała, że nie, nie tyle przyjaciółką, ile sąsiadką...

– Jesteś z miasta, co? Przysłali cię z hrabstwa?

Ada potrząsnęła głową. Nie, jest tylko sąsiadką...

Ada zawsze wyglądała jak nauczycielka, nawet kiedy starała się to zamaskować ubiorem. Sprytny Anis Schutt bez trudu rozpoznał w niej kogoś, kto jest związany z *nimi*.

Ubrany był w wytartą skórzaną kurtkę, rozpiętą na pokaźnym, ale muskularnym brzuchu. Nie nosił czapki, a gęste matowe włosy miał gładko zaczesane. Adzie zrobiło się odrobinę słabo, kiedy zobaczyła jego wielkie pokieroszowane paluchy.

Jako młoda dziewczyna widywała na ulicach Anisa Schutta. Był wtedy młodszy i wydawał się wyższy, z ciemną, ospowatą, ale urodziwą twarzą, jakby odrobinę podobną do tego (białego) aktora Richarda Burtona. I to jego spojrzenie – czujne, wprawiające w zakłopotanie.

– Przyszłaś zobaczyć dziewczynę? – zapytał z szyderczym uśmiechem.

Ada starała się zachowywać tak, jakby nie dosłyszała pytania lub nie w pełni je zrozumiała. Zastanawiała się, czy nie jest za późno, żeby przejść na drugą stronę ulicy i odejść zdecydowanym krokiem – ale nie za szybkim – co pokazałoby, że miała coś innego do załatwienia na Trzeciej Ulicy. (Ale przecież przyznała już, że przyszła zobaczyć się z Ednetką, prawda? To tępe, surowe spojrzenie, jakim obrzucił ją Anis Schutt, uniemożliwiało jej logiczne myślenie).

– Pytałem, czy przyszłaś do mojej pasierbicy.

Ada wyjąkała, że tak. Miała nadzieję, że Sybilla jest w domu...

– Na pewno nie jesteś z policji? Ani pracownicą opieki społecznej czy psychologiem?

– Jestem tylko sąsiadką, panie Schutt.

Panie Schutt. Te słowa sprawiły, że czarny mężczyzna jakby się udobruchał, trochę jak dzikie zwierzę, kiedy próbuje się je obłaskawić najprostszymi metodami.

Anis Schutt wsiadł do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Karoseria była pokryta rdzą jak śladami po kulach, oberwany tylny zderzak zwisał nisko nad ziemią. A jednak samochód miał w sobie jakiś uliczny splendor. Ada poczuła dreszcz seksualnego podniecenia na myśl, że Anis wciąga ją do niego, sadowi na siedzeniu pasażera, zatrzaskuje drzwi i odjeżdża ze śmiechem.

Słyszała, że Schutt pracował dla hrabstwa – w służbach oczyszczania miasta i przy robotach drogowych. Ale może zajmował się tym tylko dorywczo.

Na drzwiach domu pod numerem 939 wisiała bożonarodzeniowa ozdoba, jeszcze z zeszłego roku. Na schodkach walały się wilgotne gazety i ulotki. Ada miała wrażenie, że ktoś obserwuje ją zza drzwi, więc przybrała swój wymuszony przyjazny uśmiech.

Nacisnęła przycisk dzwonka. „Popełniam błąd! To nie są ludzie, z którymi coś mnie łączy”.

Po pożarach i plądrowaniu z 1967 roku Trzecia Ulica nie odzyskała dawnego

wyglądu. Ada miała koleżankę, która mieszkała tu w czasach, kiedy domy nie były jeszcze tak zniszczone i obskurne.

Małe zaniedbane trawniki, popękane płyty chodnikowe. Zdziwiła się, że niektóre z szeregowych domków wyglądają na niezamieszkałe.

W Red Rock były całe kwartały podobnie zdewastowanych budynków. Domy bez lokatorów zawsze w końcu podpalano. Stawały się rudalami, które zasiedlali skłótersi. Fasady pokrywało graffiti, jak szalony krzyk. Wewnątrz znajdowano martwe ciała. Ada poczuła odrazę do tego miejsca, w którym żyła przez tyle lat – mogła je znieść jedynie dzięki myśli, że nie będzie tu mieszkać wiecznie.

Drzwi wreszcie się otworzyły i stanęła w nich Ednetta Frye w brudnej bawełnianej sukience. Zmierzyła Adę długim, przeciągłym spojrzeniem. Miała wysoko uniesione brwi, być może dlatego, że jej włosy były zbyt mocno ściągnięte przepaską.

– Tak? O co chodzi?

Ada przedstawiła się niezręcznie.

– Może mnie pani pamięta? Jestem Ada Furst. Mieszkam przy Ventor, obok fabryki konserw rybnych.

Ednetta powoli zamrugwała. Miała ciężkie, przekrwione powieki.

– Nie pracuję dla hrabstwa ani dla urzędu miasta. Jestem tylko... jedną z sąsiadek. Chyba zna pani moją siostrę, Kaholę? Jestem Ada.

Ednetta nie dała po sobie poznać, czy ją rozpoznaje. Może między nią a Kaholą nie układało się najlepiej, może Ednetta poczuła się urażona, że Ada wspomniała o swojej siostrze?

Cholera! Żałowała, że ubrała się tak starannie na tę wizytę. Źle zrobiła. Nie powinna była szcztokować włosów i wpinać w nie spinek, wygląda jak uczennica.

Uśmiechnęła się z przejęciem i wydukała:

– To byłem ja, Ada Furst, to ja znalazłam pani córkę w fabrycznej piwnicy. Usłyszałam wołanie o ratunek... i ją znalazłam... pobiegłam po pomoc.

– Ada Furst – powiedziała z wahaniem Ednetta. – Czy to ty wezwałam karetkę?

– Tak.

– Pojechałaś z nimi do szpitala?

– Nie, nie pozwolili mi pojechać do szpitala z Sybillą. Tylko ją znalazłam, rozwiązałam i pobiegłam wezwać pomoc...

– Jezu! Wychodzi na to, że to ty uratowałaś moją córkę.

Ednetta uśmiechała się teraz, chociaż jej spojrzenie pozostało nieufne i czujne. Ada stwierdziła z rozczarowaniem, że Ednetta nie ma zamiaru zaprosić jej do środka – stała przygarbiona w drzwiach, blokując przejście, i w zamyśleniu głaskała się po lewym ramieniu.

– Cóż, Anno. Sybilla jest ci bardzo wdzięczna, tak jak i ja. Cała rodzina jest ci wdzięczna. Taka straszna rzecz przydarzyła się mojej dziewczynce, każdy nam

współczuje, wszyscy o tym mówią, ale traktują nas jak trędowatych. Cholera, wszyscy wiedzą, że białe gliny nawet palcem nie kiwną przy tej sprawie, czekają tylko, aż wszystko przyschnie. Skurwiele!

Ada pokiwała głową ze współczuciem. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Obawiała się przedstawić jako nauczycielka, która ma kontakt ze światem białych, bo to mogło obrócić się przeciwko niej – Ednetta straciłaby do niej zaufanie.

Pani Frye mówiła dalej:

– Ktoś powiedział, jedna z tych pracownic opieki społecznej, które ciągle tu przychodzą, że jest taki fundusz na pozwy, żeby można było pozwać policję, na przykład za nieprawne zatrzymanie, ale... Potrzeba cholernych świadków, a kto się zgodzi zeznawać przeciwko białym glinom? Za każdym razem, kiedy ich pytam, wciskają mi jakiś kit, który niczego nie załatwia. Mówią, że muszę przekonać Sybillę, żeby zeznawała. Kiedy przyprowadzę ją do sądu, żeby złożyła zeznania... – urwała Ednetta, zniesmaczona.

– To prawda. Myślę, że Sybilla powinna złożyć oficjalne zeznania. Możemy pójść z nią razem na komendę, my, ludzie z sąsiedztwa. Są reguły, jak należy zgłosić przestępstwo, jeżeli ofiara jest w stanie uczestniczyć w śledztwie...

Ednetta zeszywniała, jakby Ada powiedziała coś niewłaściwego.

– Proszę pani, muszę już iść. Ktoś mnie woła.

– Och, proszę poczekać, pani Frye. Jak się ma Sybilla? Jest w domu? Miałam nadzieję, że się z nią zobaczę.

– Jesteśmy pani wdzięczni, Anno... tak pani na imię? Ach, Ada. Naprawdę jesteśmy wdzięczni, ale widzi pani, Sybilli nie ma teraz w domu.

– A gdzie jest?

– Gdzie jest? – Ednetta zmarszczyła brwi. – Tam, gdzie ma dobrą opiekę, tam właśnie jest.

– Tak bardzo chciałabym ją zobaczyć, przywitać się tylko.

Ada mówiła to naiwnym, zasmuconym głosem. Wierzyła, że jeśli spotka się z Sybillą, weźmie ją za rękę, dziewczyna przypomni ją sobie i uśmiechnie się do niej.

Sybilla Frye i Ada Furts razem na fotografii w gazecie. „Ada Furst uratowała mi życie”.

Jej koledzy ze szkoły zobaczą to zdjęcie. I pracownicy zarządu okręgu szkolnego, którzy odpowiadali za jej zastępstwa.

Ale Ednetta powiedziała:

– Nie, Sybilli tu nie ma. Jest gdzie indziej, w bezpiecznym miejscu, dopóki nie wydobrzeje. Ale jest pani naprawdę wdzięczna i dziękuje. – Pani Frye wyszczerzyła zęby w wymuszonym uśmiechu. Już miała zatrzaskać drzwi przed nosem gościa, ale Ada nie chciała się poddać:

– Pani Frye, chwileczkę! Proszę! Przyniosłam... taki drobiazg dla Sybilli. Jeśli leży w łóżku i zdrowieje, nada się w sam raz.

Ednetta popatrzyła na książkę, którą wręczyła jej Ada – Maya Angelou,

Wiem, dlaczego ptak w klatce śpiewa.

– Wiele dla mnie znaczyła, kiedy byłam w wieku Sybilli. Mam też inne książki, które mogłyby się jej spodobać, jeśli...

Ednetta jeszcze raz spojrzała na książkę. Zmarszczyła brwi, zirytowana wymamrotała „dziękuję” i zatrzasnęła drzwi.

Ada ruszyła do domu. Czuła się bardzo zmęczona, ale uśmiechała się do siebie.

– Twoja sąsiadka! Przyjaciółka!

Klariss stała na schodach i wypytywała o sprawę Sybilli Frye.

– Znasz matkę? Tę Ednettę Frye? Dwa tygodnie temu widziałam ją razem z dziewczyną na tyłach naszego domu, przy fabryce, jak próbowały przejść przez ogrodzenie. Jakby nie wiedziały, że siatka jest zerwana i można się przez nią przecisnąć. Właśnie się ściemniało. Niosły coś, co wyglądało jak kawał płótna, a dziewczyna miała obwiązaną głowę, jakby chustką. Patrzyłam i myślałam sobie, co do cholery tam robią. Czego tam szukają? A następnego ranka słyszę, jak mówisz, że jest tam ktoś, kto potrzebuje pomocy... I że córkę znaleziono związaną w piwnicy fabryki, bo białe gliny wrzuciły ją tam, pobiły i zgwałciły. Jezu! – Klariss się roześmiała i potrząsnęła głową. – To takie gównie próbuje teraz wciskać Ednetta?

Ada nie chciała tego wysłuchiwać, starała się unikać Klariss, jeśli było to możliwe. Ta kobieta zadawała się z drobnymi handlarzami narkotyków i można było przypuszczać, że sama je bierze. Jeszcze niedawno Klariss (mniej więcej w wieku Ady) była przystojną kobietą, ale teraz wyglądała na mocno zniszczoną. Ufarbowane na czerwono włosy przypominały tanią perukę, sukienka była rozpięta tak nisko, że można było zobaczyć niemal całe obfite piersi i poczuć bijący od niej zapach; lepiej nie zastanawiać się nad tym, co to za woń. Ada odpowiedziała chłodno:

– Nie znasz Ednetty Frye, Klariss, i nie znasz Sybilli. Na twoim miejscu uważałabym, co o nich opowiadam, bo mogą usłyszeć.

Szczęściarz

Policja zatrzymała go na Camden Avenue, niedaleko mostu Pitcairn Memorial.

Nieomal ogłuszyła go syrena radiowozu, który nagle pojawił się za jego samochodem.

Wiedział, że musi natychmiast zjechać na pobocze. Widział przejeżdżające obok pojazdy i kierowców, którzy rzucali zaciekawione i współczujące spojrzenia – drobna dawka pojawiających się na moment braterskich uczuć.

Serce łomotało, jakby chciało mu wyskoczyć z klatki piersiowej. Wobec czekającego go niebezpieczeństwa uporczywy ból w kościach i mięśniach rąk i nóg rozpląnął się nagle i zniknął.

Dwaj funkcjonariusze z radiowozu podeszli do jego samochodu – jeden zbliżył się do okna kierowcy, drugi zatrzymał się nieco z tyłu.

Poprosili o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Zawahał się, niepewny – chociaż nie było jeszcze dwudziestej pierwszej i na Camden Avenue panował spory ruch – czy kiedy sięgnie po portfel lub nachyli się do schowka, policjanci go nie zastrzelą.

„Sięgał po broń. Mówiliśmy mu, żeby tego nie robił, ale nie posłuchał”.

Można to było załatwić na dwa sposoby – mógł milczeć lub rozmawiać z nimi obojętnym tonem.

Gdyby milczał, policjanci mogliby uznać, że jest ponury, czyli niebezpieczny. Obojętność mogli wziąć za szyderstwo.

Na razie wiedzieli tylko, że jest czarny i uzbrojony. Mógł być uzbrojony. Na pewno miał dobry powód, żeby być uzbrojony. Broń pewnie leży na podłodze albo na tylnym siedzeniu. Pistolet lub łyżka do opon. Sądząc po jego twarzy, i to nie tylko po ciemnym kolorze skóry, ale też po nieregularnych rysach, ten facet jest zabójcą.

Zabił już kogoś i będzie zabijał nadal. Kto wie, być może nawet zabił białego. Białego mężczyznę lub białą kobietę. Zakosztował krwi (białej) i z pewnością będzie chciał znów kogoś zamordować.

Jego oczy (błyszczące i ciemne) świeciły (połyskując białkami) w brutalnej, jakby wykutej z kamienia czarnej twarzy. Lśniące zęby (pożółkłe, ale wyglądające jak białe) szczyrzyły się spod uchylonych warg (mięsistych i czerwonych).

Zastanawiał się, czy zapytać, co takiego zrobił. Czy przekroczył dopuszczalną prędkość, przejechał przez ciągłą linię, jechał bez przednich świateł, czy może w samochodzie przepaliły się żarówki stopu. Takie pytania byłyby czymś normalnym w ustach niewinnego człowieka zatrzymanego przez policję bez żadnego (oczywistego) powodu. Normalny człowiek (biały) mógłby zadać takie pytania gliniarzom (białym). Dobrze wiedział, że nie jechał za szybko Camden

Avenue, nad którą zapadał zmierzch przyspieszony przez olbrzymi most zasłaniający pół nieba; nie szybciej niż pięćdziesiąt na godzinę.

A jednak nie zdecydował się na to, nie odezwał się. Nawet z szacunkiem (jak przystało na czarnego). Jego głos (ochrypły i zniekształcony) mógłby zabrzmieć w uszach białych glin jak groźba.

„Znieważał nas, tak, słyszeliśmy to. Nie mogliśmy za cholere zrozumieć, co do nas mówił. Może był z Haiti? A może z Dominikany?”

„Gadał, jakby był na prochach”.

Zdecydował się milczeć. Nawet nie mamrotać: „Tak, panie władzo”, czego uczyły go od dzieciństwa wszystkie starsze kobiety.

Funkcjonariusze policji z Pascayne nie odezwali się ani słowem, kiedy oglądali przy świetle latarki jego prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Ani drgnął i siedział w milczeniu, jak nieruchomy posąg, z rękami opartymi na kierownicy. Miał broń, rewolwer Smith & Wesson, kaliber 45, ale nie przy sobie, nie w samochodzie. Miał kradziony towar (sprzęt elektroniczny), ale nie przy sobie, nie w samochodzie. Starszy z gliniarzy zabrał jego prawo jazdy do radiowozu, żeby sprawdzić je w rejestrze komendy, podczas gdy drugi stał na zewnątrz, wymachując latarką.

Starął się zachować spokój i czekał, aż każą mu wysiąść z samochodu, położyć się na pobrudzonym olejem chodniku, a może tylko uklęknąć z rękami złożonymi na głowie. Cekał na polecenie, które go poniży i upokorzy w świetle przejeżdżających samochodów, sunących powoli Camden i zbliżających się do skrzyżowania z Ósmą Ulicą.

Przez cały czas trzymał ręce na kierownicy. Nie zamierzał robić żadnych gwałtownych ruchów. Serce nadal tłukło mu się w piersi, ale nie pozwolił sobie na kaszel lub kichnięcie. Takie zachowanie mogłoby sprowokować funkcjonariuszy do samoobrony – zastrzeliliby go na miejscu.

Według regulaminu policjanci strzelają dwa razy. Dwóch gliniarzy, cztery strzały.

Minimum cztery strzały. Nie było górnej granicy.

Kilka tygodni temu młody czarnoskóry Latynos został zastrzelony przez policję z Pascayne na estakadzie, jakiś kilometr od skrzyżowania Camden i Ósmej. Jechał za szybko (tak twierdzili funkcjonariusze) i kiedy go zatrzymali, „sięgnął po broń, wyglądał, jakby miał zamiar to zrobić”, chociaż pasażerowie siedzący w samochodzie twierdzili, że facet trzymał obie ręce na kierownicy, nie sięgał nawet po portfel, a zastrzelili go na miejscu.

„Zasypany gradem kul”, tak określiły to media. Wystrzelono co najmniej trzydzieści pocisków, z których połowa trafiła w ciało młodego mężczyzny, a dwa rykoszetem zraniły pasażerów.

Trwało dochodzenie, policjanci biorący udział w strzelaninie zostali czasowo zawieszani.

„Tak zginął Lyander”, pomyślał. Na ulicy w Pascayne. Utrzymywano, że otworzył ogień do przejeżdżającego radiowozu, mimo że Lyander nie miał

broni.

Świadkowie potwierdzili, że nie trzymał w ręce żadnej broni. Twarz była w takim stanie, że nie dało się go rozpoznać. Zidentyfikowano go po ubraniu i butach.

– Anis Schutt. To ty jesteś ojcem tej uczennicy, Sybilli Frye?

Pokręcił głową. Nie ufał swojemu ochrypłemu, zniszczonemu głosowi i nie chciał komunikować się za jego pomocą z funkcjonariuszami, którzy obserwowali go z tak bliskiej odległości (mniejszej niż metr).

– Ale z nią mieszkasz? Przy Trzeciej Ulicy, pod numerem 939, zgadza się?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Mieszkasz tam z jej matką, tak?

Potwierdził skinieniem głowy.

Ochrypłym, zniszczonym głosem powiedział, że to prawda, mieszka z jej matką, Ednetą.

– Czyli ta dziewczyna jest twoją pasierbicą, zgadza się?

Ochrypłym, zniszczonym głosem powiedział, że tak.

Powiedział to prawie bezgłośnie i funkcjonariusze poprosili go, by powtórzył.

Zrobił to. Policjanci mieli kamienne twarze i wpatrywali się w niego bez słowa; zaschło mu w ustach i musiał przełknąć ślinę. Zrozumiał, że mają wielką ochotę krzyknąć do niego: „Wysiadaj i uciekaj! Uciekaj, jeśli ci życie miłe, skurwysynu!”.

Tyle razy w swoim życiu uciekał. Tyle razy uciekał, kiedy spał. Uciekał w swoich snach. Zabrzmiał wystrzał i kula trafiła go w plecy. Grad kul rozerwał mu pierś, zmasakrował twarz. Jest taki specjalny rodzaj kul, dum-dum, które kiedy trafią w ciało, rozrywają narządy wewnętrzne. Strzelają ci w kark, a otwór wylotowy masz w kroczu i wszystkie narządy z tułowia i jamy brzusznej wypryskują w strzępach na zewnątrz. Czuł, jak wypływa płuca, zdziwiony, że rozpedzone kule rykoszetują w jego ciele jak miękkie małże.

Kazali mu stanąć w rynsztoku pełnym rwącej wody. Kazali mu podnieść zerwany kabel gołymi rękami. Wyzywali go i śmiali się z niego, kiedy zajął się błękitnym płomieniem.

To były najszcześniejsze chwile białych gliniarzy, żyli właśnie dla takich momentów, kiedy mogli wydawać te swoje rozkazy. Nic się nie mogło równać z tymi emocjami, widać to było po ich spłaszczonych jak u węży czołach i oczach wąskich jak szpilki.

„Uciekaj! Uciekaj, to puścimy cię wolno, czarny sukinsynu!”.

Przygotował się – ale strzały nie padły.

Z odrazą i pogardą, z jaką zgniata się butem karalucha, policjanci kazali mu otworzyć bagażnik. Ostrożnie, przygarbiony jak starzec, czarny mężczyzna nacisnął przycisk otwierający klapę. Chciał pokazać, że współpracuje.

Potem kazali mu wysiąść z samochodu i stanąć w siekących strugach deszczu. Na rozpalonych dłoniach i twarzy krople wody parzyły jak kwas.

Zapytali go, czy ma przy sobie ukryte jakąś broń lub ostre narzędzia; kiedy odpowiedział, że nie, jeden z funkcjonariuszy szybko go przeszukał. Dłonie (w rękawiczkach) zręcznie, ale brutalnie obmacały wszelkie zakamarki jego spiętego, drżącego ciała, ponieważ żadna część ciała czarnego człowieka nie mogła liczyć na immunitet, żadna nie była nietykalna.

Ci funkcjonariusze policji z Pascayne nosili rękawiczki, żeby nie pozostawiać odcisków palców na dowodach rzeczowych. Dzisiejsi policjanci nie byli tak prymitywni jak ich poprzednicy.

Ten pierzasty czarny stwór, Anioł Gniewu, przemknął gdzieś niedaleko. Anis mógłby przegryźć gardło policjanta o surowej twarzy, tego, który stał tuż obok, ale drugi glina zastrzeliłby go od razu, kiedy z tętnicy kolegi trysnęłaby krew.

Nigdy wcześniej nie przegryzł gardła żadnej żywej istocie, ale widywał gardła podcięte nożem, a raz nawet maczetą.

W ciągu długiego życia jego buty splamiła krew, i to niejednym razem.

Ale zawsze była to krew czarnych, nigdy jeszcze nie rozlał krwi swoich wrogów.

Funkcjonariusze nadal przeprowadzali oględziny samochodu, z przodu i z tyłu, grzebali w schowku na rękawiczki, pod siedzeniami, przetrząsnęli każdy centymetr we wnętrzu bagażnika. Klęczał teraz na brudnym chodniku z rękami na głowie – chcieli go poniżyć. W kolanach czuł przejmujące rwanie; jego chore, artretyczne kolana z napadami przeszywającego bólu aż do zamroczenia; ból pozbawiał go oddechu, przenikał od podstawy kręgosłupa, poprzez zgięte w kolanach nogi, aż po same stopy. Zagryzł dolną wargę, by nie jęczeć. Nigdy nie czuł takiego bólu, był nie do zniesienia. Pierwszy raz pojawił się lata temu, kiedy jako młody mężczyzna wyskakiwał ze śmieciarki. Pomagało picie. A najlepiej picie na umór. I tabletki przeciwbólowe. Prawe kolano, potem prawe udo, a później oba kolana i oba uda. A palce wykrzywiły mu się jak szpony. Paznokcie się rozdwajały, takie były wysuszone. Kobieta całowała jego dłonie. Ciepły oddech kobiety na dłoniach. Chciała mu przebaczyć, wiedział o tym. Ale nie miała prawa mu przebaczyć. Jemu nie miała prawa przebaczyć kobieta.

Przeszukanie samochodu nic nie dało. Starszy z funkcjonariuszy spojrział na niego pogardliwie i oddał mu prawo jazdy.

– Tym razem masz szczęście, Schutt.

*

Pierzasty czarny Anioł Gniewu szeptał triumfalnie: „Tym razem masz szczęście, Schutt. Nie masz się czego wstydzić”.

Spróbował podnieść się na chorych nogach, ale nie dał rady. Wreszcie doczołgał się do samochodu i zdołał wstać; miał nadzieję, że tamci nie obserwowali go z oddalającego się radiowozu.

Pasierbica

Pod numerem 939 przy Trzeciej Ulicy stopniowo robiło się spokojniej. Mniej było telefonów z różnych urzędów i mniej niezapowiedzianych wizyt.

Nakaz przeszukania wystawiony przez Urząd Pomocy Rodzinie hrabstwa Passaic. Odwiedziny pracowników opieki społecznej. „Ednetta Frye? Muszę się natychmiast zobaczyć z pani córką, Sybillą”.

Przesłuchiwana przez urzędników dziewczyna odpowiadała tak cicho, że ledwie można było usłyszeć jej słowa.

Po kilku tygodniach od napaści (rzekomej) miała ciągle posiniaczoną twarz i spuchniętą górną wargę. Nad lewą brwią widać było półkolisty strup, a odrobinę zezujące lewe oko nadawało jej trochę nieobecny, bezczelny wygląd.

Piętnastoletnia dziewczyna z chudymi rękami i nogami jak patyki, ładna, ale czujna, nie uśmiechała się. Paznokcie pomalowane fioletowym brokatowym lakierem, w uszach złote kolczyki. Często wzdychała i wierciła się. Została „odesłana do domu” – jak określiła to pani Frye – po kilku tygodniach spędzonych u jej babki Pearline przy Jedenastej Ulicy. „Sybilla dochodziła do siebie, ale teraz ma się już dobrze”.

Matka z uwagą i zainteresowaniem wysłuchiwała pytań urzędników, chociaż jej córka wydawała się nadąsana i zamknięta w sobie.

Kiedy dziewczyna nie odpowiadała na jakieś pytanie, matka szeptała: „Sybilla!” i dziewczyna zmuszała się, by coś wydukać.

Urzednicy odwiedzający dom Frye’ów przy Trzeciej Ulicy pod numerem 939 byli rozczarowani i zbici z tropu, wydawało się bowiem, że Sybilla Frye odmawia odpowiedzi na pytania, co przydarzyło się jej w poprzednim miesiącu.

Pani Frye powiedziała chłodno:

– Nie będziemy o tym mówić. Już nie. – I dodała: – Mamy wolność słowa. Korzystamy z tego.

Niektórych pytań dziewczyna zdawała się nie słyszeć. Powtarzano je powoli i wtedy niewyraźnie coś dukwała lub wzruszała ramionami, spuszczać wzrok. Można by niemal pomyśleć, że Sybilla Frye była upośledzona umysłowo, chociaż jej dokumentacja medyczna i szkolna nie wskazywała na nic takiego.

Przypuszczano, że dziewczyna była pod wpływem traumy, i zalecano terapię psychologiczną, zarówno dla niej, jak i dla jej matki. Ednetta odmówiła stanowczo, powołując się na pastora swojego kościoła i lekarza z Red Rock (w istocie kręgarza), którzy mieli zdecydowaną i wyrazistą opinię na temat, jak to nazwali, „psychol-terapii”.

Dziewczyna wierciła się niespokojnie na krześle, jakby gryzły ją mrówki. Wzdychała, wycierała nos wierzchem dłoni i ziewała bez skrępowania. Od czasu do czasu rzucała ukradkowe (i nieprzeniknione dla obcych) spojrzenia na matkę.

Nie było jasne, czy wydymała wargi w rozbawieniu, czy gniewie.

Na pytanie, czy ktoś wywiera na nią presję, dziewczyna zdecydowanie pokręciła głową. „Nie”.

Na pytanie, czy wie, co znaczy „wywierać presję”, dziewczyna zdecydowanie pokiwała głową. „Tak”.

– To chyba coś takiego, co teraz ze mną robisz, mamó. Wywierasz presję.

Lekko zezujące lewe oko, spojrzenie zarazem obojętne i szydercze, nawet jeśli dziewczyna mówiła pewne słowa tylko po to, by uspokoić zdenerwowaną matkę.

– Tak, mamó, dobrze się czuję. Tak, niedługo wrócę do szkoły. Możecie zapisać te wszystkie pierdoły.

Ednetta sprowadziła córkę do domu w pierwszym tygodniu listopada i wkrótce potem Sybilla wróciła do liceum Pascayne South High.

Jednak późnym porankiem tego dnia, kiedy Sybilla znów poszła do szkoły, Ednetta usłyszała dobiegający z przedpokoju hałas. Trzasnęły drzwi i córka wpadła do kuchni, rzuciła plecak na blat stołu i powiedziała z gniewem:

– Nie krzycz na mnie, mamó. Wróciłam do domu. Nie zniosę więcej tego gówna.

Ednetta obawiała się czegoś takiego. Wiedziała, jak uparta potrafi być jej córka, i znała jej nieobliczalne zachowania, które pojawiły się od czasu tego, co nazywała „tą okropnością, która cię spotkała”. Ale wyraziła zdziwienie i rozczerowanie i zapytała, co takiego stało się w szkole. Sybilla odparła, że ci cholerni chłopcy tłoczyli się wokół niej w holu i przewrócili ją na schodach. Te pieprzone gnoje patrzyły na nią, jakby była jakąś dziwką. A dupki nauczyciele wcale nie spoglądali na nią milej.

– Powiedziałam im, że mogą się pieprzyć. I wyszłam.

– Dziewczyno, nie możesz tak po prostu sobie wyjść. Jesteś za młoda, żeby rzucić szkołę.

– Pójdę do pracy i zacznę zarabiać. Babcia powiedziała, że pomoże mi znaleźć pracę. W jej domu mieszka jakaś kobieta, która ma dwójkę małych dzieci, a ich opiekunka zachorowała. Mogę się nimi zająć.

– Sybilla, jesteś za młoda.

– Za młoda? Pieprzyć to! Dziewczyny w moim wieku mają już dzieci, dobrze o tym wiesz. Nie patrz na mnie, jakbym, kurwa, oszalała! To ty oszalałaś, to ty wpakowałaś nas w to gówno.

Sybilla mówiła, jakby była w jakiejś dziwnej euforii. Podniosła plecak i znów go upuściła, tym razem na podłogę. Kopnęła go, zaczęła krzyczeć, śmiać się

i tupać nogami, dopóki Ednetta nie objęła jej, starając się ją uspokoić.

Matka i córka stały nieruchomo, dyszały i miały zaczerwienione twarze. Ednetta poczuła się niezręcznie, że Sybilla niemal dorównuje jej już wzrostem – co prawda Ednetta stała nieco pochylona i skurczona, podczas gdy córka była wyprostowana jak struna.

Sybilla zachichotała i zapytała spokojnie:

– Gdzie on jest?

– Mówiłam. Nie ma go tu.

– Więc gdzie jest?

Ednetta wzruszyła ramionami.

– Nie powiedział.

– Wróci dziś wieczorem?

– Nie.

– Dzwonił do ciebie?

– Nie.

Sybilla uwolniła się z ramion matki.

– Pieprzysz, mamó. Chyba nie myślisz, że ci uwierzę.

Sybilla zaczęła beztrąsko szperać w lodówce. Wzięła karton z mlekiem i napiła się z niego, zanim Ednetta zdołała ją powstrzymać. Wyciągnęła słoik dżemu z winogron, chleb i nóż i uciekła do swojego pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

Ednetta stanęła w przedpokoju i zawołała ją. Sybilla wrzasnęła coś, co brzmiało jak: „Pierdol się, pierdol się, mamó, ty spała beko”, a potem zaniósła się śmiechem. A może kaszlem.

*

– Jeśli pójdziesz na policję i wniesiesz oficjalną skargę, a myślę, że tak powinnaś zrobić, Ednetto, będą musieli rozpocząć śledztwo. A przynajmniej będą musieli udawać, że to robią. A wtedy może się to przedostać do mediów i sprawa stanie się głośna. Ale jeśli tego nie zrobisz, policja nie zareaguje. Będą utrzymywać, że nie mają wystarczających dowodów i nie mają świadka, który chce z nimi współpracować. Mogą nawet wiedzieć, kto tak okropnie skrzywdził twoją córkę, ale nie rozpoczną śledztwa. Nie możemy tolerować takiego bezprawia w naszej społeczności, to jest rok 1987, a nie 1967.

Kobieta z Duszpasterstwa dla Potrzebujących mówiła szybko, jakby besztła Ednetę. Zrędliva Murzynka o niezbyt ciemnej skórze, która miała głos spikerki radiowej lub prezenterki z telewizji.

A może była z Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych? A może była prawniczką? Wszystkie one w ten sam sposób potrafiły besztać Ednetę Frye, jak jakiegoś głupka z Południa, którego trzeba uświadamiać o jego prawach.

– Pani Frye? Jeśli ma pani opory, boi się pani pójść tam sama z córką, to mogę wam towarzyszyć. Mogę nawet przyprowadzić ze sobą dwóch lub trzech kolegów. Wkroczymy na komendę policji w Red Rock i wywrzemy odpowiednie wrażenie; robiłam już tak wcześniej, to działa.

Ednetta podrapała się po ramieniu i odparła wymijająco:

– Cóż, to możliwe... Kłopot w tym, że Sybilla nie zawsze chce współpracować. Do tej dziewczyny czasami trudno mi dotrzeć, ma piętnaście lat...

– Muszę porozmawiać z Sybillą, pani Frye. Myślałam, że dziś rano zastanę ją w domu, wydawało mi się, że tak pani mówiła. Ale mogę wrócić. Musimy ruszyć z miejsca z tą sprawą, i to szybko. Im dłużej sprawca przestępstwa pozostaje niewykryty, tym mniejsza szansa, że zostanie złapany.

Cholera, jakżeż Ednetta nie znosiła tej kobiety! Prążkowany kostium, sznurowane staromodne buty, okulary i ani śladu makijażu, mniej więcej trzydzieści lat i pogardliwy uśmiech na ustach. Zadźwięczały jej w uszach słowa Anisa: „Prawnicy to największe skurwysyny na świecie, biorą kasę za to, że do ciebie gadają, a gęby nigdy im się nie zamykają”. To prawda, a kobiety w tym zawodzie nie różniły się od mężczyzn.

Ednetta zmarszczyła czoło na znak, że słucha, i powiedziała przytłumionym, jęklwym głosem:

– Proszę pani, przecież nikt nie spodziewa się sprawiedliwości po tych rasistowskich gliniarzach i prokuratorach. Skończyłoby się na tym, że Sybilla miałaby jeszcze większe kłopoty, więcej by o niej gadali i coraz bardziej grozili. Cała jej rodzina miałaby problem. Już teraz w szkole nauczyciele dziwnie na nią patrzą; ona nie chce tam chodzić i to ja będę za to odpowiadać. Ci biali gliniarze (Bóg jeden wie, ilu ich jest i jak wysoko siedzą) mogą podjechać tu przed nasz dom i ostrzelać nam okna, tak jak w sześćdziesiątym siódmym. Mogliby tak zadreńczyć Sybillę, że uciekłaby z domu – w takim jest stanie! Mogą i mnie szykanować. No i Anis, policja ciągle go zatrzymuje, przeszukuje, pyta, gdzie mieszka, gdzie jedzie. I udają, że nie wiedzą, z kim mają, do cholery, do czynienia. Anis powiedział, że pewnego dnia wyciągnie broń i rozwali głowy kilku glinom. Załatwi sobie broń i rozpęta piekło.

Prawniczka przez chwilę patrzyła na Ednettę w milczeniu.

– Pani Frye, to chyba nie jest najlepsze rozwiązanie. Nie można nic takiego robić ani nawet o tym myśleć. Czy pan Schutt to pani mąż?

– Tak, to mój mąż.

– Chyba pani nie chce, żeby sprowokował policję? W Red Rock i bez tego panuje wystarczające napięcie. Sugeruję, by pozwoliła pani Krajowemu Stowarzyszeniu Postępu Ludzi Kolorowych zająć się tą sprawą. Zawiozę panią na komendę, nie rejonową, ale główną, przy ulicy Flint, po drugiej stronie rzeki. Myślę, że to lepszy pomysł niż wizyta w komendzie w Red Rock. Tam pani córka wniesie formalne oskarżenie o napaść, ciężkie uszkodzenie ciała i gwałt. Przedstawi dowody ze szpitala. Może ma pani rację – tutejsza policja

nie przeprowadzi poważnego dochodzenia. Ale w New Jersey są też inni funkcjonariusze, na przykład ci z policji stanowej. Jeśli to zbrodnia na tle rasowym – a tak bez wątplenia jest, biorąc pod uwagę rasistowskie obsceniczne napisy na ciele pani córki – powinno się tym zająć FBI.

Ednetta utkwiała wzrok w podłodze. Gładziła się po ramieniu, by uśmierzyć artretyczny ból przeszywający jej stawy. Ostry głos kobiety terkotał jak maszyna do szycia.

Myślała o tym, co Anis mówił o prawnikach: „Sprzedadzą cię prokuraturze. Powiedzą ci jedno, a za twoimi plecami dogadają się z innymi prawnikami”.

– Proszę pani, dobrze pani mówić, ale dla mnie i Sybilli to zupełnie inna sprawa. Pani nie musi z tym żyć. Ma pani pensję z KSPLK, a my nie dostaniemy ani grosza za to, że zmarnujemy czas w komendzie policji, gdzie potraktują Sybillę jak jakiegoś dziwoląga. Będą ją tam obrażać. Kto obroni moją córkę, kiedy to się zacznie? Pani?

– Na pewno spróbujemy ochronić pani córkę, a także i panią. Możemy zorganizować jakieś miejsce, gdzie mogłybyście zamieszkać...

– Zamieszkać? Gdzie? Sybilla powinna być tutaj, tu, gdzie ma rodzinę, szkołę i przyjaciół. Jest już wystarczająco źle, bo ludzie ciągle o niej gadają, a przecież w gazetach i telewizji nie było o tym żadnej wzmianki. Są już i tacy, którzy traktują mnie jak trędowatą.

Prawniczka popatrzyła na Ednetę. Zdjęła nawet te swoje okulary w drucianych oprawkach, żeby przyjrzeć się jej lepiej.

– Ale... chyba chce pani sprawiedliwości dla córki, pani Frye? I chyba pani nie chce, żeby ci gwałciciele pozostali na wolności?

– Tu nie chodzi o to, czego chcę. Taki już jest los matki czarnej dziewczyny w Pascajny.

– Pani Frye, nie rozumiem pani. Kilka minut temu mówiła pani, że...

Ednetta zerwała się na nogi. Przegoni tę zdumioną babę ze swojego domu, wymachując gwałtownie rękami, tak jak się przegania dokuczliwe komary.

– Pani Frye, proszę...

– Bardzo przepraszam, proszę pani! Mam straszny atak migreny! Do widzenia.

Zatrzasnęła drzwi za oszupiałą kobietą, o mało nie przycinając jej obcasów. Stała we frontowym oknie i zerknęła ostrożnie zza żaluzji, by się upewnić, że prawniczka wsiądzie do samochodu i odjedzie. Zaniósł się śmiechem.

Ednetta pomyślała, że zanim wydarzyła się ta paskudna historia, jeszcze w październiku wyglądała jak młoda kobieta. Skóra wokół oczu nie była tak obwisła, nie oddychało się jej z takim trudem, a na ulicach patrzyła mężczyznom prosto w oczy i śmiała się, kiedy gwizdali na jej widok lub robili jakieś uwagi, po których czuła się tak cholernie dobrze.

Ale teraz... to wszystko jest takie dziwne. Nie da się przewidzieć, co przyniesie następny dzień.

Samochód już odjechał i Ednetta musiała pomyśleć przez chwilę, zanim sobie

przypomniała, kto jeszcze tak niedawno siedział w jej salonie. Potarła knykciami policzki i roześmiała się głośno.

To takie śmieszne!

„Myślicie, że można manipulować Ednetta Frye! Pierdolcie się wszyscy!”

Z trudem wspięła się po schodach, które każdego cholernego dnia zdawały się coraz bardziej strome. Tam, na górze, w swojej klitce siedziała Sybilla i ospale szcztokowała włosy. Ta duża dziewczucha wyleguje się na łóżku wśród rozrzuconych pluszaków i nawet nie raczy podnieść wzroku, kiedy jej zdyszana matka pojawia się w drzwiach!

– Ta prawniczka już poszła, dziewczyno. Już nie musisz się tu chować.

Ednetta pomyślała, że powinna zabrać Sybillę do salonu fryzjerskiego Jubilee i zafundować jej porządne uczesanie. Szcztokowanie na gorąco i (być może) cieniutkie warkoczyki zaplatane rządkami do góry. Anis, kiedy wychodził tego ranka z domu, dał jej plik banknotów, w tym dwie pomięte pięćdziesiątki.

– Jezu, mamó, nie chowam się tu!

– Ta prawniczka z KSPLK już poszła. Nie wiem, z kim rozmawiała. Może z sąsiadami. Cholera, nawet nie chcę myśleć, co ludzie wygadują, i tak zawsze dowiaduję się o tym ostatnia.

Sybilla się skrzywiła, jakby rozboleł ją brzuch. „Czy ona jest w ciąży?”. Ta myśl zmroziła Ednetę.

Wiedziała, że to niemożliwe. Z tego, co opowiedziała jej córka, z tych małych fragmentów rozsypanych jak rozbite lustro na podłodze (które trzeba starannie zmieść) wynikało, że ciąża była wykluczona.

– Czy Martine przyjdzie? Chcesz, żeby została na kolacji?

To spojrzenie, nieśmiałe i zarazem szydercze, rzucone zezującym lewym okiem.

– Jak Martine przychodzi, to się pieklisz, że nie pozmywałyśmy jak należy albo że nie wytarłyśmy naczyń. I że nie oglądamy w telewizji tego, co ty chcesz.

Ednetę zabolowały te słowa. Czy Sybilla myśli o niej w taki sposób? A Martine, jej ulubiona mała siostrzenica, czy ona też myśli, że Ednetta jest taką suką?

Podeszła do córki i położyła dłoń na jej czole. W tej krótkiej chwili, zanim Sybilla odepchnęła jej rękę, poczuła, że dziewczyna jest rozpalona.

– Wszyscy chcą nas „reprezentować”, jakbyśmy były The Supremes. Na pewno myślą, że da się na nas zarobić. – Ednetta się roześmiała, miała nadzieję, że córkę też to rozbawi.

Sybilla odpowiedziała lodowato, bez mrugnięcia powieką:

– Że da się zarobić na mnie. Nie, kurwa, na nas. Tu chodzi tylko o mnie, mamó.

Misja

„Czarna dziewczyna pobita i zgwałcona przez białe gliny i pozostawiona na pewną śmierć w opuszczonej fabryce w Pascaayne w New Jersey. Żadnych aresztowań, blokada informacji i cenzura w białych mediach, w urzędach i wśród polityków”.

Nic więcej, tyle wystarczy.

Zostawił wiadomość dla swojego brata Byrona.

„W drodze do Pascaayne.

Przygotować się na sytuację kryzysową”.

Pastor Marus Cornelius Mudrick i adwokat Byron Randolph Mudrick.

Bracia bliźniacy urodzeni w Penn's Mill w Wirginii w 1943 roku. Przeprowadzili się z rodzicami do Camden w New Jersey w 1952 roku i mieszkali tam, kiedy porzucił ich ojciec, z matką i kilkorgiem rodzeństwa w budynku komunalnym. Kiedy Marus miał pięć lat, pastor z Afrykańskiego Kościoła Metodystyczno-Episkopalnego w Penn's Mill odkrył jego talent do wygłaszania kazań. Kiedy skończył osiem lat, co niedziela wygłaszał gościnnie kazania w różnych kościołach w New Jersey i Nowym Jorku. W wieku dwunastu lat został wolnym słuchaczem na specjalnych prawach w Seminarium Biblijnym w Camden, a kiedy skończył piętnaście, został wyświęcony na pastora Afrykańskiego Kościoła Metodystyczno-Episkopalnego – najmłodszego pastora w historii Seminarium w Camden. Często też śpiewał – jako solista – podczas nabożeństw w kościele. Miał piękny chłopięcy głos, który po mutacji przekształcił się w głęboki baryton. W wieku jedenastu lat Marus wziął udział w popularnym telewizyjnym teleturnieju *Dwadzieścia jeden*. Był pierwszym dzieckiem i zarazem pierwszym Afroamerykaninem, który pojawił się w tym programie, chociaż występował w nim tylko przez trzy tygodnie, zanim przegrał z młodym (białym) „geniuszem” Herbertem Stemplem. Wiele lat później, już jako kontrowersyjna, powszechnie znana osobistość Nowego Jorku i okolic, Marus Mudrick wystąpił w programie *Idź na całość* i wygrał kilka tysięcy dolarów, które – jak ogłosił – przekazał na Narodowy Fundusz Pomocy dla Młodych Afroamerykanów, organizację *non profit* zajmującą się wspieraniem ubogiej czarnej młodzieży.

Obaj bracia ukończyli liceum imienia Bookera T. Washingtona w Camden w 1962 roku. Byron z wyróżnieniem, jako prymus, a Marus już jako wyświęcony pastor, któremu wróżono najświetniejszą karierę. Marus zapisał

się na Uniwersytet Stanowy Rutgersa z zamiarem studiowania nauk politycznych, ale wkrótce porzucił naukę, by przez dwa lata pracować w Harlemie w biurze kongresmena Adama Clayтона Powella. Byron skończył z wyróżnieniem prawo na uniwersytecie Rutgers-Newark, uzyskując w 1971 roku tytuł magistra. Został przyjęty w skład palestry stanu New Jersey w 1972 roku i rozpoczął pracę jako prawnik w zgromadzeniu stanowym w Trenton, podczas gdy Marus, niezwiązany z żadnym konkretnym czarnym Kościołem, nadal wygłaszał gościnne kazania, pracując jednocześnie dla różnych organizacji walczących o prawa obywatelskie, takich jak KSPLK, Kongres Równości Rasowej, Projekt Letnich Szkół Wolnościowych i Narodowa Fundacja na rzecz Czarnej Młodzieży, w której w 1979 roku został koordynatorem na stan New Jersey. (W 1983 roku ogólnokrajowe władze fundacji podejrzewały Marusa o sprzeniewierzenie funduszy. Chociaż nie został formalnie oskarżony, wpłacił na konto organizacji dwanaście tysięcy dolarów i zrezygnował ze stanowiska. Byron zaangażował się w obronę Marusa, ale w następstwie długiego śledztwa stosunki między braćmi ochłodziły się na kilka lat). Podczas gdy Byron w swoich bataliach prawnych w obronie praw obywatelskich unikał rozgłosu, Marus zyskał reputację płomiennego czarnego agitatora, bliższego tradycji kongresmena Powella niż pastora Martina Luthera Kinga. Marus nauczył się od Powella organizować czarne społeczności w ramach akcji niepłacenia czynszów, bojkotu wybranych (żydowskich, chińskich i koreańskich) sklepów i usług, demonstracji w obronie praw obywatelskich i pikiet. Prowadził marsze przez „śnieżnobiałe” podmiejskie dzielnice w New Jersey i Nowym Jorku, kwestionował prawo policji do strzelania do czarnych „podejrzanych” i agitował za zatrudnianiem czarnych funkcjonariuszy w policji, straży pożarnej i jako kierowców autobusów w Newark. Najbardziej znanym przedsięwzięciem, w jakie się zaangażował, był marsz ponad tysiąc osób do legislatury stanowej New Jersey w Trenton w 1981 roku w proteście przeciwko karze śmierci dla czarnego mężczyzny oskarżonego o gwałt i morderstwo (zarzuty oparto głównie na relacji pochodzącej od informatora, białego więźnia). Zorganizował też jeszcze większy pochód w Newark w 1984 roku po zastrzeleniu nieuzbrojonego czarnego bohatera wojennego, byłego żołnierza marines, przez policjanta stanowego z New Jersey, który zatrzymał go na autostradzie pod zarzutem przekroczenia prędkości.

Sam Marus był wielokrotnie aresztowany przez funkcjonariuszy sił porządkowych i oskarżany o podburzanie do zamieszek, zakłócanie porządku publicznego, organizowanie marszów bez odpowiednich pozwoleń, niestosowanie się do poleceń policji i stawianie oporu podczas aresztowania. Marus uwielbiał jeździć nowymi modelami samochodów (zwłaszcza cadillacami i lincolnami) i bywał często zatrzymywany pod zarzutem „jazdy pod wpływem czarnego koloru skóry”. (Zatrzymania te skutkowały nierzadko aresztowaniem, Marus miał bowiem arogancki zwyczaj wyklócania się z funkcjonariuszami policji). Latem 1964 roku został pobity i aresztowany w Albany w stanie

Georgia za udział w zajęciach Szkoły Wolności; powtarzało się to pod koniec lat sześćdziesiątych i przez całe lata siedemdziesiąte z powodu jego zaangażowania politycznego w New Jersey i Nowym Jorku. (W 1977 roku na Rikers Island Marus Mudrick przez kilka dni wygłaszał dla współwięźniów pełne pasji kazania o wyzwoleniu czarnych; musiały wtedy interweniować władze więzienia). W 1985 roku przy finansowej pomocy Fundacji Lewentine i innych bogatych (białych) donatorów założył Duszpasterstwo Opieki Stanu New Jersey. Duszpasterstwo pomagało żyjącej w trudnych warunkach młodzieży w poszukiwaniu kursów zawodowych i miejsc pracy oraz w znajdowaniu tymczasowych mieszkań dla ich rodzin. W tym samym czasie, przy mniejszym rozgłosie i wykorzystując mniej kontrowersyjne środki, Byron Mudrick pomagał działaczom walczącym o przestrzeganie praw obywatelskich i wykładał jako adiunkt na wydziale prawa uniwersytetu Rutgers-Newark. Znaczną część swojej pracy wykonywał charytatywnie, wspierając organizację Projekt Niewinności. (Byron Mudrick był też jednym z kilku prawników występujących w imieniu boksera Hurricane'a Rubina Cartera, skazanego niesłusznie za morderstwo pod koniec lat sześćdziesiątych i zwolnionego z więzienia w 1985 roku). O braciach Mudrick mawiano: „Kiedy Marus występuje, Byron się prawuje”.

Od swojego pierwszego charyzmatycznego mentora, Adama Clayтона Powella – który w 1967 roku został skazany za defraudację, korupcję i wiele innych drobniejszych przestępstw, a co Marus Mudrick oprotestował jako przykład jawnej dyskryminacji rasowej (mnóstwo białych polityków tej epoki było zamieszanych w coś, co prasa nazywała korupcją, i wszyscy wiedzieli, że demokratyczny kongresmen Powell został kozłem ofiarnym, dlatego że był czarny, a nie dlatego, że był skorumpowany) – Marus Mudrick nauczył się, że zawsze należy prezentować się jak najlepiej, zwłaszcza kiedy w pobliżu są fotografowie lub ekipy telewizyjne. Marus, podobnie jak Powell, ubierał się starannie w trzyczęściowe, szyte na miarę garnitury, do których często zakładał efektowne jedwabne krawaty i koszule oraz spinki z monogramem. Nosił eleganckie buty, zawsze wyczyszczone na wysoki połysk, i wzorem Powella zapuścił cienki wąsik; gęste czarne włosy miał zawsze starannie ostrzyżone i błyszczące od brylantyny, a paznokcie wymanikiurowane. Lubił złotą biżuterię – pierścionki, zegarki i bransolety. Nie włożyłby ubrania, które byłoby chociaż odrobinę pogniecione, brudne lub niemodne, ani nie wsiadłby do samochodu, który nie lśniłby nowością. Stwierdzenie „czarne jest piękne” było w ustach Marusa czymś naturalnym, już bowiem od czasu, kiedy miał pięć lat i wygłaszał pierwsze kazania, nie wątpił, że jest piękny. Nie dlatego, że był czarny, lecz dlatego, że był Marusem, który – tak się złożyło – był czarny.

W połowie lat siedemdziesiątych w okolicach zamieszkanym przez czarnych zaczęły się pojawiać plakaty z wytwornym Marusem Mudrickiem odzianym w trzyczęściowy garnitur (który stał się jego znakiem rozpoznawczym) i jedwabny krawat. Uśmiechał się z powagą, był pełen energii, skupiony, emanował siłą, męskością i chrześcijańskim zdecydowaniem – „Czarne jest

piękne. Pastor Marus Mudrick, Duszpasterstwo Opieki Stanu New Jersey”. Choć w czasie, kiedy pojawiły się te kontrowersyjne plakaty, Marus miał trzydzieści kilka lat, to jednak wydawał się o dziesięć lat starszy. Z tłustymi, obwisłymi policzkami i obrzmiałą twarzą wyglądał jak korpulentny, dystygowany prezes sądu. Na ustach miał tajemniczy, lekko szyderczy uśmiech, może z powodu wywiniętej górnej wargi. „Ludu mój, będę walczył za ciebie przeciwko naszym wrogom. Uwierz mi – jestem prawdziwym mężczyzną”. Marus ożenił się, rozwiódł i znowu wstąpił w związek małżeński. Często sprawiał wrażenie, jakby żył z dala od swojej rodziny. Byron ożenił się z dziewczyną, którą poznał jeszcze w liceum w Camden, i mieszkał z nią i dziećmi w „zintegrowanym” śródmieściu Newark, gdzie jego żona była dyrektorką szkoły publicznej.

Choć urodzili się w odstępie zaledwie kilku minut, bliźniacy na pierwszy rzut oka nie byli do siebie zbyt podobni. Marus, starszy o sześć minut od Byrona, zachowywał się tak, jakby te sześć minut dawało mu prawo do przewodzenia w ich bliźniaczym życiu, czego Byron, z natury spokojniejszy, skromny i skłonny do ironii, nie kwestionował. Nie można było konkurować z Marusem Mudrickiem – było się albo jego wyznawcą i uczniem, albo wrogiem. W wypadku Byrona – *młodszym bratem*.

Obaj bracia doznali obrażeń podczas porodu, co skutkowało lekkim wygięciem górnej części kręgosłupa i niskim wzrostem. Marus nie miał więcej niż metr sześćdziesiąt pięć, a Byron był o dziesięć centymetrów niższy. Marus rekompensował sobie niewielką posturę, chodząc w butach na podwyższonym obcasie, trzymając się prosto i unosząc wysoko głowę. Mówił wyraźnie i zdecydowanie, donośnym, pewnym siebie głosem kaznodziei. Współpracowników dobierał, kierując się między innymi ich wzrostem, i rzadko (chyba że chodziło o zdjęcie z jakąś znaną postacią) pozwalał się fotografować z osobami, które były wyższe niż on.

Byron, który twierdził, że próżność brata go peszy (choć na swój sposób ją akceptował), rekompensował swój niski wzrost poświęceniem się pracy, w której czasami wykazywał niezwykłą siłę woli. Lubił myśleć o sobie jak o pitbulterierze, który nigdy nie szczeka, ale zatapia kły w łydce przeciwnika i nikomu nie da rozewrzeć swoich szczęk. Podczas gdy Marus jak powietrza potrzebował uwagi, rozkwitał, gdy ludzie słyszeli o nim i widzieli go na fotografiach i w telewizji (nawet gdy odbywało się to za cenę piętnowania i ataków – byle tylko mógł wywierać wpływ na polepszenie sytuacji swojej rasy), Byron kontentował się wygrywaniem spraw w sądzie i negocjowaniem zakulisowych układów, pozostając poza zasięgiem wzroku gawiedzi.

Z powodu wady kręgosłupa i niskiego wzrostu bliźniacy zostali uznani za niezdolnych do służby wojskowej i uniknęli wojny w Wietnamie. Marus sympatyzował (jawnie) z czarnymi, którzy odrzucali karty powołania (jak choćby Cassius Clay), ale nie odnosił się już tak życzliwie do białego radykalnego ruchu antywojennego z końca lat sześćdziesiątych, wierzył

bowiem, że ruch ten był inspirowany przez komunistów (podobnie jak ruch hipisów, którego przedstawiciele nie okazywali Marusowi Mudrickowi takiego szacunku i uznania, do jakiego przyzwyczaiła go czarna społeczność). Byron, który wierzył w czarny patriotyzm, a po wybuchu skandalu z Paulem Robsonem zdeklarował się (ostrożnie) jako „wróg komunizmu”, bronił mimo to w latach sześćdziesiątych niektórych młodych czarnych odmawiających służby wojskowej ze względu na przekonania (bez zbytniego powodzenia – większości z nich nie udało mu się uchronić przed więzieniem federalnym). Byron Mudrick nie był tak zniechęcony jak inni czarni zaangażowani prawnicy. Zawdzięczał to swojemu podejściu do ludzi – był szczery, kompetentny i unikał patosu. Nawet ci politycy, urzędnicy i sędziowie, którzy stali po przeciwnej stronie barykady i których rasizm (skrywany) powodował, że traktowali go jak ideologicznego wroga, szanowali go i podziwiali zdolności, którymi wykazywał się na sali sądowej. Lubił żartować, że powinien wydrukować sobie wizytówki z napisem: ZWOLENNICY BRACI MUDRICK – ŁĄCZCIE SIĘ.

*

PIĘĆ TYGODNI PO ODNALEZIENIU SYBILLI W FABRYCE KONSERW RYBNYCH
Ednetta Frye została przedstawiona wielebnemu Marusowi Mudrickowi.

Poznał ich ze sobą pastor kościoła Ednetty, wielebny Denis. Powiedział Ednetcie, że „ktoś wyjątkowy, jeden z naszych wielkich czarnych Amerykanów”, chciałby się z nią spotkać.

Dlaczego taka osoba chciałaby się z nią zobaczyć? – zapytała przestraszona kobieta.

Ednetta słyszała oczywiście o Marusie Mudricku. Wiedziała, że wielebny Mudrick wygłaszał kilka razy kazania w kościele wielebnego Denisa, i od dwudziestu lat widywała jego fotografie, które ukazywały się w gazetach. Czytywała pełne zachwyty artykuły o dynamicznym pastarze, aktywnym obrońcy praw obywatelskich, i wywiady drukowane w „Ebony”, „Essence” i „Black Digest”. Lokalna gazeta z Pascayne opisywała „nielegalne” marsze protestacyjne organizowane przez Marusa i „podżegające” przemówienia w zgromadzeniu stanowym i w Newark. W każdym białym artykule wielebny Marus Mudrick był piętnowany jako ktoś, kto „szczyje na białą rasę”. Od najmłodszych lat Ednetta považała Adama Clayтона Powella, podobnie jak wszyscy jej znajomi, i wiedziała, że Marus Mudrick był jego młodym protegowanym.

Ednetta obawiała się, że zemdleje, kiedy wielebny Mudrick uściskał jej dłoń i spojrział głęboko w oczy z wyrazem czułego zainteresowania i troski. Wyczuła zapach brylantyny i wody kolońskiej. Nigdy z bliska nie widziała tak uprzejmego i przystojnego mężczyzny, tak elegancko seksownego mężczyzny. Przyprawiający o zawrót głowy uśmiech, białe zęby, skóra koloru karmelu

i nieskazitelna linia wąsika. Wielebny Mudrick miał na sobie trzyczęściowy garnitur z ciemnej, miękkiej wełny i płaszcz o nieco jaśniejszym odcieniu, białą jedwabną koszulę i kosztowny, olśniewający, łososiowy jedwabny krawat. Na palcu prawej dłoni nosił złoty sygnet, a na lewym przegubie złoty zegarek. W mankietach lśniły złote spinki z wygrawerowanymi literami MCM. Miał niski głos i nieco sycząco wymawiał niektóre zgłoski: Pani Frye, Ednetta, pani córka Sybilla... Ednetcie zabrakło tchu, oczy jej zwilgotniały, poczuła piekące łzy.

We frontowym pokoju w domu wielebnego Denisa, tuż przy kościele przy Siódmej Ulicy, Marus Mudrick ponad godzinę rozmawiał z Ednettą Frye, wyjaśniając znaczenie misji, której się podjął, by udzielić jej pomocy. Mówił o swoim oburzeniu na „rasowy gwałt” na jej córce dokonany przez białych funkcjonariuszy policji. I o przeświadczeniu, że tylko on może zapewnić sprawiedliwość Ednetcie i jej córce.

Chociaż Marus Mudrick był tylko odrobinę wyższy od Ednetty i dużo niższy od Anisa Schutta, roztaczał aurę niezwykłej siły. Mówił z mocą i pasją, gestykulował z patosem, zdawało się, że cały drży w gorączce podniecenia. Ednetta kilka razy próbowała zaczerpnąć tchu i coś powiedzieć, ale przytłoczona jego osobowością zdołała tylko wydukać kilka słów i zamilkła.

Powiedział, że został do niej przysłany „na bezpośredni rozkaz dany mu od Boga”. Do niej i do jej córki Sybilli.

Przyszedł, jak tylko dowiedział się o tym akcie przemocy, którego padły ofiarą, i o tym, jak policja z Pasgayne zlekceważyła tę sprawę. I o blokadzie informacyjnej w białej prasie.

Czternastoletnia czarna dziewczyna. Porwana, pobita, zgwałcona i porzucona na pewną śmierć w tym strasznym miejscu przez białych gliniarzy. A ich przełożeni chronią gwałcicieli, białe media zaś, które znajdują się w rękach establishmentu, dławią wszelkie doniesienia na ten temat.

To było niemal gorsze niż morderstwo. Na nic takiego nie powinno być przyzwolenia w żadnym cywilizowanym społeczeństwie, w żadnej prawdziwej demokracji. To mogło się wydarzyć jedynie w „państwie nazistowsko-rasistowskim”.

Marus Mudrick oddychał szybko. Był podekscytowany dobrymi nowinami, które chciał jej przekazać, i Ednetta poczuła się, że jest temu winna; czuła się skrępowana – dlaczego wielebny Denis nie ostrzegł jej, że spotka się z Marusem Mudrickiem?! (Spodziewała się kolejnej nudnej pracownicy opieki społecznej, z kręconymi włosami, krótko obciętych paznokciami, w butach na płaskim obcasie, jednej z takich, które nachodziły ją w ciągu ostatnich miesięcy).

Przed przyjściem do wielebnego Denisa ubierała się w pośpiechu. Na szczęście włożyła przyzwoite, niedawno kupione i niewygniecione rzeczy – zamszowe obcisłe spodnie, kurtkę ze sztucznego lisa i błyszczący sweter z dekoltem w serek. Na szyi miała prosty złoty łańcuszek, który nosiła od swoich dziesiątych urodzin, kiedy dostała go od babci Pearline. I odwiedziła salon fryzjerski Jubilee, bo ostatnio jej włosy przypominały ptasie gniazdo.

Włożyła buty na wysokim obcasie, a nie te cholerne tenisówki, które często nosiła z powodu haluksów. No i makijaż – błyszczący do ust After Dark.

Spojrzenie, które wymienili między sobą wielebny Mudrick i Ednetta Frye, było krótkie jak trzask pocieranej o draszkę zapałki.

Wielebny z pewnością pomyślał: „Spotykam piękną kobietę, a spodziewałem się grubej mamuśki w średnim wieku”.

Ednetta była zbyt zmieszana, by zapytać Marusa Mudricka, jak dowiedział się o jej córce i o niej, ale on sam wyjaśnił, że złe wieści rozchodzą się szybko i że trzyma rękę na pulsie niesprawiedliwości, jaką cierpią czarni, zwłaszcza w stanie New Jersey, gdzie mieści się siedziba jego Duszpasterstwa Opieki. Kiedy tylko doniesiono mu o tej okropności, jaka spotkała Sybillę Frye, skontaktował się z wielebnym Denisem, który był jednym z jego najstarszych i najbardziej zaufanych sprzymierzeńców w walce o sprawiedliwość dla czarnych obywateli.

Teraz Ednetcie naprawdę zrobiło się słabo. Wielebny Mudrick pomógł jej usiąść w fotelu i przysunął swoje krzesło tak blisko, że ich kolana się dotykały.

Marus Mudrick powiedział nieco spokojniejszym tonem, że słyszał od wielebnego Denisa, że Ednetta pięknie śpiewa – jej kontralt porównuje się do głosu Marian Anderson. Słyszał też, że Ednetta nie występuje już w kościelnym chórze i wszyscy tego żałują. On także kocha muzykę – kiedy był chłopcem, śpiewał solowe partie podczas nabożeństw w Wirginii, stare hymny i pieśni gospel. W liceum uczył się gry na saksofonie, jego wzorem był Charlie Parker, ale w obecnych trudnych czasach nie ma już serca do muzyki.

W latach sześćdziesiątych wróg mordował czarnych przywódców. W latach osiemdziesiątych wróg jest bardziej podstępny: „Jakby dławili nam piersi i odcinali dopływ tlenu. Pewnego dnia budzisz się i jesteś martwy. Stajesz się zombi, ale nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy”.

Widząc, że Ednetta wygląda, jakby była odurzona (wywierał taki wpływ na kobiety w pewnym wieku), Marus Mudrick powiedział ściszym głosem:

– Może pani o tym nie wie, pani Frye, ale pierwotnie zombi byli czarni. Byli czarnymi niewolnikami z Karaibów, biednymi niewinnymi ludźmi, których odurzano narkotykami i grzebano żywcem. Wmawiano im, że umarli i zostali przywróceni do życia przez swoich okrutnych panów, aby mogli pracować dla właścicieli niewolników. Jak długo wierzyli w to, że są martwi, byli martwi. Ale pracowali, nie mieli wyboru. W tych dawnych czasach nikt nie potrafił uwolnić zombi. Ale teraz, w 1987 roku, zombi nie ma żadnej wymówki, by nadal być niewolnikiem.

Ednetta nigdy wcześniej nie słyszała nikogo, kto mówiłby tak przekonująco. Przypomniała sobie namiętne kazania wygłaszane przez wielebnego Mudricka z ambony w Afrykańskim Metodystyczno-Episkopalnym Kościele Syjonu – wychodziło się po nich w przekonaniu, że wielebny Mudrick miał rację, chociaż czasem trudno było dokładnie wytłumaczyć, co takiego powiedział.

Teraz Marus przedstawił w zarysie swoją propozycję krucjaty na rzecz

Ednetty i jej córki oraz swojej roli jako duchowego doradcy. Będzie blisko współpracował ze swoim bratem Byronem, znanym prawnikiem z New Jersey, specjalizującym się w sprawach dotyczących praw obywatelskich. Powiedział, że on i Byron pracowali już razem niejedną raz.

– Zaczniemy od zwołania konferencji prasowej w Newark. Trzeba to zrobić jak najszybciej, nie później niż w przyszły poniedziałek, i zażądać dochodzenia w sprawie policji z Pasgayne, która dopuściła się zaniedbań i postępowała nierozważnie podczas śledztwa w sprawie pani córki. Potem możemy zacząć działać w zgromadzeniu stanowym w Trenton, gdzie mam znajomych w legislaturze i gdzie może uda mi się spotkać z gubernatorem. Jak tylko się pani zgodzi, by Byron panią reprezentował, zażąda on wglądu we wszystkie dokumenty mające związek ze sprawą – policyjne i medyczne. Jeśli w śledztwo włączyło się FBI w wyniku domniemania, że była to zbrodnia na tle nienawiści rasowej, uzyskamy dostęp także do ich materiałów. Rozpoczniemy ofensywę przeciwko białemu wrogowi i nie odpuścimy.

Serce Ednetty biło tak szybko, że ledwie mogła oddychać. Nie była w stanie zrozumieć, co mówi ten mężczyzna, ale wiedziała, że mówi to do niej, ponaglącym, poufałym głosem.

Ten słynny czarny pastor – czarny celebryta – zwracał się do Ednetty Frye w taki sposób, w jaki jeszcze nigdy nikt do niej nie przemawiał. Nawet w jej dziewczęcych fantazjach, w których rozmawiała ze znanymi postaciami, jak Aretha Franklin, James Brown, Wilson Pickett czy Diana Ross (która śpiewała w jej pokoju, kołysząc się przed lustrem, i poprosiła Ednetę, by przyłączyła się do The Supremes i zastąpiła biedną Florence Ballard. „Musiałabyś porzucić swoje życie w Pasgayne i jeździć z nami w trasy. Ale masz do tego odpowiedni głos, Ednetto! I wygląd”).

– Chciałbym poznać pani córkę, pani Frye. Czy zaprowadzi mnie pani teraz do niej?

– T-teraz?

– Tak. Żeby przyjechać dziś do Pasgayne i porozmawiać z panią i pani córką Sybillą, musiałem odwołać kilka ważnych spotkań. Zaprowadzisz mnie do niej, siostrzeczko Ednetto?

„Siostrzeczko Ednetto”! Poczowała, że robi się jej ciepło w okolicy serca.

– Wielebny Denis mówił, że mieszkasz niedaleko stąd, siostrzeczko. Mam samochód, możemy pojechać.

– Ale... oni nas zabiją, wielebny. Ci biali gliniarze, oni grozili Sybilli i całej jej rodzinie...

– Spokojnie, Marus Mudrick was obroni. Żadni „oni” nie będą już terroryzować czarnych kobiet, bo jest tu Marus Mudrick. Jak tylko się dowiedzą, że zająłem się tą sprawą, dadzą wam spokój.

– Wielebny, ja... ja nie wiem, gdzie jest Sybilla...

– Słyszałaś o Joannie d’Arc? Francuskiej młodej wieśniaczce, która została męczennicą i świętą?

Ednetta niepewnie skinęła głową.

– Joanna d’Arc była zwykłą młodą dziewczyną, kiedy Bóg zesłał jej wizje. Ile lat ma twoja córka, Ednetto? Czternaście?

– Sybilla ma piętnaście...

– Nagłaśniając to, co uczyniono Sybilli Frye, rozbudzimy świadomość białej Ameryki. Twoja córka jest dziś męczennicą, ale pewnego dnia zostanie świętą.

Ednetta powoli skinęła głową. Poczowała się oszołomiona i senna, jak stworzenie hipnotyzowane przez kobrę – te piękne, elegancko wypomadowane włosy, to przeszywające spojrzenie.

– Ale... Sybilla nie chce już o tym rozmawiać. Jest młoda, wielebny wie, jak to z nimi jest... – zaczęła Ednetta słabym głosem i umilkła.

– Zyskacie nie tylko ochronę przed tymi białymi świniami. Zostaniecie wywyższone ponad takich osobników w opinii Amerykanów, no i zostaniecie hojnie wynagrodzone, siostró Ednetto. Historia Sybilli, specjalne wywiady dla prasy, pozwy wniesione przeciwko policji z Pascayne, hrabstwu Pascayne i prokuratorowi okręgowemu za błędy popełnione w śledztwie i brak ochrony nieletniej ofiary... Przypominasz sobie marsz protestacyjny, który prowadziłem razem ze swoimi współpracownikami w 1984 roku w Newark po zamordowaniu przez policję byłego żołnierza marines, bohatera Tyrella Rourke’a? Było nas dwa tysiące trzysta osób, maszerowaliśmy otoczeni gestapowską falangą, sztychowano nas, biali rasiści grozili nam, ale nieśliśmy swoje transparenty i śpiewaliśmy pieśni protestacyjne, i Bóg był po naszej stronie, po stronie czarnych i ich historii. Relacja z tego marszu ukazała się na pierwszej stronie „New York Timesa” i mówiono o nim we wszystkich stacjach telewizyjnych, które nadają w tym regionie. Jak myślisz, siostró Ednetto, ile rodzina Rourke’ów dostała dzięki ugodzie z władzami stanu New Jersey?

Marus Mudrick powiedział to triumfującym tonem, a Ednetta się przestraszyła, że pastor się zorientuje, jak ona niewiele wie o historii czarnych obywateli, nawet o wydarzeniach, które nastąpiły za jej życia.

– Odszkodowanie wyniosło dwa i pół miliona dolarów, siostró Ednetto. To była suma, którą trzeba było podzielić między wiele osób, ale dwa i pół miliona... Pomyśl o tym! Wcześniej większość marszów protestacyjnych była „rozwiązywana” przez policję. Być może ktoś cisnął butelką albo kamieniem, padło kilka wystrzałów, a policja rzucała się, by „uśmierzyć zamieszki”. Stan New Jersey tym razem musiał uznać, że białym rasistom zbyt wiele uchodzi na sucho. A zbiorowy gwałt dokonany przez białych gliniarzy na czternastoletniej czarnej dziewczynie, która wracała ze szkoły do domu w hrabstwie Passaic w 1987 roku, będzie kosztował ich o wiele więcej. Tak przewiduję.

Ednetta poczuła, że kręci się jej w głowie, i musiała przytrzymać się ramienia Marusa Mudricka.

– Ale wielebny... Sybilla mówiła, że nie widziała żadnych twarzy. No, może jedną, mężczyznę z żółtymi włosami. Mówiła, że nosił odznakę. Ale przecież wielebny wie, że nie przyjrzała mu się z bliska. Mówiła, że to przypominało zły

sen, którego nie da się dokładnie opowiedzieć.

– Dlatego muszę porozmawiać z Sybillą, siostrze Ednetto. Jeszcze dziś.

– Ale... mówiłam... Sybilli nie... – zaczęła Ednetta słabym, zamierającym głosem.

– Będziemy pośredniczyć w zorganizowaniu wywiadów, których udzielicie, Sybilla i ty, siostrze Ednetto. Na obszarze trzech stanów, w obrębie miast Newark, Nowy Jork i Filadelfia. Pascayne będzie naszym centrum. Obiecuję, siostrze Ednetto, że twoje życie odmieni się w sposób, jakiego sobie nigdy nie wyobrażałaś.

Wielebny Mudrick przemawiał dźwięcznym, świszczącym głosem. Ednetcie wydawało się, że nie usłyszała ani jednego słowa z tego, co powiedziała.

Popatrzyła z rozpaczą na siwowłosego pastora Denisa, który siedział obok z rękami założonymi na brzuchu i przymkniętymi oczami, jakby zapadł w drzemkę. Ednetta pomyślała, czy czasem i jej pastor nie poddał się wpływowi mesmerycznej mowy Marusa Mudricka.

– Przepraszam, wielebny, co pastor o tym sądzi? Myśli wielebny, że Sybilla nadaje się do tego, żeby gadać z tymi ludźmi? Dawać wywiady?

Wielebny Denis ponuro i powoli potrząsnął głową. Nie było jasne, czy chce powiedzieć „nie”, czy wyznać, że nie ma na ten temat zdania.

– Moje dziecko, Sybilla... ona nie jest... nie zawsze jest dzieckiem, które słucha się matki. Wielebny Mudrick, rozumie pan, o co mi chodzi? Jest uparta... pewnie dlatego nie chce mówić, jak wpakowała się w te kłopoty...

– Porozmawiam z Sybillą i ruszymy z tą sprawą. Najpóźniej w następnym poniedziałek zorganizujemy konferencję prasową w moim biurze w Newark. Nalegam, aby...

Ednetta zerwała się nagle na nogi. W butach na wysokim obcasie z wąskim paseczkiem diabelnie trudno złapać równowagę. Te buty z imitacji skóry krokodyla były jak wyrzut sumienia, świadectwo jej próżności. Sybilla zadrwiła z niej, kiedy Ednetta próbowała wbić w nie swoje szerokie stopy: „Cholera, mamo, te buty są za seksowne dla takiej starszej pani jak ty”.

Ednetta wyjąkała:

– Właśnie sobie przypomniałam. Moja babcia chciała, żebym do niej wpadła. Kiepsko się czuje i potrzebuje mnie właśnie teraz. Wielebny Mudrick, porozmawiamy innym razem... być może... Ale teraz proszę mi wybaczyć. Wielebny Denis, wielebny Mudrick, muszę już iść.

Zanim Marus Mudrick zdążył zaprotestować i pochwycić jej zmartwiałe, lodowate ze strachu dłonie, Ednetta chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.

– Siostrze Ednetto! Moja droga, proszę zaczekać!

Ale Ednetta uciekła! Uciekła przed wielebnym Mudrickiem!

Zdumiony pastor stał w drzwiach domu wielebnego Denisa w swoim trzyczęściowym garniturze z ciemnej wełny i wołał za nią. Wyobrażała sobie jego jasne oczy przepełnione niepokojem i złością. Wyobrażała sobie, jak przebiera nerwowo palcami, którymi chciałby ją schwycić i zaciągnąć

z powrotem do domu. Ednetta bowiem dobrze znała mężczyzn: nie wolno sprzeciwiać się nawet najsłabszemu z nich, a Marus Mudrick był najsilniejszy.

Ale to był jedyny sposób, zrodzony z rozpacz, ze strachu i wstydu – wyjść z pokoju i przełamać zaklęcie, które rzucił na nią ten mężczyzna. I nie oglądać się za siebie.

Pokusa

„Jakbym ledwo uszła z życiem. Jezu!”

Śmiała się, opowiadając o tym każdemu, kogo spotkała. Każdemu, kto przyszedł do niej do domu. Zastanawiała się nawet, czy nie powiedzieć Anisowi Schuttowi. „Znasz wielebnego Marusa Mudricka? Przyjechał dziś do Pascayne specjalnie po to, żeby się ze mną spotkać”.

Ale nie. Ednetta dobrze wiedziała, że nie może tego opowiedzieć Anisowi Schuttowi.

Nie opowiadała Anisowi Schuttowi o swoich prywatnych sprawach, swoich kobiecych prywatnych sprawach. Ani żadnemu innemu cholernemu mężczyźnie.

„Męczennica. Święta. Joanna d’Arc”.

„Siostrze Ednetto. Ochroń cię”.

Nie mogła zasnąć, wciąż słyszała aksamitny głos tego mężczyzny! Obok niej leżał Anis, chrapał i posapywał, mimo to słyszała głos tego drugiego, jakby głos samego Zbawiciela.

W jej żyłach płynął roztopiony ołów, pod powiekami czuła piekące łzy. Ednetta nie wiedziała, czy było to spowodowane podnieceniem, strachem, czy zwykłą wdzięcznością. Czuła się tak, jakby dotknął jej Jezus i kazał jej powstać z martwych. Przywrócił jej oddech jak córce Jaira. Nie wolno wątpić w Jezusa, trzeba paść na kolana z płaczem i powiedzieć: „Jezu, dziękuję Ci za życie. O Jezu, dziękuję Ci za życie, które mi wróciłeś”.

Ednetta nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Marus Mudrick. Czuła się wycieńczona, jakby ktoś przeorał jej duszę. Jak wtedy, kiedy po raz pierwszy spotkała Anisa Schutta, kiedy jeszcze był młody i ona była młoda, delikatna i soczysta jak świeżo dojrzała brzoskwinia. A przecież to było tak dawno temu.

„Czarna sprawiedliwość. Dwa i pół miliona”.

Uwiedzenie

Zadzwieczał dzwonek u drzwi i Ednetta w bawełnianej koszuli wyjrzała, żeby zobaczyć, co się, do cholery, dzieje.

– Proszę pani, czy to pani jest siostrą Ednettą Frye?

Siostrą! Ednetta odruchowo wzięła długopis od doręczyciela i podpisała pokwitowanie.

Odruchowo westchnęła i bez zastanowienia weszła do kuchni, trzymając w ramionach bukiet – tuzin krwistoczerwonych róż z długimi łodygami. „Od przyjaciela i obrońcy, wielbnego Marusa C. Mudricka”.

– Jezus, mammo! Przynieśli to cholerstwo pod zły adres, a ty będziesz musiała za to zapłacić – roześmiała się Sybilla.

Ednetta czuła się zbyt słaba, by kłócić się z córką. Po prostu zbyt słaba – serce tak jej waliło. Łatwiej było włożyć delikatne kwiaty do zlewu i poszukać wazonu, podczas gdy Sybilla nadal drwiła i szydziła, jakby i ona przestraszyła się na widok róż.

– Chyba po raz pierwszy ktoś przysłał tu kwiaty.

Kiedy Sybilla dostrzegła, że Ednetta osunęła się na fotel, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa, uspokoiła się i sięgnęła po wizytówkę, która wpadła do zlewu.

– Mammo, kto to, kurwa, jest ten wielbny Marus C. Mudrick? Czy to nie ktoś tak sławny jak Martin Luther King?

Ednetta potakująco skinęła głową.

– Czego jakiś sławny wielbny chce od ciebie, mammo?

– Nie ode mnie, Sybilla. Od ciebie.

Była zdecydowana odmówić. Ale z jakiegoś powodu się zgodziła.

Sybilla powiedziała: „Nie! Kurwa, nie ma mowy, mammo”. A jednak z jakiegoś powodu również się zgodziła.

Uzgodniono, że Ednetta Frye i jej córka Sybilla pojedą limuzyną do biura Duszpasterstwa Opieki Stanu New Jersey, które mieściło się w Newark przy Czwartej Ulicy. Prowadzony przez kierowcę ubranego w służbowy strój lincoln town car, czarny i lśniący jak karawan, zawiózł przestraszone matkę i córkę (które wystroiły się jak na niedzielną mszę) do domu z czerwonej cegły, który w dawnych czasach był zapewne miejską siedzibą jakiegoś członka Partii Federalnej. Budynek stał w ekskluzywnej niegdyś dzielnicy Newark, gdzie teraz znajdowały się biura małych firm, przychodnie lekarskie i wymagające remontu kościoły.

W Duszpasterstwie Opieki Ednettę i Sybillę wprowadzono do recepcji biura wielbnego Mudricka, w którym pracowały młode czarne (ale o jasnym

odcieniu skóry) dziewczyny, tak atrakcyjne i tak modnie ubrane jak prezenterki telewizyjne. Matka i córka przyglądały się im w milczeniu, speszone ich wyglądem. Recepcja musiała niegdyś służyć jako jadalnia – z wysokiego białego sufitu ozdobionego stiukami zwisał kryształowy żyrandol, a podłoga wyłożona była marmurem, nieco ubrudzonym, ale wciąż robiącym wrażenie. Kręte schody prowadziły na piętro, prawdopodobnie do prywatnego mieszkania wielebnego. Na ścianach umieszczono kilkadziesiąt oprawionych w ramki fotografii, które Ednetta i Sybilla oglądały w zdumieniu. Przedstawiały wielebnego Marusa Mudricka w różnych momentach jego życia. Pozował na nich (zawsze z uśmiechem) z Charliem Parkerem (Harlem 1954), Mahalią Jackson (Harlem 1957), Jackiem Robinsonem (Nowy Jork 1963), wielebnym Martinem Lutherem Kingiem (Zgromadzenie Stanowe, Alabama 1964), kongresmenem Adamem Claytonem Powellem (Waszyngton 1965), wielebnym Jessem Jacksonem (Newark 1969), Arethą Franklin (Harlem 1974), Muhammadem Alim (Nowy Jork 1977), gubernatorem New Jersey Brendanem Byrne'em (Trenton 1980), Samym Davisem Juniorem (Las Vegas 1982), Jamesem Brownem (Newark 1983), Dianą Ross (Nowy Jork 1984), byłym prezydentem Jimmym Carterem (Nowy Jork 1985), Billem Cosbym (Nowy Jork 1985), Tiną Tuner (Nowy Jork 1986), Michaeliem Jacksonem (Newark 1986), Whitney Houston (Los Angeles 1987)...

Sybilla podeszła do najnowszych fotografii i wyszeptwała do Ednetty:

– Ojej, mamó, spójrz, to Whitney Houston, prawda? A to Michael Jackson! Jezu!

Na poczesnym miejscu w biurze zawieszono pamiątkowe plakietki i medale: „Obywatel Roku Stanu New Jersey, Wielebny Marus Mudrick”, „Wielebny Marus Mudrick, Zasłużony Czarnoskóry Obywatel Stanu New Jersey”, „Galeria Sław Stanu New Jersey. Wielebny Marus Mudrick”, a także liczne dyplomy honorowych doktoratów przyznanych przez uczelnie: Rutgers-Newark, Rutgers-Camden, Trento State, Stockton State, Bloomfield College i Uniwersytet Howarda.

– Mamó, boję się. Czego ten wielebny od nas chce?

Ednetta ujęła dłoń Sybilli, która była lodowato zimna; wydała się jej mała jak rączka kilkuletniego dziecka.

– Skarbie, chyba wiem, o co mu chodzi. Wszystko będzie dobrze.

Po czterdziestu pełnych napięcia minutach jedna z uśmiechniętych młodych kobiet zaprowadziła Ednettę i Sybillę do gabinetu wielebnego Mudricka. Wielebny od razu zbliżył się do nich i po kolei uścisnął im dłonie. Jak na tak tęgiego mężczyznę poruszał się lekko, był zwinny niczym bokser. Uśmiechał się często, ukazując olśniewająco białe zęby, między którymi dyskretnie błyszczała złota plomba (w górnym siekaczu). Wybrylantynowane włosy wydzielają ostrą woń.

– Siostró Ednetto! Jak dobrze znów cię widzieć.

Spojrzał na Sybillę, która wyglądała tak młodo i była najwyraźniej

oszołomiona.

– A to jest... Sybilla? Mała dama, która rozpocznie wielką wojnę. Na to liczymy!

Matka i córka usiadły obok siebie naprzeciwko wielebnego Mudricka; przedzielało ich ogromne, lśniące mahoniowe biurko. Przez następną godzinę speszone kobiety przeważnie milczały i słuchały tego, co miał do powiedzenia wielebny. Zaczął – spokojnie – od stwierdzenia, że czarne kobiety są rasowymi ofiarami, łupem dla białych mężczyzn. Wszystkie czarne kobiety, w każdej epoce. W czasach niewolnictwa czarne kobiety były własnością swoich białych właścicieli, a cały ich dobytek stanowiło potomstwo, zrodzone z nasienia białych mężczyzn. Ci biali panowie nadal istnieją w Ameryce. Tam, gdzie są biali, są i panowie.

– Ty, Sybillo, jesteś ofiarą swojej rasy, męczennicą i ofiarą. Ale zostaniesz naszą świętą, naszą Joanną d’Arc.

Sybilla zwilżyła wargi językiem, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Męczennica? Ofiara? Święta? Słyszała coś o Joannie d’Arc, ale nie wiedziała dokładnie, kim ona była.

– To, co cię spotkało, siostró Sybillo, było zbrodnią o niewypowiedzianym okrucieństwie. Właśnie tak, niewypowiedzianym, bo biała prasa milczała, tak jak i biali gliniarze, biali politycy i wszyscy biali obłudnicy. Ale to, co jest nie do wypowiedzenia przez naszych białych wrogów, my możemy wykrzyczeć. Oto moja misja, moje siostry, Sybillo i Ednetto. I właśnie dlatego sprowadziłem was dziś tutaj.

Matka i córka siedziały nieruchomo, niemalże bojąc się oddychać, zafascynowane i onieśmiałe tymi słowami, które pastor wypowiadał rzeczowo, pięknie modulowanym głosem, niczym przemówienia, jakie słyszały dotychczas tylko w telewizji lub z ambony.

Biurko Marusa Mudricka ze szlachetnego drewna było największym biurkiem, jakie kiedykolwiek widziały. Leżały na nim stosy listów, papierów i dokumentów (wszystkie wyglądały na bardzo ważne). Nawet telefon był niezwykły – czarny i połączony. W kącie pokoju zwisała amerykańska flaga opuszczona do połowy na dwumetrowym drzewcu. Na ścianach zawieszono fotografie i dyplomy.

– Pewnie zastanawiacie się, siostry, dlaczego flaga jest opuszczona do połowy masztu? Jest tak opuszczona na stałe, by upamiętnić tysiące zlinczowanych czarnych kobiet i mężczyzn. Taka jest historia Stanów Zjednoczonych, ta niewypowiedziana historia. To, co ci się przydarzyło, siostró Sybillo, to też rodzaj linczu; różnica polega na tym, że przeżyłaś i możesz wskazać swoich oprawców, i dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość. – Marus Mudrick urwał, widząc, że jego słuchaczki siedzą jak urzeczone.

Czy napawał je trwogą? Czy były zawstydzone? Dlatego że przywoływał swoim sposobem mówienia i zachowania coś, o czym zupełnie zapomniały? A może chodziło o zwykłą kobiecą nieśmiałość, niepokój towarzyszący

spotkaniu z samcem alfa?

– Kiedy ktoś traktuje cię niesprawiedliwie i okrutnie, twój instynkt podpowiada ci, by się poddać, nadstawić drugi policzek. Ale takie zachowanie jest sprzeczne z planami, jakie Bóg żywi względem czarnych ludzi. Jezus powiedział: „Nie pokój wam przynoszę, ale miecz”. To jest Jezus, jakiego muszą naśladować czarni. Nasz brat męczennik, wielbny King, dobrze wiedział, podobnie jak Gandhi, że nie można odpowiedzieć siłą na siłę, kiedy twój przeciwnik może cię zabić. Twoja strategia musi być inna, należy postępować pasywnie, bez użycia przemocy. Taki sposób działania nie sprzyjał obrońcom swobód obywatelskich, którzy byli mordowani lub bici na Południu we wczesnych dniach naszej krucjaty. Ale taki był ich sen, który z czasem się ziścił. Śpiewaliśmy, że zwyciężymy, i do pewnego stopnia nam się to udało. Jednak nie można walczyć pasywnie – bez użycia przemocy – z takim wrogiem jak Hitler. Taki człowiek cię zniszczy. Strategie należy modyfikować w zależności od sytuacji i zmieniających się czasów. Lata sześćdziesiąte to była walka, która pod pewnymi względami należy już do przeszłości. W 1987 roku, stawiając czoła przeciwnikowi, zastosujemy inną strategię. Oczywiście niedługo możemy znów zorganizować marsz, możemy znów demonstrować na ulicach, ale na początek musimy wykorzystać przeciwko białym ich własną broń – media.

W oczach Marusa Mudricka zabłyśły wesołe, a jednocześnie groźne iskierki. Ednetta nie potrafiłaby ich opisać, ale na ich widok poczuła dreszcz emocji. Chwycała lodowato zimną dłoń Sybilli, by dodać córce otuchy. Jak wzruszająco mała była ta dłoń! Jej dziecko!

Wielebny znów zaczął mówić. Jego głos stał się donośniejszy, przepełniał go patos. Można było wychwycić wyuczony kaznodziejskie tony, a pod rytmiczną, szybką wymową New Jersey – nieznaczące pozostałości akcentu z Wirginii.

– Sostro Ednetto, sostro Sybillo, pamiętajcie o tym: biali mieszkali w jaskiniach, kiedy czarna rasa tworzyła imperia. Świat starożytny należał do nas. Nasza potęga zrodziła się w trzewiach Afryki. Poznaliśmy filozofię, matematykę i astrologię przed Sokratesem i greckimi pedałami. Odkryliśmy i udoskonaliliśmy naukę. Ze wszystkich sztuk: malarstwa, rzeźby, teatru, to muzyka była naszym szczególnym darem; cały świat o tym wie! To wszystko zapoczątkowała czarna rasa, a inne, jaśniejsze, tylko to powieliły. To są oczywiste fakty historyczne, a przecież nie znajdziecie ich w żadnym podręczniku białych!

Ednetta powiedziała z wahaniem:

– Tak, wielbny, słyszałam o tym.

– W tej bitwie o sprawiedliwość wielbny Marus Mudrick ślubuje, że wydrze zwycięstwo z paszczy upokorzenia i porażki i ochroni zarówno matkę, jak i córkę przed krzywdą z rąk białych gwałcicieli. Wzniesie was na poziom, o którym nawet nie śniłyście, nie będziecie już męczennicami, ale świętymi. Opowiedz mi dokładnie, sostro Sybillo, co ci uczyniono, dokładnie tak, jak to zapamiętałaś.

Ednetta, która cały czas trzymała córkę za rękę, poczuła, jak dziewczyna wzdrygnęła się, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

Sybilla odwróciła się do matki i jak mała dziewczynka ukryła twarz w jej szyi. Wyszepiała:

– Mamo, nie potrafię.

Chociaż wielebny Mudrick łagodnie, bez śladu zniecierpliwienia namawiał ją, by zaczęła mówić, Sybilla wtuliła się w matkę i nawet na niego nie spojrzała.

Wielebny i Ednetta wymienili spojrzenia. Marus szorstko skinął głową i zmarszczył brwi.

– Siostró Ednetto, powiedz córce, by zaczęła opowiadać.

Ale Sybilla nie chciała mówić. Siedziała zawstydzona, odwrócona do matki, która próbowała ją uspokoić i jednocześnie nakłonić do udzielenia odpowiedzi na pytanie Marusa Mudricka. Dziewczyna szlochała i powtarzała: „Mamo, nie! Nie każ mi tego robić!”.

Ednetta powiedziała przepaszającym tonem:

– Wielebny, już wcześniej starałam się to powiedzieć. Moją córkę bardzo skrzywdzono, ma okropne sny i w głowie ciągle przeżywa straszne rzeczy. Mieliliśmy nadzieję, że dojdzie do siebie i to minie. Próbowałam to wyjaśnić...

– Tak, ale teraz jesteście w Duszpasterstwie Opieki, bo inni was zawiedli i nie możecie na nich liczyć. A my rozważamy, jaką strategię należy przyjąć, siostró Ednetto. W głębi duszy nie mam najmniejszej wątpliwości, że musimy rozpocząć tę kampanię. Nie cofniemy się, nie przyznamy się do porażki. Będziecie z nami współpracować dla dobra wszystkich czarnych ludzi i w imię ich wolności. Każdy czarny człowiek ma swoje małe przeznaczenie i wielkie przeznaczenie. To pierwsze to zwyczajne życie osobiste, ale to drugie należy do całej naszej rasy. Objawia się wtedy, kiedy możesz coś zrobić dla wszystkich. Niektórzy z nas poświęcają swoje małe, osobiste życie dla większej sprawy, jak choćby Jackie Robinson, który jako pierwszy czarny baseballista zagrał w zawodowej lidze. Jakąż on miał odwagę! Przetrwał lata zniewag, jakich nie szcędzili mu nieokrzesani, nikczemni, wrzeszczący rasiści, którzy chętnie by go zlinczowali, gdyby byli w stanie go dopaść. To był wielki człowiek, wielki czarny człowiek! Poświęcenie Robinsona nie poszło na marne, przyspieszyło bieg historii. Poświęcenie twojej córki też nie pójdzie na marne, jestem o tym przekonany. Fakty są oczywiste: Sybilla Frye w październiku tego roku została porwana, zgwałcona, pobita i pozostawiona na pewną śmierć przez białych funkcjonariuszy policji. Miała czternaście lat i wracała do domu ze szkoły – to jest istota tej strasznej zbrodni. Mam rację, siostró Ednetto?

Ednetta zadrżała. Tuliła do siebie Sybillę i przyciskała twarz do jej włosów. Nie było jasne, czy usłyszała pytanie wielebnego Mudricka. Matka i córka obejmowały się, jakby było im zimno.

– Siostró Ednetto? Czy te zarzuty są prawdziwe, czy nie?

Ednetta, nie patrząc mu w oczy, pokiwała głową.

I dodała, nadal unikając jego wzroku, że Sybilla ma piętnaście lat, a nie czternaście.

– W najprostszych słowach: czarna dziewczyna została zaatakowana przez białych gliniarzy, tak?

Ednetta zawahała się, ale znów kiwnęła głową.

– Nikt nie został aresztowany i właściwie nie przeprowadzono żadnego śledztwa. Nie zrobiła tego policja z Pascayne ani funkcjonariusze innych służb?

Ednetta kiwnęła głową.

– Lokalne media nie relacjonowały tej sprawy. Ani żadne inne media.

Ednetta kiwnęła głową.

– Ale istnieje dokumentacja medyczna? Na oddziale ratunkowym szpitala w Pascayne?

Ednetta kiwnęła głową.

Wielebny Mudrick zamyślił się i przez kilka chwil spoglądał w milczeniu na matkę i córkę. Ednetta była skrępowana – czuła na sobie jego wzrok, ale obawiała się na niego spojrzeć.

„Nie wierzy nam! Da sobie spokój”.

Ale wtedy wielebny Mudrick wziął głęboki oddech. Ednetta ośmieliła się podnieść wzrok i zobaczyła, że się uśmiechnął.

Jaki był przystojny! Zwłaszcza kiedy się uśmiechał i czuło się jego aprobatę, ogarniającą cię męską czułość.

Uczucie ciepła, wzruszenia i uległości. Jak wtedy, kiedy się klęka, by wpuścić Jezusa do swojego serca – nie spodziewasz się, że to zrobisz, nie chcesz wcale tego zrobić, bo boisz się podrzeć pończochy, klękając na podłodze kościoła, ale nagle czujesz w piersi wzbierające uczucie, coś chwyta cię za gardło, wybuchasz głośnym płaczem i padasz na kolana, błagając Jezusa, by przyszedł do ciebie.

Wielebny Mudrick powiedział łagodnym głosem, jakby kwestia została rozstrzygnięta:

– Droga siostró Ednetto! Droga siostró Sybillo! Mój brat, poważany prawnik i specjalista w zakresie swobód obywatelskich, Byron Mudrick, będzie pracował razem ze mną przy tej krucjacie w imię sprawiedliwości. Kiedy spotkamy się następnym razem, Byron będzie miał do was kilka pytań. Jeśli Sybilla nie ma ochoty rozmawiać na temat tego wstrząsającego doświadczenia, nie będzie musiała tego robić. Jesteśmy tu po to, by ją chronić, a nie onieśmielać. Wszystkie pytania, na które muszę poznać odpowiedzi, mogę zadać tobie, siostró Ednetto. To wystarczy. Obiecuję osłaniać cię i twoją córkę od wszelkiego niebezpieczeństwa. Będziemy nadzorować kontakty Sybilli; jest nieletnia, padła ofiarą gwałtu i nie musi być poddana przesłuchaniom. Nie będzie musiała odpowiadać na pytania policji, składać zeznań ani przysięgać na Biblię. Właśnie tak biali ludzie starają się nas onieśmielić. Odwołamy się do sądu opinii publicznej, a nie do nazistowsko-rasistowskiego sądu świń, w którym czarny nie znajdzie sprawiedliwości, chyba że wydrze ją siłą z dupy białasa. – Z wyczuciem godnym telewizyjnego komika wielebny wypowiedział

te słowa z zabawnym akcentem wkurzonego czarnego ulicznika.

Ednetta była zbyt zdumiona, by zareagować, ale Sybilla, nadal w nią wtulona, parsknęła śmiechem.

– Zyskamy zainteresowanie mediów, będą prośby o wywiady, wiele osób będzie chciało nabyć prawa do tej historii, do obu waszych historii. W takich sytuacjach opowieść matki jest prawie tak samo interesująca jak opowieść ofiary, przekonacie się o tym. Zachowamy to w tajemnicy. Będziemy uważać, gdzie kryją się pułapki. I nie wpadniemy w nie. Ten rodzaj białych ludzi, do których się odwołamy, uwielbia karać białych – ale nie siebie, tylko tych innych białych. Chodzi o to, że niektórzy biali lubią myśleć, że sami są przyjaciółmi Murzynów, podczas gdy ich sąsiedzi są rasistowską białą hołotą. Zwłaszcza Żydzi: boją się, bo nie są w stu procentach biali. – Wielebny Mudrick roześmiał się teraz szczerze, patrząc, czy na twarzy Ednetty Frye nie pojawi się wyraz zdumienia.

Okazało się, że wielebny przygotował dla nich dokument, który mają podpisać.

– To właściwie nie jest umowa, tylko list intencyjny przygotowany przez mojego brata Byrona. Zanim stąd wyjdziecie, siostró Ednetto i siostró Sybillo, poproszę was o złożenie podpisów. Tu jest długopis... Zawołam swoje asystentki, będą naszymi świadkami.

Ednetta wzięła umowę z rąk wielebnego i obejrzała ją nieufnie.

– Jako że twoja córka jest nieletnia, siostró Ednetto, podpiszesz się obok jej podpisu jako jej opiekunka. Oprócz podpisu, który złożysz w swoim imieniu. Rozumiesz?

– Tak...

– Ten list intencyjny to tylko formalność. Dotyczy kwestii wyłączności: dopóki wielebny Marus Mudrick i adwokat Byron Mudrick będą waszymi przedstawicielami, nie zatrudnicie innych przedstawicieli i będziecie przez cały czas realizować przyjętą przez nas linię postępowania.

Sybilla jeszcze mocniej przytuliła się do matki.

– Mamo! Co mam zrobić?

– Zrobisz to, co ci każemy. – Marus Mudrick powiedział to łagodnym tonem, jakby zwracał się do małego dziecka, a nie do dużej, piętnastoletniej dziewczyny, dorównującej wzrostem swojej matce. – Nie będziesz już musiała podejmować żadnych decyzji, ja się tym zajmę. Mój brat Byron zostanie twoim prawnym przedstawicielem. Jeśli zajdzie potrzeba rozmowy z policją, prokuratorem lub mediami, to Byron i ja będziemy rozmawiać. Twoja matka przekaze mi twoje zeznania, a my je dopracujemy. Udoskonalimy je. „Porwanie”, „uwięzienie w furgonetce”, „białe gliny”, to, co ci zrobili, ile razy, jak długo cię przetrzymywali, gdzie cię znaleziono. Twoje obrażenia, o których mowa w dokumentacji medycznej. Będziemy pracować nad twoim zeznaniem, aż zapamiętasz je tak, że nie będziesz musiała zastanawiać się nad żadnym słowem, siostró Sybillo. Obiecuję ci to.

Sybilla zwilżyła wargi, była najwyraźniej zmartwiona. Wyglądała jak ktoś, kto wpatruje się w oślepiające światło i z całych sił stara się nie mrugnąć.

– Jeśli nie zechcesz rozmawiać o szczegółach gwałtu nawet z matką, uszanujemy to. Jesteś młodą, nieśmiałą dziewczyną, dziewicą, nie licząc gwałtu. Masz dziewiczą duszę. Możesz opisać to, co cię spotkało, tak jak to zrobiłaś dla policji z Pascayne. Im mniej słów, tym lepiej. Im prostsze będzie nasze przesłanie, tym większe wywrze wrażenie. Nikt się nie spodziewa, żeby dziecko, ofiara okrutnej napaści seksualnej, zapamiętało wszystkie najdrobniejsze detale takiego zdarzenia. Będziemy świadczyć o prawdziwości twoich słów. Nie pozwolimy, abyś była wypytywana lub przesłuchiwana przez policję lub prokuratora, chyba że w naszej obecności; i w żadnym wypadku nie będziesz zobowiązana odpowiadać na pytania. Jesteś nieletnia i nie dotyczy cię wiele praw, które obowiązują dorosłych. Jesteś dzieckiem swojej matki i Ednetta Frye jest twoją opiekunką. Wielebny Marus Mudrick jest twoim opiekunem duchowym, a Byron Mudrick opiekunem prawnym.

Ednetta w roztargnieniu przeglądała dokument – jedną kartkę, na której zapisano kilka akapitów. Ze zdziwieniem zobaczyła na dole swoje imię i nazwisko: Ednetta Frye. I tam złożyła podpis.

Sybilla niezdarnie podpisała się obok. Upuściła długopis, złapała go i parsknęła śmiechem.

– Jakbym podpisywała kontrakt płytowy, mamó! Mój pierwszy hitowy singiel.

Odprawiając Ednettę i Sybillę do drzwi gabinetu, Marus Mudrick powiedział:

– To dla ciebie, sestro Ednetto, i dla twojej córki Sybilli. To gest wiary, którą pokładam w tej sprawie, i zapowiedź tego, co was czeka.

Odliczył dziesięć studolarowych banknotów i wsunął je w drżącą rękę Ednetty Frye.

Krucjata

„Czarna dziewczyna, białe gliny, porwanie, gwałt, napaść, pozostawiona na pewną śmierć”.

Te słowa szybko stały się poezją. Zaklęciem. Te słowa powtarzane raz za razem.

– Jest taki wynalazek pewnego filozofa: brzytwa Ockhama. Pokazuje on nam, że im bardziej uprości się nasze działania, tym bardziej staną się skuteczne. Im natarczywiej zabrzmi jakiś dźwięk, tym lepiej będzie słyszany. A im bardziej gniewny głos, tym więcej wzbudzi emocji.

W ostatnich dwóch pełnych napięcia tygodniach procesu, który ciągnął się przez osiem miesięcy (sprawa z powództwa grupowego przeciwko kuratorium oświaty hrabstwa Passaic, wniesiona w imieniu afroamerykańskich pracowników ochrony, którzy twierdzili, że zostali niesłusznie zwolnieni z pracy w latach 1978–1985), mógł jedynie pobieżnie zapoznać się ze sprawą Sybilli Frye. Zadzwoił do kilku swoich znajomych w Pascayne, przesłuchał kilku potencjalnych świadków, ale nie zdążył jeszcze porozmawiać osobiście z Ednettą Frye, a z Sybillą nawet przez telefon. Pracował mniej więcej dziewięćdziesiąt godzin w tygodniu i był wyczerpany, ale miał nadzieję, że powództwo wkrótce zostanie rozpatrzone i długi wysiłek dobiegnie końca. „Skarżący wygrają. A rekompensata finansowa, chociaż niezbyt wielka, zaświadczy o wielkim zwycięstwie moralnym”. Byron Mudrick rozpłacze się na sali sądowej, a jego klienci go uściskają.

Nadzieja to doskonały środek pobudzający. Jego serce napędzała nadzieja. Ale nadzieja, jak dobrze wiedział, może zmącić osąd. Miał czterdzieści trzy lata, nie był już młodzieniaszkiem.

Zaczerpnął głęboko tchu. Schwycił swojego brata Marusa za łokieć, jakby chciał go uspokoić. A może sam tego potrzebował? Marus bowiem mówił z pasją o tej dziewczynie Frye’ów. Co jej zrobili, jak ona i jej matka przeżywały tę napaść, jak bardzo były bezradne i oszołomione, niczym ofiary wojny. Byron często widywał swojego brata w stanie euforii, ale rzadko się zdarzało, aby Marus był czymś aż tak poruszony. „Jest naprawdę przejęty”, pomyślał.

Przysunął się bliżej do brata i popatrzył mu uważnie w twarz. Spojrzenia bliźniaków spotkały się, ich oczy penetrowały wzajemnie swoje dusze.

„Przecież już mnie oszukiwał w przeszłości. Błagał o przebaczenie, a jednak mnie oszukał. Dlaczego mam mu znowu uwierzyć?”, pomyślał Byron.

(Tak było. Byron przeżył wstrząs, kiedy się dowiedział, że jego brat, pastor Marus Mudrick, był informatorem FBI pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Został informatorem z pobudek

antykomunistycznych i przekazywał poufne informacje, między innymi o Narodzie Islamu, Czarnych Panterach, Malcolmie X, Stokelym Carmichaelu, przeciwnikach wojny w Wietnamie na Uniwersytecie Howarda. Na swoją obronę powiedział Byronowi, że jest również amerykańskim obywatelem, a nie tylko członkiem społeczności czarnych. I nie wstydzi się tego. Byron odparł mu na to: „Przecież donosiłeś na naszych braci, czarnych braci”, na co Marus stwierdził: „Wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie. Jesteśmy przede wszystkim chrześcijanami, a dopiero potem czarnymi, a członkowie Narodu Islamu nie są naszej wiary. Nienawidzimy bezbożnego komunizmu i brzydzimy się nim”. Byron uważał, że jego brat mówi od rzeczy i nie jest szczery, ale w końcu mu wybaczył. Jednak nie zapomniał).

A teraz czuł, że ma coraz mniej sił. Marus pokazał mu fotografię Sybilli Frye, na której miała opuchnięte usta i oczy oraz poranione czoło. Nie wyglądała na piętnaście lat. To było dziecko, które zostało porwane przez „białe gliny” i więzione przez kilka dni, wielokrotnie zgwałcone i pobite. Jej włosy i ciało wysmarowano psimi odchodami, a na jej brzuchu wypisano rasistowskie wyzwiska. Została związana jak prosię i porzucona w brudnej piwnicy w jakiejś zabitej deskami fabryce na nadbrzeżu Passaic. Ocalała życie przez przypadek, dzięki temu, że znalazła ją sąsiadka. Głosem, który drżał z oburzenia, Marus powiedział: „To był lincz, w którym ofiara przeżyła, ale upokorzenie i wstyd pozostaną z nią przez resztę jej dni”.

Byron poczuł zawrót głowy, jakby kroczył wąską kładką nad przepaścią. On też miał córki – najstarsza miała szesnaście lat, najmłodsza jedenaście. Ubóstwiał je i drżał o ich bezpieczeństwo, bowiem świat, w którym żyły – mimo pewnego postępu w ostatnich dwóch dekadach – był zdeprawowany i rasistowski. W swojej pracy prawnika często miał do czynienia ze skutkami rasizmu – bezpośrednimi i pośrednimi (ponieważ ofiary nietolerancji, nie mogąc zrozumieć przyczyn swojej niedoli, raniły się nawzajem niczym torturowane i głodzone zwierzęta). Reprezentował niezliczonych klientów, nad którymi znęcali się biali gliniarze – wśród tych spraw bezpodstawne aresztowania były drugorzędym problemem. Wiedział, jak gliniarze (nie wszyscy, ale wielu) traktowali kolorowe kobiety, które nie mogły się im przeciwstawić. Na myśl, że jego córki mogłyby się stać ofiarami tak strasznej przemocy, robiło mu się niedobrze. Dosłownie.

Zadał Marusowi proste pytanie: czy wierzy tej dziewczynie?

Marus odpowiedział: tak. Wierzy jej.

A mimo to Byron schwycił brata za łokieć. Obok niego był „starszy” i większy z braci Mudricków, Marus, ze swoją gładką, urodziwą twarzą, dostojny jak tłustawy Budda. Byron nachylił się do brata w geście, na jaki mogła sobie pozwolić jedynie najbliższa osoba, i zajrzał mu w oczy.

– Jesteś pewien, Marus?

– Tak. Mówi prawdę, jestem tego pewien.

Byron patrzył na brata przez dłuższą chwilę, po czym zdecydował, że można

mu wierzyć.

– Ruszamy pełną parą naprzód. Nie cofniemy się.

Dla braci Mudricków kruczaty w obronie sprawiedliwości nie były niczym nowym, ale rzadko łączyli siły w taki sposób, w jaki mieli to uczynić w walce o zadośćuczynienie dla Sybilli Frye.

– Dołączył do nas mój brat Byron, jego ludzie pracują teraz dla mnie. Mamy armię.

Sybilla Frye, ofiara napaści seksualnej, była tak znerwicowana, że podczas spotkań prawie się nie odzywała. Tylko jej matka mogła się z nią porozumieć. Jednak czasami, podczas specjalnie zwoływanych konferencji prasowych, wielebny Mudrick zwracał się do dziewczyny łagodnym, cichym głosem i wydobywał z niej nieśmiałe odpowiedzi – „Tak” lub „Nie”.

Pierwsza konferencja prasowa Kruczaty Sprawiedliwości dla Sybilli Frye odbyła się w Duszpasterstwie Opieki, w jej kwaterze głównej w Newark przy Czwartej Ulicy, jedenastego listopada 1987 roku. Ustawiono długie rzędy krzeseł dla stu pięćdziesięciorga gości zaproszonych przez pracowników wielebnego. Zjawily się czterdzieści dwie osoby: dziennikarze prasowi i agencyjni, dziennikarze freelancerzy, pisarze, z których część miała już na koncie wydane książki (reszta nie), nauczyciele akademicy z rejonu Newark związani z wydziałami studiów afroamerykańskich, działacze ruchów broniących praw obywatelskich (w różnym wieku), garstka pracowników opieki społecznej, prawnicy, praktykanci adwokaccy i studenci Byrona Mudricka z wydziału prawa uniwersytetu w Newark. Wielebny Mudrick popatrzył na małe, ale żywiołowe zgromadzenie, składające się prawie wyłącznie z czarnych (przy równej liczbie kobiet i mężczyzn), i wykrzyknął:

– Witajcie, siostry! Witajcie, bracia! Niech Bóg was błogosławi! Staliście się zwornikiem historii, odpowiedzieliście bowiem na mój płynący z głębi serca apel o pomoc dla udręczonej czarnej chrześcijańskiej dziewczyny!

Podczas gdy po raz pierwszy publicznie przedstawiano wstrząsającą historię Sybilli Frye, Ednetta i jej córka wyglądały, jakby sparaliżował je strach. Na życzenie Mudricka siedziały po lewej stronie tuż za mównicą, na której stał i przemawiał wielebny. Po pani Frye, atrakcyjnej czarnej kobiecie tuż po czterdziestce, widać było gehennę, którą przeszła. Siedziała ze smutną twarzą i spuszczonej spojrzeniem, cała w żałobnej czerni, w spódnicy do kostek i czarnych skórzanych czółenkach na niskim obcasie. Na łańcuszku na szyi miała mały złoty krzyżyk. Tuż obok niej, tak blisko, by mogły się trzymać za ręce, siedziała Sybilla Frye ubrana w swój szkolny strój: ciemną plisowaną spódniczkę, białą bawełnianą bluzkę z długimi rękawami, białe skarpetki i błyszczące lakierki. Włosy miała zaplecione w warkoczyki i wyglądała dużo młodziej niż na piętnaście lat. Na jej twarzy nie było już śladów pobicia, ale kiedy szła, sprawiała wrażenie, jakby przy każdym kroku obawiała się bólu

w plecach, biodrach i nogach.

Sybilla też miała na szyi łańcuszek z małym złotym krzyżykiem.

Z tyłu, na prawo od mównicy, siedział Byron Mudrick, znany większości zgromadzonych w sali osób. Dla niektórych z nich doktor Mudrick był mentorem i profesorem. Niewysoki, ale o surowym spojrzeniu, przy płomiennym Marusie Mudricku prezentował się jak młodszy, mniej wyniosły, ale bezwzględnie lojalny brat.

Wielebny Mudrick miał na sobie jeden ze swoich szytych na miarę trzyczęściowych garniturów, elegancki jedwabny krawat i złoty łańcuszek od zegarka przy kamizelce. Gęste, przetłuszczające się włosy były świeżo ostrzyżone, na nosie lśniły złote oprawki okularów. Tych, którzy znali kazania i publiczne wystąpienia Marusa Mudricka, nie zdziwiło to, że wielebny zaczął przemowę tak cichym głosem, że ludzie siedzący w tylnych rzędach ledwie mogli go słyszeć. Jego pięknie modulowany głos (subtelna mieszanka akcentów z New Jersey i Wirginii) stopniowo przybierał na sile, by dotrzeć do najdalszych zakątków pomieszczenia. Dla wielebego oburzenie stanowiło łatwopalne paliwo, które wzniecało podobne uczucie u jego słuchaczy. Rozemocjonowanym, drżącym głosem opisywał „nazistowsko-rasistowskie białe okropności”, które w poprzednim miesiącu spadły na „czarne dziecko, Sybillę, kiedy wracała ze szkoły do domu” w Pascayne w stanie New Jersey, czego nigdy nie opisano w żadnej gazecie ani nie poinformowano o tym w żadnym programie informacyjnym. „Bezwstydne tuszowanie faktów”, „bojkot białych”, „kneblowanie prawdy” na polecenie z samej góry. „Niektórzy mówią nawet o tym, że gubernator New Jersey jest w zмовie z szefami policji z Pascayne i policji stanowej”.

Niczym zielonoświątkowy kaznodzieja, na przemian gwałtowny i wyciszony, namiętnie gestykulował upierścienionymi dłońmi, a w wielkich czujnych oczach pojawiały się łzy. Wielebny Marus Mudrick nie przestawał zaskakiwać i roznamiętniać słuchaczy, aż Sybilla, szlochając, ukryła twarz w dłoniach, a pani Frye zaczęła ją pocieszać, tak jak pociesza się małe dziecko. Wszystkie spojrzenia skoncentrowały się na nich – kochającej, opiekuńczej matce i dotkniętej nieszczęściem, znieważonej córce.

Wśród widzów było kilku fotografów, których zachęcano do robienia zdjęć. Być może niektórzy słuchacze dziwili się, że dziecko, ofiara gwałtu, zostało wystawione na widok publiczny i tak fotografowane, ale nikt nie zwrócił na to uwagi ani tym bardziej nie zaprotestował.

– To, co miało być ukryte, będzie teraz ujawnione.

Na konferencjach prasowych wielebego Mudricka często miało dochodzić do sytuacji, kiedy Ednetta Frye musiała pocieszać szlochającą córkę, podczas gdy Marus przemawiał coraz silniejszym, gniewnym i namiętnym głosem. Czasami obie – matka i córka – załamywały się i musiano je wyprowadzać z sali na oczach zamarłej widowni.

– Moje siostry i bracia, widzicie tu przed sobą dzielne kobiety, Sybillę i jej

matkę, Ednetę Frye, które ośmieliły się stawić czoła swoim oprawcom. Nie chowają się, jak oczekiwały tego od naszych czarnych sióstr „białe gliny”, chociaż grożono śmiercią nie tylko im, ale też ich rodzinie. Jezus czuwa nad nimi, ale potrzebują też naszych modlitw! Potrzebują wszelkiej pomocy, jakiej możemy im udzielić.

W ciągu kilku godzin po pierwszej konferencji prasowej rozeszły się wieści o wykorzystanej czarnej dziewczynie z Pascayne. W Duszpasterstwie Opieki rozdzwoniły się telefony; odbierali je pracownicy wielebnego Mudricka, którzy odsyłali dzwoniących do komendy policji w Pascayne i do „Pascayne Journal” oraz zabiegali o datki dla Krucjaty Sprawiedliwości dla Sybilli Frye. Po pewnym czasie dzwoniących kierowano również do burmistrza Pascayne, reprezentantów kongresu stanowego i Kongresu Stanów Zjednoczonych, do senatorów i gubernatora stanu New Jersey. Rozgniewanych i zaszokowanych dzwoniących zachęcano, aby wkroczyli do komendy głównej policji z Pascayne i domagali się sprawiedliwości dla Sybilli Frye, a także by zasypywali media apelami w tej sprawie.

Niebawem w prasie i telewizji pojawiły się krótkie artykuły i informacje o Sybilli Frye. Gdziekolwiek ukazały się też zdjęcia jej i wielebnego Marusa Mudricka.

Pierwszą dużą „białą” gazetą, która poruszyła ten temat, była „Star-Ledger”. Piętnastego listopada 1987 roku (co prawda dopiero na szóstej stronie, w dziale miejskim) pojawił się artykuł opatrzony uderzającym nagłówkiem:

ZARZUTY O UPROWADZENIE I GWALT PRZECIWKO
NIEZIDENTYFIKOWANYM FUNKCJONARIUSZOM POLICJI Z PASCAYNE

„Star-Ledger” była najważniejszym dziennikiem w New Jersey. Do jej właściciela należał też „Times” wydawany w Trenton, gdzie podobny artykuł ukazał się szesnastego listopada, tym razem już na trzeciej stronie.

Osiemnastego listopada wielebny Mudrick zwołał następną konferencję prasową, w audytorium na wydziale prawa w Rutgers-Newark (salę zapewnił Byron Mudrick). Na tę konferencję przybyła nieoczekiwanie olbrzymia rzesza zainteresowanych – około trzystu osób. W większości byli to czarni, ale pojawiła się też pewna liczba białych, wśród nich wielu przyjezdnych. Czarne wydawnictwa, takie jak „Chicago Messenger”, „Black Digest” czy „Essence”, wysłały po kilku reporterów. Zjawilo się kilkunastu fotografów oraz ekipy telewizyjne z miejscowych stacji z New Jersey, którym wielebny Marus Mudrick ochoczo udzielał wywiadów.

W końcu i „Pascayne Journal” opublikował artykuł na ten temat pod wielkim nagłówkiem na trzeciej stronie: *Policja z Pascayne odrzuca bezpodstawne zarzuty o rzekomy gwałt*. „Star-Ledger” z Newark i „Times” z Trenton oraz inne gazety z New Jersey zamieściły artykuły zatytułowane: *Krucjata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye; Wielebny Marus Mudrick twierdzi, że w sprawie o gwałt ukrywano fakty; Tajemnicza sprawa Sybilli Frye*.

We wszystkich tych publikacjach wielebny Marus Mudrick, przedstawiany

jako afroamerykański pastor Kościoła Episkopalnego i obrońca praw obywatelskich, były współpracownik wielbego Martina Luthera Kinga, był obszernie cytowany. W niektórych artykułach przytaczano też słowa adwokata działaczy ruchów obywatelskich, Byrona Mudricka.

Prasa nie cytowała ani Sybilli, ani Ednetty Frye, obie bowiem były niedostępne dla dziennikarzy.

W Departamencie Policji w Pascayne urywały się telefony. Dziennikarze nachodzili komendę w okręgu Red Rock, wokół wałęsali się fotoreporterzy, ekipy telewizyjne parkowały samochody gdzie popadło i powodowały korki. Początkowo swoje ekipy wysyłały tylko stacje z New Jersey, potem zjawili się lokalni korespondenci NBC, CBS i ABC. Reporterzy zaczepiali policjantów na patrolach, chociaż większość funkcjonariuszy nie wiedziała nawet, kim są Sybilla Frye i Marus Mudrick. Przybyli dziennikarze i fotoreporterzy z Associated Press, United Press i „USA Today”. Wszyscy gorączkowo poszukiwali Sybilli i jej matki Ednetty Frye, ale przezorny Marus Mudrick umieścił je u przyjaciół wielbego Denisa w innej dzielnicy miasta. Koniec końców Ednetta i Sybilla musiały przeprowadzać się kilka razy – „dla własnego bezpieczeństwa”, jak to ujął Marus Mudrick.

Obfotografowano nadgryziony zębem czasu dom Frye’ów pod numerem 939 przy Trzeciej Ulicy. Zrobiono zdjęcia opuszczonej fabrycy Jersey Foods z zewnątrz oraz w środku, w ponurej, ciemnej piwnicy. Jeśli było to miejsce przestępstwa, to wszelkie dowody zostały dokumentnie zdeptane.

A potem wielki skok na pierwszą stronę tabloidu „New York Post”: *Czarny pastor oskarża o ukrywanie dowodów w sprawie gwałtu na tle rasowym w Pascayne.*

Po krótkiej przerwie, która skończyła się szybko publikacją w „New York Post”, sprawą zajął się „New York Times”, początkowo w dziale miejskim, następnie na dole pierwszej strony.

– Stary, przekroczyliśmy Rubikon! Przekroczyliśmy Hudson! Jesteśmy w „New York Timesie”! A to dopiero początek.

W oczach swoich pracowników Marus Mudrick wyglądał na rozentuzjasmowanego. A kiedy rozmawiał przez telefon z „siostrą Ednettą” (która nie widziała gazety, ale przez cały dzień oglądała telewizję i słuchała radia), triumfował. Swojemu bratu Byronowi wydawał się lekko oszołomiony, jak człowiek, który wypił za dużo i za szybko.

– Więc ci biali liberałowie uwierzyli dziewczynie? Żydzi na pewno nie chcą uchodzić za rasistów, jak jakieś prowincjonalne buraki. – Policzki Marusa zatrzęśły się od śmiechu.

Siedzieli w gabinecie Marusa w Duszpasterstwie Opieki. Telefony dzwoniły przez cały dzień. Reporterzy jeszcze teraz czekali na zewnątrz na Czwartej Ulicy. Wielbny Marus Mudrick miał mieć rano wywiad w NJN-TV (lokalnej stacji z New Jersey), a potem z dziennikarzem z „Timesa” z Trenton. Byron powiedział:

– Powinni jej wierzyć. To nie ma nic wspólnego z Żydami. Dziewczyna mówi

prawdę, straszną prawdę.

Kiedy przeczytał uważnie artykuły w „New York Timesie”, ogarnęło go dziwne uczucie – pomieszanie przerażenia i szoku. Zdumiało go, że Krucjacie Sprawiedliwości dla Sybilli Frye poświęcono bezcenną pierwszą stronę w tak wpływowej gazecie. Przez tyle lat Byron Mudrick pracował na rzecz praw obywatelskich, wygrał w ciężkich sądowych bojach mnóstwo spraw dla swoich klientów, nękały go wątpliwości, rozpacz i zwątpienie, a „New York Times” uporczywie go ignorował.

– Zaczęło się, stary! Teraz Żydzi z Nowego Jorku będą latać za czarnuchami z New Jersey.

Nazistowsko-rasistowskie świnię

„Czarna dziewczyna, białe gliny, porwanie, gwałt, napaść, pozostawiona na pewną śmierć”.

„Zmowa białych, policja z Pascayne, nazistowsko-rasistowskie świnię”.

Dzwoniono do niej z komendy okrękowej, przełączano telefony z miasta. Na początku było ich niewiele, ale potem urywały się bez końca. Reporterzy z gazet i dziennikarze z telewizji, wszyscy chcieli ją cytować, domagali się wywiadów z detektyw Ines Iglesias, dowiedzieli się bowiem, że była jedyną funkcjonariuszką policji, która rozmawiała z Sybillą Frye i jej matką Ednetą.

„Czy to dlatego, detektyw Iglesias, że jest pani kobietą i należy do «mniejszości etnicznej»?”.

„Co może nam pani powiedzieć o postępach w śledztwie? Czy zidentyfikowaliście tych «białych gliniarzy» w waszym wydziale? Czy oskarżono ich o porwanie, gwałt i niemal śmiertelne pobicie piętnastoletniej ofiary, Afroamerykanki?”.

*

– Tak, detektyw Ines Iglesias to ja. Jestem funkcjonariuszką policji z Pascayne, przydzieloną do sprawy Sybilli Frye.

Była oficerem śledczym odpowiedzialnym za to dochodzenie, będzie musiała wziąć na siebie falę krytyki.

Wiedziała, że jej koledzy wyrażają się o niej złośliwie. Może nie kobiety – te nieliczne funkcjonariuszki – ale mężczyźni tak.

Było jasne, że Iglesias została rzucona na żer. Obarczono ją beznadziejną sprawą i (nienazwanym wprost) zadaniem oczyszczenia dobrego imienia policji z Pascayne.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że porucznik jej nie lubił. Kiedy natykał się na nią przypadkowo w komendzie okrękowej na schodach lub na parkingu, mijał ją bez słowa. Miał zaczerwienioną skórę, twarz buldoga i wściekły wzrok. „Trzeba zwalić winę na tę kobietę. Dostała pracę z puli mniejszości etnicznych”.

Chciała zaprotestować – śledztwo trwa.

Chciała zaprotestować – to pan wyznaczył mnie do tej sprawy!

Kiedy zaczynała pracę w policji, wydawało się, że porucznik ją lubi. Nawet bardzo.

Uśmiechała się do niego i była miła, ale nie w *ten* sposób. Porucznik był

weteranem policji w Pascajnie, miewał wcześniej kłopoty w stosunkach z mniejszościami etnicznymi i starał się zrobić pozytywne wrażenie na Iglesias. Kiedy zrozumiał, dość szybko, że nie jest nim zainteresowana w *ten* sposób, jego stosunek do niej uległ zmianie. Nie próbował być złośliwy ani nieprzyjemny, ale stał się rzeczowy i oschły, profesjonalnie chłodny. Oficjalnie starał się być dla niej sympatyczny, a nawet szarmancki, nie usiłował storpedować jej awansu na detektywa.

Ale teraz to się zmieniło. Od czasu sprawy Sybilli Frye.

Pierwszy telefon. Wtargnął w jej życie jak kamień wrzucony przez okno.

Zadzwoił w jej mieszkaniu w chwili, kiedy chciała odpocząć; wróciła z komendy rejonowej, przebrała się w podkoszulek, dzinsy i tenisówki, ale jeszcze nie zdążyła przygotować sobie kolacji i wypić pierwszego kieliszka wina przed telewizorem. Później zwykle kładła się do łóżka i czytała (dopóki nie zmorzył jej sen) książkę z pobliskiej biblioteki, często napisaną przez kobietę, zazwyczaj (ale nie zawsze) przez Latynoskę. Była zupełnie nieprzygotowana na ten telefon; potem doszła do wniosku, że zachowała się zbyt naiwnie – miała ochotę z kimś porozmawiać, z przyjaciółką albo z krewną, z kimś, kto znał ją jako Ines, a nie Iglesias. Okazało się, że dzwonił kolega detektyw, jej były partner z zespołu, który powiedział szyderczo, by włączyła telewizor na kanale czwartym i obejrzała nadawane o godzinie osiemnastej wiadomości z Newark.

To wtedy po raz pierwszy zobaczyła płomiennego krzyżowca, wielebnego Marusa Mudricka.

Znała to nazwisko i słyszała, że jest sławny, ale nie od razu zdała sobie sprawę, że ten napuszony czarny mężczyzna przemawiający z ekranu telewizora (pokazywano jego wystąpienie na jakiejś scenie) to Marus Mudrick. Nie miała pojęcia, o czym mówił z takim zapałem, uderzając w górnolotne tony jak jakiś zielonoświątkowy kaznodzieja, dopóki nie padło nazwisko. Sybilla Frye?

Iglesias bezwładnie opadła na krzesło, jakby odjęto jej władzę w nogach.

Sybilla Frye! W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczyna została zamordowana.

Matka Sybilli upierała się, że życie jej córki jest w niebezpieczeństwie, że życie wszystkich członków jej rodziny jest zagrożone! Iglesias przypuszczała, że to mogła być prawda, chociaż nie wszystkie zeznania matki i córki brzmiały wiarygodnie.

Od początku października Iglesias nie zrobiła zbyt wielkich postępów w sprawie Sybilli Frye. Na każdym kroku rzucono jej kłody pod nogi, ale nie chciała dać za wygraną.

Na ekranie telewizora wielebny Mudrick skończył już swoją przemowę. Teraz udzielał wywiadu pełnej wigoru blond dziennikarce. Było to zakończenie konferencji prasowej, którą zwołał w Newark, by „objawić światu” sprawę

Sybilli Frye.

„Biali gliniarze. Gwałt. Mactwa. Groźenie śmiercią”.

„Nieustannie zastraszana piętnastoletnia czarna dziewczyna”.

„Gliniarze z Pascaigne. Nazistowsko-rasistowskie świnię”.

Programy informacyjne poświęciły tej sprawie ledwie trzy minuty. Iglesias obejrzała to ponownie w wiadomościach z Newark o godzinie dwudziestej trzeciej i usłyszała przepojony oburzeniem głos czarnego mężczyzny, głos, który w ciągu długiej bezsennej nocy dźwięczał w jej głowie niczym echo w jakiejś olbrzymiej jaskini. O czwartej rano popatrzyła na swoje zmęczone, poblądłe odbicie w lustrze w łazience. Jej błagalne spojrzenie mówiło: „To się nie dzieje naprawdę. To koniec mojej kariery, która dopiero się zaczynała. Jak to możliwe?”.

– Odmawiają spotkania ze mną. Odmawiają spotkania z kimkolwiek, kto ma związek z policją. Matka nie chce przyprowadzić córki do komendy głównej, sama też tam nie przychodzi. Twierdzą, że obawiają się o swoje życie, że białe gliny je zabijają. Teraz, kiedy Marus Mudrick został ich rzecznikiem, a jego brat Byron ich przedstawicielem prawnym, nie są dostępne dla żadnego funkcjonariusza reprezentującego prawo. Nie mamy władzy, by je zatrzymać. Nie możemy ich aresztować. Oficjalnie nie zgłosiły żadnego przestępstwa. Nie wniosły oskarżenia. Podczas konferencji prasowych wielebny Mudrick oskarża „białe gliny”, oskarża „białą strukturę władzy” o zatajanie faktów, ale nie podaje żadnych nazwisk. Jest bardzo ostrożny i nigdy nie formułuje oskarżeń wobec konkretnych osób. Rozmowa, którą odbyłam z Sybillą Frye w szpitalu Świętej Anny, nie została nagrana – matka nie zgodziła się na nagrywanie. Matka i córka początkowo współpracowały, przez pięć minut, a potem nagle przestały. W domu Frye’ów przy Trzeciej Ulicy rozmawiałam krótko z panią Frye. Wyprosiła mnie ze swojego mieszkania. U babki przy Jedenastej Ulicy, gdzie przebywała Sybilla, pozwolono mi ją tylko zobaczyć. Leżała w sypialni, dochodziła do siebie, ale nie zauważyłam, żeby była w ciężkim stanie psychicznym. Nie odezwała się do mnie, nie pozwolono mi też z nią porozmawiać. Potem wyproszono mnie z mieszkania. Ednetta Frye powiedziała, że nie przyjdzie ze swoją córką na dalsze badania do szpitala Świętej Anny. Kiedy po raz pierwszy przywieziono tam dziewczynę, matka nie zgodziła się na badanie narządów miednicy. Nie przeprowadzono badań pod kątem gwałtu, nie ma więc dowodów na napastowanie seksualne. Jednak mówi się o gwałcie. Mówi się o gwałcie zbiorowym. Matka zabrała dziewczynę do lekarza w Red Rock. Ten lekarz – który odmawia zeznań – potwierdził tylko, że Sybilla Frye jest jego pacjentką. Jak mówi, dane dotyczące jego pacjentów są poufne. Przyznaje, że dziewczyna jest pod jego opieką i ma się dobrze. Przesłuchaliśmy wiele osób: pracowników opieki społecznej, wolontariuszy

organizacji społecznych, nauczycieli dziewczyny, rodzinę, krewnych i sąsiadów z Red Rock. Wiemy, że matka, Ednetta Frye, poszukiwała dziewczyny tego dnia, kiedy ją znaleziono. Znamy okoliczności, w jakich ją znaleziono. Ale nie możemy dotrzeć do dziewczyny, nie możemy jej przesłuchać. Nie możemy powstrzymać wielebnego Mudricka przed rzucaniem oskarżeń na departament policji. Mówi, że pragnie sprawiedliwości dla Sybilli Frye, ale odmawia współpracy z policją z Pascayne i z ludźmi prokuratora okręgowego.

Mówiła spokojnym, wyważonym tonem.

Jej głos był surowy, brzmiał rytmicznie jak pociąg sunący po szynach.

Słyszała swój głos. Słowa, choć były prawdziwe, brzmiały wykrętnie.

Chłodny, trzeźwy głos. Pijacki, wrzaskliwy głos.

We śnie i w czasie tego interludium o przedświcie, między snem a jawą, zasypianiem i przebudzeniem. Była samotna w samochodzie, kiedy jechała do zdewastowanej okolicy w Red Rock. Była samotna (czuła się bowiem coraz bardziej izolowana i poddawana ostracyzmowi) przy swoim biurku oddalonym zaledwie o metr od biurka sąsiada, a jednak znajdującym się jakby na peryferiach komendy. I w damskiej toalecie, gdzie często szukała schronienia i chłodziła rozpaloną twarz zmoczonym papierem toaletowym. Niczym w koszmarze rozkładu i utraty nadziei, gdy ziemia usuwa się spod stóp, słyszała swój głos na podobieństwo absurdałnego błagania: „O Boże, Ty na to nie pozwolisz. Jesteś dobry, a ja też starałam się być dobra, wierzyłam, że mogę coś zdziałać, naprawdę wierzyłam, że zdołam zmienić coś w życiu tej dziewczyny, a nawet w życiu Ednetty Frye, jeśli tylko mi na to pozwoli. Dlaczego tak źle się to skończyło, dlaczego mnie tak nienawidzą, mnie, która chcę być dla nich przyjaciółką?”.

Tego nie mogła powiedzieć porucznikowi. Musi znaleźć inne słowa, którymi się do niego zwróci. Nie mogła bowiem uwierzyć, że ten człowiek naprawdę nią pogardzał.

Jak mawiają, nie potrafimy uwierzyć, że jesteśmy śmiertelni i kiedyś umrzemy. Z tych samych przyczyn nie możemy uwierzyć, że ktoś – niesprawiedliwie i nedorzecznie – nami pogardza.

*

IGLESIAS I JEJ PARTNER KILKA RAZY PRÓBOWALI SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z Anisem Schuttem, konkubentem Ednetty i ojczymem Sybilli Frye.

Anisem Schuttem, który spędził siedem lat w więzieniu Rahway za śmiertelne pobicie swojej pierwszej żony.

Anisem Schuttem, którego kartoteka kryminalna sięgała lat pięćdziesiątych. Człowiekiem, o którym mówiło się, że jest taki *porywczy!*

Ednetta nie chciała rozmawiać o nim z detektywami. Twierdziła, że to było dla niej zbyt bolesne, wstydzi się mówić na ten temat. Anisa od dawna nie ma

w domu, nie opowiada jej, gdzie się, u diabła, podziewa, u kogo mieszka ani co robi. Kiedy go pytała, wpadał we wściekłość i wrzeszczał: „Kurwa, to nie twój interes, kobieto!”.

Sposób, w jaki wymówiła słowo „kobietko”, wzbudził w Iglesias niesmak.

Ednetta przysięgała, że Anis nie wtrącał się w wychowanie Sybilli ani żadnego z jej dzieci. „Wcale nie zaprzęta sobie nimi głowy. Nie przejmuję się i własnymi dziećmi. Muszą tylko pamiętać, żeby nie wchodzić mu w drogę, kiedy jest w domu. Anis nie jest skąpy – jak ma pieniądze, to potrafi sypnąć groszem. Nikt u nas nie głoduje, a na Gwiazdkę wszyscy dostają prezenty”.

Sam Anis Schutt nie był zbyt rozmowny. Był jednym z wielu obywateli Red Rock, którzy nienawidzili, obawiali się i nie ufali policji.

Marszczył brwi, krzywił się, zaciskał wargi i wbijał wzrok w podłogę. Nie było jasne, czy rozumie, o co go pytają.

Był tęgim mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, ale wyglądał starzej. Miał osadzone blisko siebie oczy i popękane naczynka krwionośne, płaski, szeroki, złamany nos i bardzo ciemną skórę, która zdawała się pochłaniać światło. I wykrzywione artretyzmem palce. Oddychał ciężko. Pracował dorywczo – ostatnio w służbach oczyszczania miasta.

„Panie Schutt, gdzie pan był, kiedy... Jakie są pana stosunki z... Kiedy widział pan po raz ostatni Sybillę Frye, zanim zaginęła na dwa dni czwartego października...”.

Anis Schutt wiedział, że dziewczyna zniknęła, ale wydawało się, że nie miał pojęcia, gdzie została znaleziona, i jedynie mgliście się orientował, co ją spotkało. Słyszał coś o napaści i o zarzutach w stosunku do białych glin. Bez przerwy pytał detektywów: „Co takiego?”, „O co wam chodzi?”. Jego oddech stał się niepokojąco chrapliwy, czoło pokryło się potem. W twarzy tego mężczyzny, w jego małych przekrwionych oczach pojawił się wyraz zdumienia przemieszanego z czymś w rodzaju przerażenia.

„Wysmarowali ją? Że jak? Psim gównem, mówicie?”.

„Kim są te białe gliny? Kto to, kurwa, zrobił?”.

Dla Iglesias i jej partnera wkrótce stało się jasne, że Ednetta Frye nie powiedziała Anisowi Schuttowi, co się stało z Sybillą, a przynajmniej nie wspomniała mu o istotnych detalach. Zadziwiające było, że mężczyzna zdawał się nie wiedzieć o tym, o czym większość mieszkańców Red Rock słyszała od kilku dni. Być może – Iglesias pomyślała, że chyba właśnie tak było – nikt nie chciał poruszać tego tematu w rozmowie z Anisem Schuttem z obawy przed jego nieprzewidywalną reakcją.

Starali się wyjaśnić Anisowi Schuttowi, co się przydarzyło (a przynajmniej to, w co wierzyli, że się przydarzyło) Sybilli. Powiedzieli mu o piwnicy w fabryce, karetce pogotowia i szpitalu Świętej Anny. Anis Schutt przykładął dłoń do ucha, jakby miał kłopoty ze słuchem. „Co mówicie? Najstarsza dziewczucha Ednetty? Kto jej to zrobił?”.

Anis Schutt przez całe życie ostro pił. Być może stał się umyślowo ociężały.

Iglesias zastanawiała się, jak Ednetta mogła żyć z kimś takim. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną (pyszałkowatym samcem), do którego kobieta mogła odczuwać pociąg, ale teraz był wrakiem człowieka. Kiedy podniósł się ciężko na nogi, bo zdecydował się nagle przerwać przesłuchanie, ledwo zdołał wyprostować prawe kolano.

Ednetta uskarżała się potem gwałtownie, że nie musieli tak zdenerwować jej męża. Anis nie wiedział zbyt wiele o Sybilli i reszcie dzieci – dla mężczyzny podstawową sprawą był fakt, że to nie jego dzieci. A ostatnio, od mniej więcej dwóch lat, miał objawy jakiejś choroby. Niepokoiło ją to, ale wysłać go do lekarza albo do szpitala było beznadziejną sprawą. Bóg wie, że się starała. „Ale Anis mówi, że z nim wszystko w porządku. Albo mówi, że głównie go obchodzi, czy będzie żyć, czy umrze. Żyje już wystarczająco długo. O mało mi serce nie pękło, kiedy to usłyszałam”.

*

JEJ PARTNER (NOWY I NIECHĘTNIE DO NIEJ NASTAWIONY) HARVEY CURZDOI POWIEDZIAŁ: „To sprawka gangu. Gwałt na dziewczynie, psie głównie, więzy na rękach i nogach. Wiedzieli, że nie umrze, bo ktoś ją znajdzie. Albo powiedzieli komuś, żeby ją znaleźli. Nikt nie puści pary z gęby, jesteśmy w głębokiej dupie”.

Iglesias odpowiedziała: „A może to ojczym? O nim też nikt nie puści pary z gęby”.

*

UBRANA PO CYWILNEMU, SAMA I PO GODZINACH PRACY, INES IGLESIAS postanowiła pójść na trzecią konferencję prasową wielebnego Marusa Mudricka, zwołaną tym razem w Pascayne.

W ciągu nocy miasto zostało oblepione plakatami, najgęściej w okolicy Red Rock: KRUCJATA SPRAWIEDLIWOŚCI DLA SYBILLI FRYE, 3 GRUDNIA, GODZ. 16.00, AMERYKAŃSKI KOŚCIÓŁ SYJONU, CAMDEN AVENUE, PASCAYNE.

Poprzednie dwie konferencje prasowe odbyły się w Newark, gdzie mieściły się biura wielebnego Mudricka. Przenosiny do Pascayne, które wielebny nazwał „miejscem haniebnego zbrodni na tle rasowym”, były swego rodzaju prowokacją. W biurze burmistrza panował stan podwyższonej gotowości, podobnie jak w komendzie głównej policji w Pascayne. Sześć godzin przed rozpoczęciem konferencji na ulicach otaczających kościół pojawili się umundurowani funkcjonariusze. Przybywali pieszo i w różnego rodzaju pojazdach, w tym furgonetkach służących do przewożenia aresztowanych i zatrzymanych. Wokół było słycać chrapliwe odgłosy policyjnych radiostacji, których dźwięk przypominał buczenie roju rozżłoszczonych szerszeni.

Umundurowani mężczyźni – Iglesias dostrzegła jedynie mężczyzn, na dodatek wszyscy byli biali – stali jak żołnierze, którzy szykują się do obrony obleżonego miasta, czekając na atak, by wreszcie zrobić użytek ze swojej broni.

Ozdobiony stiukami kościół przy Camden Avenue był jednym z nielicznych budynków w okolicy, które nie zostały spalone podczas zamieszek z 1967 roku. Iglesias przypomniała sobie opowieści o tym, jak przerażeni czarni mieszkańcy schronili się we wnętrzu kościoła, by uciec przed strzałami policji. I jak policjanci przypuścili szturm i otworzyli ogień, zabijając wiele osób, jak aresztowali ludzi i pozostawiali konających rannych... Ale szaro-żółty kościół ze swoim wspaniałym, choć nieco podniszczonym krzyżem przetrwał w spustoszonej dzielnicy, a na sąsiadujących z nim parcelach został założony ogród, o który dbali członkowie wspólnoty. Teraz zieleniec pogrążony był w zimowym śnie.

Iglesias zdawała sobie sprawę, że policja stosuje metodę zastraszania – stara się zapobiec zbyt licznemu zgromadzeniu, demonstrując swoją siłę.

Oddziały na Camden Avenue zdawały się robić na niektórych wrażenie. Starsze panie i kobiety z dziećmi nie podchodziły do kościoła; zatrzymywały się z wahaniem w pewnej odległości i zawracały. Ale większość ludzi przepychała się naprzód, nie okazując strachu. „Tak trzymać!”, pomyślała Iglesias.

Już o piętnastej trzydzieści zebrał się spory tłum i kościół szybko się zappełnił. Był za mały, by pomieścić wszystkich, którzy mieli ochotę wejść do środka, zwłaszcza że kilka pierwszych rzędów ławek zarezerwowano dla prasy. Ponieważ zgromadzenie odbywało się w kościele, na prywatnym gruncie, policja nie mogła oskarżyć organizatorów o brak pozwolenia na przeprowadzenie imprezy, ale na pewno wiele osób będzie musiało pozostać na zewnątrz, na chodnikach i ulicy. Iglesias uznała, że Mudrick zdecydował się na sprytne posunięcie – był to dobry sposób na sprowokowanie napięcia między tłumem czarnych obywateli i policją z Pascayne.

Marus Mudrick cieszył się reputacją osoby, która „prostodusznie” – czyli w gruncie rzeczy rozmyślnie – siała zamęt w umysłach swoich zwolenników. Prowadził marsze protestacyjne (w Newark i w innych miastach), które kończyły się zamieszkami na tle rasowym, akcjami odwetowymi policji i aresztowaniami. Iglesias obawiała się, że Mudrick zostanie kiedyś ranny lub zabity przez białego rasistę. Lub zastrzelony przez białego gliniarza. Mudrick lubił się przechwalać, że stając na czele demonstracji, nigdy nie zakłada kamizelki kuloodpornej ani nie ma przy sobie broni.

Przed wejściem do kościoła zgromadzili się fotoreporterzy, dziennikarze i ekipy telewizyjne z zapalonymi reflektorami (co było dziwne, zważywszy na dość wczesną porę dnia). „Ludzie mediów” – narzędzie, którym wielebny chciał się posłużyć, by nadać rozgłos swojej krucjacie.

Nie wszyscy dziennikarze byli biali, ale nawet ci, którzy mieli ciemną skórę, wyglądali (i byli ubrani) zupełnie inaczej niż większość mieszkańców Red Rock.

Wśród tego na razie spokojnego tłumy wypełniającego kościół Iglesias nie

wzbudziła zainteresowania. Żaden z funkcjonariuszy policji nie zwrócił na nią uwagi, a tym bardziej jej nie rozpoznał – Latynoski w długim, czarnym skórzanym płaszczu i kozakach, w kapeluszu z rondem nisko spuszczonej na czoło, włosami starannie spiętymi w hiszpański kok. Założyła przyciemnione okulary, miała jasną skórę i ostre rysy twarzy (prawie nie robiła makijażu). Pod płaszczem schowała swój służbowy pistolet kaliber dziewięć milimetrów.

Iglesias przedostała się na przód kościoła i usiadła w piątym rzędzie. Miejsca w ławkach zapełniały się szybko, a pierwszych kilka rzędów zarezerwowano dla prasy.

Widok tyłu przejętych mieszkańców Red Rock był poruszający.

Przeważali dorośli, ale przyszły też dziewczyny z liceum i nieco starsi od nich chłopcy. Wieści o Sybilli Frye rozchodziły się szybko, była jedną z nich.

Od czasu swojej rozmowy z Harveyem Curzdoim Iglesias uważała, że to mało prawdopodobne, aby jakiś czarny mężczyzna mógł wykonać rasistowskie napisy i wysmarować psim gównem czarnoskórą dziewczynę, zwłaszcza jeśli była to córka jego konkubiny. Czarny mężczyzna mógł zamordować taką dziewczynę (z tych samych powodów, z jakich tacy mężczyźni mordowali kobiety), ale nie zbezcześciłby jej w taki sposób.

Chociaż członkowie gangu... Może chodziło o jakąś inicjację. No i Curzdoi miał rację co do jednego – niemożliwe, aby ktokolwiek w Red Rock doniósł na czarny młodzieżowy gang.

Konferencja prasowa zaczęła się wkrótce po szesnastej, kiedy wielebny Mudrick pojawił się na ambonie i podniósł ramiona w powitalnym geście. Poważnym, dźwięcznym głosem, wzmocnionym przez mikrofon, przedstawił się jako wielebny Marus C. Mudrick, przełożony Duszpasterstwa Opieki Stanu New Jersey z siedzibą w Newark. Rozległy się pełne entuzjazmu oklaski. Następnie wielebny Mudrick powitał „siostrę Ednetę” i „siostrę Sybillę”, i swojego brata, znanego adwokata i obrońcę praw obywatelskich, Byrona R. Mudricka, który stanął obok niego. Znów rozległy się oklaski.

Publiczność zastygła, kiedy Ednetta Frye i jej córka Sybilla zajmowały miejsca za plecami (nieco na prawo) wielebnego. Wielu z nich znało je, byli więc zaciekawieni, widząc, jak elegancko są ubrane (w stroje jak najbardziej odpowiednie do kościoła). Usiadły skromnie, ze spuszczonej oczami. Ednetta była zakłopotana i ponura, Iglesias odniosła wrażenie, że jej twarz jest bardziej obrzmiała, niż kiedy widziała ją ostatnio. Miała na sobie gustowne czarne ubranie i nie była umalowana. Wydawało się, że Sybilla jest sparaliżowana ze strachu i wstydu. Miała włosy zaplecione w drobne warkoczyki, bardzo ładną, ozdobioną kokardą jedwabną białą bluzkę z długimi rękawami, czarną plisowaną spódniczkę, białe bawełniane skarpetki i czarne lakierki, a na szyi lśniący złoty krzyżyk. Z jej twarzy zniknęła opuchlizna, w każdym razie nie była widoczna z większej odległości, podobnie jak lekki zez w lewym oku. Iglesias zastanawiała się, czy przyjaciele i krewni Sybilli rozpoznawali chudą, tyczkowatą, impertynencką nastolatkę w tej przemienionej, powściągliwej,

skromnej lalce przeniesionej tu z innej epoki.

Kiedy przemawiał wielebny Mudrick, a jego głos przepęniało święte oburzenie na „tę okropność”, która spadła na „córe Red Rock”, dziewczynka z warkoczykami siedziała, skromnie ściskając kolana i spuszczać wzrok, ale Iglesias była pewna, że jest świadoma, iż wszyscy zgromadzeni obserwują jej matkę i ją.

W pewnej chwili, słysząc słowa wielebnego Mudricka, wzdrygnęła się i chwyciła matkę za rękę. Na widowni rozległ się współczujący szmer.

Ekipy telewizyjne, które wpuszczono do kościoła, zapaliły oślepiające światła. Fotoreporterzy, zamiast siedzieć na miejscach, które dla nich wyznaczono, zaczęli przemieszczać się po całej sali i robić zdjęcia przy użyciu fleszy. Kilku z nich precyzyjnie się tuż pod ambonę i oczy wielebnego Mudricka rozbłysły na czerwono od świateł lamp błyskowych. Wydawało się, że przepęnia go jakaś rozedrgana energia.

Mudrick miał na sobie jeden ze swoich trzyczęściowych garniturów, jak czytała Iglesias, szytych na miarę, aby dobrze leżały na sylwetce ze zdeformowanym kręgosłupem. Jego głowa wydawała się za duża w stosunku do ciała, nogi za krótkie, a tułów sprawiał wrażenie, jakby miał się za moment rozpaść, gdyby nie utrzymywało go ubranie. Mimo to Mudrick był atrakcyjnym mężczyzną, roztaczającym swój zielonoświątkowy czar za pomocą głębokiego, donośnego głosu, który wznosił się i opadał jak drapieżny ptak. Posługiwał się biblijną metaforyką, słowami Jezusa Chrystusa, cytatami z Abrahama Lincolna, W.E.B. DuBoisa, Bookera T. Washingtona i Martina Luthera Kinga. W Kościele katolickim, w którym Ines Iglesias została wychowana, nie było takich kaznodziejów, jacy zdarzali się u zielonoświątkowców. Podczas katolickich mszy, na które chodziła w każdą niedzielę razem z rodziną, Ines starała się powstrzymać myśli bezustannie odbiegające ku różnym sprawom, ale nie zawsze jej się to udawało. Uważała się za złą dziewczynę, ponieważ msze strasznie ją nudziły. Próbowwała sobie wmawiać, że swojskość i powtarzalność mogą być źródłem duchowej pociechy, a nie otepienia. Prawda jednak była taka, że nigdy nie przeżywała głęboko swojej religii. Komunia była dla niej kłopotliwym rytuałem, dobrym dla dzieci. Uważała, że cała msza jest rytuałem odpowiednim dla dzieci lub dla osób o dziecinnych umysłach. „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje”. Była zbyt sceptyczna, aby wierzyć w takie oczywiste nonsensy! A jednak nigdy nie spierała się o to z rodzicami, rzucała najwyżej aluzje do swojej niewiary. Została wychowana w szacunku dla starszych i nie chciała sprawiać im kłopotów ani ich dotknąć. No i kochała ich.

Tak jak nie miała najmniejszej ochoty odwiedzić Portoryko, rodzinnego gniazda jej dziadków, podobnie nie zamierzała naśladować ich życia. Włączając w to ślub i posiadanie dzieci. Kiedy była małą dziewczynką, wołała bawić się z braćmi ich karabinami, a nie lalkami.

Od kiedy służyła w policji, jeszcze nigdy nie użyła broni. Kilka razy wyciągała ją podczas służby patrolowej, ale nie wystrzeliła z niej ani razu i nie

lubiła myśleć, że kiedyś będzie musiała to zrobić, choćby w samoobronie...

Wielebny Marus Mudrick okazywał autentyczną odwagę, oznajmiając, że nie nosi kamizelki kuloodpornej, bo przy wejściu do kościoła nie było żadnej kontroli.

Tak, ten mężczyzna ją fascynował. Trzeba przyznać, że Mudrick miał charyzmę. Wszyscy zgromadzeni, ściśnięci w kościelnych ławkach, dali się porwać jego słowom, nawet reporterzy i ludzie z telewizji, którzy powinni zachować większy dystans. Mudrick był mistrzem kaznodziejskiej sztuki oratorskiej. W swoją mowę błyskotliwie wplatał zdania w dialekcie, jakim posługiwali się czarni, słuchało się go jak improwizującego jazzmana. Jego sarkazm wywoływał wybuchy śmiechu, nawet jeśli zaprawiony był czarnym rasizmem – słowa „białas” czy „biała hołota” smagały jak biczem, cięły jak nóż, ale nie pozostawiały krwawiących ran.

Iglesias czuła się skrępowana wśród tego tłumu. Myślała: „To czarny rasista, ale nie można go winić. Nikt z nas nie może go winić”.

„A ci ludzie – ich też nie można winić!”.

Wzbierały w niej złość i podniecenie, poczuła dreszcz emocji na myśl o wspólnym wrogu. W kościele nie było białych, nie licząc ławek zarezerwowanych dla mediów.

Iglesias sprawdziła wcześniej, że Kruczata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye została założona jako charytatywna organizacja *non profit* z siedzibą w Newark, a Marus Mudrick był jej przewodniczącym. Urząd prokuratora okręgowego hrabstwa Passaic zamierzał przyjrzeć się ich finansom; prokurator generalny New Jersey był zaniepokojony. Wrogowie (biali) Marusa Mudricka uważali, że da się go oskarżyć o sprzeniewierzenie funduszy pochodzących z datków.

Mudrick chciał kandydować do Kongresu, ale nie udało mu się uzyskać nominacji Partii Demokratycznej z okręgu Newark. Płynąc na fali rozgłosu, jaki zapewniała sprawa Sybilli Frye, niewątpliwie znów spróbuje powalczyć o ten urząd.

Po czterdziestu minutach wzruszającej przemowy Mudrick przedstawił swojego brata Byrona i oddał głos „cieszącemu się międzynarodową renomą adwokatowi walczącemu o prawa obywatelskie”, który mówił spokojniej, konkretniej i nudniej. Po kilku minutach publiczność zaczęła się niecierpliwić.

– Prawo jest fundamentem cywilizacji, nie ma cywilizacji bez prawa. Jednak bywają czasy, kiedy...

Byron Mudrick był niskim mężczyzną o mądrej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. Miał rzadsze i bardziej siwe włosy niż brat, nie wyróżniał się strojem, jego głos nie wznosił się ani nie opadał, kiedy Byron powtarzał główne punkty z przemowy Marusa i z drobiazgową skrupulatnością dodawał własne. Był adwokatem, jakiego chciałoby się zatrudnić przy rozwiązywaniu skomplikowanych kwestii prawnych, ale nie jako obrońcę występującego w sali sądowej. Skończył swoje przygotowane na kartce wystąpienie z ulgą równą uldze słuchaczy.

Następnie po raz kolejny, ze wzmożoną werwą i odrazą, Marus Mudrick opowiedział o „niewypowiedzianej okropności”, jaka dotknęła Sybillę Frye. „Kiedy biali mężczyźni napastują czarną dziewczynę, napastują ją za kolor skóry, to znaczy, że napastują nas wszystkich”.

Z oburzeniem zabarwionym lubieżnością Mudrick opisał porwanie, wielokrotne gwałty, bicie i przetrzymywanie przerażonej dziewczyny przez dwie noce w furgonetce, wysmarowanie jej psimi odchodami i „nazistowsko-rasistowskie słowa wypisane na jej ciele, skrupowanie i porzucenie jej w piwnicy fabryki na pewną śmierć”.

– Tylko dzięki Jezusowi Chrystusowi Sybilla Frye została odnaleziona przez dobrą samarytanę, która usłyszała jej krzyki. Gwałcicielami byli biali mężczyźni żyjący i pracujący tutaj, w Pascaïne. Są to funkcjonariusze jakichś sił porządkowych, prawdopodobnie policjanci, którzy dotychczas nie zostali ani zidentyfikowani, ani aresztowani i pozostają nadal na wolności. Sybilla nie mogła się im dokładnie przyjrzeć, była przerażona i miała zawiązane oczy. Prawdopodobnie było ich czterech lub pięciu, chociaż podczas tych kilku dni, kiedy była więziona, mogli dołączać do nich inni. Sybilla widziała tylko jednego z nich, jednego z młodszych, który miał „żółte” włosy. I widziała odznakę lub kilka odznak.

Słyszając te słowa, Sybilla Frye była bliska omdlenia i Ednetta chwyciła ją w ramiona. Zgromadzeni w kościele siedzieli jak porażeni.

Iglesias była zaskoczona. Sybilla miała zawiązane oczy?

Po raz pierwszy o tym usłyszała. W jej notatkach nie było nic o zawiązanych oczach.

Być może Mudrick wymyślił to sobie na potrzebę chwili. Wielebny improwizował w zapale, emocje, jakie wzbudzał w tłumie, zdawały się go nakręcać. Albo powiedziała mu o tym Sybilla Frye. Jeśli została uprowadzona siłą, było całkiem możliwe, że zawiązano jej oczy. Ale może nie przez cały czas miała na nich opaskę. A może było inaczej – jeśli ktoś pragnąłby przygotować wiarygodne zeznanie na temat porwania, mógłby zdecydować się na dodanie takiego szczegółu jak zawiązane oczy.

– Jezus jest tu z nami. Czujecie jego obecność? W sobie? Ja Go czuję! Jezus ochroni nas w tym świętym miejscu i białe gliny nie zdołają nas skrzywdzić, chociaż legion ich stoi na ulicy. Te rasistowsko-nazistowskie świny liczą, że wybuchną zamieszki i będą mogli do nas strzelać i zabijać nas, jak robili to w 1967 roku w Pascaïne, Newark, Detroit i Los Angeles. Jeśli podczas Krucjaty Sprawiedliwości dla Sybilli Frye ma się polać krew, modłę się do Jezusa, aby to była moja krew. Niech ocali resztę niewinnych braci i sióstr. Biały człowiek nigdy nie zmierzy się ze złem, które kryje się w nim samym, ale kiedy ujrzy was, zobaczy płomień Prawdy. Płomień, który nigdy nie zgaśnie. Amen!

– Amen! – odpowiedzieli zgromadzeni.

Wszyscy wokół wydawali się głęboko poruszeni. Iglesias zobaczyła, że niektórzy ocierają oczy, i nie były to wyłącznie kobiety.

Mudrick zamilkł. Oddychał ciężko, ocierał czoło białą chusteczką i czekał na pytania od dziennikarzy, którzy zachowywali się coraz bardziej nerwowo. Kilku reporterów zaczęło wykrzykiwać te same pytania: dlaczego Sybilla Frye nie chciała współpracować z policją, jeśli naprawdę padła ofiarą gwałtu, i dlaczego Marus Mudrick interweniuje w tej sprawie na forum publicznym. Mudrick odpowiedział z oburzeniem:

– Współpracować z policją? W tym nazistowsko-rasistowskim mieście? Kiedy to właśnie policja z Pascayne stanowi problem?

Rozległy się okrzyki poparcia. „Dobrze mówisz, bracie! Powiedz im prawdę!”. Mudrick odezwał się szyderczo, przekrzykując podniesione głosy dziennikarzy:

– Nakłaniać tę biedną dziewczynę, żeby poszła na policję, to byłoby tak, jakby nakłaniać Żydów, żeby odwołali się do nazistowskiego Führera. Tylko biały niemający pojęcia o życiu w tym nazistowsko-rasistowskim stanie może zadać tak głupie pytanie. Niektórzy biali liberałowie z pewnością są głupcami, ale my nimi nie jesteśmy! Nie zgłosimy się do tutejszej policji ani do policji stanowej New Jersey. To jedna rodzina, łączy ich ta sama krew i kolor skóry.

Mudrick kontynuował w podobnym tonie, głosem nabrzmiałym gniewem. Iglesias poczuła, jak wzrasta temperatura zgromadzenia, jej serce też biło żywiej. Z ławek rozlegało się coraz więcej okrzyków aprobaty.

Iglesias pomyślała, że dziennikarze usadowieni w pierwszych rzędach muszą czuć się tak, jakby wpadli w pułapkę i zostali wystawieni na ciosy. Ich reakcja na twierdzenia Mudricka była zadziwiająco potulna. Od kiedy „New York Times” zajął się sprawą, cytując obszernie oskarżenia wielebnego, Iglesias zaczęła czytać tę gazetę z narastającą konsternacją i rozgoryczeniem. „New York Times” poświęca pierwszą stronę rasowemu szczuciu i niepotwierdzonym oskarżeniom! Prawie w każdym numerze szargano dobre imię policjantów z Pascayne, którym udzielano naprawdę niewiele miejsca na odparcie zarzutów (kilka słów od szefa policji pod koniec artykułów).

„To ta biała liberalna naiwność”, myślała Iglesias. Liberałowie pragną się sprzymierzyć ze swoimi czarnymi oskarżycielami. Są gotowi uwierzyć najgorszym oskarżeniom dotyczącym ich białych braci i gliniarzy.

W tym tłumie to ona była biała – tak można by pomyśleć, jeśli nie znało się Ines Iglesias.

Większość mediów kładła nacisk na oskarżenia dziewczyny i wielebnego, a pomijała fakt, że gdy tylko Marus Mudrick został oficjalnym doradcą duchowym Ednetty i Sybilli, a Byron Mudrick ich doradcą prawnym, matka i córka zostały zaproszone na spotkanie z wysokimi rangą oficerami policji i prokuratorami hrabstwa Pascayne. Zaproszenie ponawiano wielokrotnie, ale kobiety za każdym razem odmawiały. Byron Mudrick, poprzednio znany jako adwokat do pewnego stopnia współpracujący z władzami, tym razem zachowywał się tak, jakby konkurował ze swoim radykalnym bratem. Obaj twierdzili, że mają zobowiązania przede wszystkim w stosunku do swoich

klientek, klientek, którym grozili funkcjonariusze policji z Pascayne. Ich życie było w niebezpieczeństwie, podobnie jak życie ich rodziny. Żyły w ciągłym strachu, jakby uwzięto się na nie „nazistowskie gestapo”. Funkcjonariusze policji grozili zarówno siostrze Ednetcie, jak i siostrze Sybilli. Podobnie postępowali przedstawiciele sił porządkowych całego stanu New Jersey. Nie mogły już dłużej mieszkać w swoim domu przy Trzeciej Ulicy, musiały się wyprowadzić w bezpieczne miejsce.

Niedawno ktoś wrzucił przez okno cegłę do ich mieszkania. Oddano kilka strzałów. Padały okrzyki „murzyńska dziwka”. Kilku świadków twierdziło, że widzieli w dzień i w nocy nieoznakowane samochody policyjne krążące po Trzeciej Ulicy.

W Red Rock dla nikogo nie było tajemnicą, że policja fałszywie obiecuje ochronę swoim informatorom i świadkom, a potem pozwala, by zabijano ich na ulicach. Właśnie tak gliny traktowały swoje „murzyńskie wtyczki”.

Wielebny mówił tonem przepojonym sarkazmem. W kościele rozległy się urywane szorstkie śmiechy.

W przednim rzędzie ławek podniósł się dziennikarz i zapytał:

– Jeśli wielebny Mudrick nie ma zamiaru spotkać się z policją, nawet z samym szefem policji lub prokuratorem hrabstwa Passaic, to jaki sens ma zwoływanie tych konferencji prasowych?

– Jaki jest sens? Pan chyba mnie nie słuchał. Naszym celem jest zwrócenie uwagi świata na tragiczną historię nazistowsko-rasistowskich obrzydliwych gwałtów na czarnych kobietach. Ujawnienie jej przed sądem opinii publicznej. Ukazanie zgniłej natury państwa policyjnego. Przywilejów białych. Białych panów. Bogaci biali kapitaliści deptają nam karki i dziwią się, kiedy chcemy zrzucić ich jarzmo. Dziwią się, kiedy stajemy w obronie naszych kobiet. Ta ciężko skrzywdzona dziewczyna, Sybilla Frye, jest naszą Joanną d’Arc z New Jersey, ale nie jest męczennicą. Została zraniona do głębi duszy, ale jak sami widzicie, jest silna i przetrwa to. Wywalczymy dla niej sprawiedliwość, długoletnie kary więzienia dla białych gwałcicieli i pieniężne odszkodowanie od policji z Pascayne. Wiele milionów dolarów dla wszystkich, którzy cierpieli w jarzmie białych panów. Białych kapitalistów obchodzą tylko dolary, którymi mają wypchane kieszenie, i właśnie po tych kieszeniach ich uderzymy. I to mocno. Obiecuję to wam.

Pośród okrzyków aprobaty jeden z dziennikarzy zdołał zapytać wielebnego Mudricka, czy zwróci się do prokuratora generalnego New Jersey, na co wielebny odpowiedział, że jeszcze nie podjął decyzji. Domaga się ogólnonarodowej, federalnej komisji śledczej, która zajęłaby się tą sprawą, ale w jej składzie musieliby się znaleźć czarni śledczy i czarni prawnicy, zarówno z New Jersey, jak i innych stanów. Śledztwo powinno objąć cały Departament Policji w Pascayne oraz biura burmistrza i prokuratora okręgowego.

– Cały ten układ jest chory, przesiąknięty nazistowsko-rasistowską zgnilizną. Wy, którzy nie jesteście stąd i mieszkacie w Nowym Jorku, myślicie, że

najlepszą strategią dla nas, z New Jersey, byłyby współpraca z tymi przedstawicielami władzy, którzy nie są tak zepsuci i skorumpowani; uważacie, że razem moglibyśmy pozbyć się łotrów z policji i przekupnych polityków. Ale pamiętajcie, że to New Jersey, drugi pod względem korupcji amerykański stan. Wyprzedza nas tylko Luizjana, która dzierży palmę pierwszeństwa w tej niechlubnej konkurencji. – Te słowa nagrodzone zostały gromkim śmiechem. Wielebny Mudrick zmarszczył brwi, jakby wesołość była nie na miejscu, i kontynuował poważnym tonem: – Słuchajcie, jestem chrześcijaninem i pastorem, a przy tym rozsądnym człowiekiem. Wiem, że w tym mieście są dobrzy gliniarze, może nawet większość funkcjonariuszy jest taka. W policji służą kolorowi, co prawda nieliczni. Trzeba wywierać presję na mających mocną pozycję białych szefów, by zatrudniali czarnych i Latynosów, podobnie jak nakłaniamy strażaków z wielkich miast, aby pozbyli się swoich uprzedzeń rasowych. Ale ci funkcjonariusze pochodzący z mniejszości etnicznych nie piastują wysokich stanowisk, nie są oficerami, nie mają władzy, podlegają swoim przełożonym. Wykonują rozkazy albo lądują na ulicy. Ci bracia i siostry nie stanowią problemu. Chociaż widzieliście ich, jak próbowali was zastraszyć, kiedy wchodziliście do domu Pana. Stoją na zewnątrz tego przybytku bożego, w tej właśnie chwili, kiedy chcecie skorzystać ze swoich praw, danych przez Boga i konstytucję, do wolności zgromadzeń, bez nękania i obawy przed policyjną przemocą. Ale to ci wyżsi oficerowie, których tu nie ma, a którzy wydają rozkazy, są prawdziwym problemem, wyzwaniem, przed którym stoi Kruczata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye.

Pod koniec konferencji prasowej Mudrick odwrócił się do Ednetty i Sybilli i ujął je za ręce. Gdy zgromadzeni znieruchomieli jak urzeczeni, wielebny zaprowadził je obie na ambonę.

– Nie będziemy żądać od tych ofiar przemocy rasowej, by dziś przemawiały, nie są bowiem przyzwyczajone do publicznych wystąpień. Obiecałem im, że nie będą musiały tym razem składać żadnych oświadczeń. Ale, siostró Ednetto, może powiesz kilka słów do tego zgromadzenia?

Ednetta Frye stała potulnie na ambonie, mrugała szybko oczami i uśmiechała się zmieszana. Jej wzrok błędził po tłumie; zwilżyła wargi i powiedziała ledwo słyszalnym głosem:

– Ja... jestem Ednetta Frye. Dziękuję wam, że tu dziś przyszliście, by wesprzeć moją córkę Sybillę i jej kruczatę sprawiedliwości.

Mudrick zwrócił się do Sybilli:

– Siostró Sybillo, czy powiesz kilka słów do tych zgromadzonych, których przepętnia miłość i którzy wspierają cię w twoim cierpieniu?

Sybilla Frye stała potulnie na ambonie, mrugała szybko oczami i uśmiechała się zmieszana. Jeśli nauczono ją, by powiedziała coś, jak jej matka, pod wrażeniem wpatrującego się w nią nieruchomego tłumy i błysku fleszy fotoreporterów zapomniała, jak to zrobić.

– Powiedz im tylko, jak się nazywasz, moja droga. Przyszli tu, by ci pomóc.

Sybilla drżała. Powiedziała coś niesłyszalnym szeptem.

– Odrobinę głośniej, moja droga.

– Sy... Sybilla F... Frye...

Wśród zgromadzonych rozszedł się życzliwy szmer. Rozległy się okrzyki: „Sybilla, Sybilla!”.

Iglesias poczuła nagle przemożną chęć, by podejść do ambony, odepchnąć na bok kłocowatego wielebnego, schwycić dziewczynę za rękę i wytłumaczyć jej oraz jej naiwnej matce, że Marus Mudrick znany jest z tego, że już w przeszłości wykorzystywał „kolorowe ofiary”. Zbierał pieniądze na ich rzecz, pośredniczył w udzielaniu wywiadów i występach w mediach, używał ich, by lansować samego siebie, i porzucał, kiedy opinia publiczna przestawała się nimi interesować.

„On nie jest waszym przyjacielem. Popełniacie błąd, ufając mu.

Gdybyście chciały zaufać mnie...”.

Jednak kiedy przekazywano sobie koszyk na datki, Iglesias włożyła do niego pięciodolarowy banknot. Czuła się głęboko poruszona.

Na pożegnanie wielebny Mudrick pobłogosławił zgromadzonych. Zalecił im przyłączenie się do krucjaty i walkę ze wspólnym wrogiem. Powiedział, aby wychodząc z kościoła, powtarzali: „Sprawiedliwość dla Sybilli Frye! Sprawiedliwość dla Sybilli Frye!”.

– Maszerujcie Camden Avenue, aż do mostu Pitcairn, byle w spokoju, zachowując porządek. Przejdźcie przez most i udajcie się do ratusza, gdzie kryją się burmistrz i jego białe pacholki. Skandujcie głośno, żeby was usłyszeli: „Sprawiedliwość dla Sybilli Frye! Sprawiedliwość dla Sybilli Frye! Sprawiedliwość dla Sybilli Frye!”.

Tłum natychmiast podchwycił i zaczął skandować hasło. Ludzi opanowało szalone podniecenie. Iglesias zatkała sobie uszy palcami i z trudem przepchnęła się na zewnątrz. W kościele nie zauważyła zbyt wiele czarnej młodzieży, bo ta w większości została przed wejściem do świątyni. Teraz młodzi ludzie tłoczyli się i popychali, skandując: „Sprawiedliwość dla Sybilli Frye! Sprawiedliwość dla Sybilli Frye!”.

Policja była w pogotowiu i od razu zaczęła ich oskrzydlać.

„A jeśli teraz ktoś strzeli?”, pomyślała przerażona Iglesias.

Okrzyki radości i gniewu mieszały się z okrzykami strachu.

Część niesfornego tłumu zaczęła się rozchodzić. Policjanci pozwalali niektórym osobom przejść na drugą stronę szerokiej Camden Avenue, na której wstrzymano ruch samochodowy (potem ci ludzie rozchodzili się po bocznych ulicach). Jednak wiele osób zostało otoczonych przez policję, a jeszcze inni nie chcieli podporządkować się poleceniom funkcjonariuszy. Iglesias nie wiedziała, co ma zrobić. Miała ochotę pomóc wydostać się z pułapki tym, którzy zostali zablokowani przez policyjny kordon, ale nie wiedziała jak. Kiedy zastanawiała się nad tym, zaczęto ją popychać i szturchać. Ze wszystkich stron skandowano (nierówno i jakby z wahaniem) „Sprawiedliwość dla Sybilli Frye!”. Iglesias

przeszła szkolenie, jak zachowywać się (fizycznie) w takich sytuacjach. Ale nie dała rady, nie była wśród swoich kolegów, nie miała na sobie munduru, nie posiadała władzy przynależnej funkcjonariuszowi policji. Zepchnięto ją na ulicę, do rynsztoka. Policjanci ruszyli ławą z wyciągniętymi pałkami. Resztki tłumy zostały zepchnięte do tyłu, rozległy się okrzyki przerażenia, bólu i wściekłości. Ludzie potykali się i padali. Gruba ciemnoskóra kobieta ze zniszczoną cerą szarpnęła Iglesias za rękaw jej skórzanego płaszcza. Ktoś zrzucił jej z głowy elegancką czarną fedorę, poczuła, że jej nieosłonięty kark wystawiony jest na ciosy. Udało się jej wyrwać tęgiej kobiecie, starała się przepchnąć do rzędu umundurowanych funkcjonariuszy.

Krzyknęła do nich, do swoich kolegów policjantów: „Jestem gliną! Hej, jestem tutaj!”. Wyciągnęła przed siebie rękę z odznaką, ale nagle ktoś ją popchnął i odznaka wypadła jej z dłoni.

Gruba kobieta rzuciła się do niej: „Jesteś gliną? Mówisz, że jesteś gliną, suko?”. Inna, młodsza kobieta, złapała ją za włosy. Padały wyzwiska: suka, meksykaniec, pizda, zdzira. Okładano ją pięściami i kopano. W niezbyt wygodnych butach łatwo straciła równowagę i czepiając się czyichś ramion, runęła na ziemię.

Hiszpański kok rozplątał się i zmierzwił włosy opadły jej na ramiona. Ktoś wyrwał jej jeden pukiel, razem ze skórą, pozostawiając na głowie goły ślad wielkości monety. Krwawiła, na szczęście niegroźnie (krew sączyła się z rany po wydartych włosach; takie obrażenia mogą powodować obfite, ale niezagrażające życiu krwawienia), jej eleganckie ubranie było całe powalane. Bała się, ale nie wpadła w panikę; w Akademii Policyjnej szkolono ją, żeby w takich wypadkach nigdy nie histeryzować. Nie ośmieliła się wyciągnąć pistoletu, bo gdyby zobaczono ją z bronią, policja by ją zastrzeliła. Kilka metrów od niej czarny dwudziestolatek został obezwładniony i aresztowany przez sześciu funkcjonariuszy, z rany na jego głowie sączyła się krew; innych czarnych mężczyzn i kobiety też zatrzymywano i aresztowano; jeden z mężczyzn nie miał koszuli, na jego muskularnej ciemnej piersi lśniła krew. Policjanci krzyczeli i biciem spychali tłum; Camden Avenue jak czołgi sunęły policyjne pojazdy. Między krzyczącymi młodymi ludźmi byli starsi, którym nie udało się uciec. Okropny był widok dzieci – niektóre wtulone w ramiona dorosłych płakały z przerażenia, w tle słychać było ogłuszające wycie syren. Czarna kobieta z furią wczepiła się paznokciami w twarz Iglesias, przyciemnione okulary upadły na bruk, huk eksplozji i zapach prochu gdzieś niedaleko, tuż obok jej głowy. Była oślepiona i ogłuszona, leżała na chodniku, pośród krzyków rozpacz, uciekający ludzie zgnetli jej lewą dłoń i lewe ramię, nie była w stanie podnieść się na nogi, by się obronić, coś było nie tak z jej nogami i z jej wzrokiem... nagle przestała widzieć...

Przeniesiona

Pierwsza myśl: „Żyję”.

Zdumienie obmywa cię, jaskrawe i euforyczne, jak narkotyk: „Żyję, ciągle żyję”.

I zaraz potem ból.

Upokorzenie i wstyd.

„A jednak żyję. Udało mi się”.

Pamiętała wystrzał, tuż obok głowy. Wydawało się jej – tak zakładała – że została postrzelona.

Położono ją na noszach. Oszołomioną, krwawiącą z ran na głowie i twarzy, w podartym ubraniu. Założono jej maskę tlenową, bo nie mogła oddychać swobodnie.

Mgliście zdawała sobie sprawę z tego, że ktoś do niej mówi: „Oddychaj!”.

Mgliście zdawała sobie sprawę, że trzasnęły drzwi karetki i samochód ruszył.

Jej mózg przygasał, umierała. Dostała potężny cios w prawą skroń. Została skopana, stratowana, czuła potworny ból w żebrach i w krzyżu, w lewym ramieniu i lewej nodze. I coś mokrego i lepkiego we włosach. Skórzany płaszcz był podarty, nigdy już nie włoży swojego eleganckiego skózanego płaszcza. Czuła, jak puchnie jej twarz. Ruszał się jej ząb. Zgubiła odznakę, ktoś ją jej zabrał. Dopiero później się dowiedziała, że zniknął też jej służbowy pistolet kaliber dziewięć milimetrów.

W jaskrawym świetle oddziału ratunkowego starała się wyjaśnić, coś wytłumaczyć...

Próbowała powiedzieć, kim jest, dlaczego powinni pozwolić jej odejść, dlaczego nie należy zawiadamiać nikogo z rodziny...

„Jestem funkcjonariuszką policji. Detektyw Iglesias. Z policji w Pascayne. Moja legitymacja jest w... Moja odznaka...”.

Kiedy po kilku dniach zwolnienia lekarskiego wróciła do komendy dzielnicowej, została wezwana do gabinetu porucznika.

Budziła w nim niesmak. Ledwo się zmusił, żeby na nią spojrzeć.

– Opróżnij swoje biurko, Iglesias. Już tu nie pracujesz.

Tak nagle. Gdy tylko weszła do biura porucznika. Nawet nie zamknęła drzwi – nie poprosił jej o to.

Stała oszołomiona, nie mogła w to uwierzyć. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Odbieram ci sprawę Frye’ów. Zostaniesz przeniesiona. Nie będziesz już

pracować w tej dzielnicy, więc opróżnij biurko i wynoś się stąd.

– N-nie rozumiem... – Jąkała się, mówiła niewyraźnie.

Chyba dlatego, że od porucznika spodziewała się zupełnie innego powitania. Skróciła swoje zwolnienie, była pełna zapału, nie mogła się doczekać powrotu do pracy. Chciała mu powiedzieć: „Dziękuję, poruczniku, nic mi nie jest. Nie groziło mi poważne niebezpieczeństwo”.

Porucznika zupełnie nie interesował stan zdrowia Ines Iglesias. Miała opuchniętą twarz, podbite oczy (ukryte za ciemnymi okularami), gdy chodziła, usta wykrzywiał jej grymas bólu i utykała (choć starała się, aby w pracy było to dużo mniej widoczne, niż kiedy była w domu). To wszystko wzbudziło u porucznika rozdrażnienie i wzdęty, tak że nawet nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Nie musisz zamykać za sobą drzwi, kiedy stąd wyjdiesz, Iglesias. Ale wyjdź.

Dobry syn

Zahn, Jerold („Jere”). Urodzony 22 marca 1960 roku. Zmarł 11 grudnia 1987 roku. Funkcjonariusz pełniący służbę patrolową w policji w Pascayne, mieszkaniec miasta Pascayne w stanie New Jersey.

O dziewiątej dwadzieścia rano, mniej więcej osiemnaście godzin po tym, kiedy otrzymał straszną wiadomość, był w domu swoich rodziców i reperował dach. Wspinał się pochylony na jego szczyt w zimny, słoneczny grudniowy dzień, w ciemnych okularach ze względu na zaczerwienione oczy. Zawsze był zręcznym cieślą, złotą rączką, z ochotą naprawiał różne rzeczy w swoim dawnym domu. Był dobrym synem (choć krępował się, kiedy tak go nazywano), zarówno w dzieciństwie, jak i teraz, kiedy zbliżał się (trudno w to uwierzyć) do trzydziestki.

Być może spodziewał się tej wiadomości. W tym czasie, dwa tygodnie po niepokojach na Camden Avenue, taka rzecz dla nikogo nie stanowiła już tajemnicy.

A może nie było żadnego związku. Między oczekiwaniem na wiadomość a jej otrzymaniem. I jazdą przez miasto do domu rodziców, by naprawić kilka zgnitych i przeciekających gontów. Kiedy skończył już wbijać gwoździe na dachu (właśnie dzięki tej czynności jego matka, Mimi Zahn, wiedziała, że Jere przyszedł – usłyszała go, zanim zobaczyła, i szybko podeszła do okna, żeby sprawdzić. Tak, samochód Jerego stał na podjeździe. To było normalne zachowanie jej najmłodszego syna – zjawiał się niezapowiedziany i od razu zabierał się do różnych napraw, na które jego starsi bracia obarczeni rodzinami nie mieli czasu), zaniósł drabinę pod garaż, żeby tam wymienić przepalone żarówki i przy okazji przymocować naderwaną rynnę.

Potem starannie umieścił ciężką, długą drabinę z powrotem w garażu, tam, skąd ją przed chwilą zabrał i gdzie zostawił ją kilka miesięcy temu. Od tamtego czasu nikt inny z rodziny Zahnów jej nie używał.

Był zbyt podminowany, by zakończyć na tym pracę. Chciał posprzątać gałęzie, liście i odpadki porzucane przez ostatnią burzę za domem, zanim przyjadą śmieciarze. „Jere jest taki dobry. Już jako chłopiec zawsze był pierwszy do pomocy. Jego tata i ja chcieliśmy, żeby dbał trochę więcej o siebie, a nie o innych...”. Troska matki wynikała z tego, że jej najmłodszy syn w wieku dwudziestu siedmiu lat nadal mieszkał samotnie, bez (widocznej i tak przez nią pożądanej) perspektywy małżeństwa, obsesyjnie poświęcał się pracy (nazywając ją po prostu pracą, Mimi miała nadzieję ją odczarować) jako nowy funkcjonariusz policji w Pascayne.

Policjant stażysta Jerold Zahn. Najmłodszy stopniem. Żółtodziób.

Zahnowie byli z niego dumni. I obawiali się o niego.

W Stanowej Akademii Policyjnej New Jersey w Sea Grit nie miał łatwego życia. Nie wiadomo właściwie dlaczego, przecież tak bardzo chciał się tam dostać. Ukończył ją z jednym ze słabszych wyników wśród kadetów w swojej grupie.

W policji w Pascayne, w okręgu Red Rock, który był najtrudniejszy w mieście, z najwyższym poziomem przestępczości i kwartałami wypalonych, zrujnowanych budynków, Zahn był nowicjuszem, który odczuwał największy stres.

(Nie to, żeby się komuś skarżył. Nigdy nie był skory do uzalania się nad sobą).

(W reprezentacji swojego liceum Jere Zahn był znany z tego, że ukończył mecz o mistrzostwo, kulejąc z powodu zwichniętej kostki. Innym razem przez minutę leżał kontuzjowany na plecach, ale uparł się, by wrócić do gry).

Oszołomieni rozpaczą rodzice twierdzili: „Nie mieliśmy pojęcia. Nie było żadnych sygnałów”. Ale w rzeczywistości Mimi była zaniepokojona, bo z chłopakiem działo się coś złego. Ta gwałtowność, z jaką rzucał się na wszelkie drobne domowe naprawy. Robił wszystko, o co go poproszono, oraz rzeczy, o których nikt by nawet nie pomyślał, jak przerzedzenie starych, sterczących na wszystkie strony krzaków wokół domu czy wymiana popękanych płytek na tarasie. Wpadł też na pomysł, żeby przerobić swój stary pokój na pokój do szycia dla matki – posprzątał go i odmalował na żółto.

I dlatego w tym dniu, jedenastego grudnia 1987 roku, kiedy Jere zjawił się bez uprzedzenia w domu przed dziewiątą rano (jego ojciec wyszedł do pracy o siódmej trzydzieści), wyciągnął długą drabinę z garażu, oparł ją z hukiem o ścianę domu i wspiął się szybko i pewnie na górę, a potem przez resztę poranka dudnił butami i walił z pasją młotkiem – Mimi wyczuła, że musi się dziać coś złego. Ale postanowiła obrócić wszystko w żart, zakpić, zgodnie z obyczajem przyjętym u Zahnów przez czterech synów i jedną – najmłodszą – córkę. Z ojca też był wielki kpiarz, więc Mimi nauczyła się, że śmiech jest najlepszą formą obrony przed kłopotami. Otworzyła okno na piętrze, by krzyknąć do syna (nie widziała go), lecz jej nie usłyszał, dlatego wyszła na zewnątrz, na tylne podwórko, by zawołać płaczącym tonem: „Jere? Cześć! Mówiłeś ojcu, że przyjdiesz, skarbie?”. Zadrzała z zimna i otuliła się rozpinanym swetrem. Syn, siedzący na dachu w słoneczny chłodny dzień, ubrany w swoją starą szkolną bluzę z kapturem, wełnianą czapkę nasuniętą na zmarszczone czoło, z chłopięcą twarzą, ponurą, bez uśmiechu – ten widok przejął ją niepokojem. Jere wydawał się zażenowany, być może rozdrażniony, że mama wyszła na zewnątrz na taki chłód i woła do niego, przykładając dłonie do ust. Miał nadzieję, że sąsiedzi jej nie usłyszą. Zwykł był wzruszać ramionami i rzucać: „To nic takiego”, kiedy ludzie czynili zbyt wiele szumu wokół tych drobiazgów, które dla nich robił. Mimi przynagliła go, żeby wszedł do domu i się ogrzał, a ona zrobi mu coś gorącego do jedzenia. Domyślała się,

że na pewno zjadł na śniadanie, jak zwykle, tylko zimne płatki i wypił kawę; jeśli w ogóle coś zjadł. Skrzywił się i pomachał jej. „Niczego nie potrzebuję, mam. Zaraz kończę, wróc do środka, dobrze?”. Na pewno był zawstydzony jej troskliwością, ale widziała przecież, jak chudnie, od lata musiał stracić co najmniej pięć kilogramów. Właściwie miał już chudą twarz, czym nie mógł się poszczycić żaden z jego braci, a wokół oczu pojawiły się obwódki, oznaki zmęczenia, jakie widuje się u dojrzałych mężczyzn; nigdy wcześniej Jere nie miał tak zmęczonych oczu.

Henry powiedział starszym synom: „Poświęćcie trochę czasu Jeremu, dobrze? Może zaprosicie go na kolację? On czegoś potrzebuje, a nie jestem pewien, czy matka i ja możemy mu to zapewnić”.

Zgrabiwszy na stos liście i uprzątnąwszy połamane gałęzie z tylnej części podwórka, Jere wszedł do kuchni, żeby się ogrzać. Zdjął bluzę i wełnianą czapkę, a Mimi nie mogła się powstrzymać, by nie odgarnąć mu włosów z czoła, tak jak robiła to bez zastanowienia, odruchowo, przez większą część jego życia. Miał jasnoblonde włosy, jasnosrebrzyste, odziedziczył je po niej (choć jej były już teraz w większości siwe). I jej brwi i rzęsy, tak jasne, że prawie niewidoczne. Kiedy dorastał, nienawidził swoich włosów, uskarżał się, że są dziwaczne, zupełnie jak u dziewczyny. Mimi poczuła wtedy ukłucie w matczynym sercu (delikatne i przelotne) i zapewniła go: „Nie bądź niemądry, skarbie! Jesteś bardzo przystojnym chłopcem. Dziewczyny pozabijałyby się za takie naturalne blond włosy”.

I te jego oczy, jak u ducha, jasnoniebieskie, chwilami jasnoszare, też po matce, i to spojrzenie, bezbronne i szczere.

Nalegała, żeby usiadł przynajmniej na kilka minut i coś zjadł. Uśmiechnął się i powiedział: „Okej, mam, ty tu rządzisz”. Odniosła drobne zwycięstwo – pomyślała, że uda się zatrzymać go jeszcze na kilka chwil. Dom nie będzie się wydawał taki pusty i kiedy wróci Henry, będzie mogła powiedzieć z dumą: „Jere przyszedł dziś rano, zaskoczył mnie, zreperował dach i wymienił żarówki w lampie na garażu. Pogawędziliśmy trochę, od dawna już nie było tak miło, powiedział, że...”.

Jednak zjadł tylko pół porcji tego, co nałożyła mu na talerz (jajecznica, bekon i tosty, śniadanie podawane u Zahnów przy wyjątkowych okazjach) i nagle stracił apetyt. Mimi spytała go, czy coś się stało, na co odpowiedział wymijająco: „Nie, mam, wszystko jest w porządku”. Wiedziała, że widuje się z młodą kobietą (miała na imię Kim albo Kimba); niezbyt przypadła jej do gustu. Samotna matka w wieku Jerego albo nawet starsza. Mimi nigdy jej nie spotkała i miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. A jednak pomyślała: „Chcę, żeby Jere był szczęśliwy. Chcę, żeby w końcu się ożenił. Nie może mieszkać sam, ktoś powinien się nim opiekować”.

Wiedziała, że od czasu niepokojów na Camden Avenue, po spotkaniu w kościele kolorowych, kiedy tylu funkcjonariuszy musiało wziąć udział w uspokajaniu tłumu (nie chcieli, żeby przerodziło się to w zamieszki

o większym zasięgu), wśród policjantów z Pascajny panowało napięcie, zwłaszcza wśród tych, którzy pracowali tam gdzie Jere, w dzielnicy Red Rock. (Syn miał pecha, że właśnie tam dostał przydział. Ale nigdy – z tego, co wiedziała Mimi – nie skarżył się, nawet braciom i siostrze, z którymi był blisko). Jere twierdził, że te niepokoje mogły przekształcić się w coś o wiele groźniejszego. Na szczęście nikt nie zginął ani nie odniósł poważnych ran, nie spalono ani nie zniszczono żadnego samochodu policyjnego i nie doszło do plądrowania sklepów.

Jego ojciec powiedział: „To jest jak beczka prochu – tylu ludzi nie jest w stanie samodzielnie się utrzymać, muszą żyć z zasiłków i nie mają pracy. Dzięki Bogu, że nie doszło do niczego gorszego”.

Słyszeli o czarnej nastolatce z Red Rock, która oskarżała białych funkcjonariuszy policji o porwanie i gwałt, i o tym, jak absurdalne były to zarzuty – zupełnie bezpodstawne. Ojciec wypytywał Jerego o tę historię; syn odpowiedział, wzruszając ramionami, że nic o tym nie wie, a ludzie mówią, że chodzi o jakieś nieporozumienia na tle rasowym.

Jere nie miał już ochoty na śniadanie, chciał jak najszybciej wyjść i dokończyć sprzątanie tylnej części podwórka. Przez chwilę patrzyła na niego przez okno, jak pracował pospiesznie – zmuszał się do wysiłku, jakby chciał się za coś ukarać. Ta myśl wydała się jej niedorzeczna, nie było ku temu żadnego powodu, ale ich młodszy syn często zachowywał się w ten sposób. W siódmej klasie, kiedy miał dwanaście lat, zaczął uprawiać sporty drużynowe i trenerzy wyróżniali go za wyjątkowe zaangażowanie.

Pomyślała, że włoży polar i dołączy do syna na zewnątrz. Energiczny ruch na świeżym powietrzu dobrze by jej zrobił, na pewno poprawiłby jej nastrój. Mogłaby pomóc Jeremu wkładać gałęzie do wielkich czarnych plastikowych worków – to była robota dla dwóch osób. Ale doszła do wniosku, że Jere nie będzie z tego zadowolony. Był uroczym chłopakiem, ale teraz coś go martwiło i chciał zostać sam ze swoimi myślami.

No cóż – Mimi zakładała, że Jere jeszcze zajrzy do domu, żeby się pożegnać, ale około drugiej po południu zauważyła, że jego samochód zniknął z podjazdu.

„Chyba chciał mi powiedzieć. Tak mi się teraz wydaje.

Ale wtedy, chyba... chyba to przegapiłam”.

Od razu pomyślał o Mimi. O mamie.

Właściwie przyjechał po to, żeby jej powiedzieć. Dlatego zjawił się w domu.

A potem stracił odwagę. Spanikował.

Chciał się jej przyznać, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu. Tylko mamie, żeby mogła opowiedzieć to tacie, własnymi słowami, gdy jego już nie będzie; tak należało postąpić. A rodzice powiedzieliby braciom i siostrze. Ale musi wymyślić jakiś sposób, żeby nie mówić o tym wprost.

Rozczaruje ją, ale ona będzie mu współczuć, będzie chciała go przytulić.

(Jak mógłby znieść, żeby go przytuliła? Jezus! Miał dwadzieścia siedem lat).

A tata będzie zaszokowany i zawiedziony, braciom zrobi się go żal, wreszcie nie będą się z nim drażnić ani go męczyć. (Ale co powiedzą, kiedy go zobaczą? Coś w nim pękło, kiedy pomyślał o tej rozmowie).

Przesrana sprawa. Nie mógł teraz o tym gadać.

Podczas patrolu, kiedy znajdował się pod opieką doświadczonego funkcjonariusza, popełnił kilka błędów. Był na okresie próbnym i bez przerwy mu o tym przypominano – dlatego łatwiej się denerwował i potrafił spieprzyć z pozoru proste sprawy. Sparaliżował go widok ulicznej awantury – młodzi czarni z bronią, handlarze narkotyków; wiedział, co powinien zrobić, ale nie był w stanie, nie zdołał wyciągnąć broni na rozkaz, wpadł w panikę i o mało nie zemdleł. Na Camden Avenue, kiedy przydzielono go do rozpraszania tłumu przed kościołem czarnych, zdarzyło się coś podobnego: kręciło mu się w głowie, serce waliło jak młotem, oddychał szybko i z trudem. Kiedy rozległy się strzały, instynkt podpowiedział mu, że powinien się schować, nic nie słyszał – nic do niego nie docierało i nie mógł reagować – kiedy opiekujący się nim funkcjonariusz coś do niego krzychał. Był całkowicie, beznadziejnie... nawet nie mógł przywołać właściwego słowa, jakim należało określić jego stan. Przerażony? Sparaliżowany? Wpadł w popłoch? Jak na strzelnicy w akademii podczas egzaminu. Spudłował, chociaż wcześniej, podczas ćwiczeń, radził sobie całkiem nieźle – to presja go obezwładniała, czuł się tak, jakby imadło ścisnęło mu piersi.

„Gliniarz słucha rozkazów. Żółtodziób nie ma, kurwa, prawa myśleć!”.

Starał się wytłumaczyć, że kocha ten zawód. Zawsze marzył, że będzie służył w policji. Nieważne, czy w miejskiej, stanowej, czy w drogówce. Pragnął tego całym sercem. Chciał egzekwować prawo i chronić ludzi. Lubił swój mundur – kochał go. Broń, którą nosił, była symbolem, podobnie jak odznaka. Mundur, odznaka, kabura i rewolwer. Ale z jakiegoś powodu czuł się niezręcznie z bronią, nie z samym przedmiotem, ale ze strzelaniem w obecności innych. Głośny trzask, świadomość, że po naciśnięciu na spust nie można już niczego cofnąć. Pociągnął za spust i po sprawie.

Jak na ironię nie był dzieckiem, które lubiło się bawić pistoletami i karabinami. Nie znajdował przyjemności w „zabijaniu” swoich kolegów i był zaniepokojony, kiedy oni strzelali do niego.

I nie był „uświadomiony politycznie”. Rzadko czytał gazety lub oglądał wiadomości w telewizji, chyba że lokalne. Tak jak wszyscy, których znał, głosował na Ronalda Reagana. Nie obchodziły go mechanizmy rządzące biegiem spraw, interesowały go konkrety. Jak jesteś gliniarzem, to słuchasz rozkazów.

Jak jesteś gliniarzem żółtodziobem, to nie robisz nic innego, tylko słuchasz rozkazów.

Chwalono go, kiedy zajmował się mało stresującymi obowiązkami – kontrolą ruchu drogowego, sporządzaniem notatek na miejscu wypadków, pocieszaniem

ofiar, pisaniem na maszynie, wypełnianiem raportów; sprawdzał się, kiedy odwiedzał szkoły w towarzystwie starszych funkcjonariuszy. „Dobre kontakty z miejscową ludnością” – nowe zadanie policjantów z Pascaigne w następstwie przyjęcia projektu reformy sił porządkowych w stanie New Jersey.

W rodzinie Zahnów byli strażnicy więzienni, chociaż nie wśród najbliższych krewnych. Był też jeden kurator sądowy w Rutherford. Ale nie było policjantów, nikt przed Jerem nie został gliniarzem.

Jego bracia byli pod wrażeniem, zaskoczył ich. Najmłodszy braciszek Jere został przyjęty do Akademii Policyjnej w Sea Girt.

„Najmilszy z braci Zahnów. Uroczy dzieciak, od razu było widać, że nie jest stworzony na gliniarza”.

„Dlaczego mu pozwolili? Wszyscy wiedzieliśmy, że to zły pomysł”.

„Jezu! To, że był duży i wydawał się silny, nie oznaczało, że będzie z niego dobry gliniarz”.

„A już na pewno nie w Red Rock”.

Wiadomość przekazał mu jego opiekun w komendzie. Mówił oschle, żeby Zahn się nie zorientował, jak bardzo mu współczuje. Biedny dzieciak, wyglądał, jakby dostał kopa w brzuch, nie wiadomo skąd i od kogo. Był całkowicie zaskoczony.

Jak mógł się tak zdziwić? Czy niczego nie podejrzewał? Niczego się nie spodziewał?

Na tym polegał problem z Zahnem (jeden z wielu). Jakby miał jakiś feler w mózgu, jakby brakowało mu czegoś, co nazywano synapsami – coś u niego nie stykało. Kiedy się do niego mówiło, wydawało się, że rozumie. Potakiwał i salutował: „Tak jest”. Ale nie łapał tego, więc po kilku dniach znów musiał wszystko spieprzyć, jak za pierwszym razem. Nie dało się go nie lubić, ale na ulicy nie można mu było ufać. Taki typ, który jak wyjmie broń i strzeli, może trafić we własną stopę. Lub co gorsza – w twoją.

Miał przed sobą jeszcze dwa tygodnie próbnej służby, ale wezwali go wcześniej, żeby go uprzedzić. Lepiej wcześniej niż później. Lepiej od razu niż tuż przed Gwiazdką.

Trzeba dać dzieciakowi czas, żeby poszukał sobie innej roboty albo wrócił do szkoły.

– Nie rozumiem, sir. Chce mi pan powiedzieć, sir, że...

– Nie przeszedłeś okresu próbnego, Jere. Nie możesz tu zostać.

Siedział tam i patrzył na funkcjonariusza, pod którego opieką znajdował się od lata. McGreavy był dla niego jak starszy brat, łączyły ich (jak naiwnie wierzył Jere) szczególna więź i zrozumienie, takie jak między młodszym i starszym bratem. „Jeśli coś spieprzysz, skopiemy ci tyłek, ale w gruncie rzeczy wszystko idzie dobrze. Staraj się, jak możesz”.

Coś więc poszło nie tak. Tamten nie zachęcał już Zahna, żeby się starał, jak może.

Czyli to na tym polegał okres próbny. Osądzano cię, oceniano, a jeśli

okazałeś się niezdatny, proszono, żebyś odszedł ze służby.

Wydawało się, że to rozumie, ale siedział bez ruchu. Mrugał powoli powiekami, usta zastygły mu w jakimś dziwnym półuśmiechu, wargi miał suche jak pergamin.

W okręgu Red Rock było wielu żalonych, starszych od niego policjantów patrolujących ulice. W średnim wieku, brzuchatych. Nigdy nie awansowali i tylko czekali, żeby przejść na emeryturę. Kiedy słyszeli strzały na ulicy, szybko odjeżdżali w przeciwnym kierunku. Ich radiostacje często się psuły, pisali niedbałe i niejasne raporty. W oczach żółtodziobów przyjętych do służby byli jak zombi. Objali się, próbując zachować pozory. Nikt z młodych nie chciał się do nich upodobnić.

Tak jak nie chcieli się upodobnić do większości weteranów, funkcjonariuszy w stopniu sierżanta lub wyższym, wyglądających starzej, niż podawały ich metryki. Niektórzy naprawdę grubi, o czerwonych nalanych twarzach, chociaż mieli dopiero czterdziestkę na karku. Chryste! Jere pomyślał, że obejdzie się bez tego munduru. Lepiej będzie mu w innej pracy, może zostanie nauczycielem – lubił dzieci, a one lubiły jego. Taka praca jest na pewno mniej stresująca niż zawód gliniarza.

Jego ojciec i bracia będą się za niego wstydzić. Będą mu współczuć jak niedołądze, za jakiego zawsze (potajemnie) go uważali, o czym nie wiedziała kochająca go matka. Nigdy by zresztą nie zaakceptowała takiej opinii. Jego siostra go uwielbiała, zawsze broniła jej przed braćmi. Nigdy w niego nie wątpiła – ale ona też będzie rozczarowana, może nawet się rozpłaczę. (Jeśli będą płakać, ona i mama, nie wytrzyma tego! Jezu! Wybiegnie z domu, trzaskając drzwiami). Bracia nie będą mu dokuczać i drażnić się z nim jak wtedy, kiedy mieszkali jeszcze pod jednym dachem, bo sprawa była zbyt poważna. „Słyszeliście, Jere wyleciał ze służby. Te sukinsyny go tam nie chcą; za kogo oni się, kurwa, uważają? To przez tę «akcję afirmatywną», muszą zatrudniać czarnych i meksykańców, kurwa! Mówię wam, Jere powinien ich pozwać”.

No i była jeszcze Kimba Jacyznek, z którą nie rozmawiał od czternastego października. Kimba dowie się o tym i zrobi się jej go żal. I może (nawet nie chciał o tym myśleć) stwierdzi: „Co za frajer! Wiedziałam, że tak będzie”.

Był szczęśliwy z Kimbą. Co za noce! Ona też wydawała się szczęśliwa. To chyba niemożliwe, żeby to wszystko tylko sobie wyobrażał. A może? Nie chciał w to wierzyć.

Chociaż to było takie nierealne. Córeczka Kimby na te noce zostawała u jej matki i Kimba za nią tęskniła; nie potrafiła zapomnieć, że jest mamą, a jednocześnie musiała być kobietą, dla Jerego Zahna, dla mężczyzny. Łączyły ich stosunki seksualne, ale także (może przede wszystkim) związek uczuciowy. Z seksem sobie radziła, z emocjami miała problemy.

Domyślał się, że wciela się w postać młodej dziewczyny, którą niegdyś była, zanim wyszła za mąż i urodziła dziecko, dziewczyny, która prawie dekadę temu

miała dwadzieścia dwa lata. A on nie miał wystarczającego doświadczenia z kobietami, żeby uwolnić ją od tej roli, nie znajdował właściwych słów.

Ogólnie wydawała się z nim szczęśliwa. Kiedy byli razem, miała dobry nastrój. Śmiała się, błyszczały jej oczy i zdawała się słuchać go uważnie, chociaż zwykle mówił bez przekonania.

Tylko trzy razy spędzili intymne chwile w jej mieszkaniu. Kochali się w jej łóżku, w jasnobrzoskwiniowej pościeli, obok stała lampa z różowym abażurem, podobna do lampy z sypialni Elise, siostry Jerego. W te noce jej mała córeczka była u babci, ale wszędzie widoczne były ślady obecności dziecka, Jere czuł więc, że powinien o nią spytać. Ale takie pytania zmusiłyby go do przyjęcia nowej roli, a perspektywa bycia kimś w rodzaju ojca dla nieznanego dziecka zbijała go z tropu. Czuł, że to dziecko, córka jakiegoś nieznanego mężczyzny, osądzałoby go, porównywałoby z ojcem (który niechętnie płacił alimenty, mieszkał w innym stanie, rzadko dzwonił i jeszcze rzadziej je odwiedzał). Kimba zachowywała się tak, jakby Jere podobał się jej w roli kochanka, przynajmniej miał takie wrażenie. Nie mówiła zbyt wiele, była cicha i skryta. Jere był spokojnym facetem, który żeby wypełnić ciszę, gdy ona milczała zbyt długo, zaczynał nerwowo gadać o jakichś bzdurach. W takich chwilach czuł się jak nietoperz, który musi wysyłać fale akustyczne, by ustalić swoje położenie względem innych nietoperzy i przedmiotów. Niektórzy ludzie identyfikują się właśnie w taki sposób – przez mówienie i potrzebę, by ktoś ich wysłuchał. Mówił więc, ale nie był pewien, czy jest słuchany, chociaż Kimba pochylała się w jego stronę i potakiwała z tym kobiecym skupieniem, które można włączać i wyłączać jak lampę.

Często pod wpływem impulsu myślał: „Kocham cię!”.

Ostatnim razem poprosiła go, by wyszedł o drugiej w nocy i nie zostawał do rana. Miała rozsądne wytłumaczenie, ale poczuł się zraniony i zaniepokojony. Następnego dnia zadzwonił, ale nie odebrała telefonu i nie oddzwoniła. A kolejnego dnia przez jakiś czas ją śledził; może niezupełnie, bo jechał w tę samą stronę co ona, na południe, ulicą Amsterdam, i tam, tuż przed sobą, zobaczył Kimbę jadącą swoim samochodem. Po kilku dniach wypatrzył ją w centrum handlowym – w pierwszej chwili chciał podejść, ale zrezygnował.

Znów zadzwonił i zostawił wiadomość. Nie oddzwoniła.

Potem, ku zdumieniu Jerego Zahna, Kimba Jacyznek złożyła na niego skargę na posterunku policji w Red Rock!

Zadzwoniła tam któregoś dnia i pewnego ranka sierżant zapytał go, czy zna tę kobietę. Twierdziła, że Jere ją prześladowuje.

Był zaszokowany. Nigdy w życiu nikogo nie prześladował! Możliwe, że dwa czy trzy razy przejechał obok bliźniaka na Irving, gdzie Kimba mieszkała z córką, z czystej ciekawości, żeby zobaczyć, czy stoi tam jej samochód lub czy są tam zaparkowane inne pojazdy, które mogły należeć do jej przyjaciół albo do byłego męża. Kiedy kończył służbę i jechał do swojego małego mieszkanka oddalonego o trzy kilometry od komisariatu, z przyzwyczajenia przejeżdżał

obok domu Kimby i zwałniał, żeby zerknąć w oświetlone okna i popatrzeć na cienie rysujące się na zasłonach. Przeczuwał, że Kimba może mieć kłopoty i będzie go potrzebować; wtedy zadzwoni na jego komórkę, a on zjawi się już po chwili przed jej drzwiami, bo przez przypadek był tuż obok.

Będą mieli co wspominać. „Tej nocy, kiedy zadzwoniłam. A ty się zjawiłeś”.

Sierżant powiedział, że mu wierzy, wszystko jest w porządku. W każdym razie nie potraktował tej skargi poważnie. Kobieta przez telefon brzmiała jak histeryczka, miała jakiś obcy akcent, sierżant nie zrozumiał połowy z tego, co mówiła. Jere upierał się, że nie miał zamiaru prześladować tej kobiety. Ani żadnej innej.

Możliwe, że znalazło się to w aktach Jerolda Zahna. Sierżant twierdził, że skargę oddalono, ale kto tam wie? Jere w głębi duszy cierpiał, że nie może już nikomu ufać.

Kochał Kimbę Jacyznek. Bardzo chciał ją kochać.

Od tego dnia postanowił już nigdy nie przejeżdżać obok jej domu przy ulicy Amsterdam. Ale zadzwonił do niej i zostawił wiadomość. Nie było w tym nic dziwnego ani niezgodnego z prawem, zachowywał się tak, jakby wcale nie złożyła skargi u sierżanta (a przynajmniej jakby on nic o tym nie wiedział). Nie odpowiedziała na jego telefon (a może telefony?). Zastanawiał się dlaczego. Na początku ich znajomości, kiedy zostawiał jej wiadomości w pracy lub domu, oddzwaniała po kilku godzinach, czasem nawet minutach. Co takiego stało się teraz? Dlaczego była nim rozczarowana? Czy chodziło o jego inteligencję? Osobowość? Ciało? Sposób, w jaki się z nią kochał? Czy o to chodziło? Może nie uprawiał miłości w normalny sposób? Może robił to niewłaściwie? Ale dlaczego? Czy miał nieświeży oddech? Odpychające ciało? (Obejrzał się w lustrze w łazience, oświetlony bezlitosnym górnym światłem. Nie znosił swoich blond włosów, brwi i rzęs. Jak u jakiegoś dziwnego albinosa, ale poza tym wygląda w porządku. Nie różni się od innych). Potem, kiedy w galerii handlowej Mill River zobaczył pchającą wózek Kimbę i jej małą córeczkę Edie, szybko się odwrócił i wyszedł z budynku, zanim zdążyła go dostrzec i zauważyć jego zdziwienie, strach i konsternację – i zanim dostarczył jej podstaw do ponownego oskarżenia.

A jednak miał złamane serce. Potem mówiono (przede wszystkim jego siostra Elise), że to nie policja z Pasgayne sprawiła mu zawód, ale ta kobieta.

W domu Zahnów „ta kobieta” nie miała imienia i nazwiska. Nikt nie mówił o niej Kimba Jacyznek.

Czyszczenie rewolweru traktował niemal jak obrządek religijny. Robił to co tydzień. Był dumny ze swojej służbowej broni, którą wydano funkcjonariuszowi policji Jeroldowi Zahnowi z policji w Pasgayne. Musiał ją zwrócić, tak jak odznakę. Nie wolno mu było nosić munduru. Mieli odebrać mu te wszystkie rzeczy. Rewolweru używał jedynie na strzelnicy. Nie był dobrym strzelcem – drżała mu ręka, musiał celować dłużej niż inni, ale instruktorzy w akademii go lubili. Nauczyciele w szkole też go lubili. Koledzy go lubili, zwłaszcza koledzy

z drużyny. Dziewczyny go lubiły, chociaż żadna go nie pokochała.

Jego matka mówiła: „Jere, skarbie, kiedy się uśmiechasz, w pokoju robi się jaśniej!

Chciałabym, żebyś więcej się uśmiechał, skarbie”.

„I to przeminie”.

(I to przeminie – znane powiedzenie jego dziadka, ojca matki, który umarł, kiedy Jere miał dziesięć lat. Jere nie rozumiał, co miały znaczyć te słowa. Domyślał się, że miały służyć pocieszeniu, ale chyba niezbyt radosnemu. Jakby ktoś, kto siedzi na wózku inwalidzkim, mówił, że i tak pada, więc nie można wyjść pograć w piłkę).

Ale teraz już go nie potrzebowali. Kimba i inni. Nikt, włączając w to te dziewczyny, do których nigdy nie zadzwonił, ponieważ z góry wiedział, że nie będą go chciały. I chłopaki, z którymi kumplował się w szkole; rzadko już ich widywał, pewnie nie mieli ochoty na spotkania z Jerem Zahnem albo o nim zapomnieli. I funkcjonariusze policji z Pasgayne. „Okres próbny oznacza, że albo przechodzisz dalej, albo wylatujesz na zbity pysk. Nie ma drugiej szansy dla przegranych”.

Jego wzrost był mylący. W liceum podnosił ciężary, był pilny, nawet nieco przesadnie, ale to się opłacało. I ten jego uśmiech – miły uśmiech Jerego Zahna. (Trzeba było się uśmiechać, żeby pokazać, jakim się jest równiacką, że się nie pęka i niczym nie gryzie. Trzeba było się uśmiechać, żeby pokazać, że ma się powody do uśmiechu). Młody Zahn, w przeciwieństwie do rówieśników, nigdy nie był sarkastyczny. Zawsze był szczery. Ale teraz nikt go nie potrzebował. Nikt – ani policja z Pasgayne, ani ta kobieta. Po prostu go nie chcieli. Niedobrze mu się robiło, jak o tym pomyślał. Chociaż było to proste jak drut. Tego samego dnia, w którym wpadł naprawić dach u rodziców, pojechał potem do monopolowego i kupił butelkę dżinu, która na etykiecie miała głowę paskudnego dzika. Nigdy wcześniej nie wypił nawet kropli dżinu, a teraz pił go duszkiem i starał się nie wymiotować – smakował jak nafta (a przynajmniej tak wyobrażał sobie smak nafty). Odznaka, z której był tak dumny, leżała na stole w kuchni. Żadnego listu, nie potrafił posługiwać się słowami. Zawsze wszystko pieprzył, kiedy chciał powiedzieć coś ważnego. Nie mógł zaufać słowom. Mdlilo go, to nie był dobry pomysł z tym pić, ale przecież miał powód, dla którego zaczął. Po raz ostatni czyścił rewolwer, wdychał zapach oliwy i niklowanej stali. Zamknął oczy, zdumiony, zagubiony, poza wszystkimi myślami i słowami; słyszał udręczony, przynaglający głos: „Do cholery, Zahn, zrób to. Po prostu to zrób. Jest sprawny i naładowany, nie spudłujesz z tak bliska. Kurwa, masz okazję zrobić coś porządnie, po raz pierwszy w swoim popierdolonym życiu”.

Bliźniacy

– Cholera.

Potknął się o stopień. Spieszył się, był zdyszany i nie spojrzął w dół, a jeśli nawet rzucił okiem, to nie zauważył przeszkody; widział jak przez mgłę, w uszach nieprzyjemnie szumiała mu krew, patrzyli na niego obcy ludzie, których twarze były niewyraźne – publiczność w studiu telewizyjnym? A te oślepiające światła?

– Jezu, pomóż mi...

Ruszył gwałtownie do przodu. Pocił się. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Na pewno nie u siebie.

Nie w swoim łóżku, ale w gościnnym pokoju, na niewygodnym pościeliu w domu swojego brata w Newark.

A to wszystko z powodu kłótni (jednej z nielicznych) z Klarindą. W końcu powiedział, w porządku, do cholery, wyprowadzi się, a Klarinda zgodziła się, że to chyba nie najgorsze rozwiązanie. Przynajmniej na jakiś czas.

Tak się wściekł! Jak łatwo było go zranić w ciągu ostatnich tygodni, jak wrażliwy stał się na każde słowo Klarindy, każde spojrzenie żony, którą kochał już może zbyt długo. Stał się za bardzo uzależniony od tej kobiety, coś takiego osłabia mężczyznę.

Był przeciwieństwem swojego brata Marusa, który wyznawał żelazną zasadę: nie wolno uzależniać się od kobiety.

Miał rozpalone czoło, dygotał, nie mógł się uspokoić; jego duma została poważnie zraniona oskarżeniami rzucanymi przez tę kobietę. Jeśli mu nie ufa, jeśli mu nie wierzy, jeśli chce, żeby się wyprowadził – zrobi to.

Klarinda popatrzyła na męża ze szczerym współczuciem i powiedziała: „Dobrze, Byron. Na tak długo, jak będziesz z nim związany. To niezły pomysł, przynajmniej na jakiś czas”.

Podniecony perspektywą walki nie potrafił zasnąć.

Z obawy przed publicznym niepowodzeniem i narażeniem się na upokorzenie nie mógł pozwolić sobie na sen.

Wspominał, jak w gorącym, ciemnym łonie matki walczył o pożywienie. Chociaż przede wszystkim walczył, żeby nie zostać pożartym przez swojego większego brata. Zdarza się bowiem, i to częściej, niż sądzą inne bliźnięta, którym udało się przeżyć, że większy płód wysysa życie z mniejszego; wchłania go i przekształca w jakiś zagadkowy guz – gdzieś w klatce piersiowej, brzuchu lub czaszce.

Takie prenatalne wspomnienia tkwiły w nim głęboko, podobne do instynktu udomowionego zwierzęcia, które nigdy nie widziało prerii, ale wie, jak

podnieść się ostrożnie na tylnych nogach, a potem na przednich, czujnie rozglądając się na boki, bo znajduje się na równinie, terenie doskonałym do polowań dla drapieżników.

Są zwierzęta, na które wszędzie czyhają drapieżniki, są i takie, które wszędzie znajdują ofiary.

– Czas na zintensyfikowanie naszych działań, bracie.

– Co takiego? Zintensyfikowanie? O co ci chodzi?

Obawiał się nowego planu Marusa.

Jako sprzymierzeniec swojego brata, Byron Mudrick wreszcie doczekał się zainteresowania mediów, które do tej pory nie poświęcały mu zbyt wiele uwagi. Wywiady w telewizji i radiu, artykuł o obu braciach w „Essence” (*Krucjata braci Mudricków z New Jersey*), zdumiewające, pełne szacunku relacje w „New York Timesie”, „Washington Post”, „Star-Ledger” z Newark, „Timesie” z Trenton, „Nation”, „Mother Jones” oraz w „czarnych” publikacjach.

A jednak mimo tego początkowego, przyprawiającego o zawrót głowy sukcesu w drugim tygodniu grudnia stało się jasne, że fascynacja Krucjata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye słabnie. Wzrost zainteresowania tą sprawą w rejonie New Jersey i Nowego Jorku przyniósł Duszpasterstwu Opieki tysiące dolarów datków oraz obietnice kolejnych, ale te nie napływały już tak szybko, kapryśna opinia publiczna zwróciła się bowiem ku innym nagłaśnianym przez media oburzającym wydarzeniom związanym z kwestiami rasowymi.

Ten marsz Camden Avenue w kierunku mostu Pitcairn i ratusza, który o mało nie skończył się katastrofą... Ledwie udało się zapobiec panice. Jak na ironię uratowało ich ściągnięcie dużych sił policyjnych. Gdyby było mniej gliniarzy, tłum wylegający z kościoła wyroiłby się na Camden jak dzika bestia pozbawiona mózgu; starsi i słabsi zostaliby stratowani, splądrowano by sklepy, podpalono samochody i budynki, a Krucjata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye stałaby się odpowiedzialna za zniszczenie dzielnicy, w której mieszkali popierający ją ludzie. Wielebny Mudrick protestował przed kamerami telewizyjnymi przeciwko „nazistowsko-rasistowskiemu państwu policyjnemu”, które stłumiło marsz, zanim jeszcze się zaczął, ale Byron Mudrick odetchnął z ulgą. Tylko kilkoro uczestników zostało rannych, utarczki zduszono w zarodku. Policja aresztowała kilka osób, nie nadużyła siły i z tego, co wiedział Byron, nikogo nie zastrzeliła.

Wewnątrz kościoła słyszał odgłosy strzałów dobiegające z ulicy. Podobnie jak biali dziennikarze uwięzieni w pierwszych kilku rzędach ławek był przerażony nagłym wybuchem wściekłości, jaki wywołał jego brat. Marus zachował się jak nieodpowiedzialny chłopiec, który z zimną krwią rzuca zapaloną zapałkę na wysuszone drewno.

Po wyprowadzeniu tłumu na ulicę i skierowaniu go w stronę ratusza Marus się wycofał. Wyszedł z kościoła tylnym wyjściem razem z Ednettą Frye i jej córką i schronił się w pobliskim domu wielebnego Denisa.

Byron nie miał pojęcia, że Marus wygłosi z ambony takie słowa i skłoni

swoich zwolenników do marszu za rzekę w poszukiwaniu sprawiedliwości. Był zaszokowany i przerażony. Jego brat był zawsze nieprzewidywalny, kierował się instynktem, lubił prowokować i wzbudzać zainteresowanie. Ale Byron nie mógł mu wybaczyć, że nie zaufał i nie zwierzył się własnemu bratu.

„Jezusie! Mój brat jest szalony.

Nieostrożny, podły...

A ja stracę uprawnienia adwokackie”.

Później Marus powiedział mu, wzruszając ramionami, że nie skonsultował się z nim, ponieważ wiedział, że brat odradziłby mu taką zaimprovizowaną demonstrację. Rozzłoszczony Byron odpowiedział:

– Nie mylisz się, Marus. Masz rację.

– Jesteś konserwatystą, bracie. Ja jestem radykałem.

– Jesteś chrześcijaninem. Nie możesz zdradzać podstawowych zasad naszej wiary.

– Bracie, chrześcijanie bywają konserwatywni i radykalni. Jezus Chrystus raczej nie był konserwatystą. Umarł za swoje radykalne przekonania i my musimy go naśladować.

– Ty nie chcesz umierać za swoje przekonania, Marus, nie bądź śmieszny. Chcesz być jak King? Jak Malcom X? To nie w twoim stylu.

Chciał dodać pogardliwym tonem młodszego brata: „Wiara! Jakbyś w ogóle w coś wierzył”.

Tymczasem Marus, masując swój pokaźny brzuch, stwierdził z zadowoleniem:

– Bardzo się mylisz, bracie. Kiedy Marus Mudrick wychodzi na ulice, kiedy staje na ambonie, wystawia się na Bóg wie jakie niebezpieczeństwo. To Bóg decyduje, co się ze mną stanie. Taka jest prawda o moim życiu, tłumaczyłem ci to już wiele razy.

Byron roześmiał się nerwowo. Nie znosił, kiedy jego brat przybierał ten kaznodziejski ton. Był tak pełen hipokryzji! A jednak Byron nigdy nie potrafił pozbyć się wrażenia, że na swój sposób Marus wierzy w to, co mówi, kiedy wypowiada takie słowa.

– Jestem chrześcijaninem, to moje wyznanie. Jestem chrześcijańskim pastorem, który daje świadectwo Jezusa Chrystusa. Oto, kim jestem.

Takimi stwierdzeniami Marus Mudrick chciał się określić jako czarny chrześcijanin, na podobieństwo Martina Luthera Kinga i Jessego Jacksona, a w przeciwieństwie do wizjonera Malcolma X i współcześnie działającego Louisa Farrakhana, kapłanów elitarniej czarnej religii.

(Jedynym poważnym konkurentem Marusa w walce o prawa czarnych był islamski przywódca znany jako Czarny Książę – rzekomo były więzień, który przybrał imię i nazwisko Leopaldo Quarrquan. Miał biuro w Baltimore, ale często odwiedzał New Jersey i Nowy Jork, które Marus uważał za swoje wyłączne terytorium. Byron ostrzegał brata, by nie wszczynał sporu z Quarrquanem, bo może się to dla niego źle skończyć. Królestwo Islamu nie

przestrzegało, nawet formalnie, zasad chrześcijańskiego miłosierdzia. Mówiono, że Leopaldo stał za zabójstwami swoich rywali w Królestwie Islamu. Wiązano go też ze śmiercią Malcolma X, którego mordercy pozostali niewykryci. Mimo to na swój nierozważny sposób Marus Mudrick oskarżał rywala o fałsz i dwulicowość wobec czarnej społeczności i zdradę chrześcijaństwa. W wywiadach ośmielał się wskazywać, że w czasie zabójstwa Malcolma X w Harlemie dwudziestego pierwszego lutego 1965 roku przywódca Królestwa Islamu Leopaldo Quarrquan mieszkał w Newark, jedynie o czterdzieści pięć minut jazdy samochodem od miejsca zamachu).

Byron powiedział z rozdrażnieniem:

– Jak możesz nazywać mnie konserwatystą? Przez całe dorosłe życie walczę na sali sądowej o prawa czarnych! Jestem prawnikiem i do pewnego stopnia krępuje mnie prawo. Wierzę w rewolucję, ale prawną. Nie wierzę, że warto ryzykować życie niewinnych, naiwnych, ufających nam ludzi. Podburzać ich do marszu na ratusz! Co by się stało, gdyby policja wpadła w panikę i zaczęła ich bić i do nich strzelać? Co by się stało, gdyby zginęli ludzie?

Marus zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. Zdjął okulary i u nasady nosa widać było odcisnięty ślad po oprawkach. Odezwał się z namysłem, jakby chciał powiedzieć bratu coś w zaufaniu:

– Rewolucja wymaga ofiar. W każdej chwili los może wskazać na jednego z nas.

– Jeśli chcesz zostać męczennikiem, to sam o tym zdecyduj. Martin Luther King tak zrobił. Ale nie masz prawa decydować za innych.

– Nie rozumiesz, bracie. Jestem przywódcą. Ludzie zwracają się do mnie po nadzieję i ja im ją daję. Kruczata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye jest tylko jednym z rozdziałów w heroicznym życiu Marusa Mudricka. Być może ważnym rozdziałem, a może i nie. Nie wiemy jeszcze, jak daleko nas to zaprowadzi.

– Jak to nas? A co z dziewczyną?

– Jest uosobieniem tego, jak bezczeszczą i upokarzają czarnych. Ta dziewczyna to idealna czarna ofiara.

– Cóż, jeśli wkrótce nie dostarczy nam więcej informacji i nie opíše dokładniej swoich napastników, niewiele będziemy w stanie zrobić dla tej idealnej czarnej ofiary. Jej matka popełniła straszny błąd, zabierając ją ze szpitala przed dokończeniem badań. Nie udało się potwierdzić gwałtu. – Byron powiedział to pogardliwie, jakby chciał dać do zrozumienia: „Gwałt! Nie było żadnego gwałtu i dobrze o tym wiemy”. Mówił gorączkowo i czekał, żeby Marus mu się sprzeciwił.

Ale brat jedynie odparł sucho, krzywiąc się, jakby bolał go brzuch:

– Nic, co zrobiły, nie było błędem. Działy instynktownie. To niesprawiedliwe, że je osądzasz, bracie. Dyplom prawnika zawrócił ci w głowie.

– Powinieneś pozwolić mi je przesłuchać, zanim zająłeś się tą sprawą, Marus. Lub chociaż zgodzić się, żebym był przy twojej pierwszej rozmowie z nimi.

– A to dlaczego? Wystraszyłybyś je, braciszku, tym swoim prawniczym żargonem i czepianiem się słów. Mao od razu doceniłby Ednetę i Sybillę, byłyby nimi zachwycony – prawdziwe wieśniaczki, doskonały materiał na rewolucjonistki.

– Mao? Mówisz o Mao?!

– Mao mówił prosto i zrozumiale, bracie. Odwaga w walce, niestraszne są nam ofiary ani zmęczenie, nie wolno ustawać w walce...

Byron roześmiał się z niedowierzaniem.

– Cytujesz przewodniczącego Mao! W swoim trzyczęściowym garniturze i butach na podwyższonych obcasach! Pierdol się, bracie.

Wyprowadził się z domu, ryzykował, że po dwudziestu latach rozpadnie się jego małżeństwo – dla czegoś takiego? Nagle ogarnęła go wściekłość i miał ochotę walnąć brata w twarz.

Ale w dzieciństwie to Marus uderzał pierwszy. I bił mocno.

Bolesne ciosy, szczypanie i kopniaki.

Byron chwycił swoją wysłużoną skórzaną teczkę i ruszył do drzwi.

Marus rzucił za nim szyderczym, melodyjnym głosem kaznodziei:

– Niech cię Bóg błogosławi, bracie.

Bezpieczne schronienie

Powiedział im, że tu nie jest bezpiecznie.

W wynajętym zniszczonym szeregowym domu przy Trzeciej Ulicy. W piętrowym bliźniaku, gdzie zamieszkała z Anisem Schuttem tuż przed tą aferą w klinice Polk, po której musiała odejść z pracy i zwrócić pieniądze, chociaż ich nie ukradła (Sybilla była wówczas malutka). „Te szczęśliwe czasy. O Boże”.

W Red Rock, w dzielnicy, w której mieszkała przez całe życie, też nie było bezpiecznie. Tam, gdzie mieszkali jej przyjaciele i rodzina. I Anis Schutt.

Wielebny wyjaśnił ponuro: chodzą słuchy, że policja z Pasgayne zamierza zlikwidować ją i jej córkę.

Możliwe, że chcą to zrobić przed świętami Bożego Narodzenia. Jeśli kobiety pozostaną w swoim domu, będą jak żywe tarcze – przyjedzie snajper z jednostki SWAT, po cywilnemu, i nawet się nie zorientują, kiedy to się stanie.

Ednetta była przerażona. Sybilla powiedziała zrzędlwym głosem:

– Cholera, mamó! Więc gdzie będziemy mieszkać?

Na kilka dni zatrzymały się u siostry Ednetty, Cheryl, która mieszkała ze swoimi dziećmi. Było to męczące dla dorosłych, ale cudowne dla Sybilli i Martine – mogły spać w jednym łóżku i oglądać razem telewizję. Ale Martine musiała codziennie chodzić do szkoły, a wtedy Sybilla zostawała sama, smutna i nadąsana. Ednetta nie słuchała poleceń Marusa Mudricka i wymykała się do domku przy Trzeciej Ulicy, gdzie mieszkał Anis Schutt.

Wielebny powiedział, że bezwzględnie musi mieć możliwość skontaktowania się z nią w każdej chwili. Jeśli coś się wydarzy, będzie musiał natychmiast z nią porozmawiać.

– Wychodzi na to, że bez przerwy mówi nam, co mamy robić – skarżyła się siostrze Ednetta.

Cheryl odparła uszczypliwie:

– Sama do niego poszłaś, Netta.

– Sostro Ednetto? Proszę zajrzeć do dzisiejszej gazety.

W kuchni, wśród piszczących dzieciaków, Ednetta osłoniła dłonią słuchawkę i starała się wyjaśnić wielebnemu, że u jej siostry nie ma żadnych gazet, na co Mudrick odpowiedział krótko:

– Więc kup ją. Zadzwoń za dziesięć minut.

Cheryl wysłała jednego z chłopców po gazetę.

Na Trzecią Ulicę pod numer 939 „Pasgayne Journal” dostarczano codziennie rano, prenumeratę opłacał wielebny Mudrick. Od czasu historii z Sybillą i artykułów w lokalnej prasie Ednetta po raz pierwszy w życiu zaczęła czytać

gazety (a raczej przeglądać je pobieżnie).

Teraz gazety leżały na podeście jej starego domu lub gniły na mokrej ziemi. Anis rzadko je zabierała, chociaż kiedy był w mieszkaniu, oglądał w telewizji lokalne wiadomości, po to, jak twierdził, żeby dowiedzieć się, czy ktoś, kogo znał, został zabity lub aresztowany. Widząc fotografię znajomego nieboszczyka, Anis mawiał z bolesnym uśmiechem: „Skończyło się, brachu!”.

Kiedy dokładnie po dziesięciu minutach wielebny znów zadzwonił, zdenerwowana Ednetta uważnie wpatrywała się w tekst na pierwszej stronie „Pascayne Journal”. Te oczy! Miała wrażenie, że w ciągu ostatnich tygodni jej wzrok się pogorszył. I lewe ucho – to, w które walnął ją Anis; szumiało jej w nim i słyszała na nie nie najlepiej.

Cheryl przegoniła dzieciaki z kuchni, żeby Ednetta mogła usłyszeć, co ma do powiedzenia wielebny. Ale w domu i tak panował hałas – ten cholerny telewizor ryczał na cały regulator!

I gdzie jest Sybilla? (Ednetta bała się, czy córka nie wymknęła się z domu, jak przed kilkoma dniami, kiedy Martine skłamała, że kuzynka poszła wcześniej spać).

Wielebny powiedział Ednetcie, żeby sprawdziła na siódmej stronie. Sprawdziła. „Jak ustaliło śledztwo, młody policjant poniósł śmierć w wyniku wypadku z bronią”. O co tu chodzi?

Niewyraźna fotografia młodego mężczyzny o chłopięcej twarzy, jasnych włosach, mocno zarysowanej szczęce, nieśmiałym, przyjaznym uśmiechem, z dołeczkami w policzkach.

– Wielebny? Czego mam szukać...

– To on, Ednetto. Młody policjant...

Ednetta była zdezorientowana.

– Kto... kto to jest?

Podpis pod fotografią głosił: „Jerold M. Zahn, lat 27, Departament Policji w Pascayne”.

Czy to ktoś, kogo Ednetta powinna była znać? Nie znosiła, kiedy wielebny mówił do niej w ten sposób; i do Sybilli też; jakby były tak głupie, jakby musiał im wszystko wyjaśniać.

Wielebny Mudrick powiedział ponurym tonem:

– Siostró Ednetto, to jest ten gliniarz z żółtymi włosami, który zgwałcił twoją córkę.

Ednetta była tak zdumiona, że przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

– Och... nie... Wielebny, to nie on.

– Zawołaj Sybillę. Niech ona zdecyduje.

– Wielebny, to nie on. To jakiś biedak, wygląda na to, że sam się zastrzelił, z własnej broni...

– To nie jest żaden biedak, siostró Ednetto. To jest ten gliniarz z „żółtymi włosami”, który zgwałcił twoją córkę; opisała go najlepiej, jak mogła, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Teraz mamy jego zdjęcie i jego nazwisko.

Jerold Zahn.

Ednetta gwałtownie pocierała ramię. Bolały ją stawy, miała spuchnięte palce. Jej babka Pearline ostrzegała ją, mówiła o cierpieniu – które właśnie teraz spadło na Ednetę.

Poprzedniego wieczoru wyplakiwała się Cheryl: „Gdyby dało się tego wszystkiego uniknąć! To wszystko wina tej cholernej dziewczyny”.

– Zawołaj swoją córkę do telefonu. Proszę.

Ednetta chciała się sprzeciwić, ale nie śmiała. Nawet przez telefon wielebny Mudrick rzucał na nią potężny urok, pod którego wpływem siły Ednetty słabły.

Poszła po córkę do pokoju Martine. Chociaż Sybilla wcześniej skarżyła się na szkołę, nie lubiła odrabiać lekcji, uczyć się i pisać klasówek, to teraz, kiedy była czasowo zwolniona z zajęć (zalecenie doktora Clevelanda), mówiła, że brakuje jej szkoły i przyjaciół. Sypiała w ubraniu, wyglądała niechlujnie, a włosy sterczały jej na głowie jak u Buszmenki. Kiedy weszła do kuchni odebrać telefon,ssała kciuk.

Ednetta energicznym ruchem wyciągnęła jej palec z ust.

– Ciszej, dziewczyno. Wielebny chce z tobą rozmawiać.

Sybilla skrzywiła się i chciała się cofnąć, ale Ednetta wepchnęła jej słuchawkę do ręki.

Dziewczyna wzięła słuchawkę i przycisnęła ją do ucha. Miała nadąsaną minę. Cheryl zdradziła Ednetcie plotkę, w którą ta nie chciała uwierzyć, że Jaycee Handler był na zwolnieniu warunkowym; wrócił do Red Rock i mówił, że chce się zobaczyć z Sybillą Frye.

Sybilla prawie się nie odzywała, kiedy wielebny Mudrick mówił do niej szybko, bowiem wielebny Mudrick rzadko dopuszczał innych do głosu. Z góry znał wszystkie odpowiedzi, więc nie było potrzeby, aby wypowiadał się ktoś inny. Był podobny do niektórych jej nauczycieli, z tym że nauczyciele musieli kończyć, gdy zadźwięczał dzwonek na przerwę, podczas gdy wielebnemu nikt nie ośmielił się przerwać.

Zrobiła to, co kazał jej wielebny. Obejrzała fotografię na stronie siódmej w „Pascayne Journal”.

„Jak ustaliło śledztwo, młody policjant poniósł śmierć w wyniku wypadku z bronią”.

Sybilla przyjrzała się twarzy młodego mężczyzny. Biały facet, właściwie chłopak, przystojny. Czy to był jakiś starszy uczeń z jej szkoły, jeden z tych nielicznych białych gości? Niemożliwe, jeśli miał dwadzieścia siedem lat.

Wielebny mówił:

– Siostró Sybillo? Popęłnił samobójstwo dręczony wyrzutami sumienia za to, co ci zrobił. Teraz możesz wyznać prawdę.

Sybilla przypatrywała się fotografii. Wsadziła kciuk do ust i znów zaczęła go

ssać.

– To jest ten gliniarz z żółtymi włosami, którego widziałas, Sybillo. Ten, który był trochę młodszy od pozostałych. Nie spiesz się, obejrzyj dobrze to zdjęcie.

Sybilla zadygotała, jakby miała się roześmiać. Jej niemądre serce biło tak szybko.

– Nie, wielebny, to nie on. Nie widziałam ich dokładnie. Założyli mi na głowę ten ręcznik... nie widziałam... miałam związane oczy. – Sybilla się rozkaszała.

Stojąca obok Ednetta zaczęła gwałtownie potrząsać głową. „Nie, nie!”. Ale Sybilla nie zwracała na nią uwagi.

Marus Mudrick mówił ponuro, ale z mocą. Brzmiał tak, jakby był w kuchni razem z Sybillą. Prawie czuła jego ciężką, ciepłą dłoń na ramieniu. Często ją tam kładł, pewnie odruchowo.

– Spróbuj jeszcze raz, Sybillo. To jest twój glina z żółtymi włosami. Widać, że jest blondynem, a każdy rodzaj blond włosów mógł w takiej sytuacji wydawać ci się żółty. Był stosunkowo młody, około trzydziestki, jeden z pięciu, sześciu lub siedmiu białych gliniarzy, którzy cię zgwałcili. Widzisz, Jerold Zahn zabił się z poczucia winy i wstydu, dlatego że cię zgwałcił. Zabił się, ponieważ wiedział, że Kruczata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye wkrótce go zidentyfikuje... Sybillo? Jesteś tam?

Sybilla mruknęła coś ledwie słyszalnie.

– Natychmiast udamy się do komendy głównej policji w Pascaynie i zidentyfikujemy Jerolda Zahna.

Sybilla wpatrywała się w fotografię wydrukowaną w gazecie. Biały chłopak, wyglądał na miłego, nawet jeśli był jakimś tam gliną. Sybilla знаła wielu różnych białych, najwięcej mieszkańców o jasnym odcieniu skóry z Karaibów, trudno było powiedzieć, czy byli z Portoryko, Jamajki, czy Bóg wie skąd. Ten chłopak ze swoimi blond włosami wcale ich nie przypominał. Już prędzej starszych jasnoskórych chłopców ze szkoły, patrzących na Sybillę w taki sposób, jakby im się podobała. Nie byli niemili.

Niektórzy z nich mieszkali w okolicach Red Rock. Chciała, żeby to było jasne. W trakcie wywiadów, podczas których siedziała w milczeniu, a wielebny Mudrick odpowiadał na pytania, czasami chciała się wtrącić i wyjaśnić, że co prawda skrzywdziły ją białe gliny, ale ona nie nienawidzi wszystkich białych ludzi. Wcale nie.

Byli tacy nauczyciele...

A ten chłopak, wygląda na to, że zabił się z własnej broni. To takie smutne.

– Nie, to nie on, wielebny. Ten, który to zrobił, był chyba starszy...

– Sybillo, przyjrzyj się jeszcze raz. Nie spiesz się.

– To nie on, wielebny.

Jej głos zaczął drżeć. Ednetta nie mogła się uspokoić, chodziła tam i z powrotem po kuchni i uderzała się lekko pięściami po udach. Wykrzywioną

twarz pokrywała się zmarszczek. Sybilla nie znosiła, kiedy matka tak wyglądała. „Nie, nie, nie, nie, nie”.

Sybilla słabym głosem powiedziała, że nie wydaje się jej, żeby to był ten człowiek.

– Mówiłam już, wielbny, że jest młodszy. Ten gliniarz z żółtymi włosami, którego widziałam, był starszy.

Wielebny Mudrick przerwał jej. Mówił, jak dobrze się składa, że właśnie teraz jeden z jej gwałcicieli zabił się ze strachu, z obawy, że zostanie zdemaskowany przez Krucjatę. Bał się, że zostanie schwytany, aresztowany i wystawiony pod pręgierz opinii publicznej. Sybilla odparła, że to byłoby dobre, ale to nie on. Wielebny nalegał, mówił, że przecież policjant sam się zabił.

– Nie mógł znieść poczucia winy. Nawet on, biały nazistowsko-faszystowski glina.

Sybilla uparcie kręciła głową.

Ednetta stanęła tuż przed nią i spojrzała jej w twarz. Lekko zezujące lewe oko córki unikało natarczywego spojrzenia matki, a prawe napełniło się łzami.

Wielebny mówił powoli, jak ktoś, kto zwraca się do osoby opóźnionej w rozwoju.

– Tak się składa, że to funkcjonariusz policji z Pascayne, który sam się zabił, Sybillo. Nie będziemy mogli przebierać w takich funkcjonariuszach. Czy jest tam twoja matka? Chcę z nią porozmawiać.

Sybilla szepnęła szybko:

– Nie! Mamy tu nie ma.

– To rozstrzygający moment, Sybillo. To nasz człowiek: dar i błogosławieństwo od Jezusa. Ludzie zaczynają mówić, nawet w Pascayne, nawet studenci prawa, których uczy mój brat, i inni, z różnych uczelni w Newark, że być może skłamałaś, Sybillo, wymyśliłaś sobie to porwanie i gwałt. Ponieważ nie rozpoznałaś dotychczas ani jednego białego gliniarza. Dlatego teraz, kiedy jeden z nich został ci okazany i masz mnóstwo czasu, żeby się zastanowić i przypomnieć go sobie, musisz wykorzystać tę szansę.

Sybilla ssała kciuk i oddychała szybko.

– Czy wiesz, co to jest krzywoprzysięstwo, Sybillo? Składanie fałszywych zeznań na policji? Jeśli skłamałaś, jeśli nie było żadnego gwałtu i żadnych białych glin, policja z Pascayne aresztuje cię. Prokurator okręgowy potraktuje cię jak pełnoletnią i będziesz sądzona jak osoba dorosła. – Wielebny Mudrick urwał na chwilę. – Chcesz przyjrzeć się tej fotografii jeszcze raz? Jerold Zahn, lat dwadzieścia siedem. To zrozumiałe, że pomyliłaś jasnoblonde włosy z żółtymi. W furgonetce panował półmrok.

Sybilla pociągnęła nosem i powiedziała ze złością:

– W porządku, wielbny. To on.

I szybko, zanim wielebny Mudrick zdążył coś odpowiedzieć, odłożyła słuchawkę. Pewnie wybiegłaby na oślep z mieszkania, na pełen przeciągów

korytarz, potknęłyby się i spadła ze schodów, ale matka chwyciła ją i potrząsnęła mocno.

– Dziewczyno, coś ty, do cholery, zrobiła? Matka tego gliniarza i tak podle się czuje, a teraz...

Sybilla wyrwała rękę z jej dłoni. Była nadąsana, ale z jakąś dziką satysfakcją powiedziała:

– Pierdol się, mamó. To całe gówno to twoja wina.

Wypadła z kuchni i pobiegła w głąb mieszkania. Ednetta była zbyt wyczerpana, by iść za nią. Zresztą nie miała ochoty odpowiadać na wścibskie pytania swojej siostry. Oszołomiona i bezradna, jak ofiara osaczona przez kobrę, wpatrywała się w telefon, czekając, kiedy znów zadzwoni.

Żółte włosy

– Tak.

I ponownie:

– Tak, to on.

– Jest pani pewna, panno Frye? To ten funkcjonariusz? Jerold Zahn?

Zgodnie z instrukcjami Byrona Mudricka odpowiadała spokojnie i bez wahania. Nie okazywała emocji, nie była nadąsana, zła, obrażona, mściwa, niespokojna ani przestraszona. Nie widać było po niej niepewności ani obawy. Oczy miała przymknięte.

– Ta młoda dama nie mogła znać nazwiska tego funkcjonariusza. Nie ma powodu o to pytać. – Byron Mudrick mówił oschle, nieco ironicznie.

Byli na trzecim piętrze ratusza w Pascajnie, w departamencie do spraw rodziny. Tego ranka, czternastego grudnia 1987 roku, Sybilla Frye siedziała za stołem w pokoju przesłuchań i składała oficjalne zeznanie przed funkcjonariuszką policji z wydziału do spraw nieletnich w Pascajnie. Zidentyfikowała żółtowłosego gliniarza, który ją zgwałcił i brał udział w pobiciu czwartego października 1987 roku.

Sybilla nie była pewna, gdzie doszło do napaści. Byron Mudrick uczulił ją, by mówiła, że najprawdopodobniej trzymano ją w jakimś pojeździe przypominającym furgonetkę policyjną. Pojazd nie przemieszczał się daleko, przez większość czasu stał gdzieś zaparkowany.

(Byron Mudrick wyjaśnił Sybilli, że chodzi o ustalenie jurysdykcji. „W przeciwnym wypadku będą mogli twierdzić, że przestępstwa nie dokonano w tym hrabstwie, i zwalić winę na kogo innego”).

Oprócz Byrona i Sybilli w pokoju byli jeszcze jej matka Ednetta i wielebny Marus Mudrick. Siedzieli z tyłu, pod ścianą pomieszczenia bez okien.

Byron Mudrick, który był doradcą prawnym Sybilli, dużo lepiej wpływał na jej samopoczucie niż wielebny Mudrick, który (jak jej się wydawało) nigdy na nią nie patrzył. Byron mówił łagodnie, uśmiechał się tak, jak powinien to robić jej prawdziwy tata, gdyby kiedykolwiek go znała. (Anis Schutt, jej ojczym, miał uśmiech twardy jak stal. Nigdy nie miała ochoty patrzeć na ten grymas, w którym odsłaniał żółte zęby).

Sybilla była taka wdzięczna Byronowi Mudrickowi! Nalegał, aby jego „młodociana klientka” spotkała się z funkcjonariuszami policji i prokuratorem okręgowym hrabstwa Passaic w biurze ratusza, a nie w komendzie głównej policji, która znajdowała się po drugiej stronie ulicy, żeby uniknąć koszmarnego scenariusza – przecież ofiara gwałtu może przypadkowo natknąć się na innych, niezidentyfikowanych jeszcze napastników.

– To może spowodować wstrząs, nie wolno nam do tego dopuścić –

powiedział ponuro Byron Mudrick. – Moja klientka i tak przeżyła traumę, która pozostawi nieodwracalne skutki.

Zresztą w ratuszu, w departamencie do spraw rodziny, panowała dużo przyjaźniejsza atmosfera niż w komendzie policji. Ednetta Frye przychodziła do tego biura wiele razy w ciągu ostatnich kilku lat i – o ile pamiętała – co najmniej raz przyprowadziła tu ze sobą Sybillę.

W ratuszu nie będą tak wrogo do nich nastawieni jak w komendzie. Zostanie im oszczędzone wejście na terytorium wroga, jak określił to wielebny Mudrick.

Na spotkaniu byli przedstawiciele departamentu – same kobiety – w tym jedna pracownica opieki społecznej, która odwiedziła Ednettę kilka tygodni temu, a której Ednetta kazała się wynosić.

Razem z Sybillą Frye i Byronem Mudrickiem przy stole siedzieli: funkcjonariusz policji z wydziału do spraw nieletnich, kapitan z komendy w Red Rock i prokurator okręgowy hrabstwa Passaic. Reszta urzędników, w tym kilkoro zastępców prokuratora okręgowego, siedziała na krzesłach pod ścianami.

Spotkanie było pełne emocji! Sybilla czuła fale niechęci płynące od Wroga. Chociaż Byron uprzedził ją i jej matkę, aby się tego spodziewały, było to niepokojące. Sybilla nie przywykła do przebywania w miejscach, gdzie jej nie lubili – czy ci ludzie mieli jakieś szczególne powody, by jej nie znosić?

Obaj, Byron i wielebny, ostrzegli ją, by nie uśmiechała się do Wroga i nie nawiązywała z nim kontaktu wzrokowego. Tego ranka Ednetta była tak zdenerwowana, że bez przerwy biegała do łazienki i wymiotowała.

Sybilla mgliście zdawała sobie sprawę, że to spotkanie zostało poprzedzone długimi godzinami negocjacji. Byron Mudrick, kapitan policji z Red Rock, urzędnicy z komendy głównej, prokurator okręgowy i jego asystenci przeprowadzili niezliczoną ilość rozmów telefonicznych. Kiedy Byron poinformował ich, że jego klientka zidentyfikowała jednego z gwałcicieli i chce się spotkać z władzami, by to potwierdzić, Wróg przystał na to z ochotą.

Uzgodniono, że Byron Mudrick przyprowadzi swoją klientkę do ratusza, gdzie ta zidentyfikuje jednego z rzekomych gwałcicieli i złoży krótkie oficjalne oświadczenie, ale nic poza tym.

Nie zostanie przesłuchana przez funkcjonariusza z wydziału do spraw nieletnich. Nie tym razem.

Byron Mudrick nalegał na to, twierdząc, że Sybilla Frye nie doszła jeszcze w pełni do siebie po wstrząsie, jaki przeżyła. Narażanie piętnastolatki na dodatkową traumę byłoby oburzające.

Sybilla ubrana była w białą jedwabną bluzkę z długimi rękawami, ciemną plisowaną spódniczkę, czarne wełniane rajstopy i pantofle. We wgłębieniu na szyi lśnił mały złoty krzyżyk.

Miała wyszczotkowane włosy zaplecione w warkoczyki, spięte plastikowymi spinkami. Można było ją wziąć za uczennicę podstawówki, a nie liceum. Migdałowe oczy miała spuszczone, ale jej spojrzenie było czujne. Jedynym

widocznym śladem po napaści była mała biała blizna w kształcie przecinka na lewej brwi.

Żadnych kolczyków, bransoletek ani pierścionków. Paznokcie krótko obcięte i niepolakierowane, jak u dziecka.

– Panno Frye? Przyjrzy się im pani i powie, czy to ten sam mężczyzna...

Pokazali Sybilli kilka fotografii młodego, jasnowłosego mężczyzny. Na żadnej z nich młody mężczyzna się nie uśmiechał i na jego policzkach nie widać było dołeczków.

To mógł być Jerold Zahn albo ktoś inny. Sybilla wyczuła podstęp.

– Moja klientka mówi, że nie rozpoznaje tego mężczyzny. Być może jest to Jerold Zahn lub ktoś inny, ale nie rozpoznaje tej fotografii. – Byron urwał. Głosem pełnym sarkazmu powiedział, że jego klientka zdołała tylko rzucić okiem na gwałciciela. – Warunki temu nie sprzyjały, cierpiała i była przerażona.

Sybilla wskazała na oryginalną fotografię, tę, która ukazała się w gazecie. To on!

– Moja klientka jest pewna, że mężczyzna na tym zdjęciu jest napastnikiem, którego zapamiętała. To Jerold Zahn, rozpoznała go.

Głośny szmer w pokoju. Szok, oburzenie. Sybilla starała się nie słuchać.

Ostre podniesione głosy – męskie. Byron Mudrick odpowiada stanowczo i zdecydowanie.

Ale Sybilla nie słuchała. Jakby to wszystko działo się gdzie indziej, jakby wszystko spowijała mgła. I Sybilla nie patrzyła. Spuszczony wzrok, nieśmiały i przerażony. Udało się jej opuścić ten pokój.

Jaycee mówi do niej: „Sybilla, będziemy chodzić ze sobą, jak stąd wyjdę, obiecuję”.

Ten wyraz twarzy Jayceego, kiedy jego siostra Shirley przyszła w odwiedziny do Mountainview razem z Sybillą, a on spodziewał się zobaczyć swoją młodszą siostrę Colette.

Cholera, szalała na punkcie Jayceego Handlera. Nie przeszkadzało jej, że siedział w Mountainview. Mogła po prostu o nim myśleć i nie musiała się przejmować takimi sprawami, jakie miała na głowie dziewczyna, którą interesował się facet w rodzaju Jayceego.

A teraz, do cholery, czuła się tak upokorzona! Wyglądało na to, że Jaycee o niej zapomniał. Już tydzień, jak wyszedł z Mountainview. Pewnie na zwolnienie warunkowe. To Martine powiedziała jej o tym, wiedziała, że ją tym zrani.

Chociaż może i dobrze, że Jaycee nie zjawił się teraz.

Musiałyby wyjaśnić pewne sprawy wielebnemu – a nie była pewna, co powinna mu powiedzieć. Kurwa!

Kurwa, czasami żałowała, że jej nie zabił, tak jak obiecywał.

Przez cały poprzedni dzień Marus i Byron Mudrickowie przygotowywali ją: kazali powtarzać tych kilka słów, które musiała wypowiedzieć, pokazywali, jak

ma oddychać (przez nos), jak poruszać głową, gdzie ma patrzeć, a gdzie nie, jak ma złożyć ręce, kiedy nie będzie musiała wskazywać żadnej fotografii. Jak nie wolno jej skrzyżować spojrzenia z żadną osobą znajdującą się w pokoju, z żadnym z Wrogów.

Ludzie z opieki społecznej, z wydziału do spraw nieletnich – wszyscy będą chcieli z nią porozmawiać, zwrócić na siebie uwagę, ale jej nie wolno tego robić.

Potem pojedą samochodem do ratusza, a po wszystkim wyjdą; ma iść między braćmi, mama tuż za nią, żeby fotoreporterzy, dziennikarze i ludzie z telewizji (których wielebny powiadomił) ją widzieli. Ale nie będą mogli podejść zbyt blisko. Byron i Mudrick porozmawiają z wybranymi przedstawicielami mediów na schodach ratusza dopiero wtedy, kiedy Sybilla i jej matka wsiądą do samochodu z przyciemnionymi szybami.

„Ofiara gwałtu zidentyfikowała jednego z sześciu domniemanych gwałtocieli – białych gliniarzy”.

Wymaglowali ją tak, że miała ochotę położyć głowę na stole i się rozpłakać. Wreszcie zaczęła krzyczeć, szlochać i śmiać się dziko. Mama powiedziała, że to śmiech szaleńca, boi się tego słuchać. Chwyła ją za ręce i przytrzymała, chciała ją uspokoić. Mówiła, że wszystko będzie dobrze, wielebny wyjaśnił już, dlaczego to konieczne i jak należy postępować. Niedługo będzie to miała za sobą.

„Tylko ten jeden raz, Sybillo. Powiedz tylko to, co uzgodniliśmy. Ani słowa więcej. Potem wyjdziemy. Nigdy nie będziesz już musiała się z nimi spotkać. Obiecujemy”.

Do tej chwili głos zabierał głównie wielebny Mudrick. Tu, na spotkaniu w ratuszu, odzywał się przede wszystkim Byron Mudrick; mówił swoim zgryźliwym głosem, który Sybilli kojarzył się ze świstem bata. Bata, którym można zdzielić Wroga w twarz.

Sybilla pocierała oczy. Bardzo chciało się jej spać! Ostatnio nie sypiała dobrze, nawet kiedy Martine przytulała się do niej i delikatnie pomrukiwała przez sen jak kotka.

To jego chrapanie, które słyszeć było w całym ich domu. Miała nadzieję, że już nigdy nie wróci do tego cholernego, śmierdzącego miejsca.

– Sybilla? – Byron Mudrick trącił ją delikatnie.

To ją zaskoczyło: na stole przed nią leżały żółte samoprzylepne karteczki.

Niezbyt blisko (na wypadek, gdyby powodowana jakimś nagłym impulsem chciała je złapać i podrzeć), około czterdziestu centymetrów od niej. Policjantka z wydziału do spraw nieletnich wyjęła je z teczki. Sybilla była zaskoczona na ich widok, bo już o nich zapomniała (albo prawie zapomniała). Miała mgliste wspomnienia z oddziału ratunkowego szpitala Świętej Anny –

mama obejmująca ją kurczowo jak szalona, starająca się obronić ją przed lekarzami, i ta policjantka, kobieta zadająca pytania. Wyglądała na Portorykankę, miała ciemne proste brwi, prosty nos, piękne oczy i piękną, gładką oliwkową skórę. Była naprawdę miła dla Sybilli, powiedziała: „Może łatwiej ci będzie napisać? Proszę, masz tu karteczki”.

Te karteczki należały do niej, do tej policjantki. Na chwilę, która minęła tak szybko, jak krótką nitką przemyka przez ucho igły, Sybilla przypomniała sobie tę kobietę i natychmiast wyrzuciła ją z pamięci. Pokazywali jej karteczki, na których napisała ołówkiem:

BIAŁY GLINA

MIAŁ ODZNAKĘ

ŻÓLTE WŁOSY

30 LAT

Tak. Twierdząco skinęła głową.

Tak. Rozpoznaje je.

Serce Sybilli biło jak szalone w niemym proteście. Obiecywali jej, że nie będzie musiała odpowiadać na pytania, powie tylko to, czego ją nauczyli. I tak było, padały pytania, na które Byron Mudrick rzucał odpowiedzi, krótkie i suche jak trzaśnięcia bicz. Czasami Marus wtrącał jakąś ciętą uwagę, a wtedy Byron mógł się odwrócić do Ednetty, która siedziała za nimi i mrugała oczami; wyglądała jak stara pijaczka. Sybilla wzdrygnęła się, słysząc, jak jej matka duka: „Co... co takiego? Co pan mówi? Co?”.

Ta wrogość w pokoju! Ostrzeżono ją przed tym, mogła się tego spodziewać, tej nienawiści ze strony Wroga. To jasne, że będą zaprzeczać, że jeden z nich, funkcjonariusz policji Jerold Zahn, dopuścił się takiego ohydneho postępu. „Ale w tym jest jeszcze coś, nie tylko nienawiść”, pomyślała Sybilla. Te spojrzenia kobiet z opieki społecznej, jakby chciały głośno powiedzieć: „Biedna dziewczyno! Co oni ci zrobili, Sybillo Frye!”.

Ukrywa twarz ze wstydu. Spuszcza oczy.

– Nie. Moja klientka nie będzie dziś odpowiadać na więcej pytań. Tak. Zgodzimy się na badanie wariografem. O ile będę miał wpływ na wybór technika obsługującego to urządzenie. Nie może być pracownikiem Departamentu Policji w Pascajnie ani oczywiście żadnego innego organu sił porządkowych w tym stanie.

Kiedy Byron skończył, Marus Mudrick dodał spokojnie:

– I nie będzie to biały technik.

(Wariograf? Czy chodzi o wykrywacz kłamstw?).

(Sybilla poczuła, że jej słabo. Skuliła się i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie. Szumiało jej w uszach, krew rytmicznie pulsowała w skroniach jak perkusja: trach, trach, trach. Byron Mudrick wyjaśniał: „Nie słuchaj tego, co będziemy mówić. I ja, i oni. To takie gierki prawne. Wróg nie ma jak się bronić. Wróg jest zbity z tropu. To znaczy, że ma przesrane”).

Byron powiedział:

– Tak. Stanowczo musimy sami wybrać technika.

Wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca, i odezwał się uprzejmym głosem:

– Mamy nadzieję, że uda się ustalić termin badania wariografem jeszcze przed końcem roku. Oczywiście jeśli zgodzicie się na nasze warunki. Jak się okazuje, osiągnęliśmy postęp. Moja klientka rozpoznała pierwszego z gwałcicieli. Wkrótce złoży pełne zeznanie. Do tego czasu być może przynajmniej częściowo wróci jej pamięć i będzie mogła zidentyfikować wśród funkcjonariuszy policji z Pascayne pozostałych gwałcicieli. Będziemy chcieli przejrzeć fotografie – liczymy, że dostaniemy zdjęcia wszystkich policjantów. Ale na dziś już wystarczy. Możecie przeprowadzić śledztwo w sprawie Jerolda Zahna we własnym zakresie. Ustalić, dlaczego ten dwudziestosiedmioletni biały mężczyzna wpakował sobie kulę w głowę. I dlaczego właśnie wtedy, kiedy zaczęło się robić głośno o Krucjacie Sprawiedliwości dla Sybilli Frye. Panowie funkcjonariusze, przyłóżcie się do poszukiwań listu samobójcy. Przesłuchajcie rodzinę. Jeśli ukryli list, macie wykwalifikowanych detektywów, którzy powinni go odnaleźć i wydobyć na światło dzienne stojące za tą śmiercią poczucie winy. A teraz wyjdziemy.

Byron mówił spokojnie, najwyraźniej był z siebie zadowolony. Prawniczy styl, cięty i precyzyjny, który wypracował sobie podczas ćwiczeń na zajęciach uniwersyteckich, naśladowując mistrzów, których szanował. Mawiano, że młody Byron jest ostry jak brzytwa. Ostatnio zauważał, że to właśnie jego prawość przeszkadzała mu w karierze (podobnie jak kontuzja stopy spowalnia biegacza). Wokół widział gorszych od siebie, którzy, jak jego brat bliźniak, zyskiwali sławę, wyrabiali sobie nazwiska i reputację, ochoczo wspierani przez liberalną prasę. Teraz (poniewczasie?) przyszła kolej na Byrona Mudricka.

Wściekłość Wroga! Była jak fale ogłuszającego dźwięku, którego nie można usłyszeć, ale czuje się go głęboko w trzewiach. Radowała go bardziej niż jakiegokolwiek wypowiedziane słowa. „Uda się. To bracia Mudrick rozgrywają tę partię. Mamy asa w rękawie! I co wy na to, dupki?”.

Nie każdy Wróg był biały. Ci kolorowi, którzy pracowali dla Wroga, byli jego współnikami.

Jeden z zastępców prokuratora okręgowego, ciemnoskóry Latynos, zdawał się szczególnie pogardzać Byronem Mudrickiem. Na pewno kończył prawo na Rutgers-New Brunswick, a nie na Rutgers-Newark. Albo w Penn. Na spotkaniu odzywał się rzadko, nie zwracał się bezpośrednio do Byrona, tylko do swojego

szefa, jednak Byron wychwycił nosowy akcent z New Jersey, być może nawet z rejonu Camden. Taki sam jak jego. I ten arogancki sukinsyn śmie nim gardzić!

Wśród ludzi Wroga było jeszcze dwóch ciemnoskórych: kierownik z departamentu do spraw rodziny w ratuszu, mężczyzna w średnim wieku, i pracownica opieki społecznej, która zajmowała się rodziną Frye'ów. Miała kręcone włosy zaplecione w drobne warkoczyki, podobnie jak Klarinda, i tę charakterystyczną dla niektórych czarnych kobiet (także jego żony) manierę moralnej poprawności, która tak drażniła Byrona. Nie mógł tego znieść! Patrzyła na niego, zupełnie nie kryjąc niesmaku.

Poczuł się zraniony i się rozzłościł. Chciał powiedzieć: „Sybilla Frye jest naszym biczem, z którym zstąpimy do piekieł. I nic na to, kurwa, nie poradzicie”.

Nagroda

– Rozumiesz, bracie, o co mi chodziło, kiedy mówiłem, że musimy zintensyfikować działania?

Marus Mudrick roześmiał się gardłowo. Jako starszy bliźniak przez całe życie czerpał radość z zaskakiwania, onieśmiania i straszenia młodszego brata.

Oto, co się wydarzyło: po zidentyfikowaniu młodego, niedawno zmarłego funkcjonariusza policji z Pasgayne jako jednego z kilku domniemych gwałcicieli Sybilli Frye Kruczata Sprawiedliwości znów znalazła się w centrum uwagi mediów.

„New York Times”, „New York Post”, „People”, agencja Associated Press, „Philadelphia Inquirer”, „Star-Leger” z Newark, „Pasgayne Journal”... Fotografie Jerolda Zahna na okładkach gazet i czasopism oraz w wiadomościach telewizyjnych. Czterdziestominutowy wywiad z Byronem Mudrickiem w radiu.

Dwudziestosiedmioletni funkcjonariusz policji z Pasgayne, Jerold Zahn, który zmarł w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z bronią 11 grudnia, został zidentyfikowany przez piętnastoletnią ofiarę jako jeden z sześciu lub siedmiu policjantów, którzy w październiku rzekomo ją porwali, pobili i zbiorowo zgwałcili w Pasgayne. W tej sprawie dotychczas nie było podejrzanych.

Wielebny Marus Mudrick z Duszpasterstwa Opieki Stanu New Jersey i doradca prawny ofiary Byron Mudrick oskarżają Departament Policji w Pasgayne, władze miejskie oraz biuro prokuratora okręgowego o znowę w celu zatuszowania przestępstwa. Bracia Mudrickowie domagają się powołania specjalnej komisji stanowej, która miałaby ustalić, czy pogwałcono prawa obywatelskie ich klientki, i pociągnąć winnych do odpowiedzialności.

„Nie spoczniemy, dopóki Sybilla Frye nie znajdzie sprawiedliwości, podobnie jak setki i tysiące innych zgwałconych i upokorzonych czarnych ofiar – powiedział w poniedziałek Byron Mudrick naszym reporterom na schodach ratusza, po spotkaniu z policją i prokuratorem. – Sprawa Sybilli Frye jest pierwsza, ale na tym się nie skończy”.

Byron Mudrick, lat 44, profesor prawa na uniwersytecie Rutgers-Newark, od 1961 roku działa na rzecz przestrzegania praw obywatelskich, jest członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia do Walki o Prawa Obywatelskie, Afroamerykańskiej Fundacji Przestrzegania Prawa, Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników i Afroamerykańskiego Związku Chrześcijan.

Śmieszyło go, jak media (białe, elitarne) skakały niczym tresowane cyrkowe zwierzęta przez obręcz, którą zapalił wielebny Marus Mudrick. Byron miał swoje porachunki z Marusem – w ciągu wielu lat nagromadziło się tego sporo, w tym zdrady, których nie mógł mu wybaczyć, chociaż jako pragmatyk udawał, że o nich zapomniał – ale podziwiał go. Marus podnosił obręcze coraz wyżej, płomienie były coraz gorętsze, a ci głupcy ciągle skakali. I pieniądze płynęły szeroką strugą.

Marus zadbał o to, by założyć w Newark konto, na które wpływały datki na Krucjatę Sprawiedliwości dla Sybilli Frye lub po prostu dla Sybilli Frye. Imię i nazwisko często pisano z błędem, ale bank Marusa i tak honorował wpłaty.

Darowizny wpływały w formie czeków, a czasem w gotówce. Byron przypuszczał, że w sprawozdaniach finansowych nie ma śladu po takich wpłatach. Marus nie omieszkał kontrolować swoich pracowników w Duszpasterstwie Opieki, kiedy otwierały koperty zawierające datki. „Nie żebym nie ufał swoim dziewczynom, ale byłoby okrucieństwem wystawiać je na pokusę, a potem czuć się winnym, jeśli jej uległy”.

Po zidentyfikowaniu Jerolda Zahna tygodniowe wpływy wynosiły od trzech do siedemnastu tysięcy dolarów. Rozpoznanie sprawcy wywołało sensację nie tylko w lokalnych mediach z rejonu New Jersey i Nowego Jorku, ale też w całym kraju, zwłaszcza kiedy agencja Associated Press i „USA Today” opublikowały na ten temat obszernie artykuły. Oczywiście były to tylko te sumy, o których Marus powiadomił brata.

Kiedy Byron wspomniał, że ma nadzieję, iż żadne datki nie znikają (tak jak znikają poważne sumy, kiedy Marus stał na czele innej organizacji *non profit* walczącej o prawa obywatelskie na początku lat osiemdziesiątych), Marus odpowiedział lodowato:

– Kiedy fala wzbiera, wyrzuca na brzeg różne śmieci. Ty, brachu, tyrasz za friko, każdy palant o tym wie.

Powiedział to obelżywym tonem, jak arogancki czarny ulicznik. W swoich słowach zdołał zawrzeć podwójną obelgę, sugerując, że dla Byrona korzyści wynikające z rozgłosu były cenniejsze niż pieniądze.

Wiele datków stanowiły banknoty o niskich nominałach, piątki, dziesiątki i dwudziestki. Do wielu dołączano ręcznie pisane karteczki adresowane do Sybilli Frye, w których wyrażano troskę, dawano rady i przesyłano modlitwy. „Niech Bóg będzie z tobą, dziecko. Uważaj, żeby ci mężczyźni też cię nie wykorzystali”.

Liścik napisany ołówkiem dołączony był do pogniecionej dziesięciodolarówki. Byron przeczytał go z bolesnym uśmiechem; domyślał się, że ofiarodawca nie miał na myśli białych mężczyzn.

Na skutek niestrudzonej działalności Marusa czarni celebryci również przyłączali się do Krucjaty. Wpływały nie tylko dotacje, ale też obietnice ustanowienia stypendium dla Sybilli Frye: „Sto tysięcy dolarów, by wysłać Sybillę Frye na jeden z uniwersytetów Ivy League, który sama wybierze. Biali

ludzie nie ośmiela się zakazać jej tam wstępu!”. (To słowa propagatora boks, Dona Kinga, długoletniego przyjaciela Marusa Mudricka).

Bill Cosby, Muhammad Ali, Whitney Houston, Michael Jackson, Esmeralda Mason – ci wszyscy celebryci dzwoniли za pośrednictwem swoich pracowników i obiecywali wsparcie i pieniądze dla Krucjaty.

Esmeralda Mason, czarna poetka i autorka wspomnień, zdobywczyni Nagrody Pulitzera, zaoferowała swój dom w Montclair w stanie New Jersey jako „bezpieczną siedzibę” dla rodziny Frye’ów. Marus przyjął tę propozycję z wdzięcznością. Chciał, żeby Ednetta i Sybilla wyprowadziły się z Red Rock, obawiał się bowiem, że matka i córka mogą stać się łatwym celem dla (czarnych i ambitnych) osobników, którzy będą chcieli je wykorzystać.

Byron dowiedział się, że jednym z nich jest Czarny Książę, Leopaldo Quarrquan. W przeciwieństwie do tłustego Marusa Mudricka Quarrquan był ascetą, który co dzień modlił się i pościł. Był chudy jak szczapa, miał ogoloną głowę i głęboko osadzone oczy. Jego wyznawcy uważali go za świętego i wojownika krucjaty Królestwa Islamu dążącej do nawrócenia czarnych chrześcijan na ich prawdziwą, rdzennie afrykańską religię. Rozeszły się pogłoski, że Quarrquan chce się spotkać z Sybillą Frye, ale nie za pośrednictwem wielebnego Mudricka i jego Duszpasterstwa Opieki.

– Chce przekabacić tę dobrą chrześcijańską dziewczynę na czarny islam. Chce, by zgubiła swoją duszę.

Byron uśmiechnął się, widząc brata tak rozżłoszczonego. Wśród czarnych działaczy religijnych Marus Mudrick chciał uchodzić za niekwestionowanego przywódcę ich społeczności w środkowo-wschodnim New Jersey.

– Sybilla! O Boże, zgadnij, kto to!

Ednetta wrzeszczała, żeby Sybilla zeszła na dół, bo ma dla niej dobre nowiny. Myślałby kto, że codziennie ma jej coś miłego do powiedzenia!

Nowy mistrz świata wagi ciężkiej, Mike Tyson, przyjechał swoim lincolnem w odwiedziny do Sybilli, która mieszkała w rezydencji Esmeraldy Mason w Montclair. I żeby podarować jej swój zegarek, roleksa, który w nagłym odruchu ściągnął ze swojego potężnego nadgarstka i wcisnął jej do ręki. „To dla ciebie, Sybillo. Dobrzy ludzie zaopiekują się tobą”. Sybilla była głęboko poruszona. O mało nie zemdląca. Nigdy wcześniej nie widziała Tysona, nawet w telewizji – nigdy w życiu nie obejrzała żadnej walki bokserskiej – ale wiedziała, kim jest Mike Tyson, i nie mogła uwierzyć, że ten dwudziestojednoletni sportowiec światowej sławy przejechał taki kawał drogi z Catskill w Nowym Jorku tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

Mike Tyson był przystojny! Na swój sposób, niektórzy bowiem nazywali go pięknym brzydalem. Niezbyt wysoki – miał chyba nie więcej niż metr osiemdziesiąt – z szerokimi ramionami i potężną, muskularną szyją, azjatyckimi migdałowymi oczami, trochę podobnymi do oczu Sybilli. Twarz z mocno

zarysowaną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi, ale chłopięca, bez blizn czy siniaków, bo nowy mistrz świata wagi ciężkiej nigdy nie został trafiony! Miał zaskakująco wysoki i łagodny głos. Życzliwe spojrzenie, chociaż przepęśniał go gniew z powodu straszego cierpienia, jakie spotkało Sybillę Frye.

Sybilla wyjąkała ochryple jakiś banał – wstydziła się tego później – że nigdy nie widziała w swoim życiu żadnej walki bokserskiej, ale jeśli kiedyś obejrzy, będzie to na pewno jego walka. Mike Tyson podziękował jej i zdradził sekret, którego nikomu dotąd nie wyjawił: „Mike Tyson jest znanym bokserem, ale nikt nie wie, kim naprawdę jest Mike Tyson”.

Sybilla żałowała potem, że była zbyt oniemiała z wrażenia, by zapytać, kim jest Mike Tyson.

Zwierzył się jej też, że chociaż ma „białą rodzinę” – trenera i menedżerów – to nie znosi, kiedy podczas walki patrzy na widownię, na przykład w Las Vegas, i widzi tych wszystkich białych bogatych ludzi, którzy wrzeszczą na niego i jego (czarnego) przeciwnika, podjudzając ich, by pozabijali się nawzajem.

– Boks to nie sport. To jak walki gladiatorów w starożytnym Rzymie. Ale teraz to ja jestem najlepszy.

Sybilla nie miała pojęcia, o czym Mike Tyson mówił, ale czuła cudowny urok ciepłego spojrzenia młodego mężczyzny. Nigdy u nikogo nie widziała takich oczu.

Spotkanie z Tysonem było dla Sybilli wielkim przeżyciem, z którego nie potrafiła się otrząsnąć.

– Och, mammo! Mike Tyson przyjechał się ze mną zobaczyć! I dał mi to!

Ale Marus Mudrick, który zaaranżował to spotkanie i czekał, nasłuchując, w sąsiednim pokoju, wszedł i przerwał Sybilli, mówiąc, że zegarek jest darowizną dla Krucjaty. To nie jest prezent przeznaczony wyłącznie dla niej.

– Wielebny, Mike Tyson dał go mnie! Naprawdę!

Sybilla powiedziała to tonem skrzywdzonego dziecka.

– To nieprawda, Sybillo. Rzecznik prasowy Mike’a Tysona i ja rozmawialiśmy na ten temat. Uzgodniliśmy, że jeśli Tyson spotka się z tobą, zostawi datek na fundację. Zabiorę to teraz.

Marus Mudrick wyciągnął dłoń, ale Sybilla nie chciała oddać prezentu.

Przywołano na pomoc Ednetę, która zdjęła za duży zegarek z nadgarstka córki i oddała go Marusowi Mudrickowi.

Sybilla wybiegła z płaczem.

Ednetta powiedziała:

– Wielebny, to nie w porządku. Sybilla jest przez cały czas taka smutna, a to sprawiło jej radość. Nie mogłaby zatrzymać zegarka? Czy to jakiś bardzo drogi zegarek?

– Nie, to nie jest wyjątkowo drogi zegarek. Ale to męski zegarek, wyglądałby pretensjonalnie i śmiesznie na jej ręce, nawet jeśli dopasowałoby się

bransoletkę.

Sybilla poskarżyła się przez telefon swojej kuzynce Martine, za którą bardzo tęskniła w tym „wielkim, starym, nudnym domu” w Montclair. Powiedziała jej, jaka jest nieszczęśliwa.

– Nienawidzę ich wszystkich! Pierdolę ich, chciałabym, żeby wszyscy umarli. I mama też.

– Sybilla! Nie mówisz poważnie.

– Właśnie że tak.

– Nie chcesz, żeby twoja mama umarła. Nie mów tak.

Martine była zaszokowana. Sybilla poczuła dreszcz emocji, jaki wywołuje zło. Dzięki niemu miało się władzę nad ludźmi, których się kochało i którzy kochali ciebie.

Leżała wyciągnięta na brzuchu na łóżku w „swoim” pokoju w domu tej pisarki, na luksusowej jedwabnej kołdrze. Nie dbała o to, czy pobrudzi ją butami. Ssała kciuk i zamknęła oczy, żeby zobaczyć twarz Mike’a Tysona tuż obok swojej. Niech tylko Jaycee Handler dowie się, że Mike Tyson przyjechał ją odwiedzić! Dał jej prezent, nieważne, że wielebny go zabrał.

– Powiedział, że jestem ładna, Martine. Nie pieprzył żadnych głupot o sprawiedliwości... Powiedział tylko, że jestem ładna i że on też jest samotny, ponieważ jest sławny i zawsze musi jeździć limuzyną z szoferem, nie pozwalają mu prowadzić samemu. – Sybilla urwała, starając się pohamować łzy. Twarz Mike’a Tysona zaczęła się rozpląwać.

Krucjata

Na kanale telewizji New Jersey NJN-TV udzielał wywiadu starszy siwowłosy mężczyzna. Miał ziemistą cerę, zmęczone oczy, mówił urywanym, ale silnym głosem.

„Nasz ukochany syn został oczerniony, a jego pamięć zbezczeszczona. Był głęboko i tragicznie nieszczęśliwy i całkowicie niewinny. Nasz syn Jerold był jednym z najłagodniejszych, najbardziej hojnych i miłych ludzi... To potworne, nie do uwierzenia, że są tacy, którzy mogą obrażać pamięć naszego tragicznie zmarłego syna i oskarżać go o nienawiść rasową... Jerold miał wielu przyjaciół, którzy go kochali, przez całe swoje życie nikogo nie skrzywdził. Bardzo chciał zostać policjantem, to było jego marzenie od chłopięcych lat”.

Ednetta szybko zmieniła kanał, a potem wyłączyła telewizor.

I wyszła z pokoju.

– Możecie tu mieszkać tak długo, jak będziecie chcieli! Sybillo i Ednetto, moje drogie, zawsze jesteście tu mile widziane.

Esmeralda Mason wróciła do swojego domu w Montclair. Była w Key West na Florydzie, na konferencji poświęconej literaturze, na której, jak powiedziała, omawiano niektóre z jej prac.

Ednetę zastanowiło to słowo. Praca. Czy pisanie wierszy, w ogóle pisanie, było pracą? Nie przypominało to żadnego z zajęć, jakie w swoim życiu wykonywała Ednetta, a rezultaty, przynajmniej w wypadku Esmeraldy, wydawały się oszałamiające.

Ednetta była pod wrażeniem liczby książek z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem Esmeraldy Mason na kolorowych okładkach, które stały w tym domu na półkach. Nie znała żadnej poetki ani pisarki, nikogo, kto miał książki ze swoim nazwiskiem wydrukowanym na pierwszych stronach okładek i zdjęciem na ostatnich. Nigdy też nie spotkała nikogo wykształconego, kto byłby tak miły, przyjazny i zainteresowany jej osobą. Ludzie z opieki społecznej tylko udawali zainteresowanie, chcieli wyciągnąć jakieś cholerne, kompromitujące fakty, żeby pozbyć się kłopotu, wykreślić cię ze swojego rejestru i pozostawić bez grosza.

Dom Esmeraldy Mason był wyjątkowy. Takie domy widywało się w telewizji albo w kinie. Kilka salonów, każdy z kominkiem ze lśniącymi mosiężnymi przyborami do rozpalania i podtrzymywania ognia, jadalnia z kryształowym żyrandolem, atrium, które przypominało szklarnię, z plataniną bujnej tropikalnej zieleni, jaskrawoczerwonymi kwiatami wielkimi jak głowa człowieka i kilkoma zabytkowymi klatkami dla ptaków – siedziały w nich zięby, kanarki, ary, papugi i kakadu. Potrzebna była specjalna osoba tylko do

sprzątania po nich, do rozkładania gazet pod luksusowymi klatkami i czyszczenia prętów z ptasich odchodów. Kanarki śpiewały bez przerwy, co denerwowało Ednetę – przypominało jej to pustą kobietą paplaninę, z której nic nie wynika. Sybilla narzekała, że nawet najładniejsze ptaki śmierdzą.

Ednetta próbowała czytać poezje Esmeraldy Mason, które zapełniały stronicę tomików zygzakami przypominającymi ślady pozostawione przez jakieś owady, ale była zbyt niecierpliwa i roztrzępana, by skupić się na lekturze. Poezja ją przerażała – albo robiła zbyt mocne wrażenie, uderzała do głowy bez ostrzeżenia, albo nie miała żadnego sensu, jak niezrozumiałe głosy dobiegające zza ściany. Poza tym przez większość czasu Ednetta była przygnębiona. Czekwała na telefon albo na kogoś, kto zapuka do drzwi. Ich życie przypominało teraz pędzący pociąg, który zatrzymuje się bez ostrzeżenia na stacjach nieuwzględnionych w rozkładzie jazdy.

Wielebny Mudrick zabronił Ednetcie dzwonić do domu. Nie wolno jej było rozmawiać z Anisem Schuttem, któremu wielebny nie ufał. (Marus Mudrick z zasady nie ufał żadnemu mężczyźnie, z którym kobiety przebywające pod jego opieką były związane. W życiu kobiety może być tylko jeden dominujący samiec i ma być nim właśnie Marus Mudrick). Kiedy więc próbowała zatelefonować do Anisa, pod swój stary numer przy Trzeciej Ulicy, była przerażona, że wielebny się o tym dowie.

Ale Anis rzadko odbierał telefon. Odkąd Krucjata wkroczyła w ich życie, Ednetta obawiała się, że straci męża, bo przy takim mężczyźnie jak Anis zawsze mogły się pojawić inne, chętne i trzpiotowate kobiety.

Esmeralda Mason była miła dla swoich gości. Kiedy rozmawiała z nimi, przyglądała się im uważnie, jakby chciała je zahipnotyzować, a one pod wpływem tego spojrzenia czuły się dowartościowane, ale i niespokojne. Bez przerwy częstowała je własnoręcznie parzoną rumiankową herbatą; Ednetta uważała, że smakuje ona jak brudne mokre skarpetki, ale z grzeczności nie potrafiła odmówić. Sybilla uznała, że to dziwaczne – ich gospodyni miała służących (co najmniej troje – z tego, co zauważyła), ale kiedy były razem, to Esmeralda starała się je obsługiwać. Sybilla zastanawiała się, czy to jakiś zwyczaj, do którego stosują się niektóre bogate panie. Może ta czarna dama nie chciała, żeby uważały ją za próżną; wołała uchodzić za kogoś, kto pochodzi z biednej rodziny, gdzie praca służącej jest czymś zwyczajnym. Albo tylko udawała. Sybilla powiedziała ze śmiechem, że gdyby była tak bogata jak Esmeralda Mason, nie gotowałyby ani nawet nie ruszyła palcem, żeby zrobić coś sama, choćby dla zasady.

Ednetta się z nią zgodziła.

– Pewnego dnia i my będziemy milionerkami. Tak obiecał wielebny Mudrick.

Masując obolałe z powodu reumatyzmu ramię, chciała wierzyć, że tak będzie. Ta chłodna, wilgotna zima w New Jersey była tak okropna, że chciało się tylko położyć i płakać albo wypić ile się da z okazałych zapasów szlachetnych trunków Esmeraldy Mason.

Nie wiadomo, czy Sybilla usłyszała słowa Ednetty, ale wzruszyła chudymi ramionami i przewróciła oczami, jakby gadanina matki wprawiała ją w zażenowanie.

– Wielebny Mudrick nam to obiecał, Sybillo. Nie słyszałaś?

Kiedy pojawiała się Esmeralda Mason, Sybilla sztywniała i wymykała się jak najprędzej, niczym zdziczały kot. Obecność gospodyni przejmowała ją dreszczem, bo dziewczyna wbiła sobie do głowy nedorzeczną myśl, że Esmeralda chce je opisać w jakiejś cholernej książce.

Esmeralda Mason była flegmatyczną, krępą kobietą o psotnej twarzy chochlika i szorstkiej ciemnej skórze. Siwe włosy miała ostrzyżone na jeża. Nosiła ubrania z miękkich, opadających w luźnych fałdach tkanin, misternie zdobione brokatem tuniki wypuszczane na rozszerzane spodnie, które wyglądały jak dół od pizamy. Ednetta obliczyła, że ich gospodyni ma czterdzieści dziewięć lat – urodziła się w 1939 roku. Śmiała się często i głośno z własnych uwag, których Ednetta nie rozumiała. Każdego wieczoru, o szóstej, Esmeralda schodziła ze swojej pracowni na piętrze, by wypić drinka i odetchnąć od pisania przed kolacją, którą przygotowywał jamajski kucharz.

Kucharz! Czarny jak atrament jamajski kucharz! Ednetta była pod wrażeniem.

Pewnego wieczoru przy drinku (ciemne wino pachnące owocami, uderzające do głowy i pozwalające uśmierzyć niepokój, które Ednetta uwielbiała) Esmeralda wyznała, że i ona jako młoda dziewczyna dorastająca w Baltimore padła ofiarą napaści.

– Opisałam to w wierszach i wspomnieniach, może czytałaś. Chodziło mi o to, że nie ma znaczenia, czy napastnik jest biały, czy czarny. Boli tak samo. Robią te straszne rzeczy, żeby bolało.

Coś niepokoilo Ednetę – czy Esmeralda jest jedną z tych kobiet, które lubią inne kobiety? Lesbijką? Wydawało się jej podejrzanym, że Esmeralda Mason ani razu nie wspomniała o żadnym mężczyźnie, byłym mężu czy dzieciach. Nawet nie pomyślała, żeby zapytać Ednetę o jej młodsze dzieci, które zostały z jej siostrą Cheryl, ani tym bardziej o te dorosłe, mieszkające w różnych odległych miastach.

Po drugim kieliszku wina Esmeralda powiedziała niskim, ściszym, poufnym głosem:

– Droga Ednetto, a może siostró Ednetto, jak nazywa cię Marus, jeśli twoja córka mówi prawdę, jest godną współczucia ofiarą, którą trzeba pomścić. Jeśli trochę rozmija się z prawdą, reprezentuje inne godne współczucia ofiary, które też muszą zostać pomszczone. Dlatego, jak mówiłam wielebnemu Mudrickowi, oficjalnie wspieram Krucjatę Sprawiedliwości dla Sybilli Frye. Nigdy was nie opuszczę.

Ednetta pomyślała, że to miłe słowa, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sposób, w jaki Esmeralda Mason uśmiechnęła się do niej, poufale, jakby porozumiewawczo mrużąc oczy, sprawił, że miała ochotę uderzyć ją w twarz.

Jak śmiała tak otwarcie wątpić w Sybillę?

Zrobiło się jej niedobrze – może wszyscy celebryci myślą w ten sposób? Nieważne, czy Sybilla Frye i jej matka mówią prawdę, czy są cholernymi, bezwstydnymi kłamczuchami. Liczy się tylko Kruczata.

Ednetta nie powtórzyła Sybilli, co powiedziała ich gospodyni, ale następnego dnia oznajmiła wielebnemu Mudrickowi, że muszą się wynieść z Montclair tak szybko, jak się da.

– Jak dla nas to zbyt luksusowe miejsce, nudzimy się tu. Z okna widać tylko drzewa, Sybilla tęskni za Martine i innymi przyjaciółkami.

– Chcecie tam wrócić? Z powrotem do swojego życia w Red Rock?

Marus Mudrick nie wierzył w to, co usłyszał. Wielebny nie ukrywał pogardy i Ednetta poczuła się urażona, że ich życie w Red Rock zostało tak nisko ocenione.

– Tak, wielebny. To właśnie mówię.

– Sybilla myśli tak samo?

– Sybilla nienawidzi tego miejsca. Jediną miłą rzeczą, jaka ją tu spotkała, były odwiedziny Mike’a Tysona i zegarek, który jej podarował, a którego nie pozwolono jej zatrzymać. Dziewczyna jest tak załamana, że będzie potrzebna co najmniej dwa i pół miliona, żeby ją pocieszyć.

Wielebny Mudrick przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. A potem odezwał się spokojnym głosem:

– Sostro Ednetto, nie mam pojęcia, o czym, do cholery, mówisz. Mam nadzieję, że i ty tego nie wiesz. Dobrze ci radzę, zachowaj swoje brednie dla siebie. Czy jasno się wyraziłem?

Ednetta się zachwiała – była zszokowana. Wściekły samiec, który spojrzał na nią oczami wielebnego, był przez chwilę nie do odróżnienia od Anisa Schutta.

Chodziły pogłoski, które Byron Mudrick słyszał z wielu źródeł, że Czarny Książę chce przyjechać w styczniu do Pascayne, by zobaczyć się z Sybillą Frye.

Jak mówiono, Czarny Książę postanowił nawrócić „pohańbioną czarną dziewczynę” na wiarę Królestwa Islamu i poprowadzić ulicami miasta Marsz Tysiąca.

Kiedy Byron oznajmił tę niepokojącą wieść swojemu bratu, Marus rzucił jakieś przekleństwo i się roześmiał.

– Czarny Książę nie zbliży się nawet na kilometr do moich dziewczyn. Jak to zrobi? Myśli, że mu na to pozwolę?

– Wykrywacz kłamstw? Nie ma mowy!

Sybilla była przerażona na myśl o teście, jaki Byron Mudrick chciał przeprowadzić na tym samym „neutralnym gruncie”, w ratuszu, na trzecim piętrze pokoju bez okien w departamencie do spraw rodziny.

Ednetta zapewniła ją, że wielebny Mudrick nie pozwoli, żeby coś jej się stało.

Obiecywał, że ani Sybilla, ani Ednetta nigdy nie będą przesłuchiwane przez Wroga.

Rankiem jedenastego stycznia Byron zadzwonił do władz, by przełożyć próbę wariografu na piętnastego stycznia. Ostatecznie termin ustalono na ostatni dzień stycznia.

Byron wyjaśnił, że jego klientka nie jest jeszcze przygotowana na ponowne zmierzenie się ze straszną traumą.

Możliwe, że obawiał się pewnych problemów z wybranym technikiem. (Technik miał obywatelstwo amerykańskie, ale urodził się na Karaibach, więc nie można go było uznać za rdzennego Afroamerykanina, potomka czarnych niewolników).

Wiadomości o tych opóźnieniach przedostały się do mediów. W niektórych relacjach cytowano rzecznika biura prokuratora okręgowego hrabstwa Passaic, który mówił o mataczeniu i odmowie współpracy braci Mudricków przy śledztwie w sprawie oskarżeń wniesionych przez Sybillę Frye. W innych, bardziej sprzyjających braciom mediach przytaczano słowa bliźniaków o ich klientce, którą systematycznie zastraszano i której grożono linczem. Trwał też spór o kwalifikacje techników obsługujących wariograf.

Adwokat Byron Mudrick zadeklarował w wywiadzie dla lokalnej stacji telewizyjnej:

„Moja klientka jest gotowa przejść próbę na wariografie i ujawnić przed światem spisek, który zawiązano przeciwko niej. Ale tylko jeśli test zostanie przeprowadzony uczciwie i obiektywnie, a nie pod dyktando rasistów. A to niełatwe w Pascajnie”.

Ednetta powiedziała Sybilli, że wszystko będzie dobrze. Nikt nie zażąda od niej, by podłączona do przewodów elektrycznych poddawała się jakimś paskudnym testom. Obie, matka i córka, zaczynały rozumieć sposób mówienia prawników – kiedy mówili coś publicznie, niekoniecznie musiała to być prawda. Fakt, że prawnik powiedział coś otwarcie, świadczył (najprawdopodobniej), że nie mówi szczerze.

Wielebny Mudrick zabronił im oglądać w telewizji wywiady, których udzielał z Byronem (chyba że specjalnie wyrazi na to zgodę). Jednak pewnego popołudnia pod koniec stycznia Sybilla zobaczyła przypadkiem braci Mudricków rozmawiających o Krucjacie w jednym z nowojorskich kanałów. Poczuła się oszołomiona i zakręciło się jej w głowie, kiedy usłyszała, jak wymieniają jej nazwisko. I to tyle razy. I jeszcze te fotografie, jej i Jerolda Zahna... (W tym czasie Sybilla już uwierzyła, że dwudziestosiedmioletni Jerold Zahn był tym żółtowłosym gwałcicielem). Nie była przygotowana, że padnie pełne wątpliwości pytanie: „Dlaczego ktoś miałby uwierzyć waszej klientce lub wam? Policja twierdzi, że nie było badania na okoliczność gwałtu, nie ma dowodów, że do niego doszło”.

Zanim Mudrick zdążył odpowiedzieć, Sybilla wyłączyła telewizor. Serce jej waliło, bała się, że zemdleje!

A więc to był ten Wróg, przed którym chroniono ją do tej pory.

Ale dla Sybilli najbardziej szokujące było to, że dziennikarz, który zadał to wstrętne pytanie, był czarny. Jak mógł powiedzieć coś takiego do wielbego i Byrona Mudricka?

– To nie będzie wywiad, Sybillo, raczej rozmowa.

Chociaż bracia bez przerwy zapewniali Sybillę, że nie będzie musiała udzielać wywiadów, nawet życzliwym dziennikarzom, to jednak umówili ją na „rozmowę” (która miała być opublikowana na prawach wyłączności) z dziennikarzem z „National Inquirer”. Spotkanie miało się odbyć w biurze Duszpasterstwa Opieki w Newark. Kiedy Sybilla odmówiła, polecono Ednetcie, by wyjaśniła córce, że rozmowa będzie tylko przyjazną pogawędką, w której udział wezmą też bracia. Sybilla ma tylko spokojnie siedzieć i od czasu do czasu powiedzieć „tak” lub „nie”.

– Mamo, czy nam za to zapłacą? Ile?

Ednetta odpowiedziała zmieszana:

– Gazety nie płacą, tak powiedział wielbny. Tak jak w telewizji – tam też nie płacą, kiedy mówią o tobie w wiadomościach.

Sybilla odparła chmurnie, że może się założyć, iż wielbnemu coś za to skapnie. Jemu i temu cholernemu prawnikowi.

Ednetta odpowiedziała jej ostro:

– Masz niewyparzoną gębę, dziewczyno! Wiesz, że to cię już wpędziło w kłopoty.

– Założę się, że zapłacili całkiem sporo, mamo. Pewnie z tysiąc dolarów.

– Lepiej niech nie usłyszą, że wygadujesz takie rzeczy, Sybillo. Obiecuję ci, że jak trzeba będzie coś powiedzieć, to ja to zrobię.

Wreszcie Sybilla uległa.

Dziennikarzowi towarzyszył fotograf. Rozmowa nagrana w biurze Duszpasterstwa Opieki trwała cztery godziny; pod koniec Sybilla ziewała i niemal zasypiała. Prawie nie musiała się odzywać, wszystko powiedzieli za nią dorośli.

Niedługo po tym, jak Sybilla i Ednetta opuściły piękny dom Esmeraldy Mason w Montclair i przeniosły się (miały nadzieję, że tymczasowo) do dusznego, przegrzanego i zagraconego mieszkania babci Pearlina Tice przy Jedenastej Ulicy, prokurator okręgowy hrabstwa Passaic ogłosił, że oskarżony funkcjonariusz policji Jerold Zahn miał niepodważalne alibi na kilka kolejnych dni na początku października.

Niektóre stacje telewizyjne podały tę informację w swoich wiadomościach. Pokazano fotografię funkcjonariusza policji, który jak podkreślono, został

nieślusnie oskarżony o rzekomy gwałt, a następnie wyemitowano wywiad z Juliem Ramosem, zastępcą prokuratora okręgowego. Dziennikarze rozmawiali z nim na stopniach sądu hrabstwa Passaic podczas silnego wiatru, który rozwiewał ciemne włosy młodego Latynosa.

Ramos oznajmił, że wbrew temu, co stwierdziła „rzekoma ofiara gwałtu”, funkcjonariusz policji Jerold Zahn pracował piątego, szóstego i siódmego października (podobnie zresztą jak przez pozostałe dni tego tygodnia). W każdym z tych dni przez całą zmianę przebywał w komendzie i na patrolach. Nie ma żadnych dowodów, aby opuścił służbę, co potwierdzili, składając zeznania pod przysięgą, pozostali stażysty i ich opiekun.

Po służbie Zahn spędzał czas ze swoimi kolegami. Ramos powiedział:

– W związku z tym stwierdzam, że funkcjonariusz Jerold Zahn został błędnie rozpoznany przez ofiarę gwałtu. Śledztwo w sprawie uznania Jerolda Zahna za „żółtowłosego” rzekomego gwałticiela Sybilli Frye zostaje zamknięte.

Naciskany przez reportera o dodatkowy komentarz, Ramos powiedział:

– Te oskarżenia rzucał obrońca swobód obywatelskich Byron Mudrick, co uważam za wstrząsające i skandaliczne. Szanowany niegdyś adwokat stał się szarlatanem żerującym na kwestiach konfliktów rasowych. Udział wielebnego Marusa Mudricka w tych bezpodstawnych oskarżeniach i próbie zniesławienia niewinnego człowieka, który zmarł w tragicznych okolicznościach, nie dziwi, ale...

Byron wyłączył telewizor. Był oszołomiony i czuł mdłości.

Wstrząsające, skandaliczne – te straszne słowa dźwięczały mu w uszach.

Jednak jego umysł nadal pracował jak precyzyjna maszyna – możliwe było zdyskredytowanie tego alibi. Jest mało prawdopodobne, aby dało się dokładnie ustalić wszystkie miejsca, w których przebywał ten młody człowiek w ciągu owych kilku dni. Całkiem możliwe, że dałoby się wykazać, w sposób przekonujący albo chociaż podważający wiarygodność Wroga, że Zahn miał wystarczająco dużo czasu, by uczestniczyć w wielokrotnym gwałcie na piętnastoletniej czarnej ofierze.

Kiedy Marus dowiedział się o tej wiadomości, wpadł w furję. Nie dlatego, że Jerold Zahn miał przekonujące alibi, ale ponieważ prokurator okręgowy hrabstwa Passaic okazał mu brak szacunku.

– Bracie, to jest wojna.

– Sybilla.

Została wezwana na spotkanie z wielebnym. Matka kręciła się niespokojnie w pobliżu.

Sybilla nie mogła patrzeć na tego człowieka, musiała przymykać oczy.

– To kolejny z twoich gwałticieli, Sybillo. Odnaleźliśmy go i jest zadziwiające, że... No cóż, sama zobacz.

Sybilla spojrzała na zamieszczoną w gazecie fotografię młodego Latynosa.

Wyglądał znajomo, ale kim był?

– Oczywiście to zaskakujące, że ten gwałciciel nie jest biały. Jest jasnoskórym Latynosem. To oznacza, że nie masz uprzedzeń wobec białych, to jest teraz oczywiste. W furgonetce, gdzie cię przetrzymywano, byłeś w wielkim stresie i mogłaś dostrzec jedynie zarys jego twarzy, ale jesteś pewna, że to on.

Sybilla ciągle wpatrywała się w zdjęcie. Nic z tego nie rozumiała.

– Kto to jest?

– Julio Ramos. Nie znasz tego nazwiska.

Wkrótce potem Marus Mudrick zwołał konferencję prasową. Nie tylko po to, by zdecydowanie potwierdzić zidentyfikowanie Jerolda Zahna jako jednego z policjantów gwałcicieli, ale też po to, by ogłosić, że ofiara rozpoznała drugiego sprawcę – Julia Ramosa, zastępcę prokuratora okręgowego hrabstwa Passaic. „Cynicznie przyjętego do pracy w ramach polityki zatrudniania mniejszości etnicznych... Bez odpowiedniego sprawdzenia jego przeszłości... Nikczemna nominacja polityczna, która skończyła się fiaskiem... Ta historia to policzek wymierzony w (białą) twarz prokuratora okręgowego”.

To poważne oskarżenie padło przed pospiesznie zebraną grupą przedstawicieli mediów, osiem godzin po konferencji prasowej Julia Ramosa. Naśladując Ramosa stojącego na stopniach sądu z rozwianymi przez styczniowy wiatr włosami, wielebny Marus Mudrick też stanął przed budynkiem sądu. Był ubrany w płaszcz z wielbłądziej wełny, jego gęste czarne włosy także rozwiewał wiatr.

Dziennikarzy było mniej niż zwykle, bo spotkanie zorganizowano w pośpiechu. Ale ciągle przybywali nowi, a oczekiwano, że zjawi się ich więcej, w tym korespondent BBC z Manhattanu i znany komentator z „New York Timesa”.

Marus Mudrick ponad godzinę stał na stopniach sądu Passaic, odpowiadając na pytania i pozując do zdjęć na styczniowym wietrze. Mówił elokwentnie, z pasją i ze złością – jego głos wznosił się i opadał rytmicznie niczym mowa oburzonego kaznodziei. Nie można było wątpić, że wielebny w głębi serca jest przekonany o prawdziwości swoich słów. W pewnej chwili w dramatycznym geście podarł „niegodny dowód szantażu, pozew wystawiony przez urząd prokuratora okręgowego w celu zastraszenia jego i jego brata, adwokata Byrona”. Kiedy przyjechali dziennikarze i ludzie z telewizji, którzy nie zdążyli na to przedstawienie, wielebny Mudrick powtórzył je dla nich – podarł inną kartkę papieru i rozsypał jej kawałki na wietrze. Został nagrodzony oklaskami przez część (czarnoskórych) dziennikarzy, kiedy napiętnował „kłamiwą, ohydną, brudną, nieuczciwą znowę nazistowsko-rasistowsko-białej policji z Pasayne i prokuratury hrabstwa Passaic, mającą na celu ukrycie przed opinią publiczną tożsamości gwałcicieli Jerolda Zahna i Julia Ramosa. Mataczą, chcą ukryć nikczemne porwanie, pobicie i zgwałcenie młodej czarnej

dziewczyny, którą pozostawiono na pewną śmierć w brudnej fabrycznej piwnicy po drugiej stronie rzeki”. W mroźnym powietrzu z ust wielebnego Mudricka wydobywały się obłoczki pary.

Między zgromadzonymi ludźmi, wśród których byli też biali, znaleźli się i tacy, którzy kwestionowali słowa wielebnego ostrzej niż zazwyczaj. Jeden z nich, wysoki, biały, potargany awanturnik w brudnej kurtce z kapturem, kilka razy starał się przerwać wielebnemu, oskarżając go, że podżega do nienawiści rasowej i bogaci się na tym. Krzyczał:

– Pamiętaj, co się stało z wielebnym Martinem Lutherem Kingiem! Jak się nie zna własnego miejsca, to trzeba za to zapłacić, wielebny Marusie Mudricku! Pewnego dnia, być może – powtarzam, być może – to ty będziesz musiał zapłacić...

Te szokujące słowa, oczywista groźba pod adresem wielebnego Mudricka, wzbudziły oburzenie zgromadzonych, którzy uciszyli krzykacza. Jednak wielebny tylko uśmiechnął się do swojego oponenta i powiedział:

– Niech mówi! Takie głosy białych rasistów są zbyt często wyciszane, co pozwala zabójcom działać bez ostrzeżenia. – Odważnie rozpiął płaszcz z wielbłądziej wełny i dodał: – Nie boję się pana. Nie boję się żadnego linczu tłumu, który pana popiera, i białej elity, która z przyczyn taktycznych pana toleruje. Nie noszę kamizelki kuloodpornej i nie jestem uzbrojony...

Awanturnik wycofał się szybko i odszedł, jakby odwaga wielebnego odebrała mu rezon. Rozwścieczeni ludzie wykrzykiwali obelgi pod jego adresem, ponurzy funkcjonariusze policji wyznaczeni do ochrony wielebnego (jak i do zapobiegania wszelkim prowokacjom i niepokojom) zaczęli się przeciskać w kierunku mężczyzny z jednoznacznym zamiarem, ale nie pobiegli za nim, kiedy zaczął uciekać.

– Jeśli stawi się czoła rasiście, on zawsze się wycofa, bowiem serce rasisty podszyte jest tchórzem. – Wielebny Mudrick mówił zdyszany, jakby teraz, po zażegnaniu niebezpieczeństwa, mógł dać upust emocjom.

Po godzinie żywiołowej konferencji prasowej zgromadzeni zaczęli się rozchodzić. Dziennikarz ze stacji telewizyjnej WHNY-TV zapytał, czy może przeprowadzić półgodzinny wywiad z wielebnym Mudrickiem na stopniach sądu.

Był to ten wywiad, który Byron Mudrick zobaczył po południu w swoim biurze w Newark.

Byron nie wiedział o konferencji prasowej zwołanej przed siedzibą sądu hrabstwa Passaic. Nie wiedział o nagłej decyzji swojego brata, by oskarżyć zastępcę prokuratora okręgowego o gwałt i ogłosić, że ofiara rozpoznała Julia Ramosa.

Oskarżenie padło tak szybko po oświadczeniu Ramosa w sprawie alibi Jerolda Zahna, że nawet najbardziej sprzyjający Krucjacie obserwatorzy musieli nabrać podejrzeń, że Marus Mudrick bierze odwet na młodym latynoskim prokuratorze.

By obejrzeć ten koszmarny wywiad, Byron musiał sobie nalać porcję whisky. W ostatnich tygodniach przynosił butelkę – a właściwie butelki – do swojej kancelarii i korzystał z nich, żeby uspokoić stargane nerwy. Nazywał to autoterapią. Klarinda zrozumie, zacznie mu współczuć i (to całkiem możliwe) wybaczy mu. Nie od razu, ale po pewnym czasie. Powie: „Ostrzegałam cię, Byron! Taki jest twój brat”.

Do Byrona zadzwonił zaniepokojony kolega z wydziału prawa i powiedział mu, żeby szybko włączył telewizor. Konferencja w Pasgayne dobiegała końca, ale wywiad na żywo w stacji WHNY dopiero się zaczynał. Byronowi krew uderzyła do głowy, kiedy usłyszał pytanie dziennikarza, czy Marus i Byron nie obawiają się pozwu o zniesławienie oraz zarzutów o oszczerstwa i potwarz za publiczne oskarżenie dwóch osób o gwałt, na co jego brat odpowiedział chępliwie:

– Bracie, nie obawiam się sprawiedliwości. Wielebny Marus Mudrick nigdy nie obawiał się sprawiedliwości. A ktoś, kto jest martwy, nie może mnie o nic pozwać, mój brat, adwokat Byron, ci to wyjaśni.

– Ale osoba żyjąca? Julio Ramos?

– Kiedy Krucjata ujawni wszystko o tym zbrodniczym rasistowskim gwałtocielu, Ramos będzie trupem.

Marus Mudrick mówił z zapałem i zacierał ręce. Na przegubie jego lewej dłoni widać było złoty zegarek, w mankietach lśniły złote spinki opatrzone monogramami.

Byron nie zapamiętał wiele z tego wywiadu. Szok był zbyt wielki, czuł się, jakby ktoś walnął go obuchem w głowę. Drżały mu ręce, kiedy unosił szklaneczkę whisky, był tak roztrzęsiony, że nie mógł trafić do ust.

Telefon już się rozdzwonił i Byron szybko zdjął słuchawkę z widełek, ale wydawało mu się, że nadal słyszy nieustający dźwięk dzwonka dobiegający z jakiejś pustej przestrzeni – grobu.

W tej godzinie grozy wyobraził sobie kres swojej kariery prawniczej, wykluczenie z palestry, publiczne napiętnowanie w prasie (liberalnej), rozpad małżeństwa i wstyd, jaki przyniesie dzieciom. Co gorsza, pozew o zniesławienie wniesiony przez Julia Ramosa przeciwko braciom Mudrickom zrujnuje ich i okryje niesławą.

Marus może się wywinie, ale on, Byron, na pewno zostanie bez grosza i ze zszarganą reputacją.

Przełknął duży haust whisky i drżącą ręką nalał sobie następną porcję.

Męczennik

Na pierwszy rzut oka był to młody biały człowiek w obcisłym ciemnym ubraniu, z ogoloną głową. Wyłonił się znikąd i zmierzał zdecydowanym krokiem w kierunku wielebnego.

Kiedy wielebny dostrzegł go i przyjrzał mu się bliżej z odległości mniejszej niż dziesięć centymetrów, zobaczył czarnoskórego mężczyznę o bardzo jasnej karnacji, którego łatwo było wziąć za białego. Odrobinę wyższy niż wielebny, niezbyt młody, ale tak szczupły i zwinny, że nieomal młodzieńczy, jak tancerz lub łyżwiarz. Miał jasne oczy, spojrzenie przenikliwe jak u rysia, odrobinę spłaszczony, mały garbaty nos, cienki wąsik nad górną wargą i delikatną, ledwie widoczną kozią bródkę. Uśmiechnął się, odsłaniając niezwykle białe, drobne zęby. „Wielebny Mudrick?”. Ten człowiek, ten obcy, którego wielebny jednak zdawał się rozpoznawać, modnie ubrany czarny mężczyzna, z domieszką krwi pewnie karaibskiej, nie mógł się urodzić w jakimś amerykańskim blokowisku tak jak wielebny. Na jego widok Marus poczuł dziwny, ale przyjemny dreszczyk emocji, coś nieodparcie i nieuchronnie pociągało go do tego mężczyzny. „Wielebny Mudrick? To dla ciebie”. Spod ciemnego zamszowego, mocno dopasowanego płaszcza wysunęło się lśniąca trzydziestocentymetrowe ostrze i zanurzyło się (na co najmniej dwadzieścia centymetrów) w otyłym ciele wielebnego (między żebrami). Trwało to krócej niż szept, który dotarł do uszu wielebnego: „Wiadomość od Księcia, stary. Bóg jest dobry”.

Padł na kolana na zimny, twardy chodnik. Był całkowicie zaskoczony, ból pojawił się tak szybko i był zbyt silny, by ugodzony potrafił zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje. W pierwszej chwili pomyślał, że nieznajomy go uderzył, że dostał zwykły cios pięścią; to i tak dotkliwie zraniłoby jego dumę, był bowiem przekonany, że w bystrym spojrzeniu obcego dostrzeże błysk uznania, a może i zachęty. Niezdarnie usiłował uczeplić się mężczyzny, który bezczelnie wytarł zakrwawione ostrze o ubranie wielebnego (żółty płaszcz z wielbłądziej wełny, który napastnik rozchylił na tyle, by zadać celny cios). Chciał wołać o pomoc, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa, wydał z siebie jedynie ochryple rżenie jak człowiek, którego duszą. Spróbował wstać, aby uspokoić zdumionych widzów: wielebnemu Mudrickowi nic się nie stało, nie został dźgnięty w serce przez kogoś, do kogo poczuł niemądrą i odruchową sympatię.

Chciał dźwignąć się na nogi – chociaż teraz krew spływała już nogawką na chodnik. Pragnął doświadczyć tych kilku ostatnich, niezrozumiałych chwil, pojąć je i odwrócić swój los. Przez głowę przelatywały mu myśli – a gdyby, a gdyby – gdyby po zakończeniu wiecu, kiedy schodził po dziesięciu betonowych stopniach, skierował się na prawo, a nie na lewo? Dlaczego nie

szedł w otoczeniu współpracowników z Duszpasterstwa Opieki, tylko sam? Ale przecież prawie zawsze tak postępował przy okazji publicznych wystąpień, wśród błysku fleszy... Nagle, w niewyjaśniony sposób, w ciągu kilku sekund znalazł się sam na sam z ubranym na ciemno uśmiechniętym nieznajomym, który na pierwszy rzut oka wyglądał na białego i który wyciągał do niego dłoń – *przyjazny biały*. A limuzyna Marusa stoi przy krawężniku niecałe dziesięć metrów stąd. (Dlaczego szofer nie wysiada i mu nie pomaga? Czyż nie płaci się Manuelowi, by był także ochroniarzem, a nie tylko kierowcą?). Czekali na niego jacyś ludzie, z którymi na skutek podniecenia wywołanego gromkimi oklaskami tłumu nie miał ochoty rozmawiać – dobrzy, nudni i wierni entuzjaści sprawy; czarne twarze lśniące od łez, białe rozjaśnione nadzieją, że wielebny zatrzyma się przy nich (jak robił to czasem), gorąco uściśnie im dłonie i obejmie, nazywając braćmi i siostrami!

A on – on się odwrócił. Choć tam było bezpiecznie. Odwrócił się od tych, których znał, których obecność w swej pysze uznał za rzecz oczywistą, wierzył bowiem, że zawsze będą go czcić, nawet jeśli ich ignoruje, udając, że ich nie dostrzega – ich uśmiechniętych twarzy zroszonych łzami uwielbienia i nadziei.

Odwrócił się, czując się silny, pokrzepiony przez fale oklasków schlebiającej mu (choć nie zbyt licznej) publiczności (przyszło mniej przedstawicieli mediów, niż się spodziewał, w większości czarnoskórzy). Szeroki uśmiech do kamer, dłoń wzniesiona w geście zwycięstwa. Miał na sobie nowy garnitur, szyty na jego nietypową figurę przez J. Press z Manhattanu – dwurzędowa marynarka z cienkiej, miękkiej wełny i dopasowana, wyszczuplająca kamizelka. Rano tego dnia starannie się ostrzygł i ogolił. Silnym, głębokim barytonem rzucił hasło na zakończenie wiecu: „Krucjata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye! Krucjata Sprawiedliwości dla Sybilli Frye!”. Miał wrażenie, że przeprowadzona spontanicznie zbiórka zaowocowała hojnymi datkami (sprawdzi to później, wieczorem). To nie był wielki wiec: czwartkowy wieczór, dom kultury w północnym Newark i lokalny sponsor, organizacja *non profit* Misja Dobrych Sąsiadów. (Wielebny Mudrick znał dobrze jej dyrektora z poprzednich krucjat). Ani Sybilla Frye, ani jej matka Ednetta nie stały tego wieczoru na scenie obok wielebnego; nie było też jego brata, adwokata Byrona Mudricka. (Marus się uśmiechnął – jego młodszy brat był na niego wściekły. Bez przerwy to samo! Byron Mudrick bez swojego brata był dla świata nikim i dobrze o tym wiedział. I ta nadęta Klarinda też o tym wiedziała. Wszyscy wiedzieli). To nie był duży wiec, ale w najbliższą niedzielę zamierzał nadać Krucjacie nową rangę. Wspólnie z nowojorską organizacją Obywatele przeciwko Rasizmowi zamierzał zorganizować wiec na uniwersytecie New School (jeśli tylko udostępnią im tam salę – Marus miał dostać odpowiedź w ciągu najbliższych dwóch dni). Być może pojawi się tam Norman Mailer i w kilku słowach zapowie wystąpienie wielebnego Mudricka... I nagle, zwróciwszy się do ubranego na ciemno nieznajomego, oczekując wyciągniętej do serdecznego uścisku ręki, poczuł... zamiast niej...

Co za wstrząs! Na kolanach czepia się ramienia nieznajomego, jakby chciał zapobiec upadkowi na bruk; usiłuje chwycić jego nogi, idiotycznie wyciągając palce, kiedy zabójca odskoczył w tył.

Jednak nie, nie pomyślał „zabójca”. Pod wpływem szoku pomylił tego ubranego na ciemno obcego z bezdomnym alkoholikiem, białym, któremu zapłacił dwadzieścia pięć dolarów, aby kilka dni temu nawrzeszczał na niego na konferencji prasowej w Pascaigne – wszyscy dobrze to zapamiętali, bo gość zrobił swoje przekonująco; nikt z jego ludzi, oprócz asystenta, który wynajął tego mężczyznę, a już na pewno nikt z publiczności nie wiedział, że awanturnik wykrzykiwał wyuczone słowa.

Nawet Byron nie wiedział. Chociaż niewykluczone, że coś podejrzewał, bo Marus od czasu do czasu wynajmował białych osobników, którzy mieli mu grozić podczas publicznych wystąpień (zawsze z pożądanym skutkiem). Byron nie pochwalał takich metod.

Marus uśmiechnął się gorzko na myśl o bracie. „Marus, posuwasz się za daleko. To pycha, Marus. Wiesz, czym jest pycha?”

A Marus odpowiedział z ledwie skrywaną pogardą: „Tak, bracie, wiem, czym jest pycha. A wiesz, czym jest tchórzostwo? Wiesz, kim jest obłudnik? Wiesz, kim jest zdrajca rasy?”

Ale ten obcy nie był wynajęty przez wielebnego. Ten obcy nie był biały – być może został wybrany, ponieważ przypominał białego. Bezczelnie wytarł zakrwawiony nóż o płaszcz wielebnego, a potem schował go do kieszeni i odszedł z gracją, jakby nie obowiązywało go prawo ciężenia, do czekającego na niego minivana, który odjechał na południe od ulicy Ferry w kierunku rzeki Passaic widocznej stąd tylko jako szeroka, ciemna wstęga niknąca gdzieś w mroku.

„To był biały, wszyscy to widzieli! To się stało tak szybko, że nikt się nie zorientował. Podeszedł do wielebnego, wyglądało na to, że wielebny go zna, chciał uścisnąć mu dłoń, a potem nagle wielebny pada na kolana i osuwa się na chodnik. A ten mężczyzna zniknął, rozplynął się jak jakiś duch. Był biały, wszyscy to widzieli”.

Zepsuta lalka

„Sama musisz znaleźć odpowiedź. Jakoś to wyjaśnić. Cokolwiek Anis ci zrobił, nie skrzywdził cię tak jak ty sama. Rozumiesz? To jacyś inni musieli ci to zrobić, zranili cię bardziej niż on. To twój tata, nie mógłby cię tak bardzo skrzywdzić. Taka jest prawda. Więc lepiej jakoś to załatw”.

„Jak, mam?”.

Usłyszała krzyki na górze. Właśnie wróciła do domu z młodszymi dziećmi, kazała im pójść się pobawić na ulicy, mają nie wracać, dopóki ich nie zawoła. Na górze słyszała krzyki mężczyzny. I wrzask, i błagania dziewczyny. Idąc po schodach, czuła, jak drzą pod wpływem łomotów i walenia pięściami, słyszała trzask, jakby ktoś coś łamał. „Mnie też zabije”, pomyślała. Zatrzymała się, przerażona, nie wiedziała, co robić, aż krzyki stały się tak rozpaczliwe, że wpadła na oślep do pokoju i zderzyła się z Anisem. Walnął ją swoim ciałem, wściekły, pijany w sztok, wpadł na nią, idąc do drzwi. Zanim się obejrzała, leżała na podłodze, krople krwi kapały jak deszcz z... Skąd? Nie była pewna... Spomiędzy zębów? W głowie szumiało jej i dzwoniło, ale udało się jej wstać, nic takiego się nie stało. „Wszystko w porządku, Netta”, powiedziała do siebie.

Wypadł z domu, trzaskając drzwiami. Poszedł sobie i wiedziała, że nie wróci na noc ani następnego dnia, a może nie będzie go jeszcze dłużej. Pomyślała z rozpaczą: „Zabiją go, ktoś go zastrzeli”.

W kącie pokoju, za rozbebeszonym pościeleniem, znalazła szlochającą dziewczynę – była wciśnięta między łóżko a ścianę. Jedna z jej lalek leżała na podłodze połamana i zmiażdżona, z rozłupaną głową. Musiał nadepnąć na nią całym ciężarem ciała.

Miękki, niebieski wełniany koc był poplamiony krwią. Anis naciągnął go na nią, przykrył ją.

To znak, że ją kocha, wiedziała o tym. Chciał uszanować jej wstyd i okryć przed zimnem. I przed wzrokiem kogoś, kto chciałby na nią spojrzeć, kto mógłby ją zobaczyć w takim stanie, w jakim nie chciałaby się nikomu pokazać.

Ednetta schwyciła głowę Sybilli w dłonie. Odwróciła ją, żeby zobaczyć, jak bardzo z nią niedobrze.

Krew we włosach dziewczyny wyglądała jak smar. A krew na policzkach jak łyż. Twarz zaczynała już puchnąć. Wargi popękane i krwawiące. Musiał być wściekły, to jasne, straszliwie wściekły. Podarł na niej ubranie, okładał ją pięściami. Przeklinał przy tym i szlochał, wiedziała, że tak było. Nienawidził tej wściekłości, która ogarniała go jak płynny ogień, jego też paliła boleśnie, nie potrafił jej przewyciężyć.

Ta dziewczyna, Sybilla, była najbardziej nieznośnym spośród jej dzieci.

Pyskata dziewczucha, którą musiała kochać, ale to była trudna miłość, uwierała jak kamyk w bucie.

Ednetta zaczęła na nią wrzeszczeć, że go sprowokowała! Ty cholero, popatrz tylko, co ci zrobił, wiesz, że Anis miał ciężkie życie, wiesz, że wysła go do więzienia na resztę jego dni. Umrze w tym paskudnym miejscu i będziesz go miała na sumieniu, dziewczyno.

Twój ojczym cię kocha. Stara się kochać. Pomaga mi cię utrzymać, jak własną córkę. I tak mu za to odpłacasz, zachowujesz się jak jakaś dziwka.

Dziewczyno, otwórz oczy, spójrz na mnie.

Musiała być z tym chłopakiem, to pewno dlatego. Z tym Jayceem Handlerem, o którym bez przerwy gada. Ten chłopak, który szturcha jej córkę w żebra, jakby to był jakiś dobry dowcip. Anis nie lubi, jak dziewczyna wagaruje, i ludzi, z którymi się zadaje. Mówił, że w końcu zajdzie w ciążę. „Netta, nie żartuję. Jeśli ta dziewczyna okryje nas hańbą, nie będzie nam do śmiechu, wiesz o tym”.

Ludzie nie wiedzieli, że Anis poważnie traktował rodzinę. Przejmował się dziećmi. Patrzył na Ednetę, jakby wyrządzała Sybilli krzywdę, bo nie potrafiła nad nią zapanować. Powiedziała Anisowi, że chłopak siedzi w więzieniu; tak myślała, słyszała, że zamknęli go w Mountainview. Mówiono, że może nie wyjdzie stamtąd żywy, bo ma tam wrogów. Ale tak się nie stało. Zamiast tego Sybilla pojechała do Jayceego z jego siostrą Shirley, a Ednetta nic o tym nie wiedziała. Dziewczyna ma dopiero czternaście lat! No tak, niedawno miała urodziny, czyli już piętnaście. Ednetta dowiedziała się o odwiedzinach (poniewczasie), powinna więc była się domyślić, że Anis też o tym wie. Co gorsza, Sybilla nie przyszła na noc do domu, bo bała się Anisa, a kiedy wróciła z podkulonym ogonem, popiskując jak bezpański pies, już na nią czekał. Wiedziała, że musi ją ukarać. Ostrzegała ją nieraz, tak jak i inne dzieci, że jak nie będą go szanować, to spotka je kara. Ta jej najstarsza córka ciągle pyskowała za jego plecami, nawet jak nic nie mówiła, tylko milczała, ale on dobrze o tym wiedział. Ten jej zez, jakby bez przerwy z niego szydziła. „Pierdol się, ty dupku, gównu cię obchodzi, co robie”.

To nie była wina Anisa, to ona go sprowokowała.

Ednetta była przekonana, że właśnie tak to się stało.

Sybilla dygotała w ramionach matki. Leżała na łóżku, bo Ednetcie udało się ją tam wciągnąć. Może źle zrobiła, teraz wszędzie zostaną ślady krwi, materac i tak jest już uwalany brązowymi plamami i moczem. Ale musiała zaopiekować się dziewczyną, dostała tęgie lanie. Sybilla cuchnęła uryną i chyba czymś jeszcze gorszym. Była spocona i zwymiotowała na siebie. Musiał ją ukarać, ale tym razem nie użył paska. Z tego, co Ednetta zdołała dostrzec, na jej piersiach, pośladkach i plecach nie było śladów rzemienia. Jeśli będzie musiała zabrać dziewczynę do lekarza, nikt nie spyta o pasek. Na inne pytania, które zadadzą, Ednetta wymyśli jakieś odpowiedzi. Jeśli kości są całe, a ma najwyżej pęknięte żebro, to wszystko będzie w porządku. Ale pomoc medyczna jest konieczna –

trzeba choćby zszyć tę brew, to stąd tyle krwi, skóra przecięta jest głęboko. Każdy, kto ją zobaczy, będzie wiedział, że została pobita, i mogą się o tym dowiedzieć gliniarze. A kiedy wróci do szkoły, ci cholerni nauczyciele będą zadawać pytania. Wsadzą Anisa na resztę życia i umrze w tym paskudnym miejscu. A Ednetta zostanie sama w łóżku i będzie wypłakiwać sobie za nim oczy. Albo gliniarze zabiją go na ulicy przy próbie zatrzymania.

Ojciec Sybilli umarł w ten sposób, na ulicy, jak pies. Ale nie w Pascayne, tylko w Nowym Jorku. Skończył w jakimś zaułku w Bronksie, miał tylko trzydzieści sześć albo siedem lat. Ednetta straciła do niego serce za to piekło, jakie jej zafundował. I Sybilla nigdy nie poznała ojca, tak jak i młodsze dzieci. Anis nigdy o niego nie pytał.

Sybilla oddychała ciężko w ramionach Ednetty, jakby miała złamany nos. Była jak zbity pies, który coś przeskrobał i z pokorą poddał się karze. Opuchnięte oczy i wargi – Ednetta miała nadzieję, że nie straciła żadnego zęba. Nie chciała myśleć, w jakim stanie było jej ciało pod podartym ubraniem, ubraniem, na które Anis wyrzekał przez całe lato. Jego pasierbica chodzi po ulicach jak jakaś dziwka, a ludzie wiedzą, że jest pod jego opieką. Ostatnią kroplą, która przelała czarę, był Jaycee Handler, o którym wiedział, że handluje crackiem, że sprzedaje go zaćpanym kurwom. Anis w takiej furii nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Jakby ktoś przyłożył zapaloną zapałkę do firanki. Kiedy się zajmie, nikt nie jest w stanie jej ugasić. Sama zaczęła drzeć. W ustach czuła smak krwi. Powiedziała, Sybilla, musimy coś wymyślić, same musimy się tym zająć. Kiedy odzyskała nieco sił, zaniosiła dziewczynę do łazienki, kopniakiem odsunęła brudne łachy i napuściła wody do wanny. Miała nadzieję, że młodsze dzieci nie siedzą przed drzwiami. Albo nie dobijają się do tylnego wejścia jak głodne szczeniaki. Ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to jacyś cholerni sąsiedzi wścibiający nosy w nie swoje sprawy. Z trudem zapakowała Sybillę do wanny, o mało się nie poślizgnęła i nie upadła. Chwiała się, jakby coś było nie tak z jej głową. Sztywniały jej palce u nóg, ten najmniejszy wyglądał jak zakrzywiony sierp. Sybilla leżała w wannie odrętwiała z bólu i jęczała jak skopany pies. Myjką umyła jej krocze. Starła się robić to delikatnie, mimo to dziewczyna zaczęła łkać. W wodzie pojawiły się smugi krwi, która rozpuszczała się i powoli blakła. Ednetta nie pytała dziewczyny, jak bardzo jest z nią niedobrze, miała nadzieję, że nie ma wewnętrznych obrażeń, które wymagałyby operacji w szpitalu.

Myślała: „Ta dziewczyna to ty. Córka jest tobą, to twoje drugie ciało. Musisz ją kochać bez względu na to, jak bardzo jest nieznośna. Nie ma nikogo, tylko swoją mamę”.

Po gorącej kąpieli obie poczuły się senne i oszołomione. Ednetta wytarła dziewczynę największym, najlepszym ręcznikiem; szeptała jej do ucha jakieś czułe słowa. Objęła chude, kościste biodra, na których zaczynały się pojawiać siniaki, i zaprowadziła ją do sypialni. Wygładziła pościel i przez jakiś czas leżały przytulone do siebie. Były wycieńczone i powoli ogarniał je sen.

Sybilla wyszeptała: „Mamo, wybaczysz mi?”.

Nawrócona

19 LUTEGO 1988 ROKU

NEWARK, NEW JERSEY

„Tym samym chrzczę cię w imieniu Proroka i nadaję imię Aasia Muhammad”.

Kłęcząca na ołtarzu Pierwszej Świątyni Królestwa Islamu w Newark w New Jersey, a Czarny Książę przyjmował ją na łono jej nowej wiary. Drżała i ledwo ośmielała się oddychać, oczy utkwiała w posadzce, wpatrywała się w stopy Czarnego Księcia, niewielkie, obute w skórzane trzewiki, które wystawały spod skraju białej jedwabnej szaty.

Ceremonia w świątyni była długa. Nieliczne zgromadzenie wiernych szeptało modlitwy i wypowiadało stosowne formuły w języku, którego nie rozumiała, ale który ją zachwycił. Kilka razy zakreśliło się jej w głowie, pewnie z powodu postu i dlatego, że poprzedniej nocy spała tylko kilka godzin. No i z podniecenia.

– Tak jak stałaś się teraz Aasią, tak też jesteś i nadzieją. Jesteś teraz naczyniem nadziei.

Koniuszkami palców Czarny Książę dotknął jej pochylonej głowy. Poczuła ten dotyk całą swą istotą, jakby przeszedł przez nią prąd i odebrał jej siły. Czarny Książę, który był żołnierzem wiary – wojownikiem Allacha – modlił się nad nią w tym dziwnym, oszałamiającym języku, który płynął z jego ust tak łatwo jak zwykła angielszczyzna, do której przywykła w ciągu swojego życia.

Poinstruowano ją, co ma odpowiadać. Jąkała się, ale była zdecydowana przezwyciężyć wszystkie przeszkody i udało się jej wypowiedzieć to, czego nauczyła się na pamięć, choć te słowa były dla niej niezrozumiałe jak magiczne formuły. To były słowa samego Allacha.

Jaka piękna mowa! Wypowiadając słowa w tym języku, miała uczucie, że zmienia się w egzotycznego ptaka o niebieskich piórach, bladożółtej szyi i niesamowitym zielonym ogonie. Jej mowa była mistyczna, tajemnicza; mogła rozłożyć skrzydła i odlecieć.

Wcześniej tego ranka siostry ją wykąpały. Jej włosy zostały zaplecione w drobne warkoczyki i upięte szpilkami. Potem, bez pośpiechu, z drobiazgową starannością, ubrano ją w białą bieliznę, białą nylonową spódnicę do kolan i białą tunikę z długimi rękawami, która luźno opadała na jej szczupłym ciele. Na głowę założono jej biały nylonowy welon podobny do tych, jakie noszą zakonnice.

Biel była kolorem czystości i dziewictwa. Biel była kolorem Aasii Muhammad.

– Wielka jest radość córki Proroka...

Wyznawczynie Wiary dzieliły się na córki, siostry, oblubienice i żony. Sybilla Frye miała dopiero piętnaście lat i dlatego musiała zostać siostrą.

Z zapałem chodziła na lekcje Wiary, nie mogła się ich doczekać. Po wielekroć ćwiczyła ceremonię przyjęcia nowego wyznania. Pod okiem siostry instruktorki powtarzała akt podporządkowania się – najpierw klęczy ze spuszczoną głową, potem kornie opada na posadzkę ołtarza i kładzie się płasko na piersiach i brzuchu, z uniesionymi nogami i rękami wyciągniętymi nad głową.

Powiedziano jej, że to pozycja całkowitej uległości – gdy leży w ten sposób, okazuje, że oddaje się całkowicie woli Allacha.

A Allach z miłością spogląda na tych, którzy przed nim padają, bo tak powinny postępować jego dzieci.

Ednetta, która towarzyszyła Sybilli podczas lekcji, była zdumiona, widząc swoją pyską, niegrzeczną, nieznośną córkę tak pełną pokory. Sybilla zachowywała się tak, jakby czerpała złośliwą satysfakcję z zaskakiwania swojej matki.

Szkoda, że dotychczas w Pascayne nie było Świątyni Królestwa Islamu. Ceremonia nawrócenia, specjalnie przygotowana dla Sybilli przez Czarnego Księcia, odbyła się w świątyni w Newark, która mieściła się nad rzeką, w okolicy przypominającej dzielnicę Red Rock.

Był środek lutego; ponure niebo, szare jak brudny trotuar, zwisało nisko nad ziemią, a wezbrana rzeka Passaic toczyła swoje nieodmiennie ołowiane wody. W pięknych białych szatach, w płaszczu zarzuconym na ramiona, Sybilla dygotała z zimna i ocierała oczy i nos. Ednetta podawała jej chusteczki higieniczne, które Sybilla zwijała i upychała w rękawach. Lepiej nie myśleć, co by się stało – jakie upokorzenie! – gdyby Sybilla, wsparta na ramieniu jednej ze starszych sióstr, podchodząc do ołtarza w swoim pięknym stroju, zaczęła gubić te chusteczki.

Cholera, oczy Sybilli łzawiły bez przerwy (szczególnie lewe); od czasu pobicia nie była w stanie tego kontrolować.

Za rok lub dwa lata Aasia Muhammad będzie mogła się zaręczyć. Jej siostra instruktorka z Królestwa powiedziała, że w krajach afrykańskich, takich jak Maroko, Nigeria, Libia czy Kenia, zaręczały się już piętnastoletnie dziewczyny, a nawet czternasto- i trzynastoletki. W Królestwie nie było wskazane, aby długo pozostawać dziewczynką, kiedy można stać się oblubienicą Proroka i żoną wyznaczonego mężczyzny.

– Aasio Muhammad, córko Proroka, wstań...

Nie była już Sybillą Frye, stare imię i nazwisko wydawały się jej nieokrzesane i pospolite.

Jak szybko to poprzednie życie stało się dla niej odpychające, to życie pełne nędzy, ciemnoty, wstydu i grzechu...

To, co robiła. To, co pozwalała, by robili jej inni.

Od dawna. Już w szóstej klasie. Była tak młoda.

Starsi chłopcy dali jej piwo w puszcze. Wypiła je z nimi. Dali jej skręta, żeby wypaliła albo chociaż spróbowała. Dali jej jeszcze coś, powiedzieli, że to crack. Wciągnęła to głęboko nosem, aż z delikatnych nozdrzy popłynęła krew. A chłopcy się śmiali.

Brała pieniądze od facetów, którzy wystawiali na skraju parku Hicks. Brała pieniądze jako Sybilla Frye i szła z nimi do cuchnącej męskiej ubikacji albo na tyły szopy z narzędziami.

Dawali jej jakieś drobne. Nazywali ją Psią Mordką, co było okrutne i niesprawiedliwe, ponieważ wszyscy wiedzieli, że Sybilla Frye była jedną z najseksowniejszych dziewcząt. Nie licząc szpary między przednimi zębami i tego cholernego oka, przez które przezywano ją Zezowatą. To też nie była prawda.

Jaycee nie był pierwszy. Ale pierwszy złamał jej serce.

Strzelił do innego chłopaka i uporczywie twierdził, że to tamten strzelał do niego.

To Bóg zdecydował, że Anis nie zabił jej za to, że była nieposłuszna. W gorące lato obnosiła swój prawie goły tyłek jak jakaś dziwka. I małe piersi w koszulce z dużym dekoltem. Straszliwie go to wkurzyło, na szczęście nie wiedział, że pojechała razem z Shirley do Mountainview, słyszał tylko jakieś plotki. Stracił nad sobą panowanie. Sybilla mówiła do niego „tatusiu”, tak jak tego chciał, ale tylko pogorszyła sprawę, bo pomyślał, że się z niego nabija – przecież wcześniej tak bywało. Ale teraz wszystko poszło nie tak, wyszło na opak, jak w szkole, kiedy przewracasz oczami i robisz głupie miny, a nauczyciel odwraca się i cię zauważa, chociaż wcale nie drwił z niego. Anis Schutt zabił swoją pierwszą żonę, ale nie wszyscy wiedzieli, że prawdopodobnie zamordował jeszcze jedną kobietę, której ciała nigdy nie odnaleziono, bo podobno zrzucił je do wody z mostu Pitcairn.

A może mama wiedziała? Na pewno. Ciotka Cheryl wiedziała. I Martine też. Należało współczuć mamie, nie najbrzydsza z niej kobieta jak na swój wiek, ale jest taka smutna i tak kurczowo trzyma się tego faceta. A dla nikogo nie było tajemnicą, że Anis Schutt wykorzystywał Nette Frye, bo tak mu było wygodnie. Zachowywał się jak jakiś stary mąż znudzony swoją żoną, nie patrzył na nią, za cholerę go nie obchodziła, byle tylko mu gotowała, prała i zajmowała się różnymi pierdołami. Naiwnie dała mu trochę pieniędzy od wielebnego i obiecała, że dostanie więcej. Sybilla wiedziała, że Anis znenawidził Ednetę za te pieniądze, powiedział, że cuchną, ale i tak je wziął.

Anisa Schutta nie było tego ranka w Świątyni. Anis Schutt nie miał nic wspólnego z nawróceniem Sybilli na Królestwo Islamu i z tego, co wiedziała, Ednetta utrzymywała to przed nim w tajemnicy.

Nie chciał mieć nic wspólnego z wielebnym Mudrickiem, Kruczatą, całym tym szumem i ludzką gadaniną.

Wielebny Mudrick leżał teraz w szpitalu, tu, w Newark. Przez jakiś czas nie było wiadomo, czy nie umrze, ale Sybilla dowiedziała się, że jednak przeżyje

ten rasistowski atak.

Ktokolwiek chciał go zabić, celował w serce. Biedny wielebny przeszedł kilka operacji, Sybilli na samą myśl o tym robiło się niedobrze.

W gruncie rzeczy nie lubiła wielebnego. Nie lubiła, jak ją dotykał, jego oddechu cuchnącego czosnkiem, whisky lub mięsem. Ale szanowała go, podobnie jak szanowało go wielu innych ludzi. I bała się go.

Wkrótce po napaści nożownika w ich życie wkroczył Czarny Książę.

Ednetcie i Sybilli pochlebiało, że Leopaldo Quarrquan z Królestwa Islamu chciał się z nimi spotkać.

W przeciwieństwie do wielebnego Mudricka Leopaldo Quarrquan był przywódcą własnego ruchu religijnego. Marus Mudrick wygłaszał gościnnie kazania w różnych kościołach, ale nie był głową żadnego z nich. Ednetcie i Sybilli wyjaśniono, że Czarny Książę był odpowiednikiem papieża, który jest głową Kościoła katolickiego, religii o światowym zasięgu. Tak jak papież był przywódcą religii białych ludzi na całym świecie, tak Czarny Książę był przywódcą religii czarnych ludzi na całym świecie.

Czarny Książę mówił o sobie, że jest żołnierzem Allacha – wojownikiem. Królestwo Islamu było religią zarówno starożytną, z czasów „niemal prehistorycznych” (powstała w 700 roku we wschodniej Afryce), jak i nową, „rewolucyjną”, założoną w 1979 roku przez Leopalda Quarrquana.

Wierzono, że Czarny Książę jest reinkarnacją pierwszego władcy afrykańskiego państwa, którego imię w przybliżonej angielskiej transkrypcji brzmiało właśnie Leopaldo Quarrquan (żył on w latach 900–846 przed Chrystusem). Wystarczyło tylko przez chwilę przebywać w towarzystwie Czarnego Księcia, żeby się zorientować, jaką jest wyjątkową osobą. Był jak ktoś przeniesiony tu ze starożytnych czasów, komu to, co zobaczył, wcale nie przypadło do gustu. Jako że był wojownikiem, otaczał się gronem adiutantów (młodych mężczyzn) z ogolonymi głowami. Ale trzymali się oni na uboczu, tak że podczas publicznych wystąpień Czarny Książę ukazywał się sam. Nigdy nie podnosił głosu, mówił cicho – żeby go usłyszeć, trzeba było uważnie słuchać. Nie tak jak kaznodzieje z Afrykańskiego Metodystyczno-Episkopalnego Kościoła Syjonu, którzy krzyczeli, krygowali się, a nawet płakali na ambonie jak aktorzy w telewizji.

Chodziły pogłoski, że Czarny Książę jest zawsze uzbrojony, ponieważ jego wrogowie, czarni i biali, wyznaczyli nagrodę za jego głowę.

Ednetta i Sybilla poczuły do niego nabożną cześć już od pierwszej chwili, kiedy go ujrzały. Poruszał się po królewsku, głowę miał gładko ogoloną, twarz jakby wyrzeźbioną z ciemnego drewna i afrykańskie oczy skryte za opuchniętymi powiekami. Mógł mieć czterdzieści kilka lat, ale wydawał się młodszy. Mówiono, że w poprzednim życiu, jako dwudziestoletni młodzieniec, został skazany za morderstwo i przez siedemnaście lat przebywał w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Maryland. Tam nawrócił się na religię Narodu Islamu i po odsiedzeniu wyroku został zwolniony. Pokłócił się z przywódcami Narodu

Islam i założył własne, radykalniejsze, rewolucyjne Królestwo Islamu.

W więzieniu zmienił imię. Odrzucił stare, „białe” imię i przyjął nowe, pochodzące z czarnej Afryki – Leopaldo Quarrquan. Każdego dnia wstawał o świcie, a w zimie znacznie przed świtem, nigdy nie później niż o szóstej rano. Przestrzegał ścisłej diety; jadł niewiele: owoce, jarzyny i zboża. Brzydziła go sama myśl o wieprzowinie czy innym nieczystym pożywieniu, jak chociażby owoce morza. Nie tolerował narkotyków i większości leków – by je przyjmować, wierni musieli prosić o specjalne pozwolenie. Nie pił alkoholu ani nawet napojów gazowanych, które były też zabronione dla jego wyznawców, nie uznawał kostek lodu do schładzania płynów. Żył jak asceta i często się modlił – rozciągał się na ziemi na swoim modlitewnym dywaniku i całkowicie zatapiał się w modlitwie. Robił to z taką gorliwością, że wpadał w trans i nikt nie śmiał zbliżyć się do niego w tych świętych dla niego chwilach. Był konsekrowanym wojownikiem Boga: twierdził, że miał wizję, w której sam Prorok włożył mu w dłoń miecz pobłogosławiony przez Allacha. Czarny Książę nie mógł się ożenić, pogardzał bowiem „zwierzęcym życiem”. Nie był zwykłym obywatelem, „cywilem”, nie płacił podatków – ani federalnych, ani stanowych – bo nie miał żadnych dochodów. Jakakolwiek współpraca ze świeckim rządem była sprzeczna z porządkiem ustanowionym przez Królestwo Islamu. By uniknąć aresztowania i szykan ze strony izby skarbowej, zeznania podatkowe Leopalda Quarrquana wypełniał i wysyłał jeden z jego adiutantów. Pieniądze, którymi dysponowało Królestwo Islamu, pochodziły prawie wyłącznie z dziesięciny płaconej przez wiernych; tylko czasami wpływały większe sumy od czarnych celebrytów, sportowców i biznesmenów. Nawet czarni niebędący wyznawcami Królestwa Islamu wspierali je pieniądze, zwłaszcza mieszkańcy tych okolic, gdzie miało ono wpływy i władzę i gdzie prowadzenie małego biznesu mogło zależeć od jego przychylności.

Istniał też alternatywny, nieco kontrowersyjny wizerunek Czarnego Księcia. Mówiono, że w młodości się ożenił, ale porzucił żonę jako kobietę niegodną wojownika Allacha. Później, już jako Czarny Książę, poślubił jedną z oblubienic Proroka, niewinną młodą kobietę, z którą nie mieszkał na stałe. Urodziła mu kilkoro dzieci, ale tylko synowie odwiedzali go regularnie.

Czarny Książę nosił białą jedwabną szatę przepasaną szarfą, białą jedwabną tunikę, a pod spodem białe spodnie. Pod opuchniętymi powiekami skrywał duże, inteligentne oczy, poważne i jakby zasmucone szaleństwem, które towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów.

Na widok Sybilli Czarny Książę powiedział mocnym, przytłumionym głosem: „Zostałem przysłany do ciebie, Sybillo Frye, aby uratować twą duszę przed piekłem białego diabła, w którym do tej pory musiałaś znosić katusze. Przez miłość Proroka zaprowadzę cię do twojego prawdziwego domu w Królestwie Islamu, z którego byłaś wykluczona przez tyle stuleci”.

Ednetta powiedziała później: „Jakby Książę dotknął serca Sybilli. Zanurzył dłoń w jej klatce piersiowej i dotknął żywego serca, tak się zmieniła”.

To działo się w tym samym czasie, kiedy po Red Rock krążyły pogłoski, że zamordowano wielbego Mudricka.

Wszystkie media podały, że Marus Mudrick po jednym z wieców poparcia Krucjaty Sprawiedliwości dla Sybilli Frye został zabity przez białego rasistę, być może członka Ku Klux Klanu z New Jersey. Potem sprostowano tę wiadomość i oświadczono, że wielbny nie zginął, ale znajduje się w krytycznym stanie w szpitalu prezbiteriańskim w Newark. Jego zrozpaczony brat Byron przekazał tę informację bezpośrednio z oddziału intensywnej terapii.

W kościele przy Camden Avenue zorganizowano modlitewne czuwanie, podobnie jak w innych kościołach w Red Rock i Newark. Ani Ednetta, ani Sybilla nie uczestniczyły w nich, nie odwiedziły też wielbego w szpitalu. Obawiano się, że mogłoby to wywołać zbyt wielkie zamieszanie.

Wielbny Denis, gniewny i zapłakany, powiedział z ambony: „Brat Marus jest męczennikiem sprawy walki o sprawiedliwość dla czarnych obywateli. Jest naszym Martinem Lutherem Kingiem, ale jego śmierć nie pójdzie na marne. On nie umrze”.

Jednak mijały dni i tygodnie, a wielbny Mudrick ciągle leżał w szpitalu; przeszedł kilka poważnych operacji na otwartym sercu. Mówiono, że wystąpiły dodatkowe komplikacje opóźniające jego powrót do zdrowia.

– Aasio Muhammad, błogosławiona przez Allacha córko Proroka i naczynie naszej nadziei, wstań i powtarzaj za mną...

Czarny Książę powiedział to po angielsku, wymawiając słowa niczym zaklęcia, a potem, niższym, gardłowym głosem, zaczął mówić w tajemniczej „mowie Allacha”. Ednetta nie miała pojęcia, czy był to jakiś prawdziwy język, jak arabski, czy też wymyślony, znany jedynie Leopaldowi Quarrquanowi.

Ednetta siedziała w jednym z rzędów krzeseł zarezerwowanych dla kobiet i dziewcząt; czuła się zaniepokojona i skrupowana. Zakryła włosy szalem, podobnie jak inne córki, siostry, oblubienice i żony Proroka. Kobiety te ubrane były w długie, luźne, jasne, kolorowe szaty, a ona miała na sobie ciemne ubranie; włożyła je w związku z krytycznym stanem wielbego Mudricka, który tak nagle został wyrwany z ich życia.

Ze względu na to, co przydarzyło się wielbnemu, Ednetta próbowała odwieść Sybillę od tak szybkiego przejścia na wiarę Królestwa Islamu. Chciała przekonać dziewczynę, by nie traciła ufności pokładanej w wielbnym, który na pewno wróci do zdrowia i znów poprowadzi Krucjatę. Ale Sybilla była przestraszona ostatnimi wydarzeniami i oczarowana troską Czarnego Księcia, który przypominał jej (jak twierdziła) Mike’a Tysona, nie tyle wyglądem, ile sposobem bycia. Zachowywał się po królewsku, był miły i uprzejmy. Zwracał się do niej po imieniu i mówił o tym, jak cierpi jej dusza.

Byron Mudrick nie był w stanie stanąć na czele Krucjaty, to nie ulegało wątpliwości. Od momentu ataku adwokat prawie nie kontaktował się z Ednettą; był przerażony zamachem na Marusa i obawiał się o swoje życie. Co gorsza, powiedział Ednetcie, że wszyscy zainteresowani nieodwoalnie

otrzymają wezwanie do stawienia się przed wielką ławą przysięgłych, która wkrótce zostanie zwołana przez prokuratora okręgowego w celu rozpatrzenia oskarżeń rzucanych przez Sybillę Frye.

Dopóki Sybilla odmawiała rozmów z władzami, Krucjata działała, by tak rzec, poza prawem, kiedy jednak za namową Marusa Mudricka dziewczyna rozpoznała Jerolda Zahna i Julia Ramosa, prokurator okręgowy zarządził śledztwo. Byron żalił się Ednetcie na Marusa, że wskazał Julia Ramosa jako jednego z gwałcicieli Sybilli. „To był czyn nieostrożny, niebezpieczny i mściwy”. Wszystkich ich pozwą o setki tysięcy dolarów, jeśli nie o miliony, a on, Byron Mudrick, straci uprawnienia adwokackie. Gdyby tylko Marus poradził się go, zanim zwołał tę konferencję prasową! Ednetta chciała sobie zatkać uszy. Chciała wykrzyknąć Byronowi, że jego brat Marus Mudrick był męczennikiem Kruczaty, ryzykował życie w imię sprawiedliwości dla jej córki, podczas gdy on, Byron, był tchórzem, który nie pokładał wiary w żadnej z nich. „Moja córka wymieniła nazwiska tych mężczyzn, ponieważ są gwałcicielami, panie Mudrick! Jest czarną Joanną d’Arc. Marus o tym wie”.

Teraz jednak, kiedy otrzymała wezwanie, by stawić się i zeznawać w sądzie, Ednetta odczuwała niepokój. Trzeba tam przysięgać na Biblię, że powie się prawdę, a jeśli się skłamie, popełnia się krzywoprzysięstwo. Już samo to jest przestępstwem (nie licząc innych, o które mogą ją oskarżyć), a kiedy się skłamie, przysięgając na Biblię, zdradza się Jezusa. Słyszała o ludziach, którzy padali martwi, gdy przysięgali na Biblię i kłamali. Bóg pokarał ich sprawiedliwie. Nie było innego sposobu, trzeba postąpić tak, jak radził Byron: nie stawić się na wezwanie sądu i uciec ze stanu New Jersey, zanim ich aresztują. Ta opcja w jego wypadku nie wchodziła w grę, bo jako adwokat miał tu zbyt dużo interesów. „Wpadłem jak czarna śliwka w kompot”, smutno zażartował Byron.

Jednak nikt się nie spodziewał, że w ich życie wkroczy Królestwo Islamu.

Teraz Sybilla zmieniła wiarę i została ponownie ochrzczona jako Aasia Muhammad – może władze nie będą jej ścigać? Może zrozumieją, że była tylko głupią, młodą dziewczyną, która miewała kłopoty w szkole i w domu, ale teraz została dobrą muzułmanką i nie warto stawiać jej przed sądem? Czarny Książę uważał, że zła sława Kruczaty nie będzie towarzyszyć Sybilli w jej nowym życiu, a Ednetta chciała wierzyć jego słowom.

Jednak była matką i prawną opiekunką Sybilli nawet po przejściu córki na islam. (Tak jej wyjaśniono). Jeśli nadal będzie mieszkać w Pascayne lub w jakimkolwiek innym miejscu w New Jersey, mogą jej w każdej chwili doręczyć wezwanie do sądu.

Czarny Książę chciał kontynuować Krucjatę Sprawiedliwości dla Sybilli Frye, ale na własny sposób. Miał dostęp do „wielkich zasobów bogactw i mocy”, dużo większych niż Marus Mudrick, o którym wyrażał się z pogardliwym współczuciem.

Poinformował Ednette o swoich planach związanych z Aasią Muhammad, ale

nie poprosił jej o zgodę na ich realizację. Nie był dla niej tak uprzejmy i nie okazywał takiego szacunku jak wolebnny Mudrick.

Ednetta sądziła, że musiał tak postępować, ponieważ Królestwo Islamu było religią wojującą, a nie religią pokoju jak chrześcijaństwo. Wyznawcy Królestwa nie wierzyli w nadstawianie drugiego policzka, czego nauczał Jezus – według nich była to słabość. Królestwo Islamu było otoczone przez wrogów, zarówno białych, jak i czarnych, i jego stronnicy kierowali się zasadą, że to oni powinni zadać pierwszy cios. Tak zawsze postępowało się w Królestwie, już od najwcześniejszych, prehistorycznych czasów.

Jeśli Czarny Książę uznał kogoś za wroga wiary, to taką osobę, wedle praw Proroka, należało unicestwić. I nikt, poza samym Czarnym Księciem, nie mógł jej uratować.

Jak dotąd nikogo nie aresztowano za próbę zamordowania Marusa Mudricka, chociaż świadkami ataku były dziesiątki osób, a policja z Newark twierdziła, że nadała śledztwu najwyższy priorytet.

Ednetta postanowiła, że przynajmniej na razie nie opuści Afrykańskiego Metodystyczno-Episkopalnego Kościoła Syjonu. Być może za jakiś czas Czarny Książę przekona ją do zmiany wiary, ale w tej chwili nie mogła porzucić swoich krewnych, którzy należeli do tej wspólnoty. Nie potrafiłaby złamać serca swojej babce, Pearline Tice. Co prawda pociągała ją potężna moc Czarnego Księcia. Nauczał, że chrześcijaństwo jest religią niewolników, która wytrzebiła czarnych Afrykanów. Jednak nie była w stanie odrzucić nadziei, jaką Jezus wlewał w jej duszę, i hymnów, które śpiewała w kościele na Camden Avenue od czasów, kiedy była małą dziewczynką.

Ednetcie nie podobało się, że jej córka nawróciła się na islam, ale może Sybilli wyjdzie to na dobre – zacznie ubierać się skromnie i przyjaźnić z dziewczynami, które nie miały nic wspólnego z jej przyjaciółkami z Red Rock. I będzie trzymać się z daleka od chłopców – tych nic niewartych – i mężczyzn. No i nie będzie musiała dłużej mieszkać z Anisem Schuttem.

Przynajmniej to się skończy. Ta część życia, która była też częścią życia Ednetty. Przyszła do niej, słaniając się na nogach, z opuchniętą, posiniaczoną twarzą, ale uśmiechała się jak mała pijana dziewczynka przepełniona dumą, że po raz pierwszy zrobiła coś dobrego. „Mamo, spójrz”.

Wypisała te słowa na swoim nagim ciele do góry nogami, markerem. Jej małe, twarde, posiniaczone i pogryzione piersi z sutkami czerwonymi jak maliny, sterczące żebra i płaski brzuch, na którym widniały wypisane czarnym tuszem ledwie czytelne słowa: CZARNA KURWA KU KUX KLANN.

„Widzisz, mamo? To oni mi to zrobili. Tak mnie urządzili, było ich kilku, a potem mnie zostawili, a ty mnie znalazłaś...”.

Ednetta powiedziała szybko: „Nie ja. Lepiej niech to będzie ktoś inny, nie twoja mama”.

I tak to się potoczyło. Ednetty nawet nikt nie spytał o zgodę; Sybilla już nie wróci po tym dniu do Red Rock. Nie będzie już chodzić do tego okropnego

liceum, gdzie handlowano narkotykami, raniono się nożami i strzelano do siebie, gdzie uprawiano seks w klasach, a nauczyciele i dyrekcja byli bezradni lub obojętni. „Tak będzie lepiej”, pomyślała Ednetta, ale mimo to przeżyła szok, kiedy usłyszała, że Quarrquan zaplanował dla Sybilli nowe życie w Newark, w muzułmańskim domu oddalonym zaledwie o jedną przecznicę od świątyni. Właśnie przed chwilą dowiedziała się, że będzie mogła widywać się z córką jedynie za zgodą nowej, przybranej rodziny i Czarnego Księcia. Ale nie ulegało wątpliwości, że Sybilli będzie lepiej w specjalnej szkole dla dziewcząt, gdzie nauczycielkami były wyznawczynie jej nowej religii. „Wiara chrześcijańska chyba nie zakorzeniła się w niej zbyt głęboko”, pomyślała Ednetta.

Albo ojczym zdążył wybić jej wiarę z głowy. Pięciami.

– Aasio Muhammad, od tej chwili, w imię Proroka i w imię Allacha, będziesz żyć w nadziei! I poniesiesz nadzieję innym, którzy pogrążeni są w mroku i łakną światła...

– Musisz mieć serce otwarte na Allacha, bowiem Allah jest wszystkim i nie ma nic poza Allachem.

Siostry

28 LUTEGO 1988 ROKU
TRENTON, NEW JERSEY

Połknęła bez popijania białą tabletkę i na języku pozostał gorzki smak.

Gdyby Czarny Książę o tym wiedział! Ale Czarny Książę się nie dowie.

To było zadanie sióstr, to one miały przygotować Aasię Muhammad na wiec.

Jasne, oślepiające światła i niespokojne pomruki tłumu – niczym odgłosy żerujących wielkich zielonych owadów, jednej z egipskich plag.

Zgodnie z zarządzeniem Czarnego Księcia do Azji nie dopuszczono matki. Ednetta Frye została upokorzona i zawstydzona, a Asia nic nie mogła na to poradzić – przecież zgodziła się porzucić dotychczasowe życie.

Czarny Książę przemawiał do tłumu. Czarny Książę w swojej olśniewająco białej szacie z ramionami wzniesionymi w geście błogosławieństwa.

Czarny Książę mówił w języku Proroka – nie było piękniejszego i świętszego języka niż mowa Proroka.

Zgromadzeni nie rozumieli tego, co mówił, ale byli przejęci i z zapałem, jak dzieci, reagowali na śpiewne słowa Czarnego Księcia. Zawołania i odpowiedzi, które wydobywały się z jego ust, nawiązywały formą do muzyki religijnej i bluesa i miały długą tradycję wywodzącą się ze starych kultur.

Była jedną z osób siedzących za plecami Czarnego Księcia, na podeście, z którego przemawiał. Setki wygłodzonych oczu wpatrywały się w nią uparcie. Miała na sobie białą pelerynę, białą bluzkę z długimi rękawami i białą spódnicę do kostek. Biała chusta skrywała drobne warkoczyki zaplecione tak ciasno, że miała wrażenie, jakby ktoś przycisnął jej do skóry na głowie drucianą szczotkę. Bolało, a jej mamy nie było w pobliżu i nikt nie mógł jej pomóc.

Oczy spuszczone. Nie wolno patrzeć. Obce wygłodniałe spojrzenia przesuwają się po jej ciele. Nie może podnieść wzroku.

„Czarna dziewczyna okryta wstydem i upokorzona przez białych gliniarzy. Została tak głęboko zraniona, że tylko Królestwo Islamu jest w stanie ją uratować. Będziemy domagać się sprawiedliwości dla niej i dla innych sióstr okrytych wstydem i upokorzonych przez białych gliniarzy”.

Głęboko w sobie poczuła ostry ból. Nie był ciągły, pojawiał się nagle, jak ukłucie ostrym narzędziem. Można było o nim zapomnieć aż do kolejnego ataku. Zbyt silny, by dało się go uśmierzyć białą tabletką, więc zawsze czuła zaskoczenie, kiedy nadchodził. Ale w końcu nie był to ból, który odczuwała przez cały czas. W pierwszej chwili pomyślała: „Zacznę krwawić. W tych białych szatach!”.

Ale nie było krwi. Nie *tej* krwi.

Już od tygodni nie krwawiła w ten sposób. Po pobiciu miała okres co piętnaście lub dwanaście dni, bardzo bolesny, ale teraz już nie miesiączkowała. Usłyszała, jak Czarny Książę powiedział, że jest zbyt szczupła, a czarna dziewczyna nie wygląda dobrze, kiedy jest chuda. Córka Proroka powinna tryskać zdrowiem.

Na podeście starała się siedzieć bez ruchu. Biała tabletką bardzo jej w tym pomagała.

Siedziała z wyprostowanymi ramionami i skrzyżowanymi kostkami ukrytymi pod białą spódnicą. Miała spuszczoną głowę i w półprzymknięte oczy.

Lepiej trzymać oczy zamknięte. Rozglądanie się po twarzach widzów było złym pomysłem.

Między obcymi szukało się znajomych twarzy. Tyle razy widziała wśród widzów mamę! I ciotkę Cheryl, babcię Tice, Martine, Anisa Schutta... Widziała go w sylwetce jakiegoś krępego mężczyzny w tylnym rzędzie krzeseł albo stojącego w przejściu; nie była pewna, czy wchodzi, czy wychodzi. Przeżyła szok i bardzo tego żałowała. Ale widywała też nauczycieli, kobietę podobną do tej sąsiadki, która znalazła ją w piwnicy fabryki konserw, i tyle twarzy, których nie potrafiła powiązać z nazwiskami. Zresztą to nie byli oni, co za głupota wyobrazić sobie, że tam byli, że przejechali taki kawał drogi, żeby ją zobaczyć.

(Och! Słyszała, że Jaycee Handler udzielił wywiadu dla „National Inquirer”. Twierdził, że Sybilla Frye odwiedziła go w zakładzie poprawczym w tym samym czasie, kiedy, jak twierdziła, więziły ją w Pascajnie białe gliny).

(Słyszała to obrzydliwe kłamstwo. A niektórzy sąsiedzi z Trzeciej Ulicy powtarzali o niej i o mamie różne paskudne rzeczy. Mówiło się, że dojdzie do zwołania wielkiej ławy przysięgłych hrabstwa Pascajne w celu przesłuchania Sybilli i Ednetty Frye oraz braci Mudricków. Czarny Książę pocieszał ją, że teraz jest córką Proroka Królestwa Islamu i świeckie państwo nie ma nad nią władzy. Obiecywał, że ją ochroni. Wszelkie wezwania i nakazy, jakie dostanie, Czarny Książę podrze na stopniach sądu Pascajne, bo Allah wyznaczył go na obrońcę Aasii Muhammad i przedstawiciele świeckiego prawa nie ośmielą się mu przeciwstawić).

Dziś byli w Trenton. Wieczorny wiec w hali widowiskowej (w budynku dziewiętnastowiecznego arsenału). W zimnym, wysokim pomieszczeniu zgromadziło się około trzech tysięcy osób (choć nie mogła ich wszystkich zobaczyć, nawet gdyby ośmieliła się podnieść wzrok, bo reflektory tak mocno oświetlały scenę).

Na nocnym niebie Trenton rysowała się podświetlona kula przypominająca zachodzący księżyc; zachwycała się tym widokiem, kiedy wjechali do miasta. Powiedzieli jej, że to siedziba zgromadzenia stanowego, gdyż miasto było stolicą stanu New Jersey.

Od kilku tygodni, od kiedy została Aasią Muhammad, córką Proroka, wozili ją do różnych miast. Każdego wieczoru Siostra Matka dawała jej słodzone kozie

mleko na uspokojenie, bo jej nowa rodzina nie lubiła, jak krzyczy w nocy z powodu sennych koszmarów. Słodkie mleko, podobnie jak biała tabletką, pomagało uśmierzyć przeszywające napady bólu. Kiedy tęskniła za mamą, Siostra Matka tuliła ją i kołysała do snu.

Na dany sygnał Aasia Muhammad podniosła się z krzesła i wyszła na środek sceny. Czarny Książę – górujący nad nią w swych olśniewających szatach – ujął ją za rękę i zaprowadził na mównicę, gdzie z mocą wybuchającego słońca zalały ją oślepiające światła. Czarny Książę przedstawił ją zgromadzonym i wtedy wypowiedziała wyuczone słowa:

– Witam was! Jestem Aasia Muhammad, wasza siostra w wierze. Kiedyś nazywałam się Sybilla Frye. Słyszeliście o mnie, o zhańbionej czarnej dziewczynie. Ale teraz jestem jedną z was. Książę walczy o sprawiedliwość dla mnie, rozpoczął bój z białym Wrogiem. Proszę, pomóżcie mu w tej prawej wojnie, a Allah was pobłogosławi.

Uśmiechnęła się bezmyślnie, gdy na widowni rozległy się okrzyki i szlochanie. Czarny Książę szturchnął ją w ramię. Łagodnie i pobłażliwie, bowiem Czarny Książę nigdy nie okazywał zniecierpliwienia żadnemu ze swoich wyznawców na oczach publiczności.

Przelotne spojrzenie pełne niesmaku wystarczyło, by zranić. Aasia Muhammad zrozumiała.

Potykając się, wróciła na swoje miejsce. Przez krótką przerażającą chwilę wydawało się, że zemdleje i upadnie jak kłoda na scenę. Takie pechowe omdlenie nie było czymś stosownym i mogło być odebrane jako obraza Czarnego Księcia.

Nie zemdląca. Przez widownię przebiegł szmer współczucia i przestachu, który po chwili przemienił się w westchnienie ulgi. Zrozumieli, że została porwana, pobita, zgwałcona, torturowana i pozostawiona na pewną śmierć... Wierni wybaczyliby słabość córce Proroka.

Wśród ogłuszających oklasków wyprowadzono ją za kulisy. Tego wieczoru nie zobaczy już Czarnego Księcia. Być może nie zobaczy go przez wiele dni.

Kiedy odprowadzano ją do samochodu, poczuła pachnące rzeką ostre, zimne powietrze. Ogarnęła ją nagła tęsknota za tamtą rzeką, na którą w Red Rock nikt nie zwracał uwagi. Widziała ją zawsze w drodze do szkoły i czuła jej zapach. Widać ją też było z mieszkania prababci Tice. Nogi uginały się pod nią, poczuła się słaba jak małe dziecko. Chodnik pokryty był białą kaszą jak metalowymi opiłkami; próbowała sobie przypomnieć to słowo – śnieg. Nie wiadomo skąd pojawiła się jakaś kobieta i podeszła do niej. Miała dziwną twarz, białą jak karnawałowa maska.

– Sybilla Frye? Przepraszam... proszę... nie znasz mnie, Sybillo... jestem... jestem siostrą Jerolda Zahna...

Aasii Muhammad nie wolno było rozmawiać z obcymi, chyba że za specjalnym pozwoleniem Czarnego Księcia. Bo wszyscy obcy byli Wrogami.

Nie odezwała się, ale zatrzymała się i ze zdumieniem spojrzała na bladą jak

kreda kobietę.

Nie, to nie była kobieta, tylko dziewczyna. W jej wieku? Starsza? Z niespokojnymi oczami, z ustami wykrzywionymi bólem.

W szkole było kilka białych dziewczyn, które były miłe dla Sybilli i Martine. A ona była miła dla nich.

No, może nie aż tak – widywała je po prostu w toalecie dla dziewcząt, gdzie nie wolno było palić, na boisku lub w markecie Wawa. Białe dziewczyny, które włączyły się z czarnymi chłopakami, paliły z nimi skręty, piły piwo i paplały bez sensu.

– Sybilla Frye? Jestem siostrą... Jerolda Zahna...

To imię było jak nóż, którym Wróg chciał ją zranić. Czarny Książę ostrzegał ją, żeby nigdy nie odpowiadała na zaczepki, a zawsze będzie chroniona przed Wrogiem. Jednak usłyszała swój głos, spłoszony i słaby:

– Kogo? Nie znam żadnego Jerolda Zahna.

Siostry ciągnęły ją do samochodu i syczały na białą dziewczynę, że ma odejść, zanim zrobią jej coś złego.

– Proszę, Sybillo! Oskarżyłaś mojego brata o straszną rzecz... wiesz, że to nieprawda, proszę, przyznaj to. Błagamy cię, proszę...

Aasia przecząco potrząsnęła głową. „Nie, nie”.

Nie pamiętała tego imienia i nazwiska. I nie mogła rozmawiać z bladolicym Wrogiem.

Dziewczyna została na parkingu i wołała za nimi. Wołała za nimi jak opuszczone dziecko. Aasia usłyszała: „Proszę, proszę, proszę, tak bardzo kochaliśmy naszego brata”. Brzmiało to jak głos z jednego z sennych koszmarów.

Jeszcze żyje

„Zna mnie, oczywiście, że mnie zna. Wie, co zrobiła mnie, Jeroldowi i całej rodzinie. Wie.

Myślę, że żałuje tego, co zrobiła. Nie odwoła tego, ale żałuje. Widziałam to w jej oczach.

W jednym oku, którym na mnie spojrzała. Drugie chyba ma uszkodzone.

Chyba możemy jej wybaczyć. Innym nie.

Ale tej dziewczynie musimy wybaczyć”.

„Tato? Rozmawiałam z nią, z tą dziewczyną, wczoraj wieczorem w Trenton.

W jej oczach zobaczyłam, jak bardzo jej wstyd i jak żałuje.

Nie mogliśmy porozmawiać, zabrali ją.

Tak – wiedziała, kim jestem. Rozpoznała imię Jerolda.

Mówiła, że przeprasza.

Wyczytałam to w jej spojrzeniu.

Musimy przebaczyć. Nie ma innej drogi”.

Wyczerpana zasnęła przy jego łóżku. Wokół rozstawione były urządzenia nadzorujące procesy życiowe ojca. Kiedy się obudziła, zobaczyła z przerażeniem, że ojciec leży nieruchomo i prawie nie oddycha. Za dziesięć minut jej brat Lyle przywiezie tu matkę. To byłoby zbyt okrutne, gdyby tatuś umarł, zanim mama zdąży się z nim pożegnać. Zaczęła się modlić, aby Bóg nie był tak srogi.

Ale ojciec żył, ciągle oddychał. Urządzenia nadzorowały procesy życiowe. Gdyby jego stan się pogorszył, gdyby miał następny atak, rozległby się sygnał alarmowy. Pochyliła się nad ojcem i uśmiechnęła się – poczuła jego słaby oddech.

„Jeszcze żyje”.

Marsz Dziesięciu Tysięcy

7 MARCA 1988 ROKU
PASCAYNE, NEW JERSEY

„Zabij jednego z nich. Nadszedł już czas”.

Ten czarny pierzasty stwór ciągle go dręczył. „Nie umrzesz śmiercią sprawiedliwego, jeśli zawiedziesz, Anis”.

Jakby złapał go za gardło. Po sposobie, w jaki wymawiał jego imię – „Anis” – od razu można było poznać, że go nie szanuje.

Wyciągnął pistolet z szafy i nosił go teraz w lewej kieszeni spodni. Chyba już najwyższy czas.

I tak miał zamiar wyczyścić go i naoliwić. Nie strzelał z tego cholerstwa od... Nie pamiętał. Od lat.

Wtedy spudłował, ale nawet, kurwa, nie wiedział, do kogo mierzył. Siedział w tym swoim starym rżęchu, plymencie, a ten skurwiel w jakimś wielkim, wypasionym SUV-ie zajeżdżał mu drogę na Crater, niedaleko mostu. Anis wycelował przez okno i strzelił. Mina tego skurwiela! Roześmiał się, kiedy to sobie przypomniał.

Chyba spudłował.

Teraz też jechał Crater, dlatego sobie o tym przypomniał.

Camden Avenue była zablokowana przez gliny. Przez cały dzień słyszał o jakimś wiecu, marszu, Czarnym Księciu i Sybilli Frye.

Nikt nie spytał Anisa Schutta: „Czy to nie twoja pasierbica? Córka Netty?”.

Nikt nie ośmieliłby się go spytać: „Dostajesz działkę z tego, co zarabia dziewczyna? To twoja córka, prawda? Już nie?”.

Anis nie mieszkał już w szeregowym domku przy Trzeciej Ulicy. Firma windykacyjna próbowała wydusić z niego osiemset dolarów za zaległy czynsz i koszty remontu. Pieprzyć to, tylko roześmiał się im w nos. Ostatnio słyszał, że Ednetta zabrała młodsze dzieci i przeniosła się do krewnych w Karolinie Południowej. Powiedziała mu, że nie boi się żadnej wielkiej ławy przysięgłych. Będzie mówić samą prawdę i tylko prawdę, tak jej dopomóż Bóg. I zezna, jak było, prosto w twarz białego człowieka, o białych gliniarzach, którzy zgwałcili i pobili jej córkę – ale chyba w końcu zmieniła zdanie. Powiedziałyby jej, że cholernie dobrze zrobiła, ale kiedy się o tym dowiedział, już wyjechała.

Co go to zresztą, kurwa, obchodzi? Nic, kurwa, nic.

Czternaście lat byli razem. Anis czasem przemieszkiwał gdzie indziej, ale to u Netty był jego dom.

Nigdy już nie będzie miał domu. Nie szkodzi.

Przez ostatnie trzy dni pił, żeby uśmierzyć ból w plecach i nogach. Każdego

dnia zaczynał coraz wcześniej i czuł się coraz bardziej ociężały, jakby alkohol zamieniał się w jego żyłach w ołów. Kiedyś jak się napił, był szczęśliwy. Ale to minęło.

Netta mówi, że z nią jest tak samo. Na dodatek ta cholerna cukrzyca sprawia, że wariuje z głodu. Dlatego tak przytyła.

Gdzieś tak od roku ból w plecach i nogach dokuczał mu coraz bardziej. Musiał często siadać, gdzie popadło, ponieważ na zewnątrz nie ma zbyt wiele miejsc, gdzie można by przysiąść choć na chwilę i dojść do siebie, kiedy ból w tej przeklętej prawej nodze stawał się nie do wytrzymania. Najgorzej, jak padało i było zimno. Kiedyś był młody i miał wszystko gdzieś, nie dbał o siebie, zupełnie jak ci faceci, z którymi pracował na śmieciarce. Mówili o nim „starzec”; chyba było im go żal, ale nie szanowali Anisa.

Skręcił w Dwunastą Ulicę, ale ona też była zablokowana. Cholera!

Radiowozy, a na chodnikach gliniarze w mundurach i rynsztunku bojowym; wyglądali jak żołnierze. Widział biegnących po ulicach ludzi; o takich jak oni w telewizji mówili „młodzież”.

Zaklął i zawrócił. Za cholere nie przejmował się, czy zatarasuje drogę innym samochodom albo czy otrze się o stojące przy krawężniku auta jakichś skurwieli. Czuł się jak w potrzasku i chciał się stąd jak najszybciej wyrwać. Jakiś kierowca za nim zatrąbił i Anis też nacisnął na klakson, z całej siły. Pomyślał: „Ktoś dziś zginie, dupku. Trąb dalej”.

Camden przy Washburn też była nieprzejezdna. Jeszcze więcej ludzi na ulicy i więcej glin.

To ten Marsz Dziesięciu Tysięcy, o którym słyszał. Wszyscy o tym gadali. Dwóch gości, z którymi pracował, mówiło, że też się wybierają. Anis pomyślał, że zwariowali, i tylko się roześmiał. Dupki! Myślą, że są jak Martin Luther King. Jakby kogoś, kurwa, obchodziło, co się dzieje w Pascayne, jakiejś cholernej dziurze w New Jersey.

Marsz miał przejść Camden Avenue i dalej mostem Pitcairn na drugą stronę rzeki, przed ratusz i budynek sądu. To pewnie ze cztery, może pięć kilometrów. On nie mógłby przejść nawet kilometra, nawet jednej przecznicy. Chryste!

To marsz jakichś czarnych muzułmanów. Tych, którzy zabrali Sybillę, kiedy wielebny musiał porzucić swoją Krucjatę.

Nie byli z Narodu Islamu, dla którego Anis miał pewien szacunek. To byli inni czarni muzułmanie, sekta założona przez jakiegoś śmiecia po wyroku, który uważał, że Allach tak mu nakazał. Gówno prawda.

(Czy Mudrick żyje? Podobno zabił go jakiś biały rasista, którego policja nie zdążyła złapać, zanim dźgnął go nożem. Dupek się przechwalał, że nie nosi broni ani kamizelki, co on sobie myślał? Nie mógł sobie przypomnieć, czy Mudrick umarł, ale skurwiel dostał za swoje. Po co się wtrącał do rodziny Anisa Schutta?).

Dziewczyna miała teraz nowe imię. Nie potrafił go wymówić. Jakieś arabskie albo afrykańskie. Ednetta mówiła mu, wstydziła się, bo też nie potrafiła go

dobrze wymówić. A teraz Sybilla nosi chustę na głowie, kiedyś pękałaby ze śmiechu, gdyby zobaczyła swoją koleżankę w czymś takim na ulicy.

Czarni muzułmanie w jednym mieli rację – chronili swoje kobiety. Kazali im zasłaniać twarze i siedzieć w domach. Ciekawe, ile ta pyskata Sybilla wytrzyma w zamknięciu.

Brakowało mu jej. Sybilli i młodszych dzieci. I Netty.

Cholera, odeszły. Musiało się tak stać, prędzej czy później. Jego dzieci też dorosły i odeszły. Nigdy już ich nie zobaczy, nie byli w zbyt dobrych stosunkach.

Widział plakaty wzywające na marsz. Zbliżenie twarzy jakiejś dziewczyny, która miała być Sybillą Frye. Ale Anis się domyślił, że to jakaś inna czarna dziewczyna. Zdjęcie było specjalnie rozmazane, jedyne, co było widać, to zamknięte podbite oczy, zakrwawiony nos i napis drukowanymi literami: TO ZROBIŁY BIAŁE GLINY. I informacja o Marszu Dziesięciu Tysięcy zwołanym na siódmego marca. Czyli na dziś.

Plakaty pojawiły się w Red Rock tydzień temu, wisiały wszędzie na Camden, na ścianach budynków, na płotach, sklepach, drzwiach. Gliny starały się je szybko zdzierać, podobnie jak okoliczni mieszkańcy, którzy nie chcieli się narazić glinom z Pascayne.

Od kiedy w gazetach i telewizji zaczęły się ukazywać informacje o „czarnej dziewczynie porwanej przez białych gliniarzy”, w Red Rock panowało napięcie. Na ulicach widziało się więcej ciemnoskórych policjantów i było jasne, że jest to przemyślane działanie. Ale każdy glina, bez względu na kolor skóry, jest biały; tak myśleli ludzie w Red Rock.

Wyglądało na to, że Washburn też była zablokowana. Dlaczego, do cholery? Ludzie maszerują na Camden, a nie tutaj.

Radiowozy tarasują wjazd na Ósmą? I na Barnegat. Musieli dostać rozkaz, żeby odciąć całe Red Rock. Wszędzie korki, wszyscy trąbią jak potępieni, a te cholerne autobusy zawracają z Camden i wjeżdżają w boczne ulice, za wąskie, żeby pomieścić taki ruch. Aniszauważył, że gliniarze, nawet ci ciemnoskórzy, mieli miny jak bokserzy szykujący się do walki. Jesteś wytrenowany, adrenalina wzrasta, przygotowujesz się, żeby złamać szczękę jakiemuś skurwielowi. I jesteś gotowy. Wszyscy byli uzbrojeni i gotowi.

Anis spróbował wjechać w następną przecznicę i znów go zatrzymali. Cholera, nie dostanie się do domu, chyba że zostawi samochód i pójdzie pieszo.

Kolana tak bardzo go bolały; kurwa, nie da rady iść.

Gliniarze odcięli Red Rock i ludzie znaleźli się w pułapce. Nie licząc maszerujących na Camden, którzy mogli iść ulicą szerokimi rzędami. Trzymali plakaty i zdjęcia „Sybilli Frye” (w rzeczywistości było to takie samo zdjęcie jak na plakacie, a więc nie Sybilli Frye) i wizerunki innych czarnych (zastrzelonych lub aresztowanych). Niektórzy nieśli fotografie czarnych mężczyzn w pełnym umundurowaniu (tak to wyglądało; może byli to żołnierze wojsk lądowych lub marines). Inną drogą prawie nie dało się przejść, nie

można było przejechać samochodem. Kursowały tylko radiowozy, były wszędzie.

Gliny zamknęły Red Rock jak pudełko z karaluchami. W czasie zamieszek w sześćdziesiątym siódmym ludzie dowiedzieli się, że komendant policji tak nazywał czarnych mieszkańców. Przysięgał wprawdzie, że został źle zrozumiany, ale nikt nie miał wątpliwości, że tak właśnie powiedział. Biali mieszkańcy Pascajny mieli nadzieję, że wieczorem wybuchną zamieszki i burmistrz będzie mógł wezwać Gwardię Narodową i czołgi.

Anis widział gliniarzy w rynsztunku bojowym przeznaczonym do tłumienia zamieszek. Gliniarze z tarczami stali wzdłuż Camden Avenue i jeśli ktoś z maszerujących chciał się odłączyć od pochodu, nie pozwalali mu na to. Wszyscy musieli iść naprzód.

Anis zobaczył, że w bocznych uliczkach gliny wznoszą barykady.

Jeśli chciało się przejść przez ulicę, trzeba było obejść cały budynek. Ale gliniarze i tak wrzeszczeli na przechodniów. Jeśli rodziny przypadkowo się rozdzieliły, zabraniali nawet małym dzieciom prześlizgnąć się przez barykadę. (Anis widział płaczące maluchy i ich matki po przeciwnej stronie zasieków. Poczł niesmak – taka kobieta musi być cholernie głupia, pijana albo naćpana, żeby wyprowadzać dzieci na ulicę w takiej chwili).

To było normalne w Red Rock i Pascajny. Jeśli nie zniszczysz miejsca, w którym mieszkasz, nie zdemolujesz go i nie spalisz, nikt za cholere o ciebie nie zadba. Ale jeśli to zrobisz, będziesz musiał mieszkać w gruzach.

Nie da się wygrać, Anis dobrze o tym wiedział. Marsz Dziesięciu Tysięcy szedł w imię sprawiedliwości, ale także, by uczcić to, że jego uczestnicy są czarni. Anis nie mógł powstrzymać się od śmiechu; bawiło go, że niektórzy ludzie wierzyli w cokolwiek.

Żałował, że przegapił początek marszu. Domyślał się, że Czarny Książę i jego ogoleni na łyso ochroniarze są na czele pochodu. Może i Sybilla maszerowała razem z nimi? W białych kobiecych szatach i tej muzułmańskiej chuście na głowie? Jeśli tak, to pewnie obok niej były te ubrane na biało siostry. Ale nie Ednetta, ją przegonili.

Gdyby Anis czekał na nią na chodniku, musiałaby przejść tuż obok niego, inaczej nie byłby pewien, czy to ta sama dziewczyna. Takie były zwyczaje Królestwa Islamu, kazali swoim kobietom ubierać się „skromnie”. Domyślał się, że nawet nie podniosłaby na niego oczu, tak jak na żadnego innego mężczyznę stojącego na chodniku.

„Sybilla, nie chciałem cię tak bardzo skrzywdzić. Wiesz o tym.

I do czego cię to doprowadziło, ciebie i twoją zapitą matkę? Rozbiłaś tylko nasz dom. Podziękuj za to swojej nienasyconej dupie, ty zdiro”.

Nigdy nie wybaczy jej i jej matce. Myślałby kto, że naprawdę chciał tak urządzić tę dziewczynę, a przecież po prostu stracił nad sobą panowanie; to się czasem zdarzało. Ale te cholerne suki zawsze wiedziały lepiej.

Ednetta powiedziała, że lekarze zawiadomią gliniarzy, a ci przyjdą i go

aresztują. Gówno mi udowodnią, odparł na to Anis. Nie masz, kurwa, pojęcia o prawie, Netta, wsadź sobie lepiej głowę w swoją tłustą dupę.

Ta gruba dupa! Jezuu, jak to dobrze, że się jej pozbył.

Kobieta, z którą teraz mieszkał przy Dwunastej, nigdy nie starała się mieć ostatniego słowa. Szybko zgadzała się ze wszystkim, co powiedział. Jest młodsza od Netty, pracuje na kasie w Walmarcie. Ma takie żałosne, wyczekujące spojrzenie, będzie wdzięczna za każdą okazaną jej dobroć i za Anisa Schutta, jej prawdziwego mężczyznę.

Wszyscy tu tkwią i trąbią jak najęci, jak by było ryczące na pastwisku. Anis też naciskał klakson z całych sił, chociaż dobrze wiedział, że to gówno da. Widział, jak trochę dalej gliniarze każą otwierać ludziom bagażniki, nie chciał wpakować się w to bagno, zwłaszcza że miał przy sobie broń.

(Ciężki rewolwer, który trzymał w lewej kieszeni spodni od kombinezonu. Anis przez całe życie był leworęczny. W szkole chcieli go tego oduczyć, ale im się nie udało, zaczął się jednak jąkać i trwało to aż do końca podstawówki. Kiedy tylko znów zaczynał się jąkać, przypominał sobie nauczycieli; miał ochotę ich udusić i nie miało to nic wspólnego z kolorem ich skóry. Kombinezon był luźny, jakby Anis stracił na wadze, co było całkiem możliwe, albo zmałał, co było pewne – tak mówił ten doktor w telewizji, że człowiek kurczy się każdego roku o dwa centymetry, jeśli nie przyjmuje odpowiedniej dawki wapnia).

Zamykali kocioł. To była stara taktyka glin. W sześćdziesiątym siódmym złapali w kocioł przechodniów i spychali ich na barykady. Ludzie panikowali jak zwierzęta w zagrodzie, które robią pod siebie ze strachu, bo wiedzą, że czeka je rzeź. Na drodze podjeżdżali do ciebie od tyłu bez włączonej syreny, drugi radiowóz wyprzedzał cię i zwalniał, a trzeci pojawiał się tuż obok. I byłeś w kotle.

Zrobili tak z tym młodym Latynosem, którego zastrzelili jesienią na Turnpike; twierdzili, że sięgał po broń, chociaż cały czas trzymał ręce na widoku, na kierownicy. Okazało się, że chłopak był od roku członkiem Gwardii Narodowej, ale biali gliniarze o tym nie wiedzieli. Jeden radiowóz podjechał po cichu od tyłu, a pozostałe zepchnęły go na pobocze. Zarzucili mu przekroczenie prędkości i „stworzenie zagrożenia na drodze” – co za gówniana bzdura. Chcieli po prostu zastrzelić ciemnoskórego chłopaka, jak myśliwi, którzy wbijają sobie do głowy, że muszą zapolować na jakieś zwierzę.

Od chwili, kiedy zastrzelili Lyandera jak psa, Anis wiedział, że zabije białego glinę, nie wiedział tylko kiedy. Cholera, myślał o tym, od kiedy skończył dwanaście lat. Czarnopióry Anioł Gniewu znów go opieprzał. „Jak długo jeszcze będziesz czekał? A co, jeśli umrzesz, zanim to zrobisz? Jeżeli biali gliniarze zabiją cię pierwsi?”.

Ta myśl go otrzeźwiła. Zbyt długo czekał, żeby zabić białego glinę, pewnego dnia będzie za późno. „Żałosny czarny dupku, dopiero będzie ci głupio!”.

Podobnie było z tą dziewczyną Netty. Jak długo miał czekać – aż zacznie się

pieprzyć w domu i oboje z jakimś fagasem będą śmiać mu się w twarz, jakby był starym, bezradnym, ślepym dupkiem? Musiał trzymać ich wszystkich twardą ręką, bo Netta nie radziła sobie nawet z młodszymi dziećmi, które mówiły przy swojej mamie „gówno” i „kurwa”, a ona była bezradna. Netta ciągle płakała, że za bardzo kocha swoje dzieci, żeby je ukarać, czuje się chora, kiedy musi sprawić im baty; no to powiedział, że jak chce, to on się tym zajmie. Ale odtąd ona ma się do tego nie wtrącać i trzymać z daleka swój tłusty tyłek.

Ta prześwitująca koszulka, którą dziewczyna nosiła zeszłego lata. Jezu, wszystko było widać! Ramiączka ciągle jej spadały, ale udawała, że tego nie zauważa. Albo gówno sobie z tego robiła. I te szorty, wszystkie dziewczyny je wkładały, widać im było prawie całe pośladki, jak dwa półksiężycy pokryte gęsią skórą. Anis stał nieruchomo, gapił się i mrugał; widzi, jak Tana odwraca się od niego i staje bokiem, jaka jest szczupła, i ten sposób, w jaki dotyka swoich włosów, jakby chciała je pogłaskać. I jej smukłe nogi; czuje, że robi mu się słabo na widok Tany, jest taki stary, teraz mógłby być najwyżej ojcem, a nie mężem swojej młodej żony. Zaczerwienił się, dziewczyna zobaczyła, że na nią patrzy, i zachichotała. Ale to Sybilla się śmiała, a nie... tamta.

Sybilla była zazwyczaj na tyle sprytna, że w domu wkładała koszulę, a kiedy Anis był w pobliżu, nosiła sztywne z brudu džinsy i starała się schodzić mu z drogi, podobnie jak reszta dzieciaków. Unikały go jak byka, którego nie wolno prowokować. Nie obchodziło go, czy dziewczyna uprawia seks (wiedział, że tak, nie byłaby normalna, gdyby było inaczej), ale obawiał się, że zajdzie w ciążę i utrzymanie dziecka spadnie na jego głowę. Podobnie jest na podwórku, na którym trzymasz rasowe psy; zakrada się jakiś parszywy kundel, parzy się z twoją suką, a ty potem musisz zaopiekować się szczeniakami, jakby były twoje. Czeki z opieki społecznej były gówno warte, wszyscy o tym wiedzieli. Za każde nowe dziecko w domu rodzina musiała odpokutować, ci z opieki już wiedzieli, jak się do tego zabrać.

Te i wiele innych spraw obudziły w nim gniew. Był jak małe niebieskie kółeczko płomyków na palniku kuchenki, które – kiedy gwałtownie przekreśliło się kurek do oporu – przemieniały się w buchające, gorące żółte płomienie. Rozmawiał z kimś, nie pamiętał, to mogła być Netta albo ktoś nieznamy, albo kumpel w pracy, albo może jedno z dzieciaków, ale sposób, w jaki ta osoba skrzywiła się czy wytarła nos... Anis zrozumiał, że coś się dzieje. Sybilla zawsze starała się prześlizgnąć obok niego, przesunąć się bokiem na schodach i to wystraszone zezujące spojrzenie, to jej dziwaczne lewe oko sprawiło, że wpadł we wściekłość. Dolała oliwy do ognia, kiedy zachichotała, żeby pokazać mu, że się go nie boi. A przecież się bała. Wkurwiło go, że jego pasierbica i reszta dzieciaków bały się go jak wcielonego diabła, a on przecież starał się być dla nich miły. Cholera, musiały wiedzieć, słyszał, jak Netta im mówiła, że to Anis utrzymuje dom, ale bały się go bez względu na to, czy był dla nich miły, czy pijany w trupa i miał ochotę roztrzaskać je o ścianę.

Za każdym razem, kiedy wsiadał do samochodu i jechał, nie przekraczając

dozwolonej prędkości, bo nie chciał, żeby gliniarze go zatrzymali, widział ich, widział śledzące go bez przerwy oczy glin.

„Pierdolony czarnuch, nie ma jaj, żeby nas zamordować. Myśli, że o niczym nie wiemy”.

Wyśmiewali się otwarcie z Anisa i innych czarnych na ulicach. Gliniarzy jarało, że ich nienawidzą, podniecało ich, że mieszkańcy Red Rock marzą o tym, by ich pozabijać, ale nikt nie ma dość odwagi.

Jeden ze starych mężczyzn powiedział do Anisa: „Wstydzisz się tu mieszkać. Przez to gówno, które ci serwują”.

Staruch drapał się po kroczu i się śmiał. Miał krzywą gębę, bo brakowało mu większości zębów. Na jego widok Anisowi zrobiło się niedobrze i poczuł przerażenie – ten staruch był Śmiercią. Plamy wątrobowe na jego skórze wyglądały jak centki czarnej farby. Mieszkał na ulicy albo w jednym z opuszczonych domów, miał swój materac i wózek na zakupy, w którym przechowywał różne rupiecie. Weteran jakiejś wojny – „światowej” – miał medale, dostał je dawno temu. Anis przypominał go sobie mgliście, a może był to inny skurwiel, który wpatrywał się w niego jak parchaty sęp. I śmiał się z niego. Potem zaniósł się kaszlem i zaczął pluć flegmą. Anis odwrócił się z obrzydzeniem i odszedł.

Tamtego wieczoru wrócił do domu wcześniej. Sybilla była w kuchni, płukała naczynia w zlewie; była nadąsana i robiła to niedbale, jakby chciała je potłuc, chociaż jej mama siedziała w pokoju obok i oglądała telewizję. Kiedy zobaczyła Anisa (nie spodziewała się, że wróci tak wcześniej), zakręciła kran i pobiegła do siebie na górę jak wystraszona kotka. Poszedł za nią po cichu i powiedział, nie podnosząc głosu: „Dlaczego się tu chowasz?”. Dziewczyna wydukała, że wcale się nie chowa. „Dlaczego zachowujesz się, jakbyś miała jakieś tajemnice przed swoim tatą?”. Dziewczyna wydukała, że nie ma żadnych tajemnic, pilnuje tylko swojego nosa. Anis spytał: „Dlaczego pobiegłaś na górę i nie powiedziałaś tacie dzień dobry?”. Dziewczyna nie odpowiedziała, cofnęła się i ukryła twarz, a on zapytał: „Dlaczego zachowujesz się jak jakaś suka, która ma coś na sumieniu? Nie chcesz spojrzeć w oczy tacie, bo się boisz? Czego?”. Dziewczyna odpowiedziała przestraszonym, cichym głosem, że nie ma nic na sumieniu. Podniosła oczy i popatrzyła na Anisa, a on zrozumiał, że mówi prawdę, i zrobiło mu się jej żal. To tylko mała dziewczynka, która błaga go o litość. Powiedziała: „Jeśli pójde do szkoły i zobaczą, że zostałam pobita, będą mnie wypytywać, tak jak ostatnim razem, i przyślą tu kogoś z opieki społecznej. Mama będzie mieć kłopoty, zacznie mnie obwiniać, a przecież nie zrobiłam nic złego, przysięgam, tato”.

Netta zaczęła wołać na nich z dołu. Bała się, bo żadne z nich nie odpowiadało.

Więc tym razem Anis darował dziewczynie – powiedziała do niego „tato”.

Jedno było jasne: musi zabić wroga.

Ale jeżeli zabije jednego wroga, a reszta pozostanie przy życiu, to oni zabiją jego.

Anioł Gniewu ochrzanił go za tchórzostwo. Mamrotał do siebie i przeklinał, kiedy wrzucał cuchnące śmieci na pakę ciężarówki. Miał tak wściekłą minę, że reszta mężczyzn wolała się trzymać z daleka od Anisa Schutta.

Zobaczył radiowóz na ulicy i znieruchomiał. Zacisnął palce w śmierdzących rękawicach, tak bardzo chciał schwycić ich za gardło.

Umysł miał zaćmiony. Wpadł wczoraj do pubu Blue Star, a potem obudził się gdzie indziej.

Z powrotem do śmieciarki. Ten fetor, nawet zimą, kiedy śmieci zamarzały! Niczym nie dało się zabić tego smrodu, przesiąkały nim włosy, ubrania i płuca. Kiedy zobaczył wtedy radiowóz, bał się, że zemdleje. Już raz wypadł z ciężarówki na ulicę, ludzie krzyčili do kierowcy, żeby się zatrzymał, podnieśli go na nogi, ledwo co widział, jakby ktoś oślepił go migającym światłem, ale zebrał się w sobie i powiedział, że nic mu nie jest.

„Jezu, pomóż mi, muszę zabić kilku z nich. Bo inaczej oni zabiją mnie i moje dzieci.

Jezu, daj mi znak. Jak mogę to zrobić, by uspokoić swoje serce?”

W Blue Star usłyszał w telewizji, że gliniarze z Pascayne zarabiają najwięcej spośród policjantów z New Jersey ze względu na wynegocjowaną osiemnaście lat temu umowę związkową. I na dodatek dorabiają, biorąc nadgodziny. Odchodzą ze służby z taką emeryturą, że miastu brakuje pieniędzy na szkoły, naprawę dróg, kanalizację, szpitale i dokończenie inwestycji, które rozpoczęły się przed laty.

Czekał na znak. Zaciskał na kierownicy powykęcane reumatyzmem palce; były jak szpony. Camden Avenue ciągle szli uczestnicy marszu. Anis spoglądał na nich spod oka przez popękaną boczną szybę. Dziwił się, że jest ich aż tylu. Czuł w ich spojrzeniach niemy wyrzut. „Stary, ty też powinieneś z nami maszerować. Idzie Marsz Dziesięciu Tysięcy, a Anis Schutt siedzi na dupie jak mięczak”.

Sznur samochodów ruszył na chwilę, po czym znów się zatrzymał. Zobaczył tabliczkę EAST VENTOR. Ślepa ulica, która kończy się nad rzeką. Paskudny smród rzeki. Zabite dechami magazyny i fabryki. Krzyki na ulicy, gliniarze otoczyli stojący przed nim samochód. Anis zamarł i przygotował się na strzały. Pomyślał: „Jeśli padnie pierwszy strzał, to będzie znak”.

Nie wypróbował pistoletu. Nie wiedział, czy to cholera wystrzeli.

Pomyślał o Lyanderze i poczuł ból. Nie widział go prawie dwa lata, a potem dostał wiadomość, że go zastrzelili. Przez długi czas nie myślał o tym i zabronił wspominać o nim swojej kobiecie. (Kobieta potrafi wślizgnąć się w rozpacz mężczyzny, zupełnie jakby wkładała rękę do rozporka. Kiedy ją tam wsadzi, już jej nie odepchniesz, nawet jeśli nie masz ochoty na to, co z tobą robi. Ale to obrzydliwe i w końcu za to zapłaci). Jednak od czasu tej historii z Sybillą

myślał o Lyanderze, o tym, jak chłopak zginął na ulicy. Pewno ostatnie słowa, jakie usłyszał, to głos białego gliniarza, który wrzeszczał do drugiego: „Trafiłem czarnucha, wykończ go”.

A później powiedzieli: „Nie chciał rzucić broni. Strzelał do nas. Kazaliśmy mu przestać, ale nie posłuchał”.

I w końcu stwierdzili: „Psychoza spowodowana przedawkowaniem narkotyków”.

To wstyd dla Anisa, że tak długo mieszkał w tym mieście i zachowywał się tak tchórzliwie.

Nawet teraz jakaś jego część kombinuje, czy nie zawrócić tego cholernego plymoutha i nie pojechać z powrotem, skręcić w boczną uliczkę przy rzece, a potem wzdłuż torów, pod górkę, do... jak ta ulica się nazywa, aha, do Depp. Może wtedy marsz przejdzie już Camden i gliniarze ją odblokują... Stara się zawrócić, tylne koła uderzają o krawężnik, wściekły biały glina wali w maskę pałką, a drugi krzyczy coś z tyłu. Cholera, nie zauważył ich.

Teraz glina z pałką stuka mocno w przednią szybę, jakby chciał ją stłuc. Mówi Anisowi, żeby trzymał ręce na widoku, na kierownicy. Ale drugi wrzeszczy, żeby Anis odkręcił szybę.

Anis zastyga. Gliniarze wydzierają się na niego coraz głośniejsze, są coraz bardziej wściekli. Anis czuje się tak, jakby dostał młotkiem w głowę, nie wie, co ma robić. Jednak lepiej siedzieć spokojnie, nie ruszać się.

Poci się, serce mu wali ze zdenerwowania. Krzyczeli do niego przez okno, pytali o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Ile to już razy gliniarze zatrzymywali go w Red Rock i za rzeką! Każdy raz mógł być ostatni, jeśli zrobiłby jakiś fałszywy ruch.

Nie wie, jak zareagować. Trzymać gębę na kłódkę, jakby nie znał języka, czy szybko wykonywać ich polecenia.

Milczenie mogą wziąć za opór. Szybkie wykonywanie poleceń za drwinę.

Nie należało poruszać się zbyt gwałtownie. Biali gliniarze boją się, że ktoś ich dzisiaj postrzeli, chcą pierwsi otworzyć ogień.

Glina, który wrzeszczał, żeby Anis odkręcił szybę (ten starszy, gruby), darł się głośniejsze niż ten drugi (młody, pryszczaty) i stał bliżej, więc Anis, bardzo powoli i ostrożnie, opuścił szybę. To była szyba starego typu, trzeba pokręcić korbką, a to zabiera trochę czasu. Czarny facet o grubym karku, w śmierzącym roboczym ubraniu, przestraszony, z opuchniętymi powiekami i ponurą miną. Gliniarze byli podnieceni, osaczyli zwierzynę, ale podobnie jak ona nie wiedzieli, co się stanie za chwilę.

Poruszał się powoli, jak stare, kulejące zwierzę. Ale w oczach drapieźników był niebezpiecznym starym zwierzęciem.

Zastanawiał się, czy zapytać gliniarzy, co to za „parada” blokuje ulicę. Potrząsnąć z dezaprobatą głową, żeby pokazać, że nie jest jednym z „tych czarnych”.

Zastanawiał się, czy zapytać ich, jak mógłby wydostać się z powrotem na

Depp i czy inne ulice też są zablokowane przez tę „paradę”...

W lewej kieszeni spodni czuł ciężar rewolweru Smith & Wesson kaliber czterdzieści pięć. Trzymał ten rewolwer w schowku na rękawiczki, ale przełożył go do kieszeni. Przeniósł broń z szafy w mieszkaniu do samochodu, a potem włożył ją do kieszeni. To musiało coś znaczyć. Widział plakaty z napisem TO ZROBIŁY BIAŁE GLINY. Prawie uwierzył, że „białe gliny zgwałciły mu córkę, tak mówią wszyscy”, i to było nie do zniesienia. Mężczyzna nie mógł żyć z czymś takim i pozostać mężczyzną.

Guzik od tej kieszeni odpadł już dawno. Czy jak sięgnie po broń, to zdąży ją wyciągnąć i wystrzelić, zanim go zabiją? Jego mózg oceniał szanse, a on uśmiechał się teraz do gliniarzy i unosił powoli ręce, żeby pokazać, jaki to z niego miły czarny facet. Taki, który nie nosi broni. Tyle że wszyscy wiedzą, że każdy czarny facet nosi (ukrytą i śmiertcionośną) broń. Gliniarze dobrze o tym wiedzą, przeszli szkolenie, są bystrzy, podnieceni i gotowi.

A jednak pozwolili Anisowi Schuttowi sięgnąć do tylnej kieszeni – powoli – i wyciągnąć portfel. Pośrodku zakorkowanej ulicy, w świetle błyskających czerwonych kogutów, widział w pobliżu z tuzin gliniarzy. Pozwolili mu otworzyć portfel wykrzywionymi artretyzmem palcami i wyciągnąć zalaminowane prawo jazdy z maleńkim zdjęciem czarnego mężczyzny o gniewnym spojrzeniu, który wyglądał, jakby miał ochotę rozerwać komuś gardło zębami. I – powoli, bo na dodatek poczuł ból w krzyżu – sięgnąć do schowka na rękawiczki po dowód rejestracyjny. Przyglądali mu się uważnie przez uchyloną boczną szybę (i przez zabrudzoną przednią), jakby obserwowali dzikie zwierzę, nie tylko śmiertelnie niebezpieczne, ale też nieprzewidywalne. Anis nadal uśmiechał się do nich, czując, jak z powodu narastającego bólu kurczą mu się mięśnie twarzy.

Gliniarz już nie wrzeszczał. Odezwał się wysokim, zrzędlwym tonem:

– Anis Schutt? Skądś znam to nazwisko.

Anis siedział spokojnie, ręce wyciągnięte, dłonie na kierownicy, na widoku.

Gliniarze rozmawiali ze sobą tak, jakby Anis był głuchy.

– Słyszałeś o nim, o Schuttie? Znamy go, prawda?

– Ta, Schutt. Wiesz, kto to jest? To ojciec Sybilli Frye.

– Kurwa, to on! Jezu!

Anis nadal siedział bez ruchu. Ból w plecach nagle zniknął, jakby ustąpił miejsca innemu, większemu, który dopiero nadejdzie i któremu udręczony mężczyzna będzie musiał poświęcić całą uwagę.

– Panie Schutt, jest pan ojcem tej dziewczyny? Sybilli Frye?

Potrząsnął przecząco głową.

Młodszy gliniarz zauważył trafnie:

– Ale pan z nią mieszka? Tu jest napisane: Trzecia Ulica, numer 939. Zgadza się?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie? Naprawdę? Jeśli zmienił pan adres zamieszkania, to prawo jazdy jest

nieaktualne.

Anis wymamrotał coś niezrozumiale. Gliniarz poprosił go, żeby powtórzył, powiedział więc ledwie słyszalnie:

– Dopiero co się przeprowadziłem, panie władzo. Chciałem to zgłosić.

Młodszy gliniarz zabrał dowód rejestracyjny do stojącego obok radiowozu. Anis czuł, że kręci mu się w głowie, jakby przez mózg przepuszczano mu ładunek elektryczny. Rozsądek podpowiadał: „Pełno tu ludzi, nie zastrzelą cię. Za dużo świadków”.

Wąska ulica była zakorkowana. Za Anisem utknął autobus miejski. Ludzie porzucali samochody, kierowcy pokrzykiwali na siebie. Gliniarze wrzeszczeli i wymachiwali pałkami. Nie widać było broni palnej. Na razie.

Stara taktyka policyjna, jeszcze z czasów demonstracji związkowych sprzed lat. Anis przez całe życie słyszał, że gliniarze strzelali do „snajpera”, „snajper” odpowiadał ogniem, a wtedy tamci zasypywali go gradem kul. Zużywali całą amunicję, setki kul. Kanonada mogła trwać i dziesięć minut, strzelano w kierunku dachu i w okna budynku, szukając kryjówki „snajpera”. Jeśli dostałeś się w krzyżowy ogień, padałeś plackiem na chodnik i nie miałeś odwagi się odczołgać.

Ale nawet jeśli leżałeś bez ruchu, czasem i tak do ciebie strzelali. Walili na oślep, gdzie popadło.

Gliniarze zasłaniali mu widok, nie mógł dostrzec maszerujących na Camden Avenue, ale wydawało mu się, że ciągle idą – setki, tysiące demonstrantów. Dziesięć tysięcy? I wszyscy w imię sprawiedliwości dla Sybilli Frye?

„Nie zastrzelą mnie tym razem. Wygląda na to, że mnie puszczą”, pomyślał. Poczuł ulgę przemieszana z rozczarowaniem. Ale i niepokój. Kurwa, będzie musiał wrócić do swojego starego, podłego życia. Wślizgnie się w swoją skórę, jakby wpełzał do zaszczanego łóżka.

Znów pojawił się ten cholerny ból w plecach, jakby ktoś ścisnął mu kręgosłup imadłem, jakby chciał mu wymazać wszystkie myśli z głowy.

Glina wrócił. Anis pomyślał, że tamten odda mu po prostu dowód rejestracyjny i prawo jazdy i powie, żeby siedział spokojnie na czarnym tyłku, dopóki nie odblokują ulicy. Ale okazało się, że obaj gliniarze chcą mu zadać jeszcze kilka pytań. W ich głosach dało się wyczuć podniecenie, zapowiedź kłopotów.

Dokąd jechał. Skąd jechał. Gdzie pracował. Gdzie mieszkał, kiedy wyprowadził się z Trzeciej Ulicy.

I gdzie był w październiku, w czasie, kiedy jego „córka” została porwana.

Bąkał i mamrotał coś w odpowiedzi. Nagle, w połowie słowa, zaczął się jękać i zacinać, jakby coś eksplodowało głęboko w nim i drgania powoli wydostawały się na zewnątrz. Kiedy zatrzymali go ostatnim razem, nie jękał się, był tego pewien.

Patrzyli na swoją zwierzynę z pogardą, ale i ze współczuciem. Gdyby był prawdziwym czarnym mężczyzną, jak wojownicy z Królestwa Islamu, już by

nam to udowodnił, myśleli.

Teraz kazali Anisowi otworzyć bagażnik, co zrobił, sięgając ostrożnie do przycisku na desce rozdzielczej. W tylnym lusterku widział, jak młodszy glina zagląda do środka, przesuwa kilka przedmiotów i z kwaśną miną stwierdza, że nie ma tam nic podejrzanego. Potem glina stojący przy bocznej szybie obejrzał tylne siedzenie i też nie zauważył nic trefnego. A jednak kazali mu wysiąść z samochodu.

Czy to się działo naprawdę? Myślał, że do tego nie dojdzie. Na zakorkowanej ulicy tylko niektóre pojazdy przeszukiwano dokładniej. Kontrolowano przede wszystkim samochody prowadzone przez czarną młodzież. Pomijano kierowców w średnim wieku, starszych i tych, którzy jechali sami. A jego pytali, czy ma przy sobie ukrytą broń lub jakieś ostre przedmioty. Chciał odpowiedzieć: „Nie, proszę pana”, ale ból pojawił się tak nagle, że o mało nie zemdlął.

– O Boże, o Jezu – szepnął, jakby wypowiadał słowa modlitwy.

Zdrętwiała mu lewa noga, poczuł mrowienie od pośladka po samą stopę.

– Ostrożnie! – Starszy z gliniarzy popatrzył na niego z mimowolną sympatią. Zniszczony, stary czarny mężczyzna krzywiący się z bólu. Takiego bólu nie da się udawać. – Proszę oprzeć się o samochód, panie Schutt.

Nie wyciągnęli broni. Schwytali swoją zwierzynę, ale okazało się, że jest niegroźna. Ból był tak silny, że nawet kiedy Anis oparł się o samochód i spróbował przytrzymać się dachu, nie był w stanie ustać na nogach. Chciał się usprawiedliwić: „Przepraszam, o Jezu, przykro mi, moja noga...”.

Upadł na chodnik na kolana. Biali gliniarze stali nad nim, nie wiedząc, co robić. Usiłował wstać, widać było, że się stara. Ale nie miał siły, znów osunął się na ziemię. Wokół panowało zamieszanie. Niedaleko dudniły czyjeś kroki. Przebiegli czarni chłopcy. Gliniarze krzyczeli za nimi. Wyły syreny. Anis jęknął głośno, gramoląc się na nogi, jak ranne zwierzę, z cierpienia, oburzenia i ze wściekłości. Chciał stanąć wyprostowany, twarzą w twarz z tymi gliniarzami, którzy litowali się nad nim. Starszy chwycił go za ramię, jakby chciał mu pomóc, drugi też podszedł bliżej i obaj mówili coś do niego, ale te słowa nic już nie znaczyły, przestał słuchać. Ręka Anisa wślizgnęła się do lewej kieszeni i chwyciła niklowaną rękojeść; palec na spuście, który zawsze okazywał się większy, niż się spodziewał. Niezgrabnym, ale precyzyjnym ruchem, jak wszystkie jego ruchy, od kiedy gliniarze zbliżyli się do samochodu, udało mu się wyciągnąć ciężką broń i wycelować. Szybki strzał, potem drugi i kolejne. Pierwsza kula trafiła starszego gliniarza w żuchwę i roztrzaskała ją, drugą dostał w czoło nad prawym okiem, oderwała kawał kości i chrząstki, a trzecia, czwarta i piąta trafiły młodego gliniarza w twarz i szyję, tam gdzie kamizelka kuloodporna nie mogła już pomóc; nie spodziewał się ataku, pozbawiona wyrazu twarz w jednej chwili przemieniła się w krwawą miazgę.

Biali gliniarze leżeli na ziemi. To się stało w mgnieniu oka. Anis uniósł broń w geście triumfu i ekstazy, celował do każdego, kto się zbliżał; wystrzelił już

ostatnią kulę, ale ciągle naciskał na spust, przesuając pusty bębenek, i nawet kiedy sam został trafiony, nie widział, gdzie podziła się ta ostatnia kula. Z zamkniętymi oczami przeczołgał się po chodniku za maskę swojego samochodu. Wszystko się pomieszało, wydawało mu się, że jest na końcu ślepej uliczki Ventor, tej nad rzeką; może uda mu się dopełznąć do doków, pełno tam niezłych kryjówek, wszyscy chłopcy dobrze je znali; schowa się w jednej z tych wielkich rur, w które wślizgiwał się, gdy był mały; nie jest zbyt długa, widać prześwitujący po drugiej stronie przyćmiony krąg światła, można się tam schować. Ciągłe do niego strzelali! Wrzeszczeli na niego i do siebie, w ich krzykach nie było słów, jedynie czysty dźwięk, jak ryk rozwścieczonych zwierząt. Rewolwer wypadł mu z ręki. Ciągnie za sobą tę bezużyteczną nogę, a ma złamany kręgosłup. Muskularne ramiona, potężny kark. Otoczyli go półkolem, strzelają; przykucnęli, każdy celuje, żeby zabić. Przycisnął twarz do oberwanej drucianej siatki ogrodzenia, a jego tułów i wyciągnięte ramiona...

To był koniec Ventor, nie mógł już pełznąć dalej, nie przedostanie się do doków, nad rzekę, do wielkich pustych rur. Anis Schutt umrze tutaj, rozciągnięty na zardzewiałym ogrodzeniu jak zwierzę, które odczołgało się od stada, by umrzeć pośród zeszywniałych, podartych gazet, resztek styropianu, śmieci schwytych w drucianą sieć ogrodzenia. Ale nawet tam czekał, aż ktoś postawi mu but na karku. „Napastnik trafiony! Wykończcie go”.

Posłowie

Chociaż akcja *Ofiary* rozgrywa się wiele lat później, jest ściśle powiązana z moją powieścią *Oni* z 1969 roku. Zamieszki z lipca 1967 roku (nazywane przez tych, którym dane było je oglądać, zamieszkami na Dwunastej Ulicy), podobnie jak zamieszki w Newark, zostały w ciągu następnych lat dokładnie opisane i stały się przedmiotem badań naukowych jako przykład „rozruchów obywatelskich czarnej ludności miejskiej”. Nie znałam jednak tych badań w czasie, kiedy pracowałam nad powieścią *Oni*.

Pośród wielu książek, artykułów i materiałów, które znalazłam w internecie przy okazji pisania *Ofiary*, trzy są godne szczególnej uwagi:

John Hersey, *The Algiers Motel Incident*, 1968.

The Report of the National Advisory Committee on Civil Disorders, 1968.

The Special New York State Grand Jury Report in the Tawana Brawley Case z 7 października 1988 roku.

Przekład: Tomasz Kłoszewski
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Krystian Gaik, Marcin Grabski, Magdalena Matuszewska

Projekt okładki: Monika Klimowska
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Izabela Habur/Vetta/Getty Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3329-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Matka](#)

[Odnaleziona](#)

[Biały glina](#)

[Oddział ratunkowy, szpital Świętej Anny](#)

[Przesłuchanie](#)

[Red Rock](#)

[Schowana](#)

[Kuzynki](#)

[Oficer śledcza](#)

[Anioł Gniewu](#)

[Dobry sąsiad](#)

[Szczęściarz](#)

[Pasierbica](#)

[Misja](#)

[Pokusa](#)

[Uwiedzenie](#)

[Krucjata](#)

[Nazistowsko-rasistowskie świnię](#)

[Przeniesiona](#)

[Dobry syn](#)

[Bliźniacy](#)

[Bezpieczne schronienie](#)

[Żółte włosy](#)

[Nagroda](#)

[Krucjata](#)

[Męczennik](#)

[Zepsuta lalka](#)

[Nawrócona](#)

[Siostry](#)

[Jeszcze żyje](#)

[Marsz Dziesięciu Tysięcy](#)

[Posłowie](#)